

BRACIWO WROCŁAWSKIE

JAROSŁAW RYBSKI
WARKOT

MIEJ OCZY SZEROKO OTWARTE.
NIGDY NIE WIESZ, Z KTÓREJ STRONY NADJEDZIE.

EQN
WYDAWNICTWO
SINE CHAMAROLI

JAROSŁAW RYBSKI
WARKOT

Kraków 2017

Warkot

Copyright © by Jarosław Rybski 2017

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2017

Redakcja – Paweł Wielopolski

Korekta – Marta Pustuła

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Grafika na okładce – Adam Fyda / BluePapaya.pl

Rysunki w książce – Adam Fyda / BluePapaya.pl

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.













WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

tel. 691962519

Wydanie I, Kraków 2017

ISBN EPUB: 978-83-65836-79-3

ISBN MOBI: 978-83-65836-80-9

-  wsqn.pl
-  [WydawnictwoSQN](#)
-  [wydawnictwosqn](#)
-  [SQNPublishing](#)
-  [wydawnictwosqn](#)
-  [WydawnictwoSQN](#)
-  [Sprzedaż internetowa labotiga.pl](#)
-  [E-booki](#)
-  [Zrównoważona gospodarka leśna](#)
-  [Eheu, fugaces labuntur anni](#)

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna
Dedykacja

Prolog
Rozdział pierwszy papier jest cierpliwy...
Rozdział drugi nie Śląsk biskupów był...
Rozdział trzeci Ogórek małosolny...
Rozdział czwarty Głodny las...
Rozdział piaty Triumf teutońskiego oręża...
Rozdział szósty Przebudzenie...
Rozdział siódmy Onomatopeiczny...
Rozdział ósmy Na psa urok...
Rozdział dziewiąty . żeby nam się...
Rozdział dziesiąty Był jazz...
Rozdział jedenasty Zapach igliwia...
Rozdział dwunasty Zwężyć trop...
Rozdział trzynasty Gdzie by ucho przyłożyć...
Rozdział czternasty Pod groźnym spojrzeniem przywódców ludu...
Rozdział piętnasty Gdzie gwiazda na Salomonową świątynię spogląda...
Rozdział szesnasty Kali oreksi...
Rozdział siedemnasty Taka spokojna Wielkanoc...
Rozdział osiemnasty Trójka pokoju...
Rozdział dziewiętnasty Serce Miasta...
Rozdział dwudziesty Do kogo ta mowa?...
Rozdział dwudziesty pierwszy Naser mater...
Rozdział dwudziesty drugi Wpadła bomba do piwnicy, napisała na tablicy...
Rozdział dwudziesty trzeci Major opóźnia akcję...
Rozdział dwudziesty czwarty Aryman, Nasu, Andar, Belzebub...
Rozdział dwudziesty piaty A nie mówiłem?...
Rozdział dwudziesty szósty Jak to w rodzinie...
Rozdział dwudziesty siódmy Nasu
Rozdział dwudziesty ósmy Podatny
Rozdział dwudziesty dziewiąty Sabiej
Rozdział trzydziesty Rybichwost
Epilog

Podziękowania zamiast posłowania, bo przecież wszystko inne jest w książce

O autorze

Dorotce, całym sercem dedykuję

Przy Hohenzollernstraße paliła się jedna przekrzywiona latarnia. Mrugająca lampa rzucała snop światła na podziurawiony, popękany chodnik. Tłuste ćmy goniły zapóźnione muchy, choć i tak komarów było najwięcej. W tej wrocławskiej willowej dzielnicy elektryczność włączono niedawno, głównie na użytek wojskowych patroli. Nieliczni mieszkańcy barykadowali się w domach pełnych bibelotów, gasili świece i lampy, aby wszyscy zapomnieli o ich istnieniu. Rozpaczliwe krzyki, wołania o pomoc w dwóch językach zbyt często rozpraszały nocną ciszę.

Starsi mieszkańcy poznali atmosferę niepewności, kiedy zmuszono Niemcy do podpisania Traktatu Wersalskiego po Wielkiej Wojnie. Teraz, w 1946 roku, powróciła walka, kiedy minęła już wojenna zawierucha. Na targowiskach mieszkańcy wymieniali biżuterię na mięso niewiadomego pochodzenia, a cenniejsze drobiazgi i landszafty na masło i chleb. Zaś za sacharynę, mąkę i ziemniaki niejednokrotnie płacili dębowymi meblami pochodzącymi z pracowni hamburskich mistrzów. Wszystko było towarem i wszystkim się handlowało. Perspektywa łatwego zysku ściągnęła na te tereny różnych kombinatorów i – jak się to teraz mówiło – szabrowników, którzy pomimo surowych kar za zagarnianie mienia ściągali tu niczym te tłuste ćmy do sztucznego światła wygiętej przez czołg latarni.

Po drugiej Wielkiej Wojnie na tereny Dolnego Śląska sprowadzono pierwszą turę „repatriantów” zza Bugu. Oficjele próbowali wymusić na nich wojskowym dekretem miłość do tych terenów, do ich nowej ojczyzny. Zmuszano nowo przybyłych, żeby zapomnieli o szumie Prutu i Czeremoszu, żeby wymazali z pamięci podolskie jary nad Seretem, żeby w ich wspomnieniach nie pozostał nawet ślad po batiarskim Łyczakowie. Przejście od sanacyjnych „sowietów” do powojennych „ludzi radzieckich” dokonywało się niepostrzeżenie, choć nie bez oporów, bo wrocławsko-zabużańska ulica, mówiąc o komunistach, wciąż wołała używać słów takich jak iwan, kacap czy moskal.

Pełno ich tu było – rozradowanych bimbrem i spirytusem, upojonych ulotną władzą zwycięzców w rozczłapanych kamaszach, poplamionych mundurach przypominających bardziej worki na buraki, czerwonoarmistów często o kaukaskich bądź mongolskich rysach, ściągniętych ukazem wąsatego charakteropaty do serca Europy, by nasycić wiecznie nienażartego wschodniego niedźwiedzia, który od niedawna zamiast carskiej kryzy nosił swojskie walonki.

Azjatycka Lebensraum znajdowała się właśnie tu, w Europie Środkowej, na terytorium, które obejmowały w posiadanie kolejne państwa i monarchie – Polacy, Czesi, Niemcy. Teraz jednak zachodni politycy postanowili rzucić Wąsaczowi ochłap, by zaspokoić jego ambicje i wziąć w karby te wszystkie kłopotliwe nacje, z którymi od zawsze były tylko problemy. Już on sam dobrze będzie wiedział, jak z nimi postępować. A co najważniejsze, nie będzie zerkał łakomym wzrokiem na zachód. Demokracja ma swoją cenę i utrata odrobiny lokalnego folkloru zdawała się niewygórowaną zapłatą za

święty spokój wiodących cywilizacji Europy.

Pozostawała jeszcze kwestia sklepikarzy, rzeźników i drobnych przedsiębiorców niepoprawnego narodu niemieckiego, który w końcu dał Europie wielu muzyków i myślicieli. Była to nacja, która raz na jakiś czas, opanowana atawistyczną, plemienną potrzebą, jednoczyła się w całej swej masie. Oczywiście wielu z prawdziwych Niemców pogardało małym kapralem, ale czyż był to pierwszy mały kapral, który odegrał kluczową rolę w historii tego kontynentu? Obecnie portrety Führera, podobnie jak inne pamiątki po Heinim, Jürgenie i Kurcie, spoczywały schowane gdzieś głęboko w piwnicy, bo w końcu nigdy nie wiadomo, kto zapuka do drzwi. I tylko puste, jaśniejsze miejsca na ścianach statecznych wrocławskich salonów świadczyły o tym, że pamięć o nich jest wciąż żywa, jakby na przekór zgoła odmiennym, niesprzyjającym okolicznościom.

Wszyscy odczuwali dojmującą tymczasowość tej sytuacji. Rosjanie z całą bezwzględnością egzekwowali prawa zwycięzców, nie przepuszczając ani jednej Niemce. Niepewni jutra Polacy przeczuwali, że to wszystko jest chwilowe, i nawet nie rozpakowywali tobołów, które zabrali w podróż. Wkrótce wszystko wróci do normy i pojedą znów na wschód, bo przecież przywódcy Europy nie mogli być tak okrutni, żeby wyrzucać ofiary wojny z domów, teraz, kiedy odniesiono zwycięstwo. Niemcy też mieli cichą nadzieję, że jednak coś się odwróci i iwan w końcu pójdzie do siebie, a oni zostaną na swoim, starając się sklecić coś na zgliszczach. Jak zawsze gospodarzni i oszczędni.

Właśnie w tych okolicznościach, w ciepłą czerwcową noc na ulicy przemianowanej niedawno z Hohenzollernstraße na ulicę imienia jakiegoś generała pojawiły się dwa cienie przemykające z dala od snopu światła krzywej latarni.

Gdzieś w oddali zaszczekał pies, co samo w sobie było dość niezwykłym zjawiskiem po wojnie. Najwyraźniej udzieliła mu się nerwowość właścicieli. Skrzypnęła furka ze złuszczonej zieloną farbą i dwie sylwetki śmignęły przez zarośniętą ścieżkę, prowadzącą do starego domu z wieżyczkami i wielkim wykuszem, który sam wyglądał jak upiór wytrzeszczający pozbawione szyb ślepie i szczerzący kły z potrzaskanej stolarki.

Nie tylko oni wybrali ten dom na nocną robotę. Tajemnicza postać w sypialni na piętrze zamarła, słysząc hałas, i przerwała poszukiwania. Nieznajomy bezszelestnie wszedł po schodach, które nie wydały z siebie ani jednego skrzypnięcia. Wszedł do salonu i schował się za jedną z grubych kotar. Czekał.

Drzwi ustąpiły, bo zamek miał tyle lat co dom i można go było otworzyć byle wytrychem. Dwa cienie zniknęły w środku i po chwili dało się słyszeć głośne przekleństwo – jeden z niezapowiedzianych gości po ciemku wpadł na stojący w korytarzu wózek.

– Franek, co ty robisz, jak pragnę zdrowia! – rozległ się szept jednego z szabrowników.

– Nastawiali tych kłopotów, hyclery jedne. – odpowiedział mu syk współnika.

– Patrz pod nogi, bo jeszcze jakiego kacapa z pepeszą tu ściągniesz i sam wiesz, pod

mur.

– Dobrze, już dobrze, nie pękaj Cyna.

Cyna, doświadczony szabrownik, przemykał bezgłośnie po skrzypiącym dębowym parkiecie, skrętnie omijając wszelkie przeszkody.

– Franek, jak mówiła ta niemra, gdzie stara trzymała fanty?

– Przy piecu w ścianie była skrytka. Stara nie zdążyła nawet białej flagi wywiesić, bo ją tankisty skosiły z kaemu, jak tu wjechali.

– A ta twoja helga to skąd to wie?

– Prała dla starej. Czyściła mundury oberszturmszwaba, jej synalka, co, zdaje się, mundurek miał lekko czarniawy.

– Jasne, teraz wychodzi na to, że w tym ich woju byli sami kucharze, kierowcy i kwatermistrze. Zbóje, pies ich trącał!

– Pewnie ziemię gryzie gdzieś w Berlinie, hycler zaprzany!

– Cicho bądź. A nie wygada się ta aryjska swołocz?

– Ani zipnie. Sama chce trochę doli i spyli na zachód do amerykańskiej strefy. Taka to nie zginie. Kakao, camele, czekoladka. Gładka jest, to se poradzi.

– Dobra, dawaj narzędzia. To tutaj.

– Czeka, znowu wlażłem na coś, taka ich mać!

Nocni goście zerwali obrazek przedstawiający szarżę generała Blüchera i rzucili na ziemię, rozbijając szybkę i ramę. Odłamki szkła zaskrzypiały pod obcasami trepów. W miejscu, gdzie wisiał obrazek, znajdował się schowek. Włamywacze zaczęli delikatnie obstukiwać skrytkę z drewnianymi drzwiczkami i próbowali je podważyć. Ani myślały ustąpić. Trzeba na siłę. Trzasnęło pękające drewno. Po kilkunastu uderzeniach meselka drzwiczki puściły.

Cyna na chwilę oświetlił wnętrze schowka świeczką. Papiery, walthery, kasetka. Kasetka! A w kasetce kilka pierścionków z dużym oczkiem, bransoletka pamiętająca czasy Fryderyka Wielkiego, dwie kamee i wisior z rubinem.

– Dobra nasza, ładuj do wora – rzucił Cyna.

– Gnata też? – zapytał Franek.

– A co? Panów nie ma, łany są nasze, jak to mówi klasyk. Oberszturmszwabowi się już nie przyda, a gnat to dobra waluta.

– Ale jak nas z tym złapią, to czapa murowana!

– Ty wiesz, ile tego złomu jest tu po domach i u ludzi? Całe miasto musieliby pod mur. Franuś, teraz to strach bez czegoś takiego łązić, bo straszne bandyctwo się tu nazjeżdżało z za Buga.

– No dobra.

Nagle Cyna odwrócił się zaniepokojony. Obydwaj włamywacze poczuli przejmujący chłód.

– Co jest? – rzucił Franuś. – Zimno jak w psiarni.

Cyna sprawnie przeładował znaleziony w skrytce pistolet i patrzył kątem oka na kompana ładującego do brezentowego worka resztę cennych przedmiotów – plik

banknotów dolarowych, jakieś łańcuszki, broszki, kilka pierścionków. Jego uwagę przykuł niezwykle połyskliwy sygnet z czerwonym oczkiem. Wyglądał na stary. Cyna podniósł go do światła i przyglądał mu się tak, jak wcześniej robiło to wielu przed nim.

W jednej chwili zjeżyły mu się włosy na karku. Snop światła padł zza okna przez szparę w kotarach na szklany abażur secesyjnej lampy i rozświetlił pomieszczenie zielonkawą, trupią poświatą.

Coś stuknęło w pokoju.

– Co to? Kto tu? – krzyknął Franuś.

– Daj spokój, pewnie jaki szczur – powiedział Cyna. – Namnożyło się tego tałatajstwa po wojnie.

– Jezus Maria!

Spojrzenie Cyny powędrowało za wzrokiem kompana. On też zmartwił.

W rogu salonu stała postać, wyraźnie odznaczająca się od ciemniejszego tła. Nie poruszała się, więc w pierwszej chwili można było pomyśleć, że to manekin krawiecki, na który ktoś zarzucił płaszcz i nasunął kapelusz na głowę przywykłą do wciskania stalowych szpilek. Włamywacze wiedzieli jednak, że to nieprawda. Z postaci emanowało coś, z czego można żartować w biały dzień przy kufelku, ale tutaj, w zaciemnionym salonie starej willi, w otoczeniu dziwacznych przedmiotów, których przeznaczenia nikt już nie pamiętał, bynajmniej nie było im do śmiechu.

– Stój, bo strzelam! – ryknął schrypniętym głosem Cyna, mierząc z pistoletu w zjawę.

Franek już chciał dać drapaka, ale jakaś dziwna siła unieruchomiła go. Stał, wpatrując się z otwartymi ustami w mroczną postać, która zdawała się płynąć w ich stronę.

Cyna nie wytrzymał. Rozległy się dwa wystrzały, ostre niczym trzask bicza. W dość dużym pomieszczeniu dźwięczały w uszach ze zdwojoną siłą. Strzały w tej dzielnicy nie były niczym nadzwyczajnym, ale w całkowitej ciszy sprawiły piorunujące wrażenie. Cyna ocknął się pierwszy. Nie mógł chybić z takiej odległości. Dwa śmiertelne pociski powinny powalić najgroźniejszego przeciwnika.

Cisnął pistolet na ziemię i porywając zawiniątko z łupem, rzucił się do ucieczki. Za plecami słyszał rozdzierający krzyk kompana, który nie miał tyle szczęścia co on. Rozległ się ohydny trzask łamanych kości i skomlenie, jakby jakieś zwierzę konało w męczarniach.

Cyna nie zamierzał sprawdzać, co się dzieje. Potykając się o porozstawiane pakunki, wypadł na dwór. Zahaczył o coś nogą na ostatnim schodku i rozciągnął jak długi na chodniku przed domem. Poczł rozdzierający ból w łokciu. Zaklął głośno. Podniósł głowę i zasłonił twarz ręką. Ktoś świecił mu latarką prosto w oczy.

– Ręce do góry! – rozległ się gromki głos.

Za furtką stało dwóch ruskich żołdatów i jeden podoficer w oklapniętej rogatywce z białą-czerwoną opaską na ramieniu. Mieli mosiny, a Polak celował do niego z pepeszy. Żadnych szans.

– Ratuunku! – rozdarł się Cyna.

– Morda w kubeł! – rzucił polski podoficer. – Czego się drzesz, łobuzie jeden?

– Tam, w środku! Morderca!

– Że co? Morderca?

– Najprawdziwszy! Proszę mnie aresztować, panie władzo.

– A pewnie, że aresztować. – Podoficer machnął ręką na jednego z mołojców. – I sprawdzimy, czy w domu nie został jakiś twój kumpel...

– Nie, panie władzo. Nie wchodźcie do środka! Tam straszy!

– Obywatel nie boi się wyciągnąć łapek po cudze mienie, a władzy ludowej baja, że straszy! Wot mentalność drobnomieszczańska.

Podoficer mimo wszystko poczuł się trochę nieswojo, bo zatrzymany był naprawdę przerażony.

– Tam poo. poo. pooo...

– No co jest, obywatelu, języka w gębie zapomnieliście?

– Pootwór! Dusił jaki!

– DUBY SMALONE! Szaszka, zachadi, skazał!

– Nie, nie, on was zabije, rozszarpie...

– Wania, zabieraj go. Przykuj do płotu.

Cyna wierzgał i wił się jak piskorz, kiedy przykuwano go do żelaznych prętów ogrodzenia.

– Zabierzcie mnie na komisariat, na komisariat! – wykrzykiwał cały czas.

– Ale mu się spieszy. Spokojnie, zdążymy.

– Nie idźcie tam! Potwór!

– Zupełnie zwariował. Wańka, zostań tu i ubezpieczaj.

Dwóch wojskowych weszło ostrożnie do środka, oświetlając sobie drogę karbidówkami. Pod butami zaskrzypiało rozbite szkło.

„Cicho jak w kostnicy” – pomyślał podoficer, który niejedno już widział w ciągu ostatnich lat.

Snop światła padł na coś w drzwiach do salonu i momentalnie się zachybotał. Kałuża krwi powiększała się z każdą sekundą. Brezentowy worek, leżący tuż koło ciała, zaczął z wolna nasiąkać ciemniejącą posoką. Wojskowy nerwowo otarł pot z czoła, przyklęknął przy trupie. Podniósł walthera z podłogi i przyjrzał się ranom ofiary. Z braku lepszego określenia można było powiedzieć, że nieszczęśnik został rozszarpany przez jakieś dzikie zwierzę.

Rosjanin oświetlał lampą cały pokój. Był pusty. Otworzył nawet szafę i zajrzał pod kanapę, ale nikogo nie znalazł. Sprawdził też za lekko falującymi kotarami. Ani śladu żywej duszy.

– Szaszka, ganiaj do komendantury, niech przyślą tu śledczych. Nie podoba mi się to wszystko.

Żołnierz zniknął za drzwiami i podoficer został sam. Nie wiedzieć czemu poczuł nagle wielki niepokój, jak wtedy, kiedy Niemcy szukali partyzantów we wsi, a on, schowany w stodole, miał przy sobie zapasy dla leśnych. Tutaj jednak przerażało go coś zupełnie innego. Przecież był młody, silny i miał broń, a i tak włosy jeżyły mu się na

karku. Pierwszy raz w życiu czuł coś podobnego.

Odruchowo wycelował pepeszę w stronę okna. Nagle coś na kształt dwóch czerwonych węglików zabłysło w rogu pomieszczenia i zgasło w ułamku sekundy. Nie zastanawiał się. Zaterkotał zamek.

Wańka wbiegł do środka z bronią gotową do strzału. Pomieszczenie rozbrzmiewało pogłosem wystrzału. Czerwonoarmista spojrzął tylko na trupa i wybiegł, powstrzymując torsje.

Podoficer Jan Warkot postanowił zaczekać na śledczych na zewnątrz. Wyszedł chwiejnym krokiem po kamiennych schodkach. Podszedł do wciąż szarpiącego się zatrzymanego.

– Nieżleś go załatwił. Pokłóciliście się o łupy, co? – zapytał Warkot.

– Coś pan, z byka spadł? Niby jak? Franek był moim kumplem. Kuzynem. A tam był ktoś jeszcze. To on, to wszystko on! Ratuunku! – zaczął krzyczeć Cyna, szarpiąc się co siłą.

– Stul pysk! W komendanturze będziesz się tłumaczył.

– Nie no, panie pułkowniku, niech mi pan tego nie robi. Z Frankiem przyjechaliśmy po kilka fantów, żeby się na szwabie odegrać. Ale zabił go, zabił! – Znów histeryzował.

– Po państwowe mienie rękę wyciągacie? Ojczyzna w zgliszczach, a wy tu. ! Masz jakąś bumagę?

– Kenkartę mam – odparł zrezygnowany Cyna – no i kartki, bo my ze zrujnowanej stolicy. A wie pan pułkownik, jak nas wycinali w powstaniu? Granaty to o tak latały. – Cyna wymachiwał nerwowo wolną ręką.

– Śledczy przyjadą, to się nie będą patyczkować. Za mord pod mur!

– Ale jaki mord? Toż mówię, że kuzyna mi zaszlachtował drab spod ciemnej gwiazdy!

– Uważaj, bo się doigrasz! Dawaj tu rysopis mordercy kuzyna!

– Pan władza uważa, nie widziałem dokładnie. Ciemno było. Tylko stał tam w pokoju i ruszył na nas. Dwie kulki mu posłałem i nic. A potem dałem nogę, no i dalej pan pułkownik już wie.

– Jak to dwie kulki?

– No nominalnie, wpakowałem w niego dwie pestki, a on nic i sunie dalej.

– Coś kręcisz. Ale dowiemy się wszystkiego.

W tej samej chwili zajechały z piskiem opon dwa gaziki i jeden czarny opel. Wysiadło z nich kilku mężczyzn, którzy przy swoim wyglądzie nie musieli nawet pokazywać legitymacji. Cyna został rozkutty i zapakowany do gazika. Śledczy weszli do willi.

Nikt z wojskowych nie zauważył mrocznej postaci, która najwyraźniej do perfekcji opanowała sztukę kamuflażu. Postać widziała wyraźnie, jak wojskowi chowają zawiniątko. Zdawało się, że mężczyzna przywarł do ściany, zatopił się w misternych wzorach tapety tak, że można by uznać jego sylwetkę wyłącznie za grę światłocienia. Poruszał się bezszelestnie, wykorzystując każdy skrawek ciemności, wtapiał się

w mrok, stając się jego częścią. Rejterada odbyła się w całkowitej ciszy. Po chwili ciemna postać rozplynęła się w plamie mrocznego parku, który przyjął ją jak swoją.



„Widzę, widzę to wszystko i krew mnie zalewa. Sprzątnęli mi to sprzed nosa. A było tak blisko. Psiakrew!” – Nieznajomy zrzucił ze złości papiery z rzeźbionego biurka.

Podjmował zadanie na nowym terenie i od razu porażka. Choć sprawa pozostawała jeszcze otwarta. Wojna ledwo co się skończyła i trzeba poczekać na rozwój wydarzeń. Do końca nie było wiadomo, po której stronie granicy znajdzie się Wrocław, choć pewne sygnały docierały do niego od Pierwszego. Tymczasem gdzieś tam, daleko, w Samarkandzie, w Baku czy na wybrzeżu Morza Czarnego – jeszcze tego nie wiedział – pusta, wyżłobiona w skale szczelina na pogańskim ołtarzu czekała cierpliwie na coś, co Niemcy przemyślnie ukryli w tym mieście. Bez tego przedmiotu wszystko mogło się zawalić, a budowane od setek lat przymierze szlag trafi.

Odruchowo zapalał i gasił starą lampę na biurku, jakby oczekiwał od niej oświecenia w trudnej chwili. Poszukiwany przedmiot mógł teraz trafić do pasera, który od razu będzie wiedział, że nie jest to zwykła niemiecka tandeta. Całe szczęście, że zgodnie z posiadanymi rysunkami i jedną niewyraźną fotografią ich cel nie był przesadnie zdobiony i sprawiał wrażenie wręcz ascetycznego, jeśli pominąć symboliczną ornamentykę i ledwo kilka drogocennych kamyków.

Po chwili nieznajomy wiedział już, co ma zrobić. Wstawał świt. Mężczyzna w zamyśleniu kreślił palcem esy-floresy na blacie biurka. Poczł wielkie, niedające się niczym zagłuszyć łaknienie.

PAPIER JEST CIERPLIWY...

Jan Warkot, student ostatniego roku Politechniki Wrocławskiej i praktykant w drukarni, był wysokim, postawnym młodzieńcem z gęstą czupryną ciemnych włosów. Miał zielone oczy, którymi bez trwogi patrzył w przyszłość. Wyprostowaną postawę wyrobił sobie w wojsku. Tam też zrobił maturę. Dowódca postanowił odesłać zdolnego podoficera do cywila, żeby kontynuował naukę – naród potrzebował świeżej krwi do odbudowy ojczyzny.

Kiedy Janek po raz pierwszy powąchał farbę drukarską, wpadł bez reszty. Wiedział, co chce robić w życiu, a że miał od dziecka smykałkę do silników i maszyn, postanowił połączyć zamiłowanie do świeżego druku ze zdolnościami w dziedzinie mechaniki. W niczym nie przypominał przygarbionych, przyszczatych chudzielców w okularach, którzy gremialnie pchali się na studia. Nie wyglądał również jak chłoporobotnik, którego skierowano do nauki celem awansu społecznego. Jan Warkot wyglądał jak ucieleśnienie nowego człowieka z plakatów propagandowych. No może włosy miał nieco za długie.

Młodość, siła i entuzjazm emanowały z Janka przy każdym kroku. Szedł teraz ze starą, skórzaną teczką pod pachą ceglany kanionem głównej ulicy w kierunku Rynku. Wszędzie wokół widać było spieszących na wykłady studentów w czapkach Uniwersytetu Wrocławskiego. Zbliżała się dziewiąta rano i o tej porze robotnicy udawali się na zasłużoną przerwę śniadaniową, a gdzieś tam przemykały postacie w robociarskich ciuchach z paczkami zawiniętymi w papier.

Warkot spieszył się, choć miał jeszcze mnóstwo czasu. Rwał się do pracy. Zajęcia na nowo otwartej Politechnice miał w soboty i niedziele, a w tygodniu pracował jako praktykant u głównego technika Zakładów Graficznych, zdobywając praktyczną wiedzę z zakresu swego przyszłego zawodu. Do pracy szedł z Krzyków piechotą. Przywykł do wczesnego wstawania jeszcze za młodu, bo na wsi trzeba było pracować od brzasku, a w wojsku jak to w wojsku – pobudka, wstać, koniom wody dać! Wiadoma rzecz.

Początek 1951 roku napawał Janka i mieszkańców Ziemi Odzyskanych umiarkowanym optymizmem. Sześć lat minęło, od kiedy pierwsi pionierzy pojawili się w obcym mieście, szeroko otwierając oczy. Sześć lat uporczywej walki z gruzem, trupami, zwalonymi latarniami, z naprawą mostów, usuwaniem skutków zaciekłych ataków na pozycje obrony Festung Breslau. Życia pełnego trosk i niepokojów, bo przecież nikt nie dawał gwarancji, że miasto będzie należało ostatecznie do Polski. Uchodźcy wyrzuceni z własnych domów na wschodzie, awanturnicy, poszukiwacze lepszego jutra z podziwu godnym zapamiętaniem organizowali swoje życie we Wrocławiu, nic sobie nie robiąc z gier wielkich potęg, z coraz mocniejszego uścisku

ideologicznego nowej władzy, z niedostatku towarów. Podobnie radzili sobie, jak mogli, z własnym nastawieniem, depresją i żalobą po minionych latach.

Życie powojennego Wrocławia stabilizowało się – zjeżdżało tu coraz więcej ludzi skuszonych perspektywą otrzymania lokum i pracy. Na początku ceglanego kanionu wiodącego do Rynku miała wkrótce powstać KDM – Kościuszkowska Dzielnica Mieszkaniowa – przeznaczona dla robotników i inteligencji pracującej. Rondo, wokół którego toczyły się prace porządkowe przed zrobieniem wykopów, gościło już wcześniej na centralnej wysepce wielu bohaterów tego miasta, a wkrótce miało przyjąć kolejnego – naczelnika insurekcji, od którego przyjęło nową nazwę.

Wrocławskie Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego działały pełną parą, produkowały pierwsze lokomotywy i wagony, które rozwoziły czarne złoto Śląska po całej ojczyźnie. Pisali o tym wszystkim w „Słowie Polskim”, polskim słowie na odwiecznie piastowskiej ziemi, przywróconej do macierzy przez zwycięską Armię Czerwoną przy pomocy bohaterskiego polskiego żołnierza.

A poza tym tłumiono skutecznie reakcję, która cały czas podnosiła łeb, ale czujne orły z UB wyłapywały wszystkich po kolei. Złapani sami przyznawali się do winy, bo najwyraźniej nawet najgorszą swołocz czasami rusza sumienie. Miasto dawało znaczną anonimowość swoim mieszkańcom; i można było zawsze powiedzieć, że papiery zaginęły, spłonęły albo diabli wzięli. Nikt nie był w stanie dojść prawdy, bo wciąż panował powojenny chaos, choć ubecy zaczęli już sumiennie tworzyć nowe akta i teczki, uzupełniając je nowymi danymi.

Ilu cichociemnych, wartościowych ludzi, polskich patriotów ukrywało się w powojennym Wrocławiu, tego do końca nie wiedziano. Bezpieka wyłuskiwała tych najbardziej znanych, tych z chlubnym życiorysem, by splugawić, zniszczyć wszystko to, co kiedykolwiek było im drogie. Nowa władza wprowadzała nowy ład, który w swych założeniach, w całej swej istocie był antytezą ładu i praworządności.

Janek zaliczał po dwa semestry na półrocze, żeby jak najszybciej zdobyć dyplom inżyniera i pokazać go schorowanym rodzicom, żyjącym w warmińskiej wsi Czorty. Warkotów były tam cztery chałupy i mówiono, że nazwisko to jest tak stare, jak sama wieś, która została założona jeszcze za króla Władysława, tylko nie pamiętano którego. Oczywiście panowały tam zabobon i ciemnogród skupiające się we wciąż stojącym drewnianym kościółku, do którego tłumnie schodzili się mieszkańcy okolicznych wiosek. Janek miał nadzieję, że jego rodzice należeli do ostatniego pokolenia, jakie z uporem trwało przy tych przesądach.

Obok Warkota przemknął facet na rowerze – musi być, że urzędowa osoba. Rower wciąż był przedmiotem luksusu, choć coraz częściej widywało się nowe, lśniące pojazdy prosto z linii produkcyjnej. Żeby chłopak mógł zdobyć takie nowe cacko, musiał dostać talon. Jakże ułatwiłoby mu to życie – z domu do pracy, z domu na uczelnię – śmigałby tylko i tyle by go widzieli. Zabytek, który miał w domu, rozklekotany rower z lekko scentrowanymi kołami, wykluczał szybką jazdę.

Dyrektora drukarni wozili do pracy starą limuzyną, wiadomo – osoba na stanowisku.

Majster miał stary ponemiecki rower, choć w lepszym stanie niż bocykl Warkota. Janek, rozmyślając o różnych sposobach poruszania się po mieście, niemal wpadł pod tramwaj na rogu Rynku przy poczcie. Na szczęście ktoś go pociągnął za rękaw. Usłyszał tylko klnącego motorniczego szarpiącego gwałtownie za sznurek dzwonka.

– Człowieku, życie ci niemiłe? Patrz, gdzie leziesz! – powiedział nieznajomy.

Przed chłopakiem stał mężczyzna w średnim wieku. Pomimo upału miał na sobie wełniany, przedwojenny garnitur, białą koszulę i niedbale zawiązany krawat o fantazyjnym wzorze. Włosy starannie natarte brylantyną zaczesał na lewą stronę.

– Przepraszam, zamyśliłem się...

– No dobrze, już dobrze. – Mężczyzna spojrział na czapkę Warkota. – Student, co? Zakochany pewnie.

– Nie, to nie o to chodzi. Właśnie idę do pracy.

– Nie dość, że studiuje, to pracuje! To się chwali, to się chwali. Bez pracy nie ma kołaczy. No to kłaniam się młodzieńcowi i życzę rychłego weseliska.

– Mówiłem panu, że to nie...

Ale mężczyzna nie słuchał, oddalał się szybkim krokiem, idąc wzdłuż południowej pierzei ratusza nieopodal wejścia do Piwnicy Świdnickiej, w której dopiero zaczęto przyjmować towar.

– Dziwak – stwierdził Warkot i ruszył przed siebie.

Pomyślał, że wojna rozsiała po kraju wiele takich indywiduów, którzy nie byli w stanie dopasować się do nowej rzeczywistości. Nie sieje taki, nie orze, a plony zbiera. Niebieskie ptaki, fornale i powsinogi. Warkot dopiero teraz uświadomił sobie, że mężczyzna nosił na palcu złoty sygnet, co mogło oznaczać, że albo burżuj, albo spekulant. Bardzo szybko zapomniał jednak o tym dziwnym spotkaniu. Zaczynał się nowy dzień, a wraz nim nowe wyzwania w odbudowie ojczyzny.

Po sprawdzeniu dokumentów przez uzbrojonego wartownika i podbiciu karty Warkot wszedł do budynku i zaciągnął się zapachem farby drukarskiej. Janka fascynowały te wszystkie technologiczne cudeńka, stukot maszyn zecerskich i pachnące niczym paryskie perfumy ryzy świeżego papieru. Tak pachniało Nowe. Postępem, technologią i pracą. Już żaden obszarnik nie będzie poganiał robotnika podczas ciężkiej harówki, nie będzie trwonić za granicą fortun wypracowanych krwią i potem robociarza. Te czasy się skończyły.

Warkot zgłosił się jak zwykle do głównego technologa, Zenona Zagnębiaka, który ślęczał nad stertą papierów chaotycznie porzrzucanych na biurku. Zagnębiak, wpatrzony bez reszty w pisma urzędowe, mieszał herbatę, stukając głośno o szklanekę łyżeczką z gapą. Widocznie musiała się uchować po Niemcach uciekających z Breslau.

Główny technolog podniósł wzrok.

– A, jesteś. Co tam na uczelni? Zaliczyłeś?

– Na piątkę!

– Bardzo dobrze, baaardzo dobrze. Brawo. Nauka to potęgi klucz.

– Za chwilę sesja, jeszcze tylko ostatni semestr i dyplom.

– Pracę masz u nas zapewnioną. Niedawno nawet dyrektor cię chwalił, bo zdaje się, że coś tam pomogłeś majstrowi przy maszynie.

– Pas się zaciął i sami nie mogli. Nic wielkiego.

– No dobrze już, dobrze, bez fałszywej skromności. Zrobiłeś ten schemat?

– Tak, mam go tutaj, tylko nie wiem, czy dokładnie. Na stacji nie dorobiłem się jeszcze deski kreślarskiej i wszystko robię na stole. Ale przynajmniej nie ma ani kleksa.

– Dostaniesz deskę, dostaniesz. Mówiłem naczelnemu. Mają ściągnąć dla naszych z Warszawy. No i przyrządy kreślarskie. Teraz to najważniejsze, musimy odbudowywać kraj ze zgliszczy.

– Są nowe materiały?

– Tak, drukarze dwoją się, troją i będą musieli zostać po godzinach. Prikaz z samej góry.

– Co to za tekst?

– Jakaś książka czy podręcznik, nie pamiętam, ale za chwilę powinienem dostać pierwsze próbne wydruki dwóch rozdziałów. Do akceptacji.

Janka cieszyły nowe książki. Lud potrzebował literatury, studenci potrzebowali podręczników, ale przede wszystkim naród potrzebował właściwego ukierunkowania, w czym najbardziej pomocna była odpowiednia literatura. Nie ta burżuazyjna, dekadencja, wychwalająca wstecznych pięknoduchów, lecz nowa, robociarska, socjalistyczna, sławiąca trud ciężko pracujących robotników i chłopów.

– Widziałem sekretarkę, jak szła do pana, ale personalny ją zatrzymał – powiedział Warkot.

– Taka już, widzisz, pieska jego niebieska niewdzięczna rola. Musi mieć na wszystko oko. Jesteśmy zakładem szczególnej troski pod strażą, i w ogóle. Masz pojęcie, co by się działo, gdyby wróg przejął drukarnię?

– Nie pomyślałem o tym.

– No właśnie, Jasiu, nie pomyślałeś o tym, dlatego są tacy, co myślą za ciebie. Przyjdzie taki, buchnie puszkę farby, a potem na mieście, tak jak kiedyś pisali na murach, będzie: „Każdy osioł wie, że trzeba mówić NIE”. I kto za to beknie, jeśli nie złapią takiego sabotażysty? Po nitce do kłębka. Skąd farba? Skąd pędzel? Skąd to, skąd tamto? Muszą zachować czujność. Drukarnia to zakład strategicznej wagi.

Rozległo się ciche pukanie i w drzwiach ukazała się blond główka pani Krysi z sekretariatu, która niosła naręcze papierów.

– Już są, panie Zenonie. Pachną drukiem.

– Co pani taka czerwona, pani Krysiu? Stało się co?

– Personalny znów się czepia.

– Że niby co?

– Takie tam. Bo gdzieś zaginęło moje świadectwo pracy sprzed wojny z Hrubieszowa i teraz ktoś mu powiedział, że niby dla wyzyskiwaczy pracowałam. Ale to nie byli żadni wyzyskiwacze, jak Boga kocham. W tartaku robiłam jako sekretarka. Czasem właściciel coś podyktował, ale żeby kogo wyzyskiwał, to nie przypominam

sobie – rzuciła na jednym oddechu, nie wiedzieć czemu znów się rumieniąc.

– Niech się pani nie przejmuję, pani Krysiu, na pewno wszystko się wyjaśni. Jak nie teraz, to później. To dla mnie?

Sekretarka podeszła do biurka, rzucając przelotne spojrzenie na Warkotą, i zaczerwieniła się jeszcze mocniej. Położyła zadrukowane, niepocięte płachty papieru na jedynym wolnym skrawku blatu.

– No to ja już sobie pójdę, panie Zenonie. – Dygnęła niczym burżuazyjna pensjonarka i już jej nie było.

– Niezła sztuka, co?

Technolog mrugnął porozumiewawczo do Janka, nawiązując więź męskiego porozumienia, która nawet w tak wymagających, upolitycznionych czasach nie była niczym niestosownym. Wręcz przeciwnie. Popierano junacką, męską przyjaźń opartą na współzawodnictwie. Ogorzałe słońcem twarze chłopców i dziewcząt z zaczesanymi do tyłu blond włosami widniały wszędzie – na plakatach, na budowach i gmachach urzędowych. Stałowy wzrok, wbity mocno gdzieś w świetlaną przyszłość, której niestety na plakacie widać nie było, ufne spojrzenie młodych ludzi wolnych od przesądów – przystojne oblicze nowego człowieka. Kanon piękna zmieniał się na ich oczach i choć trudno uznać kształtną dziewczynę z młotem pneumatycznym w dłoniach za symbol zmysłowości, to powojenne pokolenie pełnymi garściami czerpało z nowo odzyskanej wolności. W końcu wiejski proboszcz nie mógł ich dostrzec z tak daleka i wykląć z ambony podczas niedzielnej mszy. Wyrwani spod rodzicielskiej kurateli obywatele nowego państwa cieszyli się swą młodością i urodą, nauką i pracą, wykuwając swój los.

Główny Technolog zagłębił się w lekturze. Po chwili na jego czole pojawiły się kropelki potu, a okulary w szylkretowej oprawie zaparowały tak, że musiał je ściągnąć. Końcówki ust drżały mu nerwowo, a on sam sięgnął odruchowo do serca, jakby silna, spracowana dłoń była w stanie zatrzymać je, nie dopuścić, by wyskoczyło z piersi.

– Błędy są? – zapytał odruchowo Warkot.

W końcu główny technolog odpowiadał za jakość składu i druku. A sprawdzone przez niego materiały dopiero później trafiały do odpowiednich organów weryfikujących zgodność nadesłanego oryginału z wydrukowanym tekstem.

– Jasiu, podaj mi szklanekę wody, bardzo cię proszę.

– Już, panie Zenonie. Co się stało? – Warkot skierował się do umywalki schowanej w drugim końcu pokoju za przepierzeniem z dykty.

– Słuchaj, nie wiem, może to z gorąca. Ale zaraz mi przejdzie. Zaraz wszystko będzie dobrze. Dziękuję, dobry z ciebie chłopak. Słuchaj, ponieważ już praktycznie jesteś u nas zatrudniony, chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił. Masz. Czytaj na głos. Może to tylko mnie się coś z nerwów pokręciło. Czytaj, proszę, czytaj...

Warkot wziął z drżącej dłoni technologa zadrukowaną kartę, podniósł ją do oczu i zaczął czytać.

W małej gruzińskiej wiosce, na obrzeżach majestatycznego Kaukazu, mieszkał sobie kiedyś pewien chłopiec. Jego matka owdowiała bardzo wcześnie i teraz musiała ciężko pracować u obszarnika na utrzymanie, biorąc do domu ubrania sąsiadów, które prała i cerowała, by zarobić na chleb.

Chłopiec dorastał szybko i był niezwykle bystry. Dobrze się uczył, ale jego koledzy często przezywali go i wytykali palcami z powodu jego ubóstwa, dlatego też musiał się nauczyć bić i w końcu zaczął pokonywać nawet największych wyrostków w szkole, którzy od tej pory dali mu spokój.

MÓWIĄC KRÓTKO, WYRSTAŁ NA STRASZNEGO SKURWYSYNA...

Warkotowi kartka prawie wypadła z ręki. Przebiegł wzrokiem po literach jeszcze raz. I jeszcze raz. Przetarł oczy i ponownie przeczytał ostatnie zdanie.

Mówiąc krótko, wyrastał na dzielnego młodzieńca.

– To. to prowokacja! – krzyknął Janek. – Wróg dostał się do drukarni! Trzeba zawiadomić władze.

– Czytaj dalej – rzucił słabnącym głosem Zagnębiak.

Warkot kontynuował.

W nauce bardzo się podciągnął i czytał teraz wszystko, co mu wpadło w ręce. Chciał poznać jak najwięcej drogocennej wiedzy, żeby, kiedy dorośnie, jego matka nie musiała już cerować bielizny obcych. Po jakimś czasie zaczął po koleżeńsku pomagać słabszym w nauce kolegom...

AKURAT, TUMAN SKOŃCZONY. GDYBY NIE ONI, SIEDZIAŁBY DO TEJ PORY W TEJ SAMEJ KLASIE...

– Nie, ja nie mogę dalej. To sabotaż. Ktoś musi za to odpowiedzieć. – Warkot ponownie zerknął na kartkę.

Akurat wtedy, kiedy tego najbardziej potrzebowali, bo byli zagrożeni i groziło im powtórzenie tej samej klasy.

– Sam widzisz – powiedział Zagnębiak. – Ktoś tu mocno namącił. To z całą pewnością zachodni sabotażysta, który wykorzystał tolerancję i łagodność władzy

ludowej. Trzeba będzie zebrać wszystkich zecerów, wyjaśnić całą tę aferę. To mnie przerasta, nie jestem władny, by podjąć odpowiednie kroki. Trzeba zadzwonić na Podwale. Już oni tam szybko dojdą prawdy.

– Ja nie mogę tego pojąć. Jak coś takiego mogło się stać? Na co liczył wróg? Przecież wiadomo, że to się wyda.

– Może i tak, ale jakby książka trafiła do księgarń, to wiesz, ilu ludzi zdążyłoby to przeczytać? Wiesz, ilu jest takich, co wciąż są niechętni naszej ludowej ojczyźnie, takich, którzy chcieliby powrotu sanacyjnej sytuacji wraz z ich pomagierami na pasku Trumana? Mnóstwo. Papier jednak jest cierpliwy i zniesie wszystko, choć to nam historia przyznała rację. Tam u siebie, w tych Londynach i Waszyngtonach, mogą sobie wypisywać, co im ślina na język przyniesie, ale żeby tu, u nas...

– Tylko jak to możliwe, że jedno zdanie znika, a w jego miejsce pojawia się drugie?

– To z całą pewnością nowa imperialistyczna sztuczka. Chodzi może o kąś, pod którym się patrzy. Tak myślę. Zasady optyki są niepodważalne. To nauka ścisła. Chcieli nas zmylić, szubrawcy. Ale my im pokażemy! Jasiu, pędź na dół, niech wszyscy wstrzymają pracę. I każ majstrowi dostarczyć mi listę zecerów i drukarzy, którzy wypuścili to świństwo. A ja tu zadzwonię, gdzie trzeba. Tylko ani pary z gęby personalnemu, bo ta świnią znów zacznie ryc, gdzie nie powinna.

Rozdygotany Jan Warkot, wstrząśnięty do głębi podstępnością i przewrotnością wroga, wypadł z gabinetu głównego technologa i pobiegł do drukarni.

Na dole o tej porze pracowała garstka ludzi. W drugiej sali przygotowywano się do popołudniowego wydania gazety, a w pomieszczeniu głównym czterech robotników uwijało się przy maszynie offsetowej pod kuratelą majstra Zdzisława Kapusty, przedwojennego mistrza drukarskiego, który podczas wojny wyrabiał szuwaks w Kazimierzu nad Wisłą.

– Co jest, Jasiu? Czemuś taki zgrzany? Pali się co?

– Panie Zdzisławie, mamy sabotażystę w zakładzie!

– Jasiu, coś się z choinki urwał? Jeszcze nie Boże Narodzenie. Jakiego sabotażystę?

– Panie majster, poważnie mówię. Z panem Zenonem wykryliśmy imperialistyczny spisek!

– Zaraz, spokojnie. Co wam na studiach do łbów kładą? Nie powinieneś na jakiś czas odstawić tych masówek? Taki młody, a już taki zatwardziały.

– Proszę nie żartować, sprawa jest poważna. Technolog kazał wstrzymać pracę i powiedzieć, żeby pan przygotował listę tych, co pracowali przy ostatniej książce.

– Technolog to mi może. Ale po co mu to? Książkę będzie pisał? O trudzie i znoju spracowanego zecera? Już widzę te tłumy w księgarni na Rynku. Na kiego wała mu ta lista? Chce wygryźć personalnego?

– Przekazuję tylko, a pan Zenon właśnie dzwoni na Podwale.

– He, he, numer to pewnie na pamięć zna. Na Podwale mówisz, hmm? – Zmartwił się Kapusta. – Sprawa jest poważna. Ale powiedz, o co tak w ogóle się rozchodzi? Schrzaniliśmy coś w druku?

– Panie Zdzisławie, sam to pan musi zobaczyć. To jest w tej książce dla młodzieży. Same bezceństwa i kłamstwa.

– No tak, ale po tobie się nie spodziewałem takiej cenzurki tej wielkiej radzieckiej literatury. Na Podwale powiadasz? – Upewnił się.

– Zgadza się.

Na ulicy Podwale w starym gmachu niemieckiej policji kryminalnej, przypominającym zamek hrabiego Drakuli przy staromiejskiej fosie, miał swoją siedzibę cieszący się zdecydowanie złą sławą Dolnośląski Urząd Bezpieczeństwa Publicznego.

– Psiakrwia! Że też takich ziemia nosi! Nie może się zająć naprawą podajnika farby, to konika se znalazł, łajdak jeden! – Majster próbował wybuchem gniewu zamaskować narastający niepokój, bo na hasło „Podwale” pękały największe chojraki.

– Ja tam nie wiem, panie Zdzisławie, ale sam na własne oczy widziałem. Ohydztwa takie o naszym ojcu i nauczycielu.

– Aleśmy to, Jasiu, różnych tatusiów mieli. Ja sobie bynajmniej nie przypominam. A mojego belfra ze szkoły to rozstrzelali jeszcze we wrześniu.

– Panie Zdzisławie, niech pan da spokój. Wie pan, o kim mówię.

– A wiem, wiem, ale mi ta wiedza do szczęścia niepotrzebna. Listę, powiadasz. Mam za kapustę robić?

Majster opamiętał się, kiedy padło to słowo zupełnie przypadkiem zbieżne z jego szlachetnym, staropolskim nazwiskiem.

– Niech to. – Zmilczał przekleństwo. – Tfu, od tego wszystkiego to się człowiekowi we łbie kołuje. Raz drukuj, raz nie drukuj. Jak trwoga, to do Boga. Panie Zdzisiu, to, panie Zdzisiu, tamto, a teraz listę, dobre sobie! Franek, pędź do kantorka, przynieś mi mój kajet.

– Się robi, panie majster – rzucił w biegu też już mocno wystraszony pomocnik.

– Słuchaj, Jasiu. Wszystko się wyjaśni. Po co te brewerie? Idę zaraz do Zagnębiaka, bo przecież szlag mnie trafi...

– Nikt nigdzie nie idzie – odezwał się nowy głos.

Zapadła cisza. W drzwiach stało trzech smutnych o wyglądzie gangsterów z amerykańskich filmów, w prochowcach i kapeluszach z szerokim rondem. Najstarszy z nich trzymał w dłoni teczkę, którą machnął w powietrze.

– Nazwisko – rzucił do oniemiałego Warkota, bo stał najbliżej.

– Warkot Jan, syn Genowefy i Stanisława, urodzony 13 czerwca 1930 roku we wsi Czorty, powiat Łąkowa – wyrecytował jak z nut.

– Student?

– Student Politechniki, zatrudniony na praktyce w Zakładach Drukarskich.

– Student może iść, reszta podać personalia.

Warkot spojrzał niepewnie na majstra Zdzisława, który skinął tylko głową.

– Idź, Jasiu, idź już.

Chłopak wyszedł z drukarni i powlókł się na górę do części biurowej, gdzie już od

parteru słyszał narastający szum i rwetes dobiegający z gabinetu dyrektora. Papier może i był cierpliwy, ale bywało też tak, że obcowanie z nim robiło się zdecydowanie niezdrowe.



Niepozorny pan, który średnią wieku miał już za sobą, z zadowoleniem przejechał dłonią po włosach. Śmiejąc się w duchu, wyobrażał sobie, co mogło się teraz dziać w drukarni. Świadomie sięgał po tanie sztuczki, bo młode pokolenie podnoszące się z ruin kraju było zatwardziałe w swojej ignorancji i przeświadczeniu o własnych racjach. Gdyby teraz poszedł do Warkota i wyłożył mu wszystko na stół, ten wyśmiałby go i pewnie zadzwoniłby po milicję.

Trudno, musiał się uciekać do jarmarcznych sztuczek, ale dzięki temu młodzieniec może przejrzy na oczy. Nie było innego wyjścia.



NIE ŚLĄSK BISKUPÓW BYŁ...

Kolejna tego dnia samokrytyka, kolegi studenta z Wydziału Prawa, przebiegła tak, jak nakazywał niepisany rytuał. Stanisław Szybkowarny, zwany przez kolegów Prodiżem, napiętnował swoją drobnomieszczańską postawę, wskazał współwinnych i solennie obiecał poprawę. Komitet okazał mu wyrozumiałość, bo było to jego pierwsze przewinienie – paradował po uczelni w amerykańskiej kurtce wojskowej z UNRR-y i miał jeszcze czelność przypiąć do niej znaczek ZMP.

Dwie setki rozentuzjzmowanych studentów głośno komentowały jego nieodpowiedzialną postawę jako obywatela socjalistycznej ojczyzny, która dała mu wszystko, a on na to napluł. W auli Wydziału Filologicznego zebrali się chyba wszyscy. Byli tu reprezentanci grona wykładowców, przedstawiciele organizacji młodzieżowych oraz administracji uczelni. Za stołem prezydialnym, pokrytym czerwonym suknem, siedziały cztery osoby.

Z obrazów wysoko zawieszonych na ścianie obserwowały aulę dwie pary oczu. Ojciec i Nauczyciel wszystkich internacjonalistów, Generalissimus Józef Wissarionowicz Stalin, pogromca faszystowskiego gada w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej patrzył srogo, po ojcowsku. Jego Wielki Sojusznik i Uczeń, Prezydent Bolesław Bierut, spoglądał bardziej wyrozumiale, jakby serce bolało go z powodu odstępstw niektórych młodzieńców, ale pamiętał, że sam był przecież kiedyś młody, i wiedział, że w młodości człowieka mają się różne głupstwa. Należy zrozumieć, wybaczyć, wskazać właściwą drogę. Podać pomocną dłoń.

Czwórka kolegów studentów z prezydium – Stanisław Kogut, Marlena Kuchta, Walenty Zakońpolski i Ludwika Sztall – reprezentowała szeroki przekrój społeczny Uniwersytetu Wrocławskiego. Z lewej strony siedział rozparty Stanisław Kogut, student czwartego roku Wydziału Geografii. Młodzieniec lat około dwudziestu pięciu, szczupłej budowy ciała, o pociągłej, niemal ascetycznej twarzy. Jego przerzedzone blond włosy były w takim samym stanie jak jego wymięta zgniłozielona koszula i poplamiony czerwony krawat. Kolega Kogut spoglądał na młodsze roczniki z wyższością, bo – jako jeden z nielicznych – posiadał ZWM-owską przeszłość w konspiracji i teraz tylko patrzeć, kiedy zostanie przyjęty do grona kandydatów do Partii. Studia szły mu jak po grudzie, choć przecież znalezienie Afryki na mapie to nie znowu taka wielka sztuka.

Imię Marleny Kuchty bynajmniej nie pochodziło od piosenkarki Dietrich, której szlagier *Lili Marlene* wciąż nucili spragnieni rozrywki melomani. Rodzice, pochodzący z klasy robotniczej z dziada pradziada, nadali jej to imię ku czci Marksa i Lenina – stąd Mar-Lena. Koleżanka Kuchta, wzrostem dorównująca nadwiślańskiemu tatarakowi, była pulchną blondynką o dużych, zdziwionych oczach dziecka. Studiowała

filologię polską i wzięła sobie za ambit, by usystematyzować wszystkie utwory w literaturze polskiej zawierające zdrowy pierwiastek ludowy. Chciała zebrać je w antologię, tak jak zrobił to z pieśniami Kolberg, i udowodnić, że Polacy tylko ciągiem paśli te kozy i owce, śpiewali ludowe pieśni, pletli wianki, puszczały je na wodę i ani im w głowie były bijatyki. Do wszystkiego, co złe, namawiały chłopów podstępne szlacheckie warchoły. Czekał tylko taki jeden z drugim, by dziewczkę zepsuć, okowity się ożłopać czy krzyknąć „Liberum veto” na sejmiku. Chłopi od czasu do czasu musieli więc takim wicherzycielom dać odpór i krwi upuścić. Kuchta chciała nawet założyć Towarzystwo imienia Jakuba Szeli, ale ktoś jej wytłumaczył, że byłoby to nie po linii.

Z kolei problematyczne, arystokratyczne nazwisko Walentego (zwanego wśród kolegów Walusiem) Zakońpolskiego zaczerpnął jego ojciec w nieco zmienionej formie od miejscowego dziedzica, bo sam nazywał się Chędożyk. Na temat ulubionego zajęcia rodziny Chędożyków, od którego wzięło się ich nazwisko, historia milczała jak zaklęta, bo też nie wypadało paplać o takich świństwach przy nieletnich.

Ostatnią osobą siedzącą za czerwonym suknem była Ludwika Sztall, dla garstki przyjaciół Wika, studentka historii sztuki o niewymuszonej urodzie i lichej posturze. Ludwika lubiła się otaczać artystami nowej ery, gdyż w jej mniemaniu ona również na zasadzie osmozy stawała się artystką. Sam fakt, że ocieranie się o wyżej wymienione kręgi mogło być przyczyną wielu groźnych chorób skóry, niezbyt ją zrażał. Lubiała wesołą kompanię dziarskich junaków, choć ona sama była dla nich dość szkaradna. Woleli wesołe dziewczyny ze szwalni, zupełnie jak studenci wyjęci żywcem z ksiązek okresu pozytywizmu.

– Może teraz kolega Kogut zabierze głos? – zaproponowała Marlena Kuchta, obciążając twarzową, piaskową bluzę.

– Znowu ja? – Młodzieżowy kombatant skrzywił się jak drugoroczny sztubak wywołany do tablicy przez belfra. – Dobrze. – Kogut powstał. – Koleżanki, koledzy, profesorowie! Byliśmy tutaj świadkami wiekopomnego wydarzenia. Oto zatwardziali drobnomieszczanie, dzieci kułaków i innego aforamentu niebieskich ptaków, złożyli samokrytyki. Szanowni koledzy i koleżanki, to pierwszy krok we właściwą stronę. Nie może być absolwentem socjalistycznej uczelni element wicherzycielski, kułacki czy burżuazyjny. Musimy się wykazać nadzwyczajną czujnością w tym względzie. Bo jeśli nie my, to kto wskaże naszym kolegom właściwy kierunek, właściwą drogę w życiu? Wiemy, na lep jakiej propagandy idą niektórzy młodzi ludzie, wiemy, jakie siły za tym stoją...

– Czyżby? – rzucił pod nosem pewien siedzący w trzecim rzędzie jegomość.

Sądząc z wyglądu, mężczyzna ten równie dobrze mógł być przedstawicielem administracji uczelnianej albo jednym z wykładowców. Jednak nikt go nie znał i jego pełne powątpiewania pytanie retoryczne pozostało bez echa, tym bardziej że słyszały je tylko osoby siedzące najbliżej niego. Chociaż w ich uszach słowo to rozbrzmiało niczym wystrzał.

– . wiemy, że imperialistyczne pachołki tylko czekają, by położyć łapę na naszych Ziemiach Odzyskanych, na Odrze i Nysie Łużyckiej, gdzie już pierwszy Piast osiadł i budował zręby naszej państwowości. Tak jak wtedy, kiedy Brandenburgowie wyciągali pazury po piastowskie sioła i grody, ale SZCZERZE MÓWIĄC, MAM PIASTÓW GŁĘBOKO W DUPIE. – Kogut zająknął się i zamilkł.

Na sali zaległa cisza tak gęsta, że wydawało się, iż zaraz spadnie z hukiem na drewniany parkiet. Przerazone spojrzenia, wstrzymane oddechy, przyspieszone bicie serc, szepty wędrujące po sali: „Może ktoś poda koledze szklanę wody? Może myśmy się w ogóle przesłyszeli?”.

– Ale szczerze mówiąc, Piastowie najbitniejsi byli w grupie. – Po sali rozeszła się korekta kolegi Koguta i nagle zebrani odetchnęli.

Czyli jednak wszystkim się przesłyszało. Ulga. Jaka ulga. Pozostali członkowie prezydium łypali na siebie jednak podejrzliwie pytającym wzrokiem: „Zapił czy co?”.

– . bo socjalizm jest jak matka, a komunizm jak ojciec – kontynuował Kogut. – Ojciec rękę ma ciężką, srogi jest, ale sprawiedliwy. Raz się pomylisz, trudno, drugi raz, wybaczy, ale za trzecim razem mówi: „Ja już syna nie mam”. Matka jest bardziej wyrozumiała, jak to kobieta. Człowiek jest słaby, popełnia błędy, matka przytuli, wybaczy, pogładzi, choć kopyścią powinna przylać i nauczyć smarkacza rozumu. Dlatego też, idąc za przykładem Wielkiego Wodza Narodu Radzieckiego, Generalissimusa Józefa Wissarionowicza Stalina, mówię: WAŁA NA TO WSZYSTKO KŁADĘ JAK WÓR GRULI!

Ostatnie słowa zabrzmiały niczym triumfalna salwa z dwudziestu czterech dział na placu Czerwonym w rocznicę Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Ascetyczna twarz Koguta zaczęła przypominać męczennika przegranej sprawy. Oczy zrobiły się okrągłe jak piłki i zapadły się głęboko w czaszkę. Usta spopielały i zaczęły drżeć. Kogut rozluźnił krawat i potarł niskie czoło wierzchem dłoni, jakby chciał zniwelować obecnie bardzo widoczne wały nadoczodołowe.

W auli rozpętało się piekło. Wszyscy przekrzykiwali się, wołając coś bez ładu i składu, a kilku bardziej krewkich kolegów chciało od razu spuścić łomot Kogutowi, ale ten przedstawiał sobą tak żalony widok, że wena ich opuściła. Paru wykładowców ostentacyjnie opuściło salę, złośliwie się uśmiechając. Nieznajomy w trzecim rzędzie spokojnie wyjął zegarek z dewizką z kieszonki kamizelki, otworzył go, zerknął na cyferblat, wstał i swobodnym, lekkim krokiem opuścił świątynię nauki.

Nad całą sytuacją próbowała zapanować koleżanka Sztall, intonując proletariacką pieśń zaczynającą się od słów: „Od Odry wara, od Nysy wara”, z refrenem „Nie papież nam Wybrzeże dał, nie Śląsk biskupów był”, ale jej głos utonął w powszechnej wrzawie. Wokalne zapędy Ludwiki wsparła koleżanka Kuchta, lecz ona też nie poradziła sobie z decybelami dobywającymi się z setki młodzieńczych gardzieli.

Obecny na sali Jan Warkot przecierał oczy ze zdumienia. Wydelegowali go tu z uczelni jako prymusa i osobę o dużym autorytecie. Owszem, zdarzało mu się spotkać osoby o małej wyobraźni, które w towarzystwie nie kryły nieprawomyślnych

poglądów. Tacy najczęściej znikali w niewyjaśnionych okolicznościach. A na co ma liczyć ten student, który głosił je prosto z mównicy?

Sytuację uratowało dwóch smutnych, którzy bezceremonialnie przepchnęli się przez tłum, zgarnęli kolegę Koguta z za stołu prezydialnego i popychając lekko przed sobą, wyprowadzili z sali.

Zapadła głucha cisza, którą przerwał Waluś, rycząc gromkim głosem:

– Kogut zdradził! Tak właśnie podstępnie działa wróg. Wkrada się między nas i knuje, a kiedy nadejdzie sposobna chwila, wypala z grubej rury! Chcę, aby wszyscy koledzy i koleżanki przemyśleli sobie to, co się tu dzisiaj stało. Omówimy to na najbliższym zebraniu ZMP w środę. Przypominam też kolegom i koleżankom, że w związku ze zbliżającą się sesją dyżur pełnią koledzy z filozofii i historii. My reakcyjnym podżegaczom wojennym mówimy nasze stanowcze nie!



Nieświadomy niczego Wrocław najspokojniej w świecie szykował się do letnich wakacji, czasu kanikuły i odpoczynku. Lato zapowiadało się wyjątkowo upalnie i zarówno na odległych gliniankach, jak i nad Odrą czy na basenie olimpijskim już dawno pojawili się pierwsi amatorzy wodnych zabaw.

Wrocławskie akweny zostały już z grubsza rozminowane, choć od czasu do czasu pojawił się jeszcze jakiś karabin czy granat – pozostałość po Werwolfie i obrońcach Festung Breslau. Drewniane tramwaje ze zgrzytem stalowych kół rozwoziły po szynach ludzi do pracy i do domu, dzwoniąc beztrzesko dzwoneczkami jakby na przekór ponurym czasom.

Sępolno, Zalesie i Krzyki wciąż pozostawały oddzielone zwałami gruzów, między którymi pracownicy wrocławianie wyłobili głębokie kaniony, żeby łatwiej było przejść. Na Nowym Targu handlowało się czym popadło – od zapluskwionych foteli do posrebrzanych kandelabrow, które wcześniej stały w przydrożnych kościółkach. Tylko Neptun z fontanny na Nowym Targu zniknął – najwyraźniej smutni zabrali go na Podwale.

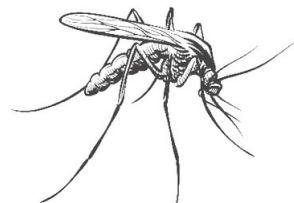
Słyszało się na targowiskach to i owo, ale wrocławianie woleli nie rozmawiać o sprawach ostatecznych, bo wiadomo – licho nie śpi! Mówiło się jednak szeptem – w gronie znajomych, ale tylko takich, którzy też coś mieli za uszami, bo tacy nie zameldują – o czarnej pobiedzie model M20, która ponoć krążyła po mieście i zgarbiała niczego niepodważających obywateli. Na mieszkańców padł blady strach. Wielu wrocławianom wydawało się, że widzieli takie auto pędzące po uśpionych ulicach z czarnymi szybami jak w karawanie. Albo przynajmniej znali kogoś, kto je widział. Przesądne baby bayały, że za kierownicą siedział no taki brunet, jakby z wąsikami i ślepiami niczym węgielki, ale wiadomo, jak sobie co baba ubrda. Gusta,

psia mać!

Na targowisku tętniło życie. Handlujący przekomarzali się, żartowali, choć często chwilę trwało, zanim opowiadający doczekał się wybuchu śmiechu u adresata, bo ten po prostu musiał go zrozumieć.

- Szoł Niemiec ponad wasser taj wpał w wodu, wyszoł ganz mokryj.
- A po wiele te pyzy?
- A może tak ci zgotować kuleszki?
- A idze, idze...
- Portcygar tanio oddam w dobre ręce!

Miasto stawało się coraz bardziej swojskie, wszędzie dało się słyszeć lwowski zaśpiew; pod względem mieszających się tu kultur i dialektów Wrocław był miejscem, które wywołałoby zażenowanie u budowniczych wieży Babel. Tu wciąż w ruinach domów Kain zabijał Abla, żona Lota obracała się w słup soli, widząc bezceństwa sąsiadów, Noe klecił coś tam w szopie na Praczach Odrzańskich, a Maria Magdalena z zapamiętaniem godnym lepszej sprawy uprawiała najstarszy zawód świata. Owoce z drzewa wiadomości dobrego i złego były po trzydzieści złotych, a te przejrzałe, na kompot, po piętnaście. Niewierny Tomasz w gronie kolegów odwiedzał budynek komitetu, szerokim łukiem omijając liczne gotyckie świątynie, namiestnika nowego Rzymu wciąż dręczyły migreny, a Judasz w domowym zaciszu liczył ciężko zarobione srebrniki. Wrocławskie forsycje cudem przeżyły próbę obrony najwspanialszej kultury europejskiej przed słowiańską dziczą i uginały ciężkie od kwiatów gałęzie, a kasztany tego roku zakwitły jak nigdy. Wszędzie pachniało bzem.



OGÓREK MAŁOSOLNY...

Stalówka, często maczana w buteleczce z fioletowym atramentem, skrzypiała głośno przyciskana do papieru. Pułkownik Stanisław Podatny, szef jednego z wydziałów wrocławskiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, zmagając się z zawilościami ortografii i kaligrafii, sporządzał raporty dla przełożonych. Koślawe litery prostowały się i wygładzały z każdym kolejnym pismem, gdy ich twórca nabierał wprawy, walcząc na własnym odcinku z ciemnogrodem oraz sanacyjną reakcją.

Podatny pochodził z wielodzietnej rodziny chłopskiej, która przed wojną cierpiała wiele upokorzeń i niedoli na Warmii. Dziedzic został pognany, ziemię rozparcelowano w ramach reformy rolnej i rozdano chłopom. Co prawda w 1950 roku utworzono Państwową Spółdzielnię Produkcyjną, zmuszając świeżo upieczonych właścicieli do zapisania się w jej szeregi. Nie komentowano głośno faktu, że jeden dziedzic został zastąpiony socjalistycznym feudałem, któremu na skutek rozdziału władzy i odpowiedzialności nawet nie można było dać w mordę czy przyłożyć kłonicą podczas rabacji.

Tymczasem Podatny, przeszedłszy szlak od Lenino do Berlina, zyskał nowy, niespotykany dotąd w rodzinie status społeczny – awansował na oficera na wysokim stanowisku. Partia rzuciła go do Wrocławia, gdzie się zadomowił i obrastał w piórka. Właściwie wszystko szło ku lepszemu – miał teraz wygodne lokum w centrum miasta, pieniędzy tyle, że nie był ich w stanie roztrwonić, oraz służbową pobiedę z kierowcą. A do tego upajającą, wręcz oszałamiającą władzę. Za każdym razem, gdy pojawił się w miejscu publicznym, spuszczano ze strachem wzrok do ziemi, ludzie zaczynali się jąkać, cichły radosne rozmowy. Podatny miał wrażenie, że nawet ptaki w staromiejskim parku milkną, gdy przechadza się alejkami dla ukojenia myśli.

A miał ostatnio nad czym się zastanawiać. Jego radziecki przełożony, sojusznik i przyjaciel, generał Grisza Kolew, zachowywał się czasami dość dziwnie. Po wypiciu beczki wódki przy kombatanckich rozmowach po świt w słowa Kolewa zaczął się wkradać całkiem nowy ton. Nie, nie chodziło o żadne tam wsteczne odchylenia. Choć każdy jest tylko człowiekiem i ma swoje zdanie, Kolew był zazartym zwolennikiem władzy chłopca i robotnika. W jego zachowaniu jednak, szczególnie po suto zakrapianych bankietach, pojawiała się coś, czego Podatny nie rozumiał.

Kolew stawał się szczególnie zajadły, tyle że nie jak zwykły pijak, który po wódce robił się wrywny i skory do bitki. Oczy zwiężały mu się do szparek, w kącikach ust pojawiała się piana, rysy się wyostrzały. Poza tym wódka najwyraźniej nie robiła na Kolewie większego wrażenia, bo mógł ją żłopać wiadrami – wiadomo, krasnoarmiejec.

– A wiesz ty, Stanisław, że my obserwujemy cię? Władza musi czuwać. Wiemy wszystko o tobie, a jednak nie ma pewności, czyś ty nasz, czy nie. Jeśli dobrze się

spieszysz, to przygarniemy cię, przytulimy do szerokiej robotniczej piersi i będziesz miał jak u mamy.

– Ależ Grigoriju Iwanowiczu, ja nigdy. ja zawsze dla Partii, wiecie przecież.

– Stanisław, Stanisław, *ty nie bezpakojsja. My wsio widim i wsio znajem.* No i mów mi Grisza, tyle razy cię prosiłem. *Gwardijski tost praizniesli, ty dla mnie kak brat.*

– Nie śmiałbym, wiecie...

– *A skora* będziesz więcej jak brat.

Nie wiedzieć czemu na te słowa Stanisław Podatny zeszywniał i poczuł zimne ciarki na plecach. Nie dlatego, że mówił to generał bezpieczeństwa, ale z jakiegoś innego, dziwnie niewytłumaczalnego powodu.

Skrzypiąca stalówka zawisła nad kartką i spadł z niej niewielki kleks, na zawsze pokrywając widniejące na papierze słowo.

„Tak może być i ze mną – pomyślał Podatny. – Ślad po mnie zaginie i nawet nikt nie będzie wiedział, że żyłem. Muszę bardzo uważać. Łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Dlatego trzeba być twardym, nie ulegać wrogom ludu. Ręka ma być pewna, ciężka i bezlitosna dla tych, którym się zamarzył Anders na białym koniu”.

Po kilku zdaniach miał już gotowy raport. Grisza będzie zadowolony. Pochwali, po plecach poklepie, znów wypiją. Ależ trzeba było mieć zdrowie do tych odpraw służbowych. Na kwaterze zawsze trzymał w pogotowiu słoje kiszonych ogórków i dzbanek soku z kiszonej kapusty. Bez tego trudno byłoby wytrzymać te odprawy. Do tego Podatny nie był już młodzieniaszkiem. Kiedyś to ho, ho, ho...

Grisza, jak pieśczośliwie myślał o generale Stanisław, dziwnie jednak unikał kiszonek, zakąszając jedynie chlebem i słoniną. Mało tego. Raz, nie znając jeszcze kulinarnych zwyczajów przełożonego, pułkownik postawił talerz małosolnych ogórków na stole i ze zdziwieniem spostrzegł, jak oczy dostojnego gościa otwierają się szeroko, zobaczył w nich jakby strach. Rosjanin odskoczył niczym oparzony, przewrócił krzesło i cofnął się aż do drzwi.

– Co to wam, Grigoriju Iwanowiczu? Chorzyście?

– Nie, to jest. Ząb mnie zabołał. To nic, to nic, Stanisław. Zaraz przejdzie.

– Może wody?

– *A co to my, łoszadzie, żeby wodę pić? Nalej mi, Stanisław, stakan wódki, to mi od razu będzie lepiej.*

Po tym incydencie Podatny stawiał ogórki z dala od Griszy, instynktownie wyczuwając, że sam ich widok przyprawia gościa o mdłości. Dziwne, ale cóż, co kraj, to obyczaj. Gość w dom, Bóg w. Cholera, zagalopował się trochę.

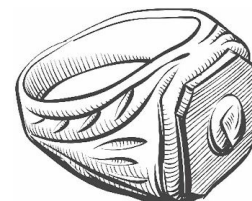
Podatny przyłożył suszkę do kleksa, odczekał chwilę i patrzył, jak papier chciwie wypija fioletową ciecz. Pozostała na dokumencie duża plama o poszarpanych brzegach. Znów się zamyślił. Zmarszczył brwi niby dobry gospodarz patrzący na chorą na wzdęcie jałówkę.

Miał przed sobą listę zatrzymanych ostatnio osób. Do wyjaśnienia, oczywiście. Już tam nasze orły oddzielały zdrowe ziarno od trumanowskich plew. Sabotaż. No tak, na

szkoleniach mówiono i o tym. Że wkradają się, podkopują i w zaciszu domowym liczą judaszowe srebrniki od Amerykanów.

Sam Podatny zgromadził trochę trofejnych błyskotek zebranych na bojowym szlaku. Na czarną godzinę. Jakieś papierośnice, staromodne zegarki na łańcuszkach oraz kilka sygnetów z herbami wyzyskiwaczy. To też była kontrabanda, bo sprzątnął te przedmioty sprzed nosa chciwych trofiejszczyków. A każdy z nich miał po trzy zegarki na łąpie, swołocz. Były to jednak także pamiątki Podatnego ze szlaku frontowego i nie zamierzał się z nimi rozstawać za żadną cenę. Nawet wbrew wyraźnym rozkazom nakazującym zdanie złota i waluty.

Potał dłonią czoło. Jak nazywał się ten drukarz? Kapusta? Dobrze, chłopskie nazwisko, ale wyszedł z niego imperialistyczny gad.



ROZDZIAŁ CZWARTY

GŁODNY LAS...

Już dawno minęła północ, a w mieście na Ziemiach Odzyskanych wciąż było słychać echa odgłosów poprzedniego dnia. Za parę godzin pierwsza zmiana ruszy do pracy w fabrykach. Zaspany sznur przygarbionych postaci w robociarskich ciuchach zacznie przemykać w milczeniu wzdłuż ceglanych murów, by zdążyć przed szóstą na pierwszą zmianę.

Cały obszar południowo-zachodniego Wrocławia był niczym jeden wielki ul, w którym huczały młoty, sypały się iskry i gdzie wykuwano lepszą przyszłość narodu. Dosłownie i w przenośni. Wielkie portrety przodowników pracy przywitają swym świetlistym, natchnionym spojrzeniem tych, którzy zjawiali się tu tylko po to, by mieć co do garnka włożyć, i mieli gdzieś wszelkie ideologie. Na razie jednak spali snem sprawiedliwych w za ciasnych mieszkaniach, śniąc o nowych rowerach, wczasach pracowniczych i o zwiększeniu metrażu.

W głębi jednej z uliczek miasta na Nabrzeżu Pasteura, nieopodal mostu Zwierzynieckiego, zaparkowała czarna pobieda. Czarna karoseria lśniła w świetle latarni, a chromowane osłony lamp i klamki błyszcząły niczym prawdziwe srebro. W środku widać było żarzącą się końcówkę papierosa, choć twarz palacza pozostawała niewidoczna. Kierowca obserwował odległą o kilkadziesiąt metrów ulicę Skłodowskiej-Curie prowadzącą przez most do zoologu.

Spóźnione postacie przemykały w jedną i drugą stronę, jedne chyłkiem, inne lekko się zataczając. Samochód zaparkowany na ulicy nie wróżył nic dobrego, więc wszyscy pospiesznie odwracali głowy i przechodzili na drugą stronę. Jednak ich wydłużone cienie przesuwają się po czarnym aucie, jakby przechodnie chcieli choćby mimochodem otrzeć się o ten cud techniki.

Po lewej stronie szumiała woda w jednym z kanałów Odry. Na drugim brzegu rozciągał się park Szczytnicki, napierając na spłoszony, srebrzysty nurt masywną, złowróżbną ciemnością sosen, świerków i cisów. Park bardziej przypominał las. Gęsto zasadzone drzewa, niektóre liczące nawet dwieście lat, strzegły zazdrośnie niejednej powierzonej im tajemnicy. Wśród tej gęstwiny panowała cisza, jakby ptactwo zamilkło ze strachu przed zdekonspirowaniem.

Park zdawał się wpatrywać swymi zielonymi ślepiami w samochód zaparkowany po drugiej stronie rzeki.

W starej kamienicy z misternymi wieżyczkami i wykuszami okien, zajmowanej niegdyś przez jedną rodzinę i jej służbę, teraz mieszkało szesnaście rodzin. Wszyscy tymczasowo, bo budynek był piękny i stanowił nie lada kąsek dla przedstawicieli nowej władzy. Na razie jednak rodziny spały smacznie, oprócz jednej osoby – tramwajarza Piotra Zająca, który wychodził właśnie do pracy, żeby dojechać na czas do zajezdni

i ruszyć rozklekotaną dziewiątką w trasę.

Furta domu przy wysokim świerku zazgrzytała. Zajac zaklął pod nosem, bo nie raz, nie dwa miał naoliwić zawiasy, żeby nikogo nie budzić po nocach. Zawsze jednak zapominał o tym. Mężczyzna pod pachą trzymał torbę z drugim śniadaniem przygotowanym przez troskliwą żonę, a na głowie pyszniła mu się tramwajarska czapka z połyskliwym mosiężnym emblematem. Zajac nie spieszył się, nigdy też nie spóźnił się do pracy. Nieopodal był przystanek tramwajowy, z którego zabierze go pojedynczy, służbowy wagon i zawiezie do zajezdni.

Ruszył po nierównym chodniku w stronę Skłodowskiej-Curie, stukając cicho podeszwami butów o kamienne płyty. Wtedy zauważył stojący po drugiej stronie uliczki samochód. Był to dość niecodzienny widok, bo nikt z sąsiadów nie miał samochodu. Ale z drugiej strony samotnie stojąca limuzyna nie była aż tak niecodziennym widokiem. Wiele się słyszało, jeszcze więcej mówiło.

Gdy zrównał się z pojazdem, nagle drzwi auta otworzyły się z rozmachem i wypadło z niego dwóch mężczyzn w długich płaszczach i kapeluszach. W mgnieniu oka znaleźli się przy pobladłym ze strachu tramwajarzu i chwycili go pod ramiona. Jego krzyk rozniósł się po pustej ulicy jak wystrzał, ale mieszkańcy byli przyzwyczajeni do takich odgłosów. Zajac dosłownie frunął w powietrzu. W drzwiach próbował się zapierać, ale równie dobrze mógł się starać zatrzymać tramwaj w pędzie. Wciągnęli go do środka. Zajacowi wystawała tylko jedna noga. Zadrzała spazmatycznie i zaczęła się telepać na wszystkie strony, po czym i ona została wciągnięta w głąb wozu.

Drzwi zatrasnęły się, zabłyśły światła i samochód z wolna ruszył, kierując się w stronę placu Grunwaldzkiego.

Po drugiej stronie Odry wygłodniały las zafalował tylko w pojedynczym spazmie rozkoszy.

Natura przybierała dwie postaci. Tę, która ukazywała swą piękną, łagodną twarz w życiodajnym świetle, i tę drugą, złowieszczą, objawiającą się w mroku nocy. Jakby miejski las robił się wygłodniały, gorączkowo łapczywy dopiero po zmierzchu, kiedy to, co niewinne i piękne, zmieniało się w grzeszne i ohydne, nie zważając na obowiązującą wszechobecną socjalistyczną filozofię optymizmu, pracy i radości. Wtedy natura pokazywała drugą twarz, kiedy zaskoczony i zdjęty strachem człowiek odwracał wzrok ku elektrycznemu światłu, ku rzeczom znanym i zrozumiałym, takim, które można zważyć, zmierzyć i oszacować bez lęku.



Warkot przebudził się w środku nocy wyrwany z koszmaru, którego po chwili nie mógł już sobie przypomnieć. Zaschło mu w gardle, wstał więc, by się napić wody. Może nawet zaparzy sobie herbaty. Spojrzał na zegarek. Psiakość, minął dopiero kwadrans po

trzeciej. Teoretycznie miał jeszcze trzy godziny snu, ale wiedział, że nie zaśnie. Przerabiał to już wcześniej.

Zapalił lampkę na stole i przyjrzał się pracy semestralnej, nad którą ślęczał wczoraj przez trzy godziny. Nakreślone wprawną ręką połyskliwe linie tuszu kreślarskiego układały się w logiczną całość na półprzeźroczystej kalce.

Profesor od mechaniki powinien być zadowolony. Na mlecznobiałej, matowej płachcie chłopak nie dostrzegł ani jednego potknięcia, ani jednego milimetra niesfornej linii, która wymknęłaby mu się spod kontroli. Skrzywił się. Mikronowa plamka tuszu beczelnie osiadła na legendzie rysunku.

„Wydrapie się” – pomyślał.

Ze szklanką parującej herbaty usiadł przy stole i starannie zwinął rysunek, żeby nic złego mu się nie stało. Włożył go do tuby i zamknął wieczko.

Siedział tak przez chwilę, patrząc, jak dwie łyżeczki cukru rozplývają się w herbacie. Zamieszał. Łyżeczka zastukała o szkło. Chwycił metalową rączkę koszyczka i podniósł szklankę do ust. Parzy. Trzeba chwilę odczekać.

Zaczęło szarzeć. Za oknem rozciągał się widok na park Południowy, jeszcze niewidoczny o tej porze dnia. Była to niezwykle cicha dzielnica, choć za czasów służby Warkota w wojsku nazywano ją Dzikim Zachodem, bo stąd właśnie szło uderzenie Armii Czerwonej na miasto i tu rozgrywały się dantejskie sceny podczas Festung Breslau.

Przypomniał mu się incydent sprzed lat, kiedy jeszcze w mundurze bronił miasta przed grupami zawodowych szabrowników i pilnował porządku. Zapamiętał szczególnie jedną akcję. Szli do kamienicy nieopodal, raptem dwie przecznice stąd, kiedy usłyszeli potworny krzyk. Na miejscu znalazł zmasakrowanego szabrownika. A potem zobaczył te dziwne oczy, które sunęły przez stołowy pokój na podobieństwo światełek.

Dziwne, że przypomniał sobie o tym właśnie teraz. Może na skutek tego, czego sam był niedawno świadkiem? Instynktownie wyczuwał, że sprawy nie układają się tak, jak powinny.

Nie pamiętał, co się stało z łupami tych szabrowników, podobno zniknęły w przedziwny sposób z magazynu. Nikt nie wiedział gdzie. Broń i jakieś świece. Za broń dostaliby czapę od razu. Jeszcze mnóstwo się tego wałało po mieście, ponoć łatwiej było kupić na targu parabelkę niż świeże jaja.

Chłopak wrócił myślami do wczorajszego dnia. Czy naprawdę tekst zmienił się na jego oczach? Trudno było mu w to wszystko uwierzyć.

Znowu spojrzął za okno i zamarł. Gdzieś po lewej stronie na ciemnej panoramie starych drzew pojawiła się krwawa łuna. Jakby artysta malarz pociągnął po raz pierwszy pędzlem po zagruntowanym na czarno płótnie, żeby zacząć dzieło od szturmówki dumnie powiewającej na wietrze.

Janek spojrzął na zegarek. Dochodziła czwarta.

Czerwona łuna zdawała się migotać i pełgać, zmieniając kształt i natężenie. Można

było pomyśleć, że to pożar, gdyby w dali unosił się dym. Tyle że go nie było.

Zafascynowany wpatrywał się w czerwień, która z niemal pomarańczowej barwy przeszła w karmazyn. Gdzieś w głębi domu obudził się kolejny lokator – pan Józef, który pracował jako zaopatrzeniowiec w handlu uspołecznionym. Warkot usłyszał odgłos spłuczki i szum wody z kranu. Postanowił wejść do łazienki zaraz, jak pan Józef wyjdzie, bo potem kolejka będzie duża. O wpół do piątej wstawała pani Genowefa, o szóstej małżeństwo Kusiaków z dwójką dzieci, o wpół do siódmej Kowalczykowie i na końcu pan Ryszard, o którym niewiele było wiadomo oprócz tego, że pracował dniami i nocami o nieregularnych porach. Tak czy inaczej, trudno było się wbić w ten schemat. Chłopak nauczył się już, że lepiej korzystać z każdej okazji, zagrzać wodę, umyć się i załatwić, co trzeba.

Spojrzał ponownie za okno, czerwona poświata znikła i pojawiły się pierwsze promienie wschodzącego dnia.

„Przywidziało mi się – pomyślał. – Światło w tym mieście płata figle”.

Gdy wypucowany i ogolony wsiadał przed siódmą na rower, było już jasno i coraz więcej osób spieszyło do pracy. Pracujący inteligenci. Robotnicy wstawali wcześniej.

Po chwili sunął już w stronę centrum, chłonąc ożywczą bryzę. Przy wieży ciśnień skręcił w lewo, by dojechać do ulicy Powstańców Śląskich, biegnącej z południa na północ, aż do centrum. Po kilku minutach przejechał pod starym wiaduktem i minął plac Kościuszki, a tam robotnicy już uwijali się przy gruzowisku, gdzie lada chwila miała się rozpocząć budowa KDM-u. Jeszcze tylko skok w prawo przy gotyckim kościele Bożego Ciała i po chwili znalazł się przy drukarni.

Stały tu dwa ciemne samochody i gazik, co samo w sobie nie było czymś nienaturalnym. Dziwne było to, że stały w poprzek chodnika, jak gdyby celowo i świadomie tarasując przejście przez Oławską. Jakby ktoś opuścił je w pośpiechu.

Wewnątrz budynku wszyscy niemal stali na baczność. Strażnik przemysłowy trzy razy sprawdzał jego przepustkę, choć znał Warkota i często wciągał go w pogaduszki.

– Tak, panie Janie. Tak to już jest – rzucił filozoficznie.

– Ale co się stało?

– Sam pan zobaczy. Wszyscy już są u kierownika.

Przeskakując po dwa stopnie, Warkot wbiegł na górę i stanął przed drzwiami Zenona Zagnębiaka. Przed gabinetem natknął się na smutnego. Na ustach mężczyzny błąkał się ironiczny uśmiezek, ale oczy pozostawały twarde i nieustępliwe.

– Nazwisko obywatela?

– Warkot Jan, praktykant.

– A to prosimy, prosimy.

Gabinet głównego technologa wyglądał, jakby przeszedł przez niego huragan. Wszystkie segregatory leżały na ziemi, kłapiąc bezradnie twardymi okładkami i wywalając biurokratyczne jęzory dokumentów. Sterta papierów piętrzyła się na środku pokoju. Przy biurku siedział Zagnębiak z zaczerwienionymi oczami wpatrzony w nicość, a obok niego jakiś gładko zaczesany jegomość klarował mu coś po cichu,

jakby opowiadał dykteryjki na partyjnym mitingu. Główny technolog co jakiś czas kiwał głową.

Trzech smutnych przedzierających się przez papiery jak jeden mąż podniosło wzrok na Warkota. Janek odruchowo sięgnął po legitymację i podał ją najbliższemu stojącemu mężczyźnie. Smutny najwyraźniej nie był aż takim ponurakiem, choć jego rozbawienie miało złowieszczy wydźwięk.

– No i znalazł się nasz student.

– Wcale się nie zgubiłem. Przyszedłem do pracy.

– A to się jeszcze okaże.

– Co tu się stało?

– To ja tu zadaję pytania. I to ja chcę się dowiedzieć, w jaki sposób w zakładzie pracy socjalistycznej zagnieździł się wróg. Byliście świadkiem wczorajszego zdarzenia?

– Tak, wszystko widziałem. Ale to przecież jakaś sztuczka. Złudzenie optyczne.

– Złudzenie, powiadacie? My tu właśnie jesteśmy od złudzeń. Żeby już nikt ich nie miał.

– Ale przecież zawiadomiliśmy urząd. Jak należy.

– Jak należy? A kto podłożył towarzyszowi Zagnębiakowi tę świnię, co? Sprawdzony towarzysz, w Hiszpanii walczył. I co, wszystko o kant dupy rozbić?

– Ale sami widzieliście...

– Nic nie widziałem i wy też nic nie widzieliście. A jak widzieliście, to na Podwalu wam wyjaśnią, że nie.

Na samą wzmiankę o ceglastym budynku nad miejską fosą Zagnębiak drgnął jak rumak dźgnięty ostrogą. Oderwał wzrok od nicości i głośno zaprotestował:

– Myśmy wszystko zgłosili, towarzyszu poruczniku, zgodnie z przepisami. Jasio świadkiem. To. to jakaś imperialistyczna sztuczka. Nikt nie majstrował przy składzie. Ręczę za swoich ludzi.

– Żebyście się nie przeliczyli.

Zagnębiak wbił wzrok w punkt w przestrzeni, wiszący gdzieś między oknem z matową szybą a odrapaną umywalką. Mężczyzna siedzący obok głównego technologa spojrzął na Warkota.

– Student tak? A pochodzenie?

– Chłopskie, obywatelu...

– Chłopskie i student? Jaki wydział?

– Politechnika, w zawodzie drukarz.

– Politechnika? No tak, potrzeba nam młodych zdolnych. A kto skierował na studia?

– Z wojska. Pułkownik mówił, że muszę się uczyć.

– Sam pułkownik, proszę, proszę.

– Tak jest, obywatelu...

– A medalik nosicie?

– Meda. Nie, obywatelu...

– Niech będzie: majorze.

- Obywatelu majorze. Nie noszę, bo to gusła i zabobon.
- Gusła i zabobon – powtórzył major i zamyślił się przez chwilę. – Tak, macie rację.
- No to co ja teraz mam zrobić?
- Idźcie do pracy, jak trzeba będzie, wezwiemy.
- Tak jest, obywatelu majorze.

Warkot zszedł pospiesznie do maszynowni.

Na dole panował nastrój jak po śmierci organisty. Nikt się nie odzywał, bo zabrakło Kapusty, który był duszą zakładu. Teraz musiał przeżywać ciężkie chwile na Podwalu. W domu powieszzonego nie mówiło się o sznurze, a w tym przypadku najwyraźniej wszyscy chcieli wisielca jeszcze pochować na rozstajach i przebić czarne serce osikowym kołkiem. Tak na wszelki wypadek. Nawet koledzy Kapusty zachowywali ostrożną powściągliwość, żeby nikt nie był w stanie wyciągnąć im znajomości z wichrzycielem.

– No jak to tak? – Nie wytrzymał w końcu Warkot. – Przecież on by nie mógł. Przecież to kolega i sprawdzony towarzysz.

– Ty, młody, nie wyskakuj przed szereg. Zabrali, znaczy wiedzą dlaczego. Wróci, to wróci, a nie. To też dobrze, znaczy się, że winny.

Warkot spuścił głowę zdjęty otepiającą niemocą. Nie wiedział, co powiedzieć. Z jednej strony ufał Partii, ale z drugiej strony nie mógł uwierzyć, że poczciwy majster byłby zdolny do takiej podłości. Zresztą jak? Owszem, Kapusta był jeszcze przedwojennym mistrzem i znał wszystkie sekrety swego fachu, ale nie potrafił przecież czarować.



Około dziesiątej rano pracownica handlu uspołecznionego, Halina Stój, która wyszła załatwić przedszkole dla dziecka, przechodziła przez park. Nadrabiała nieco drogi, bo poranek był rzeński. Nie spieszyło się jej, kobieta chciała odwlec trochę wizję całodziennego trudu pracy ku chwale ojczyzny.

Kiedy mijała gąszcz rododendronów, zauważyła coś dziwnego. Ktoś porzucił albo zgubił skórzaną teczkę zapinaną na dwie klamry. Podeszła bliżej i dostrzegła wystającą z krzaka nogę. Nogę w męskim bucie, brunatnej skarpetce, z podciągniętą do połowy łydki nogawką.

„Ach, te pijaki!” – pomyślała odruchowo, bo dość często widywało się zapóźnionych balowiczów, którzy ucinali sobie drzemkę pod chmurką.

Kiedy przyjrzała się dokładniej nodze, spostrzegła, że jest nienaturalnie sina. Odskoczyła. Nie może być. Rozgarnęła gałęzie i zamarła. Zobaczyła bladą twarz mężczyzny lat około czterdziestu i leżącą obok tramwajarską czapkę uwalaną w ziemi. Na kołnierzu koszuli widać było dwie strużki krwi zakrzepłe na niebieskim materiale.

Mężczyzna leżał z rozrzuconymi kończynami, jakby spadł z dużej wysokości.

Halina nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Gdzieś w głębi jej trzewi zaczął narastać głośny, dramatyczny krzyk, który próbowała powstrzymać za wszelką cenę. Na próżno.



TRIUMF TEUTOŃSKIEGO ORĘŻA...

Wrocławska „łaźnia parowa” potrafiła dać znać o sobie już pod koniec maja, gdy wczesnoletni ukrop gromadził się swobodnie w niecce, w której powstało miasto. Powietrze stało w miejscu i właściwie tylko architektura oraz brak palm świadczyły o tym, że mieszkańcy dolnośląskiej metropolii nie przebywają w Wenezueli. Wilgotność przekraczała bez przeszkód wszelkie normy, a skazani na siermiężne stroje obywatele pływali w nich jeszcze lekko oszołomieni po stosunkowo chłodnym kwietniu.

Wrocławianie każdą wolną chwilę spędzali nad rzeką. Przed wojną niemieckim urzędnikom zalecano przebywanie w mieście wyłącznie przez okres dziesięciu lat, bo bliskość wody i niekorzystna pogoda wywoływały reumatyzm. Teraz jednak tego rodzaju troski zeszły na dalszy plan. Wrocław był wielkim placem budowy pośród wąwozów gruzu i nielicznych ocalałych budowli, które nieco zdziwione rozglądały się, obserwując wokół puste miejsca po znajomych kamienicach zrównanych z ziemią podczas Festung Breslau.

W mieście działały hufce odzyskujące cegłę dla powstającej z gruzów stolicy. Szanse na przetrwanie miały wyłącznie zabytki, bo średniowiecze stało się konikiem władz, które poszukiwały świadectw mogących posłużyć jako legitymizacja praw Polski do odwiecznych „ziem piastowskich”. Ostały się też nowoczesne budynki z żelbetowym szkieletem wypełnionym ceglami, bo trudno było je rozebrać.

Z jednej strony rozbierano kamienice na części, wysyłając całe pociągi cegły do Warszawy, jakby mszcząc się na Bogu ducha winnym mieście za czyny jego niemieckich mieszkańców. Z drugiej strony stawiano budynki, już w duchu socjalistycznym, stanowiące jaskrawe nadużycie norm budowlanych i życiowych. Kamienice te dawały uszczęśliwionym lokatorom kilka metrów przestrzeni, by mogli odpocząć po ciężkiej pracy, zregenerować siły i na drugi dzień znów ruszyć do walki o lepsze jutro.

Budynki z początku wieku stały się wrogiem numer jeden. Wciąż widniały na nich niemieckie napisy, niejednokrotnie z emblematami narodowosocjalistycznej władzy. Zamalowywano je pospiesznie, żeby jak najszybciej wymazać kilkunastoletnią obecność brunatnych Hunów. Tylko siedziba władz hitlerowskich, leżąca na planie lekkiego półkola, z potężną kolumnadą, pozostała niemal nietknięta, chyba jedynie dlatego, że została zbudowana z litego kamienia oraz betonu, więc trudno było ją wysadzić w powietrze. Poza tym idealnie wpisywała się w socrealistyczny kanon piękna. Toteż szybko wprowadzili się tu przedstawiciele władzy województwa. Nowa siedziba dodawała im majestatu i znaczenia.

Pod potężne wejście, gdzie jeszcze niedawno wisiały czerwone flagi z białym kołem

i starohinduskim symbolem w środku, zajechał samochód. Prowadził kierowca w mundurze w randze porucznika Armii Czerwonej. Z tylnego siedzenia wysiadło dwóch cywilów, roztaczając wokół ostry zapach wody kolońskiej. Ruszyli niespiesznie po kamiennych schodach, wartownik przed wejściem zsalutował im zamasyście. W drzwiach powitał ich przewodniczący prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej pełniący funkcję wojewody, który już od wczoraj wiedział o wizycie „radzieckich towarzyszy”.

Wnętrze monumentalnego budynku przynosiło zbawczą ulgę od upału. Delegacja przeszła przez hol, wspięła się po szerokich schodach i przez sekretariat weszła do obszernego gabinetu przewodniczącego. Na drewnianej boazerii wisiały olbrzymie portrety przywódców partyjnych i państwowych oraz stosownie większy portret największego przyjaciela Polaków – Józefa Wissarionowicza Stalina, który wpatrywał się w dal jasnym, przenikliwym wzrokiem, dumnie prezentując sumiaste wąsiska.

Przewodniczący w porównaniu z tymi herosami nowych czasów zdawał się ledwo mizerną kopią bojowników o socjalistyczną sprawiedliwość. Niski, o nijakiej twarzy i wiecznie rozbieganych oczach giął się w lansadach przed delegacją Sowieców niczym strofowany uczeń.

Pułkownik w mundurze z niebieskimi wyłogami rozsiadł się na dużym fotelu, obok niego ulokował się major nieznanej formacji, którego bystry wzrok od niechcenia omiatał pomieszczenie.

– Cóż więc sprowadza towarzyszy w nasze skromne progi? – zagał przewodniczący, spodziewając się wszystkiego najgorszego. Instynkt przetrwania wyniósł go na to wysokie stanowisko, ale w obecnych czasach nie tak wysoko postawieni znikali bez śladu.

– Doszły nas słuchy, towarzyszu, że nie jest dobrze.

– Jak to nie jest dobrze? Przecież produkcja idzie pełną parą, odbudowa też, studenci studiują, reakcję się dławi i w ogóle...

– Pogłoski i plotki to jest to, co nas niepokoi. Chodzą różne słuchy po mieście.

– Ale, towarzyszu pułkowniku, ludzie zawsze gadają. Co to za pogłoski?

– Mówi się o jakichś czarnych samochodach, że jeżdżą po mieście i prostych ludzi mordują. Że czarna победа. Wiadomo, kto ma takie maszyny. Żeby jeszcze ludzie znikali, to pół biedy, ale ciała się trafiają. Okaleczone. Ciała robotników. W mieście. Ludzie gadają, a nie powinni.

– Z pewnością nasze orły z Podwala trzymają rękę na pulsie. Śledczy kryminalni...

– Śledczy kryminalni mają na głowie dużo poważniejsze sprawy. Były liczne przypadki sabotażu. Wróg nie śpi, rozumiecie? Musicie coś z tym zrobić, ukrócić. Cztery ofiary i wszystkie porzucone w różnych dzielnicach. Z naszych informacji wynika, że wcześniej osoby te cieszyły się dobrym zdrowiem, do pracy szły albo wracały do domu. Nie było przypadków, żeby znaleziono jakiegoś pijaka, bumelanta czy inną swołocz. Wszystko porządni ludzie, o dobrym, robotniczo-chłopskim pochodzeniu. Uczciwi obywatele.

Szum spienionej wody z syfonu zagłuszył ostatnie słowa pułkownika. Łapczywie przystawił szklanę do ust, jakby w obawie, że ktoś mu ją zabierze. Nasyciwszy pragnienie, wstał, poprawił ubranie, zerknął na podwładnego, któremu najwyraźniej nie doskwierała spiekota, i uniósł palec do góry.

– Najważniejsze, towarzyszu, by nie dać się defetyzmowi. Bo wróg tylko na to czeka. Do końca tygodnia oczekuję raportu na moim biurku.

– Ależ naturalnie, panie pułkowniku, będzie punktualnie. Wyjaśnimy sprawę.

– Dobrze, bo nie chciałbym, żeby po was przyjechał taki samochód, he, he, he – rzucił pułkownik zadowolony z żartu.

Przewodniczący miał jednak odmienne poczucie humoru i cały zbladł.

– *Nu, paka.* Na nas czas.

Gdy dwóch krasnoarmiejców z przydziałem na Dolny Śląsk opuściło gabinet, przewodniczący opadł ciężko na skórzany fotel odziedziczony po narodowosocjalistycznej władzy.



Rozrywka w odbudowywanym mieście wciąż była towarem cennym i rzadkim, ale dzięki akcji rozpowszechniania kultury wśród mas każdy miał do niej dostęp. Oczywiście pod warunkiem, że był w stanie zwlec się z łóżka po całym dniu pracy. Jeśli zaś w nagrodę otrzymał bilet od rady pracowniczej, musiał stawić się w kinie obowiązkowo.

Przed kinem Pokój na wrocławskiej starówce kłębił się tłum ludzi. Jakieś sto metrów dalej na zachód, za obszernym placem z pomnikami przy nieczynnej fontannie, który beczelnie nosił ślady burżuazyjnej świetności, zaczynały się ciągnące się kilometrami wąwozy gruzów. Znaczyły ślad przemarszu wojsk, które kilkoma rozkazami zniweczyły starania niemieckich architektów pragnących stworzyć nową dzielnicę eleganckich domów i szerokich ulic. Teraz te architektoniczne niedobitki sterczały niczym wyrzuty sumienia zezowatego artylerzysty wśród ceglanych trupów kolegów. Z wolna były ograbiane ze wszystkiego.

Kino Pokój mieściło się w obrębie Starego Miasta. Tak naprawdę było naprędce przygotowaną salą amfiteatralną z projektorem. Kino Pokój cieszyło się równie dużym wzięciem jak Śląsk czy Przodownik. Były to obiekty przejmowane w spadku po Niemcach i też niewiele więcej dało się z nimi zrobić – układ sali sprawiał, że w sam raz nadawały się tylko na akademie i pokazy filmowe.

Na dzisiejszy pokaz zaproszono przodowników pracy. Ci, którzy jeszcze nie widzieli filmu *Aleksander Newski* o pognębieniu faszystowskiego gada w rozmodlonym średniowieczu, mieli okazję nadrobić zaległości. Z filmami radzieckimi było zupełnie jak z kawiozem z siei zamiast z jesiotra. Większość z nich stanowiło prawdziwe

arcydzieła sztuki filmowej, tak jak w przypadku *Aleksandra* z muzyką genialnego kompozytora Prokofiewa, ale pozostawiały pewien absmak, bo były tak naszpikowane propagandą, że przeważała ona nad formą, a niejednokrotnie i nad treścią.

Scenariusz był prosty. Oto widz miał okazję zobaczyć podłego agresora w obowiązkowych białych płaszczach z czarnym krzyżem, który palił, mordował i zabijał niewinnych mieszkańców Rusi. Wszechobecny symbol krzyża powielał się w nieskończoność – nawet hełmy garnczkowe agresorów miały wycięte krzyże w wizurze, choć w rzeczywistości całkowicie uniemożliwiałyby one poruszanie się i oddychanie na polu bitwy. Knechci byli wyposażeni w hełmy o aż nadto dobitnie wymownym kształcie przywodzącym na myśl niemieckie hełmy zarówno z pierwszej, jak i drugiej Wielkiej Wojny. Krzyżacy przed bitwą odprawiali mszę, która wyglądała niczym spektakl grozy z ekspresjonistycznego niemego horroru z lat dwudziestych. Biskup o fizjonomii strzygonia błogosławił ponurych zakonników przed bitwą przy wtórce muzyki z fisharmonii obsługiwanej przez garbatego mnicha, który bez zmian w charakterystyce mógł zagrać w kolejnej części filmu o doktorze Frankensteinie i jego ożywionym trupie.

Wszystko to skontrastowano z opowieścią o sielskiej krainie, gdzie dobry kneź, który zamiast, jak na knezia przystało, prześladować chłopów i zdierać skórę z włościan, łowił najspokojniej ryby w jeziorze, a dwóch prostych wojów smażyło cholewki do bojowej panny z warkoczami za tyłek. Kiedy ojczyzna wzywała pomocy, całe to przesłodzone do obrzydliwości towarzystwo ruszało na wroga.

Bitwa toczyła się na zamrożonym jeziorze. Krzyżacy utworzyli klin, złożony z najbardziej łajdackich rycerzy – dla podkreślenia faktu paskudnego charakteru założyli do bitwy paradne hełmy garnczkowe z klejnotami – wbił się w miękkie podbrzusze szlachetnych wojów broniących ojczyzny. Rusinom przysłała w sukurs surowa, lecz piękna natura, bo uderzenie załamało się na pękającym lodzie, który na zawsze pochłoniął podłych rycerzy. Sprawiedliwość zatriumfowała – resztkę pojmanyh Teutonów za okupem puszczone wolno. Zdrajcę zaś tłum ruskich bab rozszarpał na strzępy, bo nie ma litości dla tych, którzy knują z wrogiem.

Podczas seansu wszystko toczyło się zgodnie ze scenariuszem filmu Eisensteina do momentu szarży na zamrożonym jeziorze. Pełen tajemniczości motyw muzyczny mistrza Prokofiewa, kojarzący się ze stadem atakujących rekinów, potęgował napięcie, aż przodownicy pracy zaciskali spracowane dłonie na drewnianych oparciach kinowych foteli.

Sala zamarła, kiedy Krzyżak z rozczapierzoną, szponiastą łapą na hełmie nadział na kopię głównego plebejskiego herosa. Wyprute wnętrze rozlały się wokół, płamiąc na czerwono w czarno-białym filmie płaszcz Krzyżaka. Na drugi ogień poszła wojownicza dziewczyna, której nie pomogło wymachiwanie małym mieczykiem, bo knechci rozsiekli ją tak, że została z niej mokra, karmazynowa plama z dwoma długimi warkoczami i hełmem z futrzanym toczeniem.

Jeden za drugim padali rusczy bohaterowie, aż został tylko jeden – sam kneź

Aleksander. Podziurawiona niczym rzeszoto kolczuga i pancerz nie były w stanie zatrzymać ciosów półtoraręcznych mieczy wroga. Rozpędzony kiścień zdmuchnął mu z głowy szpiczasty hełm, zostawiając w miejscu prawego ucha krwawą miazgę. Kneź zatoczył się. Pomyślał, że być może bardziej jednak odpowiadałoby mu łowienie ryb niż wojaczka, ale było za późno. Topór knechta rozorał mu ciało od obojczyka do żeber. Czerwona jucha aż bryzgnęła na widzów w pierwszych rzędach.

W sali rozległ się okrzyk przerażenia. Większość widzów przysłała do kina po raz pierwszy w życiu i była przekonana, że tak właśnie ma przebiegać projekcja filmu. Ruski trup ścielił się gęsto pośród nawałnicy zakutych w stal wrogów, a lód ani myślał pękać pod ich ciężarem. Trzymał na dwa łokcie w głąb jeziora i cierpliwie wszystko znosił. Pierzchające resztki oddziałów Newskiego już na oślep biegły w stronę zbawczego lasu. Konie bojowe Krzyżaków tratowały niedobitków, a wataha pieszych, odzianych w białe płaszcze braci służebnych ruszyła w pogoń za resztą, ukazując potęgę teutońskiego oręża. Miasto splądrowano, wsie spalono, ludzi wyrżnięto. Na napisach końcowych przy dźwiękach złowieszczej muzyki łopotał biały proporzec z czarnym krzyżem.

Wokół zaległa martwa cisza.

Po chwili sala kinowa zaczęła przypominać targowisko podczas piątkowego jarmarku. Wszyscy krzyczeli, większość pchała się do wyjścia i jedynie kierownik kina siedział w salce na górze, obgryzając paznokcie. Sprawiał wrażenie, jakby oczekiwał, że do jego kanciapy za chwilę wpadnie ciężkozbrojny rycerz krzyżacki z okrwawionym mieczem. Wiedział jednak, że była to zbyt optymistyczna wersja.

Kiedy ucichły krzyki i reszta widzów wydostała się na zewnątrz, drżącą dłonią podniósł słuchawkę telefonu, bo wiedział, że i tak nic go nie uchroni przed tą rozmową. Wykręcił numer, by zameldować o przypadku bezczelnego sabotażu w centrum miasta.

Przed kinem niepozorny, tradycyjnie ubrany jegomość wyciągnął staroświecki, srebrny pigularz i wsunął do ust tabletkę. Sprawa z projekcją filmu była stosunkowo prosta, więcej zabawy było z wypuszczeniem zwierząt na salę kinową podczas wyświetlania filmu Świat się śmieje. Ostatni punkt programu dzisiejszego upalnego dnia został odfajkowany. Teraz trzeba kuć żelazo, póki gorące, i znaleźć Warkota, zanim nie narobi sobie większych kłopotów.

Tak, propaganda to potężna broń. I do tego obosieczna.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

PRZEBUDZENIE...

Przez kilka dni w życiu Janka nie wydarzyło się nic istotnego. Zdał kolejne egzaminy przed terminem, wciąż chodził do pracy w drukarni. Nie było żadnych nowych incydentów. Wszystko zdawało się wracać do normy – przodownicy przodowali, mury się pięły, studenci walczyli z reakcją, a ojczyzna rozkwitała niczym jabłonie i grusze z popularnej piosenki krasnoarmiejców *Kalinka*.

Dziwne zdarzenia w życiu Warkota co prawda nie zachwiały jego światopoglądem, ale zasiały ziarno wątpliwości, które zaczęło beczelnie kiełkować w jego umyśle. Nie wszystko było takie, jakim się na pozór zdawało. Przodownicy spoglądali z portretów już nie z powagą, ale ironicznie, do niedawna proste ściany nowych budynków jakby się lekko wybrzuszały pod wpływem złudzenia optycznego, to na pewno. Gospodyni w jego domu chodziła gdzieś z paczkami pełnymi konfitur i innych przetworów. Była rozdrażniona jak osa, gdy ją ktoś o to zapytał.

Warkot nie widział już więcej czerwonej zorzy nad ranem i można by pomyśleć, że całkiem zapomniał o tej dziwnej anomalii. Tak jak w drukarni zupełnie zapomniano o majstrze Kapuście, jakby nigdy nie istniał i nie rozbawiał wszystkich do łez swoimi ciętymi uwagami. Książka o młodym rewolucjonście ukazała się bez przeszkód pod bacznym okiem cenzury. Nakład wykupiły niemal w całości szkoły, żeby uczniowie mieli z kogo brać przykład.

Wybryk studenta Koguta puszczono płazem z powodu jego wcześniejszego zaangażowania w przemianę kraju i przypisano niedyspozycji studenckiej po wypiciu alkoholu na bankiecie ku czci delegacji młodzieży z bratnich krajów. Wrócił z Podwala jakiś taki przygaszony, lecz czujny. Od tej pory unikano prywatnych rozmów z Kogutem, choć on bardzo pragnął nawiązywać nowe znajomości i kultywować stare. Nie chodziło o to, że dawni koledzy nie okazywali mu zaufania – to instynkt samozachowawczy nakazywał im ostrożność. Przeczuwano, że ten kogut pieje już na inną nutę i to wcale nie o brzasku.

Warkot właśnie niespiesznie wracał z drukarni do domu. Mógł cieszyć się piękną pogodą. Przejechał na nowym, choć używanym, nieco rozklekotanym rowerze przez wąwozy gruzowiska. W południowej dzielnicy postanowił się przejść. Wrocławska zieleń na przekór wojennym zniszczeniom rozkwitła w tym roku szczególnie bujnie. Gdy przechodził obok wieży ciśnień, przy jednym z filarów dostrzegł znajomą postać. Nie był w stanie przypomnieć sobie, gdzie widział tego zabawnego jegomościa, który szedł prosto na niego, jakby chcąc go powitać.

– Moje uszanowanie panu studentowi. Narzeczona zdrowa?

– Ale ja, przecież. – Dopiero teraz poznał mężczyznę, którego spotkał, kiedy prawie

wpadł pod tramwaj. – Ja nie mam narzeczonej.

– Ach tak, zapomniałem. Niemniej jednak pogodę mamy piękną tej wiosny.

– Upał, proszę pana, upał, ale niektórzy to lubią.

– Ja właśnie w tej sprawie. Miałem nadzieję, że pana spotkam.

– Pan? Ale w jakiej sprawie?

– Pozwoli pan student, że się przedstawię. Nazywam się Leon Słupecki.

– Jan Warkot – rzucił odruchowo. – Pan służbowo?

– Można w zasadzie by tak powiedzieć, ale nie tak, jak pan myśli.

– A więc o co chodzi? – W głosie Warkota zagrała twarda nuta.

– Może usiądziemy tu na chwilkę, o, tu na ławce.

– No, możemy, ale nie rozumiem...

– Zaraz pan zrozumie. Tylko muszę powiedzieć kilka słów tytułem wstępu.

Przysiedli na zdezelowanej ławce przy skwerze. Warkot był czujny, bo zbyt wiele dziwnych rzeczy ostatnio się wydarzyło, a teraz jeszcze ten się przypałętał.

– Otóż obserwuję pańskie poczynania w nowym mieście i muszę powiedzieć, że pracowity z pana młodzieniec – powiedział Słupecki. – I na studiach, i w drukarni. Widać wojskową dyscyplinę.

– Ale czego pan chce? Czy zrobiłem coś nie tak?

– Ależ nie, wręcz przeciwnie. Chciałbym tylko coś panu uświadomić, a pan sam zdecyduje, czy to prawda, czy nie. Będzie miał pan czas do namysłu.

– Słucham więc.

– Otóż, jak panu zapewne wiadomo, obowiązuje u nas materialistyczne podejście do rzeczywistości. Przedwojenne „Miasto, Masa, Maszyna” znalazło odzwierciedlenie w pracy, zachowaniu i postępowaniu. Budujemy nowe domy, fabryki, szkoły. Walczymy z analfabetyzmem, elektryfikujemy wsie i miasteczka. Wszystko to dzieje się niezależnie od nas, bo mamy tak zwany postęp.

Chciałbym jednak podkreślić, że postęp ma wiele twarzy i nie jest to proces całkowicie jednoznaczny. Idąc przez miasto, można dostrzec postęp, ale ludzie wiedzą swoje, bo nie zmieniają się aż tak szybko jak architektura. Chcą po prostu normalnie żyć po latach wojny i trudno ich za to winić. Chcą pracować, żenić się, mieć dzieci. Ja, widzi pan, też miałem żonę i dzieci, ale to było dawno temu, na stare lata przyszło mi żyć samotnie.

Kiedyś, szanowny panie Janie, byłem strasznym łajdakiem. Grabiłem, paliłem i zabijałem. Może trudno panu w to uwierzyć, widząc moją, co tu dużo mówić, dość lichą postać, ale taka jest prawda. Pomnażałem swój majątek na krzywdzie innych, nie zważając ani na prawa ludzkie, ani boskie. Wziąłem za żonę uczciwą niewiastę, która urodziła mi dzieci i cierpiała w milczeniu. Wielu innych dobrych ludzi również cierpiało przeze mnie, wiele wdowich łez polało się za moją przyczyną...

Pewnej nocy zdjęły mnie takie boleści, że bez ducha leżałem dwie niedziele w łóżnicy, cierpiąc nieziemskie katusze. Wszyscy chodzili wokół mnie na paluszkach. Nikt nie wiedział, jak mi pomóc. W końcu wezwano księdza, bym mógł odebrać

ostatnie namaszczenie, gdyż koniec mój zdawał się bliski. Ten, jak tylko mnie zoczył, oznajmił, że trzeba odprawić egzorcyzmy nad moim biednym ciałem. Długo mu to zajęło. Ja wciąż trwałem w swym grzesznym uporze i ani myślałem żałować za grzechy swoje, a diabły, co me ciało szarpały, czując bliskość duchowej osoby, w dwójnasób poczęły mnie męczyć.

– Panie, co mi pan tu wygaduje? To jakieś zabobonne gusa! Jakie tam diabły? Tfu! I teraz pan takie rzeczy nawywijał? A milicja co na to? U nas jest porządek. Niech pan mówi, o co panu chodzi, bo nie mam czasu na jakieś bzdury!

Warkot mówił te słowa z młodzieńczym zacięciem charakterystycznym dla osoby, której wpajano do głowy moralne prawidła niczym wzory trygonometryczne.

– Otóż chciałbym pana uspokoić, nie jestem szaleńcem – oznajmił Słupecki. – Wszystko, co mówię, zdarzyło się naprawdę, ja jedynie dostosowuję chwilowo realia, byś mnie pan dobrze zrozumiał. Po jakimś czasie pojmie pan, o co mi chodzi, ale nic na siłę. A więc tedy skończyły się moje doczesne męki. W myśl starych prawideł diabeł zabrał duszę, robaki ciało, a rodzina majątek. Nie dane mi było jednak zaznać spokoju. Pochowano mnie na cmentarzu Dominikanów przy małym kościółku, gdzie dręczyłem i przerażałem czcigodnych mnichów, spacerując jako słup ognia po okolicy. Raz opat tak się mnie przestraszył przed jutrznią, że padł bez ducha i doszedł do siebie po kilku dniach. Rodzina, słysząc te wieści, zamówiła za mą grzeszną duszę tuzin mszy i próbowała zadośćuczynić pokrzywdzonym. Wtedy, właśnie tam zacząłem szczerze żałować za zło, które wyrządziłem. A teraz siedzę tu, razem z panem, by nie dopuścić do rozplenienia się innego zła, które rozpełzło się wszędzie wokół.

– Zaraz, zaraz. Chce mi pan powiedzieć, że pan umarł i zmartwychwstał? To jakiś nonsens!

Wyglądało na to, że Warkot ma ochotę wstać z ławki i puścić się pędem do domu, żeby jak najszybciej zapomnieć o tej dziennej marze, która zupełnie niewinnie spoglądała teraz na niego z uśmiechem na twarzy.

Nie ruszył się jednak. A cóż szkodzi dla rozrywki wysłuchać tego dziwaka? Będzie miał co opowiadać kolegom ze studiów i z pracy, oni uwielbiali takie historie.

– A więc słucham, co było dalej?

– Pańskiemu ojcu Stanisław na imię? A dziadowi Maurycy?

– Tak, a skąd pan. ?

– Ja wiele wiem i wiele widziałem. Czy zna pan zamierzchłe losy swej rodziny? Otóż musi pan wiedzieć, że pańska rodzina była kiedyś bardzo zamożna i znaczna.

„To prowokator, ani chybi prowokator” – pomyślał Warkot.

– Od czasów króla Władysława Pierwszego pańska rodzina trudniła się bardzo zacnym kunsztem, niecodziennym i niespotykanym ani w Królestwie Polskim, ani w Wielkim Księstwie Litewskim.

– Władysława Pierwszego? Jagiełły znaczy się? Co mi pan tu. Skąd może pan to wiedzieć?

– Mówiłem już, że wiele wiem i wiele widziałem.

– Moja rodzina była bogata, no i co z tego? Zaborcy wszystko zabrali.

– Tyle że nie wie pan, w jakich okolicznościach. Będzie czas, to porozmawiamy sobie o tym dłużej. Teraz musi pan wiedzieć jedno. Z powodu swej krwi, z powodu swego pochodzenia, jest pan ostatnią nadzieją boskiej równowagi, którą zachwiano w sposób straszliwy, odwracając uwagę od rzeczy ważnych i ważniejszych. Mam tu coś dla pana, żeby mógł pan przemyśleć to i owo.

Słupecki wyciągnął zawiniątko z kieszeni kamizelki i podał je Warkotowi. Kiedy młodzieniec je rozpakował, jego oczom ukazał się prosty, stary sygnet z krwawym oczkiem i srebrnym hufnałem pośrodku.

– Pański dziad, Maurycy Warkot, zastawił tę błyskotkę, żebyście z głodu nie pomarli. Zrobił to wbrew temu, czego go nauczono. Dopiero los sprawił, że tu, w polskim Wrocławiu, za sprawą dwóch obwiesiów klejnocik ten znalazł dawnego właściciela. Pamięta pan noc na Hohenzollernstraße? Jakiś szabrownik złapał? Co wtedy ukradł ze skrytki?

Warkot oniemiały wpatrywał się w kamień, który zdawał się mienić i zmieniać barwę od jasnoczerwonej do prawie czarnej. Przypomniał mu się tamten wieczór na wrocławskim Dzikim Zachodzie, kiedy jeszcze nosił mundur. Dwóch cwaniaków chciało okraść dom starej Niemki, którą ktoś zastrzelił. Jeden z nich został brutalnie zamordowany, pewnie przez współnika. Warkot przypomniał sobie to niesamowite uczucie, upiorną aurę, która wisiała w tym domu niczym parujący ochłap z jatek. Dom, który stał nieopodal jego własnego lokum na ulicy Krzyckiej przy parku.

– Ale skąd. ? W jaki sposób?

– Sam widzisz, że sygnet rozpoznaje potomka rodu Warkotów. Widzisz, jak się mieni? Same dzieje tego klejnociku od kantoru do wrocławskiej willi są fascynujące. Dość na tym, że odzyskałem dla ciebie rodowy klejnot i teraz go oddaję we właściwe ręce.

– Dlaczego mi go pan daje? Przecież musi być sporo warty.

– Powiedzmy, że zwracam klejnoty rodowe prawowitemu właścicielowi. Kruszec jest niewiele warty, bo to tylko srebro, kamień więcej, gdyż to najprawdziwszy krwawnik, ale jego wartość historyczna jest dużo większa. Nie mówiąc o jego innych właściwościach. Pochodzi z XVI wieku, jest co prawda dość niepozorny, ale zyskuje przy bliższych oględzinach. Proszę go założyć. No tak, pasuje jak ulał. Radziłbym jednak odwrócić kamień do dołu, bo niepotrzebnie zwraca uwagę. Nie chcielibyśmy, żeby nowa władza zaczęła kopać w pańskim chłopskim pochodzeniu.

– Ale ja nie mogę go przyjąć!

– Przyjdę do pana za kilka dni, kiedy trochę pan ochłonie. Wtedy porozmawiamy i opowiem coś więcej. Na razie muszę zniknąć. Czas na mnie.

Warkot siedział zamyślony, wpatrując się w sygnet. Srebrny hufnal lśnił w słońcu, a kamień pulsował uwodzicielskim kolorem.

„Ki czort?” – była to odruchowa myśl Jana Warkota, przyzwyczajenia językowe nie zmieniają się tak szybko jak przekonania.

Podniósł wzrok, ale ze zdziwieniem spostrzegł, że nieznajomy zniknął. Krwisty kamień nie pozwalał zapomnieć o spotkaniu i dziwnej opowieści.

Jan Warkot wracał do domu pogrążony w myślach, prowadząc rower. Na ramie dyndała zapięta na dwie klamry skórzana teczka. Otworzył skrzypiącą furtkę i odruchowo obejrzał się za siebie. Ulica zdawała się zupełnie opustoszała, choć drzewa po drugiej stronie rzucały cień pozwalający odpocząć od upału.

Warkot zamknął za sobą furtkę i wszedł do domu zajmowanego przez kilka rodzin. Zostawił rower w holu i powłókł się po drewnianych, dębowych schodach do swego pokoiku na poddaszu. Zamknął za sobą drzwi, usiadł na chybotliwym krześle i zwiesił głowę, zastanawiając się nad słowami tajemniczego jegomościa. Na serdecznym palcu lewej dłoni wciąż tkwił widoczny dowód tego spotkania. Wstydliwie obrócony do wewnątrz dłoni kamień rzucał krwiste refleksy, nawet bez udziału odbijającego się od niego światła.

„Tak, przypominam sobie – rozmyślał Janek. – Patrolowaliśmy tę okolicę, bo wokół wszędzie było niebezpiecznie. Co wtedy ściągnęło naszą uwagę? Błysk lampy w ciemnym domu? Odgłosy intruzów? Coś takiego”.

Wiedział tylko, że coś się wydarzyło, i jako znany służbista musiał to sprawdzić.

„Wywieźli gdzieś tego, co przeżył. W skrytce znalazłem garść biżuterii i pistolet z dwoma magazynkami. Może to były łupy wojenne syna starej, Heinego, czy jak mu tam było?”

Za starą biżuterię w powojennej zawierusze można było kupić drogocenne towary, takie jak mięso, masło. Wymieniano ją po paskarskim przeliczniku, bo przecież błyskotkami się człowiek nie naje, a żyć się chciało. Przedmioty te zginęły gdzieś w drodze z posterunku do centrali.

Ale to nie jego zmartwienie, bo on podpisał raport dotyczący znalezienia łupów. I jak niby ten cały Słupecki je przejął? Było tylko jedno wytłumaczenie – przekupstwo. Musiał rzucić garść zielonych banknotów krasnoarmiejcowi, a oni mieli tam taki bajzel, że nikt nie zauważył zniknięcia jednej rzeczy. Ale skąd o niej wiedział? Jak skojarzył krwawy sygnet z nim? Wszystko, co mówił, kwalifikowało się do zabrania na Podwale już po pierwszym zdaniu, albo do wariatkova. W tej właśnie kolejności.

I co on mówił o tym, że zło się rozpleniło? To już była jawna prowokacja. Bo niby jakie zło? Najdoskonalszy z ustrojów zapanował w Polsce dzięki wsparciu radzieckich sojuszników. Wymiano panów i obszarników, a teraz ścigano sabotażystów i burżuazyjną reakcję. Chcieli powrotu generała Andersa na białym koniu, psiekrwie. To musi być robota wrogów ojczyzny!

Powinien o tym zameldować? Ale komu i jak? Jak wytłumaczy w tym swój udział, nie zdradzając tego, co usłyszał od Słupeckiego? Poza tym brzydził się donosicielstwem, choćby w słusznej sprawie. W każdym kapusiu było coś nieczystego, jakieś złe intencje, które później ujawniały prawdziwą twarz. I jak niby mieli znaleźć tego jegomościa? Pełno teraz było takich reliktyw minionej epoki. Co to nie orzą, nie sieją...

Odruchowo znów przyszła mu do głowy biblijna sentencja. Wzdrygnął się na samą myśl.

Poza tym Słupecki wzbudził w nim sympatię, choć sam nie chciał się przed sobą do tego przyznać.

Otworzył kajet, starając się skupić na przedostatnim kolokwium przed egzaminami końcowymi. Jego wzrok błądził po przekrojach, zębatkach i naciągach nakreślonych wprawną dłonią na kartkach zeszytu. Tutaj odnalazł upragniony spokój. Wszystko było skomplikowane, ale zarazem proste, bez tajemnic i historii z zamierzchłych czasów.

A jeśli pochodził z bogatej rodziny, to co z tego? Od krewnych dzieliły go dziesiątki, setki lat. On był już człowiekiem nowych czasów. Sygnet, owszem, nawet jeśli to prawda, co mówił Słupecki, był ładną błyskotką, niczym więcej.

Warkot nie posiadał żadnych zdjęć ani innych pamiątek rodzinnych, więc czemu nie? Nie może tylko go zbyt eksponować, bo rzeczywiście zrobią się z tego kłopoty. Ale wielu teraz nosiło sygnety i obrączki, które bynajmniej nie były rodzinnymi pamiątkami. Kupione na targu, albo zdobyte w inny sposób. Taka już ludzka natura i żadna ideologia nie była tego w stanie zmienić.

Janek usłyszał jakiś odgłos za oknem i odruchowo spojrzął na ulicę przy parku. Zobaczył, jak czarna limuzyna wolno sunie po asfalcie. Pobieda była tak wypolerowana, że aż błyszczała w świetle zachodzącego słońca. Za przyciemnionymi szybami nie dało się dostrzec ani kierowcy, ani pasażerów.

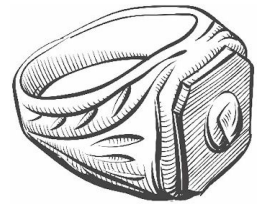
Warkot zastanawiał się, co sprawiało, że samochód robił wrażenie tak niesamowitego. Po chwili zrozumiał. Wóz wyglądał, jakby przed pięcioma minutami zjechał z linii produkcyjnej, opony z białymi okręgami wokół felg wręcz lśniły nowością, a wszystkie chromowane elementy błyszczały tak, że można się było w nich przeglądać jak w lustrze. Na lakierze nie dostrzegł ani jednej ryski.

Samochód zwolnił jeszcze bardziej, na wprost mieszkania Warkota, po czym ruszył z piskiem opon, jakby kierowca i pasażerowie obawiali się, że bystry wzrok młodzieńca przebije się w końcu przez zaciemnione szyby. Warkot patrzył wciąż w miejsce, w którym przed chwilą stała maszyna.

Nie wyglądało to na przypadek. Był to kolejny, pozornie niepowiązany z resztą element niewytłumaczalnego, który pojawił się w jego życiu w ciągu kilkunastu ostatnich dni.

Do tej pory jego życie było proste i poukładane. Miał cel – skończenie studiów oraz pracę w drukarni. Może poznanie jakiejś miłej dziewczyny, z którą związałby swoje życie, założył rodzinę. Po kilku latach otrzymałby wymarzone mieszkanie. A tu najpierw dziwaczny sabotaż w drukarni, potem krwawa łuna nad parkiem, spotkanie ze Słupeckim, sygnet i teraz ten dziwny samochód.

Janek nie miał jednak na to wpływu. Strach powoli zaczął brać górę nad rozsądkiem.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

ONOMATOPEICZNY...

O godzinie siódmej rano majster Kapusta wyszedł z aresztu śledczego przy Sądowej. Metalowe drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem. Wychodził na wolność, ale ostatni tydzień był jednym z najcięższych w jego życiu. Przesłuchiwało go dwóch smutnych na zmianę, nie pozwalając spać ani zebrać myśli.

Nie próbowano go przekabacić czy skłonić do współpracy, bo śledczy, poznawszy już dostatecznie dobrze naturę ludzką, wiedzieli, że Kapusta, dumny robotnik z dziada pradziada, nie jest materiałem na współpracownika. Ani prośbą, ani groźbą nie byłoby go w stanie złamać. Poza tym więzień jest wykwalifikowanym fachowcem, o których było teraz trudno. Zresztą kiedy siedział w areszcie, w mieście zdarzyło się jeszcze kilka innych niewytłumaczalnych zdarzeń, w których nie mógł brać udziału.

Majster zdawał sobie sprawę, że niewielu zatrzymanych wychodzi na wolność tą furką i dziękował Bogu za uratowanie skóry. Groziło mu do piętnastu lat ciężkiego więzienia. Był niewinny, więc postawił wszystko na jedną kartę i przetrzymał ciągnące się w nieskończoność śledztwo. Dotknął dłonią opuchniętego policzka i syknął z bólu. To nic, do wesela się zagoi. Zaklął siarczyście w myślach, zerknął w prawo i spojrzał mściwie na posąg Temidy nad wejściem do sądu. Miała zawiązane oczy, w jednej ręce trzymała wagę, a w drugiej miecz.

„Pałę powinnaś trzymać, suczo jedna” – pomyślał mściwie, bo wydawało mu się, że posąg uśmiechnął się złośliwie.

Kapusta ruszył ociężałym krokiem w stronę fosy, kierując się najpierw do pracy. Obowiązek przede wszystkim, poza tym w domu nikt na niego nie czekał.

Kapusta przeszedł przez ulicę Nowotki i dotarł do schodów wiodących na plac Solny. W wąskim przejściu minęło go parę osób i miał wrażenie, że wszyscy wiedzą, skąd wraca. Po lewej od wyjścia znajdowała się biblioteka Kazanowicza, znanego kolekcjonera i bibliofila. Jak zwykle kręciło się tam grono żądnych wiedzy studentów. Biblioteka była również miejscem spotkań wrocławian. Kapusta przeszedł przez Solny, mijając stragany kwiaciarek.

Po lewej stronie, chyba w odwecie za Festung Breslau, odnowiono przedwojenną stację benzynową, która przy bryle ratusza wyglądała niczym drewniana wygodka pośrodku wersalskich ogrodów. Tramwaj, wiozący nocną zmianę z pracy do domu w drodze na Księżę Małe, minął mężczyzną, dzwoniąc głośno. Gdy w końcu Zdzisław dotarł na Oławską, przechodząc obok rusztowania przy odbudowywanych kamieniczkach na południowej pierzei Rynku, natknął się na Jana Warkota, ulubionego praktykanta, który zsiadł już z roweru i szedł w kierunku drukarni.

- Dzień dobry, panie majster!
- Jak się masz, Janku?

– Wypuścili?
– A co mieli ze mną robić? Ja się tam nie nadaję.
– Wszyscy myśleli o panu. Niepokoiliśmy się.
– Jasne. Uwierzę, jak zobaczę. Nie wiem, czy koledzy w ogóle mnie poznają. Nawet nie wiem, czy tu jeszcze pracuję.
– Ależ, panie Zdzisławie, taki fachowiec...
– Już widywałem fachowców, co węgiel do piwnic zrzucali, za długo żyję.
– Nie, nie mogę w to uwierzyć.
– Szkoda gadania, chodźmy, zobaczymy, czy mnie wartownik wpuści.
Uzbrojony w mosinę wartownik wpuścił ich bez problemu, choć jak mógł, unikał wzroku Kapusty.

– A nie mówiłem, trędowaty jestem – powiedział majster.

– Idę do pana Zagnębiaka, chyba pójdzie pan ze mną?

– A tak, muszę się zameldować.

Główny technolog minę miał nietęgą. Też się bał, ale nie miał żadnego polecenia, by zwolnić Kapustę. I tak majster będzie pod obserwacją, bo może jednak nie była to pomyłka.

– Panie Zdzisławie, widzi pan, jak te psiekrwie potrafią namieszać? Żeby tak porządnemu człowiekowi koło piór narobić, że aż musieli się tu nasi chłopcy z Podwala fatygować. Bo przecież to była pomyłka, prawda? – zapytał Zagnębiak z nadzieją w głosie, jednocześnie badawczo zaglądając Kapuście w oczy.

Nie było przecież wiadomo, czy nie został wysłany tu na przespiegi. Należało zachować jak najdalej posuniętą ostrożność. Nie wypuszczają nikogo na piękne oczy.

– A pomyłka, pomyłka – potwierdził Kapusta. – Ktoś musiał pójść za kratki. A że jestem niewinny, a niewinnemu zawsze wiatr w oczy, więc padło na mnie. Czy wszystko się już wyjaśniło?

– Tak, książka wydana. To musiał być jakiś jednorazowy sabotaż. Dobrze, że pan wrócił. Co byśmy bez pana poczęli?

– A produkcja idzie? Nie ma przestojów?

– Nie, ale wiadomo, co ręka majstra, to ręka majstra. Kiedy już pan wróci na produkcję, to wszystko będzie szło jak po maśle.

– Po maśle, hę? Ależ te moje drukarczyki musiały gadać, czułem żar w uszach.

– Nie, wszyscy rozumieją, że różne rzeczy mogą się przydarzyć.

– E tam. No to co, panie Zenonie, co mamy teraz na tapecie?

– Mapy będziemy robić. To precyzyjna praca, więc dobrze, że pan wrócił. Janku, mam też tu coś dla ciebie.

Zagnębiak schylił się i podniósł kartonowe, płaskie pudło, po czym wręczył je Warkotowi.

– Co to?

– Obiecałem, dotrzymałem słowa. To deska kreślarska. Złożona. Zmontujesz sobie w domu.

– Wspaniale. Dobrze, że przed pracą końcową. Przyda się, jak znalazł.

– Rozmawiałem też w twojej sprawie. Nigdzie cię stąd nie puszcę. Chcieli cię zabrać na odpracowanie do Nowej Huty, ale powiedziałem, że jesteś tu potrzebny, bo mamy mało wykształconych drukarzy. A więc nie będziesz musiał gumiaków fasować ani kufajki dobierać. Tam robota ciężka, niech sobie architektów biorą.

– Bardzo dziękuję, panie Zenonie, naprawdę. Gdzie ja bym się tam z dala od Wrocławia na poniewierkę pisał...

– No właśnie, tych kilka lat minie jak z bicza strzelił i potem dostaniesz prawdziwy angaż na inżyniera u nas w drukarni. A może i mieszkanie zakładowe da się załatwić.

– A wie pan, panie Zenonie, że ja nawet lubię to swoje poddasze? – Warkot uśmiechnął się szeroko. – Zielen blisko, spokojna dzielnica. No i ruchu można zażywać na rowerze.

– Dobrze już, dobrze. Mamy obiecane dwie klatki w domach, które będą stawiać niedługo na KDM-ie. Wtedy miałbyś dwa kroki do roboty. A do parku w niedzielę możesz sobie pojechać. Jakbyś jeszcze jaką miłą pannę przygruchał, to może i dwa pokoje by się trafiły. Widna kuchnia, balkonik...

Warkot nerwowym gestem przecesał włosy. Krwisty rubin załśnił tajemnicą wewnątrz dłoni.

– O, widzę, że nasz student w piórka obrasta – rzucił kpiarskim tonem Kapusta. – Może się do jaśnie paniczów zapiszesz?

Warkot błyskawicznie opuścił dłoń. Zaczerwienił się po uszy.

– Nie, to tylko tak dla draki. Błyskotka.

– Dobrze, już dobrze – powtórzył Zagnębiak. – Ruszajcie, towarzysze, do roboty, bo prasa stygnie.

Kapusta przed wyjściem rzucił jeszcze pogardliwe spojrzenie Zagnębiakowi, po czym skierował się do wyjścia. Warkot też poszedł, po deskę miał się zgłosić po pracy.

Powitanie majstra na dole w maszynowni miało charakter ostrożny i formalny. Przyjęto do wiadomości, że popełniono błąd, ale na wszelki wypadek nikt się nie wychylał z serdecznościami, bo zawsze mogli się pomylić w drugą stronę.

Nic sobie z tego nie robiąc, Kapusta rzucił się w wir pracy z nieodłącznym petem tłącym się w kąciku ust. Po uwolnieniu wstąpił w niego nowy wigor i tylko boląca szczeka i urażona duma przypominały mu, gdzie spędził ostatnią noc. Był jednak twardym człowiekiem i praca ruszyła z kopyta, gdy tylko przejął ster dowodzenia w maszynowni. Dźwięki dochodzące z drukarni włączyły się w głos Wrocławia.

Bo miastem w przebudowie rządziła wszechobecna onomatopeja, wyznaczając jego rytm stukotem kielni o cegły, zgrzytem archaicznych tacek z kołami jak u rydwanów, dzwonekami tramwajów i krokami podkutego obuwia. Jedne stąpały statecznie – *stuk, stuk, stuk*. Inne spieszyły dokąds, pozostawiając za sobą dźwiękowy kilwater – *stukstuk, stukstuk, stukstuk*. A te najstarsze szurały po nierównych chodnikach, starając się wpaść w miarowy rytm, czasem wspomagany kontrapunktem odgłosów drewnianej laski z żelaznym okuciem – *stuk, stuk, puk, stuk, stuk, puk*.

Szewcy zacierali ręce, bo na nierównych wrocławskich drogach łatwo zgubić fleki, więc pracy dla nich nie brakowało. Oczywiście podkuwanie butów było anachroniczną koniecznością, bo o obuwiu należało dbać. Często też wymieniano fleki wyłącznie na nowe, by wzmocnić owo stukanie i zadać szyku w towarzystwie. Jakaż to była piękna melodia na posadzkach remontowanych gmachów różnych instytucji. Od razu się słyszało, że idzie KTOŚ, a nie jakiś obdartus.

Pojawiały się, co prawda, pierwsze buty na „słoninie” – jasnej, grubej, gumowej podeszwie – które nie wydawały w ogóle odgłosów stukania, mlaskały tylko jakoś tak dziwnie, ale jeszcze stanowiły rzadkość. Stukot obuwia kojarzył się z lepszymi, starymi czasami, z oficerską fantazją, z młodzieńczą fanfaronadą, i odgłosy te, z czego większość podkuwających nie zdawała sobie sprawy, nawiązywały do brzęku ostróg, którego echo wciąż rozbrzmiewało w gotyckich świątyniach Wrocławia.

Nieopodal gmachu filologii znajdował się kościół Najświętszej Marii Panny na Piasku, który – jak wieść niosła – ufundował wrocławski komes, Piotr Włost, w pokucie za jakieś zatarte przez czas grzechy. Była to postać, do której bardzo często odwoływała się nowa władza, bo choć normańskiego herbu Łabędź, był jak najbardziej Polakiem i ulubieńcem księcia Bolesława Krzywoustego, który w XII wieku twardą ręką dzierżył władzę na tych terenach.

Dopiero w 1335 roku po śmierci Henryka VI Wrocław wraz z całym księstwem wszedł w skład Królestwa Czech na mocy wcześniejszych umów, kończąc nieodwracalnie pewien okres w historii miasta. Jednak władza odwoływała się przede wszystkim do wczesnych dziejów Wrocławia, chcąc podkreślić jego polski charakter, choć istniały tu już wtedy osady walońskie i niemieckie. Paradoksalnie Czesi panowali we Wrocławiu dłużej niż domagający się tego prymatu Niemcy, ale i to dało się podciągnąć na siłę pod czas panowania Słowian na tych terenach.

Prawda była taka, że Wrocław, jako miasto pogranicza, pozostawał ośrodkiem otwartym i trudno jednoznacznie stwierdzić, która nacja dominowała tu w XV wieku. Nazwiska wielmożów były często ewidentnie polskiego pochodzenia, choć przetrwały w zniemczonej postaci. Zmieniła to dopiero reformacja, burzliwy okres w historii miasta, na skutek dominacji protestantyzmu o zdecydowanie germańskiej proweniencji. Tupot stóp uczestników miejskich tumultów wciąż dudnił w przepastnych wnętrzach kościoła Świętej Marii Magdaleny, który był pierwszą świątynią przejętą przez protestantów po kazaniu, jakie wygłosił tam niejaki Jan Hess. Na styku Rynku i placu Solnego słysząc też było odgłosy kroków skazanych na spalenie na stosie kobiet, które w połowie XVII wieku zostały oskarżone o udział w sabacie czarownic. Do tej pory nie wiadomo, czy nie bezpodstawnie. Nałóg palenia, jak powszechnie wiadomo bardzo niezdrowy, plenił się w tych czasach we Wrocławiu na potęgę.

W mieście nowe odgłosy kroków mieszały się ze starymi, tworząc pozornie chaotyczną, lecz w gruncie rzeczy bardzo spójną melodię przeplatających się historii i współczesności. Uważny słuchacz potrafił wychwycić je wszystkie. Wystarczyło stanąć na rogu którejs z ulic Starego Miasta, wyłączyć się, odseparować od dźwięków

dochodzących z zewnątrz i utkwić wzrok w fasadzie jednego z budynków. Po chwili takich obserwacji przestawał przeszkadzać upał, bo zimno robiło się na samą myśl o tym, co kiedyś tu się działo.

Nieopodal z okien ratusza wyrzucono rajców miejskich na fali defenestracyjnej mody prosto z Pragi. Co prawda, jak mówiła legenda, w Pradze rajcy spadli na kupę gnoju i obyło się bez większego uszczerbku na zdrowiu. We Wrocławiu można było usłyszeć krzyki i jęki wielmożów, którzy mieli nieszczęście spaść na nastawione na sztorc piki. Obyczaj karania rozbuchanych rządzących wymarł samoistnie, pozostawiając po sobie jątżącą pustkę oraz nieutulonych w żalu obywateli.

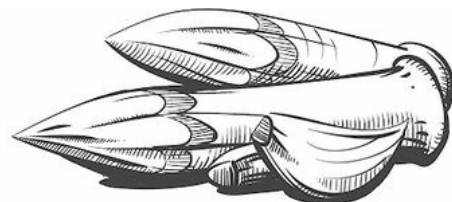
Tym bardziej że teraz nie składowano nawozu w centrum miasta i skutki takiego przejawu niezadowolenia z kiepskich rządów w mieście byłyby zgoła inne.

Równie wyraźny był stukot okutych butów oddziałów wojska, czeskiego, pruskiego i niemieckiego, które często wylegało na Rynek, czy to maszerując w paradzie, czy też spiesząc, by bronić swoich protektorów przed miejską tłuszcą. Bywało też, że wojsko stacjonowało tu, aby wymóc na Radzie Miejskiej zaległy żołd, i wtedy odgłosy tupania stawały się głośniejsze, agresywne, napastliwe. Pod koniec wojny doszły jeszcze zgrzyty i szczęki gąsienic czołgów oraz pojazdów opancerzonych przemierzających miasto, ryk silników i wydawane ostrym tonem rozkazy.

Spokojna i leniwa na co dzień Odra potrafiła również pokazać drugą twarz i regularnie zatapiała leżące w niecce miasto, gdy śnieg z potoków w Sudetach topił się przedwcześnie i całą swą szumiącą, kipiącą i ryczącą masą spadał na Bogu ducha winnych mieszkańców. Rzeka wymiatała brud i nieczystości ludzkie, pozostawiając po sobie szary, kleisty szlam. W większości zbudowane z drewna miasto było też ofiarą częstych pożarów, których rozszalałe płomienie skakały z jednego budynku na kolejny, strzelając iskrami, trzaskając pękającym drewnem i sycząc wściekle w poszukiwaniu nowego żywiciela.

Wszystko to składało się na melodię, chóralną litanię Wrocławia. Muzyka zagnieżdżyła się w murach, kamienicach, kościołach i w samym miejskim bruku. Była to kronika miasta, niepisana i niezamierzona, wciąż żywa wśród zmieniających się pokoleń mieszkańców. I pomimo że zagłuszano ją masowymi pieśniami, jakimś cudem przebijała się do uszu wrocławian, wybijając rytm stapiający obywateli w jedną całość z Wrocławiem.

Było to tętno miasta.



ROZDZIAŁ ÓSMY NA PSA UROK...

W upalny początek lata mieszkańcy wybierali się gremialnie na Oporów albo na glinianki, żeby zaznać nieco ochłody. Bujna roślinność maskowała gruzy i ruiny, nadając im nieco inny, pogodniejszy charakter. Zapomniano o złowieszczych czarnych limuzynach, które kursowały po mieście, wioząc rozmaitych dygnitarzy. Linie tramwajowe wydłużały się, by dowozić mieszkańców z pracy do domu i z domu do pracy, gdyż na obrzeżach miasta wojna oszczędziła zabudowę i to właśnie tutaj znajdowały się największe sypialnie Wrocławia.

Uruchomiono specjalne linie dla robotników, bo niejednokrotnie musieli codziennie pokonywać trasę kilkunastu kilometrów, by przejechać przez miasto. Otwierano bary mleczne, w których można było raczyć się pierogami czy plackami ziemniaczanymi popijanymi maślanką z ciężkich, ceramicznych kubków.

Były też piwiarnie pod chmurką wpisujące się w wielowiekową tradycję Wrocławia. Na długich ławach stawiano ciężkie, litrowe kufle pełne orzeźwiającego napoju i popijano go na stojąco. A jak ktoś przy tym przesadził, to spokojnie, chwiejnym krokiem maszerował na przystanek, by wrócić do domu na spotkanie wiecznie niezadowolonej małżonki. Gromiła, oficera śledczego, szlag trafiał, kiedy myślał, z jaką chęcią by do nich dołączył.

– Psia mać! – zaklął, nie pamiętał już który raz, pochylając się nad świeżo wyciągniętym z Odry trupem.

Że też to na niego padło. Sprawa ewidentnie kryminalna. W kostnicy czekały już cztery podobnie okaleczone ciała. W tych trudnych czasach trzeba było uważać, żeby nie wleźć w paradę Urzędowi Bezpieczeństwa Publicznego i innym podobnym służbom, których namnożyło się ostatnio co niemiara, a on, co to dużo mówić, był nowy w tym fachu, tylko dlatego, że rozwikłał zagadkę zaginionych wagonów oraz nakrył jednego bandziora na gorącym uczynku. Skończył kursy, odbył praktyki i teraz rzucili go na odcinek kryminalny, bo służba polityczna omijała ten temat, jak mogła.

Gromiła awansowali po szkółce, dostał drugą gwiazdkę i tę śmierzącą sprawę, którą podrzucono mu jak gorący ziemniak. Nikt nie wiedział, co o tym myśleć. Denatów nie mógł zagryźć pies ani inne zwierzę, bo rany byłyby inne. Ta tutaj wyglądała na precyzyjne i czyste nacięcie chirurga na tętnicy szyjnej, jakby ktoś wbił widelec do pieczeni w odsłonięty fragment bladej skóry. To ciało, o nieustalonej jeszcze tożsamości, wyłowiono z Odry, ale miało takie same obrażenia. Śmierć nastąpiła najprawdopodobniej w wyniku odsączenia krwi bądź szoku pourazowego. Trzeba by mieć jakąś pompę, żeby z dorosłego faceta utoczyć z pięć litrów i nie uronić nawet kropelki.

Pojawiła się hipoteza, że może to jakieś dzikie zwierzę uciekło z zoo, korzystając

z powojennego zamieszania. Tyle że specjaliści od dzikich zwierząt też rozkładali bezradnie ręce, nie znali żadnego gatunku drapieżnika, który tak okrutnie rozprawiłby się z upolowaną zdobyczą. Podejrzenie padło na jakiś nieznany gatunek nietoperza, ale te największe, ssące krew brazylijskich krów, obsiadały bydło chmarą i delectowały się trunkiem przy zupełnej nieświadomości ofiary, której wpuszczały do organizmu znieczulającą ból ślinę. A nakłucia na znalezionych ciałach były zawsze dwa. Na ich widok salowa pracująca w kostnicy zęgnąła się zabobonnie trzy razy, kiedy myła podłogę.

Gromiłowi też zrobiło się jakoś tak nieswojo na widok pierwszego ciała, tramwajarza, który wyszedł do pracy, ale nigdy do niej nie dotarł. Świadek, Halina Stój, znalazła jego zwłoki w krzaku rododendronów w parku przy pergoli. Wrzasku przy tym narobiła takiego, że najgroźniejsza bestia, gdyby jeszcze kręciła się po okolicy, dałaby drapaką, aż by się za nią kurzyło. Kiedy Gromił zobaczył tramwajarza, nie wiedzieć czemu, włosy stanęły mu dęba, a na przedramionach wyrosła gęsia skórka.

„Musi być jakieś logiczne wytłumaczenie – myślał. – O tak, musi to na Rusi, w Polsce jak kto chce”.

Oczywiście nie powiedział tego na głos.

Milicjant dysponował zeznaniami świadków – fragmentarycznymi i chaotycznymi. Po tych, którzy widzieli denatów w ostatnich minutach życia, wszelki ślad ginął. Mówiono o czarnym samochodzie, o niewysokim mężczyźnie w ciemnym płaszczu i tym podobne bzdury, które zawsze wygadywali świadkowie, chcąc choć raz znaleźć się w centrum wydarzeń. Denatów – czterech mężczyzn i jedną kobietę – znaleziono na łonie natury, z wyjątkiem jednego – księgowego Tadeusza Skrupulatnego, który został porzucony na schodach kamienicy na ulicy Podwale niczym znoszony płaszcz, paradoksalnie dwieście metrów od komendy milicji i cieszącego się złą sławą gmachu Bezpieczeństwa Publicznego na tej samej ulicy.

Mieli już tam na katafalkach przedstawicieli różnych zawodów w różnym wieku, i do tego jeszcze szwaczkę, Zofię Cudną, gorącą wdówkę, która wracała z suto zakrapianej libacji w uspołecznionym zakładzie szwalniczym, gdzie obchodzono z przytupem rocznicę zakończenia wojny. Jej rozliczni adoratorzy w jednej chwili odcięli się od tej znajomości, podkreślając, że są szacownymi mężami i ojcami dzieci, owszem, była to ich koleżanka z pracy, ale nic więcej. Poza tym żaden z nich nie wyglądał na psychopatycznego mordercę i po nocy spędzonej na twardych dechach bez sznurówek i krawata aż przykro było na nich patrzeć.

Pani Zofia odnalazła się nad ranem na brzegu stawu w parku Południowym, ku szczeremu zaskoczeniu pływających tam kaczek. Ptaki uniknęły aresztu, choć panowało powszechne przekonanie, że im tylko tak pocziwie z oczu patrzy, a w rzeczywistości to krwiożercze bestie.

Gromił spojrzął na wydobytego z rzeki nieboszczyka. Denat miał na sobie garnitur, a z butonierki sterczał mu przywiedły już nieco goździk. Jeszcze przed chwilą pływał sobie w odrzańskim kanale twarzą do dołu. Ponieważ Odra nie była naturalnym

środowiskiem piranii czy innych rekinów ani też gigantycznych pijawek bądź ośmiornic, fauna i flora najwyraźniej unikną zarzutów prokuratorskich. Nie poprawiło to bynajmniej Gromiłowi humoru, bo oznaczało, że stanął oko w oko z trupem, który nie dość, że nie miał przy sobie dokumentów, to jeszcze utrudniał śledztwo, nie wnosząc nic charakterystycznego do materiału dowodowego.

Stefan Gromił był zielonym śledczym, ale nie na tyle, by dać sobie odebrać inicjatywę.

– Na sekcję z nim i sprawdzać wśród zaginionych. Kto nie wrócił do domu, kto nie stawiał się w pracy. – rzucił do milicjanta w mundurze.

– Taa jest, obywatelu poruczniku! – zakrzyknął sierżant Fajans, aż z nadbrzeżnego drzewa poderwało się stadko wróbli.

Gromił rozejrzał się dookoła. Kanał rzeczny był umocniony kamiennym stokiem na tyle wysokim, że powinien zdołać przyjąć falę powodzi, o której wiedziano tyle, że prędzej czy później się pojawi. Nurt był tutaj dość silny, więc równie dobrze trupa mogło przynieść z daleka i zakotwiczył na nabrzeżu, po którego stronie rósł rząd platanów zasadzonych jeszcze przez Niemców. Z kolei na brzegu, na którym stali milicjanci, uchowało się kilka starych kamienic zamieszkiwanych teraz stadnie przez wielopokoleniowe rodziny wrocławian. Gdzieś w pobliżu zagdakała kura, najwyraźniej hodowana na balkonie. Mieszkańcy wykorzystywali każdy skrawek budynku, więc dlaczego nie do hodowli? Jajko można świeże zjeść, albo dwa, jak nośna.

Gromił, sam pochodzący z małego miasteczka na Mazowszu, spojrzął z niesmakiem w stronę balkonu mieszkania zajmowanego przez zabużańską dzicz. Może coś jednak widzieli? Pośle chłopaków, niech popytają. Denat najwyraźniej pokonał dłuższy odcinek kanału i zatrzymał się tu na lekkim łuku, unikając przejścia przez służę po drugiej stronie mostu. Było to miejsce, gdzie wylawiano największą liczbę topielców, których szczątki pokrywały rzeczne dno od wielu lat.

Ciepły dzień zmieniał się w ukrop. Gromił z irytacją wytarł czoło i kark chustką.

– Jedziemy stąd. Nic tu po nas. Zabierzcie ciało, panowie – rzucił do pracowników zieleni miejskiej, którzy już czekali z noszami.

Na komendzie zajął się pisaniem długiego raportu z oględzin miejsca znalezienia zwłok. Wolałby nawet rowy kopać, byle tego nie robić. Uśmiechnął się do siebie, pomyślał, że wpisuje się tym samym w stereotyp gliniarza, który nienawidzi czynności biurokratycznych. Czyli zaczynał dopasowywać się do tej roboty.

Skrobał już zapamiętałe od godziny, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Do środka wsunęła się głowa sierżanta w czapce.

– Panie poruczniku, mamy świadka. Mówi, że mu kolega zaginął.

– No to co tak stoisz? Dawaj go!

– Jest już, czeka.

Do pokoju wszedł jegomość pod czterdziestkę w ciemnym garniturze identycznym jak u denata. Miał podkrążone oczy i dość niepewny chód, z których to objawów można było domniemywać, że wczorajszy wieczór upłynął mu w szampańskim nastroju.

– Kalinowski jestem, panie komisarzu, Józef Kalinowski.

– Poruczniku.

– A tak, panie poruczniku.

– Obywatelu, panów już nie ma.

– Oczywiście, panie. to znaczy: obywatelu poruczniku.

– Wejdźcie, siadajcie i mówcie.

– Już siadam, tylko jakbym mógł prosić kropelkę wody.

– Wody, powiadacie? No nieźle. Tam jest karafka, nalejcie sobie.

Drżąca dłoń Kalinowskiego mogłaby z powodzeniem posłużyć za probierz poziomu alkoholu we krwi, gdyby ktoś zadał sobie trud i pomierzył jej wahnięcia na boki. Widać było, że wczorajsza walka była zażarta i zacięta. Przeciwnik zaatakował z flanki, ale pierwszy szturm został odparty. Do tego pojawiły się posiłki i zakąski. Dopiero natarcie na drugą i trzecią nóżkę odniosło przewidziany skutek. Kalinowski skrzywił się, jakby mu ktoś głowę wsadził w magiel. I pewnie tak było.

– No to mówcie.

– Ja tego, panie. obywatelu poruczniku. Byłem z moim kolegą na imieninach. Takie niewinne spotkanie w prawie męskim gronie przy kuścyczku czegoś na rozgrzewkę. Za kołnierz nie wylewaliśmy, ale też bez przesady, w końcu każdy może napić się w kulturalnych warunkach.

– Gdzie odbyły się te imieniny?

– W Stylowej, pa. obywatelu poruczniku. My wszyscy z jednego zakładu, kolega tak ładnie prosił, więc przyszliśmy.

– Nazwiska. A nie, to może później, jak zbierzecie myśli.

– Mój kolega ze zmiany, Karczek Witold, poczuł się dość słabo, więc zaprowadziłem go kulturalnie do wuce. Kiedy oprzytomniał trochę, odzyskał werwę, ale uparł się, że on już musi do domu, że żona, że jest zmęczony. Nie chciałem go samego puścić, bo to czasy trudne i jeszcze mi się chłopina gdzieś zawieruszy. Ale ten nic, uparł się i szlus.

Wyszliśmy razem na świeże powietrze, żeby ochłonał i jakąś okazję złapał, coby go do domu zawiozła. A tu pusto, ani żywej duszy, ani samochodu, nawet śmieciarki się gdzieś pochowały. I nagle sunie po ulicy czarna fura niczym od ministra, błyszczą się jak psu, hekhem, no. jak łysina personalnego. Witek macha góralem, no i wymachał. Wóz staje, drzwi z tyłu się otwierają, a on hyc!, i już jest w środku. Nawet nie widziałem kierowcy, ale myślę sobie, co tam, pewnie po godzinach wziął sobie Witka na łebka, niech mu będzie.

Wracam do chłopaków, ale nie daje mi to spokoju, bo ja, wie obywatel porucznik, bardzo uważający jestem. No to łaps za telefon i do Witka dzwonię, a już po dwunastej było. Jak mnie ta jego stara obsobaczyła, jak zrugała, jak nawyzywała, że pijaki jej Witusia na zmarnowanie ciągną, że to taki spokojny i dobry człowiek, tylko my, parekselans. obywatelu poruczniku, jak te złe duchy na jego cześć nastajemy. Nawet nie zdążyłem o nic zapytać, bo ta do mnie: gdzie on jest, że ma natychmiast wracać, że dzieci płaczą, bo ojca swego na zapłakane oczki dziś jeszcze nie widziały. No to ja, że

przecież pojechał do domu już z godzinę temu i dawno powinien chrapać. Na to ona, żeby go nie bronił, nie krył, pyskata taka, żeby go wsadził do taksówki, bo pożałuję.

Zastanowiło mnie to, bo przecież piechotą ze Stylowej do Witka jakieś pół godziny drogi, no niechby nawet się zatoczył raz czy dwa przed bramą, to przecież nie szedłby ponad godzinę, zwłaszcza jak złapał okazję.

Jakiś taki strach mnie zdjął, bo to ludzie różnie na mieście gadają. Kiedy wychodziliśmy, świtało już. Napatoczył się patrol naszej kochanej milicji, która nas wszystkich zgarnęła na dołek, żebyśmy mogli trochę ochłonać. No to ja mówię do tego z szarżą, ale panie władzo, nasz kolega to chyba też jest już u was, choć to niepodobne, bo przecież pod sam dom zawieszony. A tamten coś rzucił do słuchawki i moich kolegów do przechowalni, a mnie ciupasem do pana. obywatela porucznika, że trzeba zgłosić zaginięcie.

A wyczekałem się. . I nic do picia nie dali, ale obywatel porucznik to co innego, ludzki człowiek, nad cierpieniem konającego się ulitował. To jak, Wituś znalazł się u was? Narozrabiał? Nie chcę myśleć nawet o jego starej, jak wpadnie do zakładu, to pierze będzie z nas drzeć, awanturnica jedna.

– Obywatelu Kalinowski. Doprowadźcie się do ładu. Zejdziecie z sierżantem Fajanssem do piwnicy. i zobaczycie zwłoki.

– W. włoki? Jakie wywłoki? Ja tam z najstarszym zawodem świata jestem na bakier, bo dostałem kiedyś prezent, co mnie dwanaście razy w tyłek kłuli. Ale jak obywatel porucznik upierający się jest, to proszę, na władzę nic nie poradzę.

– Zejdę z wami dla porządku. Proszę, idziemy.

– A to co innego, chodźmy.

Po kilku piętrach kamiennych schodów do Kalinowskiego zaczęło dochodzić, dokąd idą i w jakim celu. Drzączka alkoholowa ustąpiła tej zwykłej, lękowej. W drzwiach kostnicy zaparł się jednak i za nic nie chciał dać się zaciągnąć w głąb. Musiała nastąpić interwencja plutonowego, który wymownym gestem wyjął blondynę i zamachnął się nią w powietrzu, jakby chciał przetestować kauczukowy wyrób pierwszej jakości.

Kiedy lekarz sądowy odrzucił prześcieradło, Kalinowski zbladł, zakrył dłonie ustami i odwrócił się na pięcie.

– Umywalka jest tam. – Wskazał patolog.

Kalinowski przypadł do porcelitu i zwrócił wszystko, co z takim zapamiętaniem wtlaczał w siebie przez cały wczorajszy wieczór. Odkręcił wodę i zaczął obmywać sobie twarz. Po dłuższej chwili podniósł głowę znad umywalki.

– Co oni temu Witusiowi biednemu zrobili?

– Zabili go na śmierć. Teraz musimy złapać tych łajdaków. Pomoże nam obywatel.

– A pewnie, że pomogę. Pomogę, żeby ich tak szlag jasny, żeby w domu nie nocowali, żeby tak na trypra padli i musieli błagać o pomoc! Psiekrwie!

– No to pójdzie obywatel teraz z sierżantem i wszystko mu jeszcze raz opowie, podpisze protokół z okazania zwłok i może obywatel do domu iść.

– Ale. ale oni w tym aucie mnie też widzieli. Jakże tak do domu? To może chociaż do

przechowalni ze wszystkimi?

Gromił zaczął tracić cierpliwość.

– Obywatelu, co obywatel tutaj. jak mówię, że do domu, to do domu.

– No dobrze już, dobrze, niech się pan. obywatel porucznik się nie piekli. Na psa urok. Pójdę, pewnie, że pójdę. – dodał z urazą w głosie.

Po niezbędnych formalnościach wypuszczono z komendy nieszczęśnika, który miał już dość libacji w gronie znajomych na całe życie. Przed oczami wciąż stawały mu dwie okrągłe rany o nieznacznie poszarpanych brzegach i bledziuchny Wituś na katafalku.



Na drugi dzień w „Gazecie Robotniczej” pojawiła się oszczędna notatka na temat znalezionej denata, lecz zatajono szczegóły miejsca i przyczyny śmierci, których to nawet śledczy Gromił nie był pewien. Przekrwione oczy Trzeciego przebiegły po raz kolejny przez te kilka zdań. Dziki wzrok stał się jeszcze drapieżniejszy, choć czaiła się w nim też kpina. Usta skrzywiły się w ironicznym uśmiechu.

„Możecie sobie szukać do usranej śmierci – myślał, siedząc w samochodzie. – Amatorzy. Wystawili tam jakiegoś mydłka. To jego pierwsza duża sprawa. Nie poradzi sobie z tym i polegnie. Załatwię go tak, że mnie do końca życia popamięta”.

Widział to nie raz, nie dwa. Złamane życie smakowało niemal tak dobrze, jak to błyskawicznie odebrane.

Trzeci oblizwał gorączkowo wąskie usta. Uwielbiał patrzeć ofiarom głęboko w oczy, gdy pojawiała się w nich świadomość, wciąż jeszcze przemieszana z niedowierzaniem, że oto nadchodzi kres ich życia, że dalej będzie tylko pustka.

Ostatnia ofiara nie sprawiła mu wiele przyjemności, bo była niemal nieprzytomna po alkoholowej libacji. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje. Poza tym nieprzetrawiona siwucha zostawiła absmak. Podobnie było z tą babą. Jak kobieta może się tak upodlić? Żeby żłopać gorzałę niby chłop?

Krew to życie, jak głosił napis na plakacie PCK. Cholerni kłusownicy. Pobrana krew nie ma już tego smaku, odpowiedniej temperatury. Uchodzi z niej cała masa żywotnych składników. Staje się tylko nędznym substytutem dawnej, tętniącej w żyłach, ciepłej juchy.

Ale krew wypita prosto z ciała, jeszcze dyszącego człowieka, ma moc o wiele potężniejszą, niż się komukolwiek wydaje. Pompuje starożytną siłę witalną w uwiedle ciało, w sflaczały, zdegenerowany organizm. Przynosi ulgę, łagodnie pieści podniebienie i hołubi skołataną głowę.

Ale oni tego nie rozumieją, bo niby skąd? Wyniesiona na sztandary czerwień pod hasłami przelanej krwi robotników szyderczo pyszni się teraz w każdym zakątku nowego świata. Symbol drugiej, ukrytej, mistycznej niemal czerwieni faluje teraz na

szturmówkach i łopocze nad dachami budynków niczym jawna kpina ze szczytnych ideałów „pożytecznych idiotów”, jak mawiał Lenin.

Gdybyż tylko wiedzieli, jak złowróżbnym i rzeczywiście groźnym symbolem jest czerwona flaga, zdrzeliby z trwogi. Dla Trzeciego i jego organizacji to tylko kolejna fasada, która z czasem minie, zniekształci się pod wpływem słabości ludzkiego charakteru jak wszystkie poprzednie symbole i godła.

Ale oni – Przedwieczni – skryci w mroku, przetrwają, zmieniają front i lokalizację. Wtopią się w tłum i rozplyną wśród nieświadomych niczego ludzi, którzy od tysiącleci są dla nich tylko pokarmem. Trzeci trwa w ukryciu.

Od początku egzystencji rodzaju ludzkiego istnieli oni – „inni”, którzy nie mogli się w żaden sposób dopasować do reszty. Kierowali się morderczymi skłonnościami. Żeby osiągnąć swoje cele, nie cofali się przed brutalnością i okrucieństwem. Tajemnicze aspekty ich życia wywoływały dreszcz strachu u tych „normalnych”. Opowiadali sobie niestworzone historie, makabreski, które – trzeba tu przyznać – zdarzało się, że były prawdą. Oficjalna propaganda uznałaby je teraz za gusa i zabobony. Gdyby znali prawdę, ze strachu nie wychodziliby z domu. Na ich szczęście tych „innych” jest niewiele.

Część z nich, jak Trzeci, należała do sprzysiężenia Przedwiecznych, wąskiego grona wybranych, którzy z uśmiercania ludzi uczynili swoją religię. Przedwieczni byli najstarszą organizacją w historii Ziemi, sięgającej starożytności, której celem była całkowita dominacja. Gardzili uległością, nie znali pojęcia miłosierdzia czy litości. Od wieków wzniecali wojny, wywoływali rewolucje i obalali rządy. Kultywowali krwawe rytuały, byli przekonani, że są długowieczni i bezkarni. Sami rozpuszczali legendy i pogłoski na swój temat, pogłębiając atmosferę tajemnicy wokół organizacji, żeby chronić tożsamość jej członków.

Przedwieczni przyjmowali w swoje szeregi akolitów, którymi świadomie manipulowali, mając zaszczytami i bogactwem, choć tak naprawdę byli tylko narzędziami ich woli. Siła sugestii Przedwiecznych sprawiała, że ich podopieczni w chwilach próby pod wpływem adrenaliny dysponowali niewiarygodną siłą. Niektórzy ocierali się w swojej wierze o chorobę psychiczną. Za cenę wierności, bezwzględного posłuszeństwa i początkowo lekkiego absmaku podczas rytualnego picia krwi bliźnich otrzymywali władzę, zaszczyty i dobra materialne.

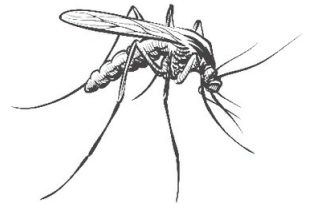
Choć dziś było ich już jakby mniej, podobnie jak samych Przedwiecznych. Wszystko przez tę nagonkę, która się zaczęła w oświeconej, budzącej się Europie. Wielu jego ziomeków Trzeciego zapłaciło surową karę za beztroškę, za to, że uwierzyli we własną nieśmiertelność i doskonałość. Urodzeni mordercy. Zabijali, bo takie mieli skłonności. Ale barany w ludzkiej skórze dorabiały sobie do tego różne legendy. Ile bezimiennych grobów znajduje się na całym świecie z osikowymi kołkami zatkniętymi w gnijące truchła? Ile dobrych niewiast spłonęło z krzykiem na stosach ustawionych przez rozradowaną gawieź?

Ale teraz toczyło się największe i najwspanialsze ze starć. Wszystko za sprawą

bezmózgiego motłochu, którego prowodyrzy zamienili jedno jarzmo na drugie, nawet o tym nie wiedząc. Byli u władzy i pragnęli tę władzę rozciągnąć tak daleko, jak tylko się dało.

Ludzie zaczęli znikać, to powszechnie znany fakt, ale wieść gminna przypisywała to znikanie czynnikom naturalnym, politycznym. Za tą zasłoną skrywało się jednak tych kilku nielicznych Przedwiecznych, którzy nauczeni smutnym doświadczeniem postanowili żyć w cieniu. Nie na szczytach władzy jak Pierwszy, ale obok niej, zachowując pełną kontrolę nad biegiem wypadków.

Drzwi czarnej limuzyny zatrzasnęły się głucho. Trzeci wyszedł z garażu i wszedł od tyłu do posępnego domostwa na Krzykach. Porzucona, zmięta gazeta odcinała się białą płachtą na kamiennych stopniach wiodących do wnętrza.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY . ŻEBY NAM SIĘ...

Zmierzchało. Miasto chłonęło wieczorny chłód, który przynosił ulgę i pozwalał zebrać myśli. Na zielone tereny we wschodniej dzielnicy Wrocławia, zwane Niskimi Łakami, na Przedmieście Oławskie wylegli obywatele złąknieni odrobiny wytchnienia. Leżeli pokotem, spoglądając na toń rzeczną Oławy, siedzieli na kocach, jedząc i pijąc, jakby świat wokół nich przestał istnieć. Nieopodal toczyło się jeszcze miejskie życie, szpital przyjmował nagłe przypadki podczas ostrego dyżuru, komenda na Rakowcu działała pełną parą, gdyż nie była to najspokojniejsza z dzielnic Wrocławia.

Budynki nosiły tu niezabliźnione rany po kulach, ale mało było takich, w których nie dało się zamieszkać z powodu zniszczeń. Przed wojną gros mieszkańców stanowiło dość zamożne mieszczaństwo oraz drobni prywatni przedsiębiorcy, a ślady cywilizacyjnych aspiracji tej klasy było widać na każdym kroku.

Gdzieniedzie na całych fasadach budynków pyszniły się jeszcze secesyjne zdobienia – fantazyjne sztukaterie przedstawiające zwiewne panny, wybałuszające ślepia maskarony, motywy roślinne i zwierzęce. Wrocławianie lubili ładnie mieszkać i trudno ich było przekonać do szeregowej zabudowy domków dla robotników, które w latach trzydziestych powstały tuż za Odrą. Przed wojną w tej okolicy mieszkali ludzie o wyrobionym smaku i choć nie stały tu tak bogate i reprezentacyjne budowle jak w południowych czy zachodnich dzielnicach miasta, można je było pokazać z dumą każdemu przyjezdnemu.

Liczne balkony, wieżyczki, olbrzymie, kunsztowne bramy dziwnym trafem przetrwały najgorsze. Z fasady jednego z domów nieopodal szpitala dla gruźlików wystawały dwa końskie łby, świadczące o tym, że właścicielem musiał być jakiś sportsmen wystawiający konie wyścigowe na Partynicach. Zwierzęta spoglądały teraz na zupełnie inny świat niemal zdziwione, że ich troskliwy właściciel nie zabrał ich gdzieś w spokojniejsze miejsce. Mówiono, że rżały, gdy przechodziła obok nich dziewczica, tak jak ryczały lwy z fontanny na placu 1 Maja. Teraz jednak uporczywie milczały.

Cudem też ocalała secesyjna panna na ścianie jednego z domów przy szpitalu na ulicy Traugutta. Wyglądała tak, jakby zaprojektował ją sam mistrz Mucha. Ażurowe balkony zostały pokryte olejną farbą, która zakrywała gęstą warstwą niuanse architektoniczne, być może próbując przeczekać niepewne estetycznie czasy.

W tutejszych oficynach mieściły się przed wojną drobne zakłady rzemieślnicze, manufaktury i składy. Po wojnie część budynków trzeba było rozebrać, ale większość z nich przetrwała, dając schronienie nowym mieszkańcom. Na tyłach rzędu ulic otwierał się zupełnie inny świat, enklawa nadrzecznej zieleni, jakby tu właśnie przebiegała granica miasta.

– Franek, a zostało tam jakie piwko? – zapytał Zbyszek.

– No jest. Zimne jeszcze.

– No to daj, nie bądź taki.

– A masz, co ci będę żałować.

– To jest życie, no nie, Franek? Choćby nie wiem jak się człowiek natyrał, to tu oddycha pełną piersią.

– Ale komary...

– Ech, ty de-fe-ty-sto. Tobie to nic nie dogodzi. Źle ci? Leżysz sobie pod chmurką, piwko popijasz, jutro niedziela i nie trzeba iść do roboty, a ty wciąż jójczysz i narzekasz.

– Defe. co?

– A nie wiem, na masówce tak mówili. Że niby siejesz ten no, defetyzm. Że to źle, tamto niedobrze i najlepiej hrabią być i nic nie robić.

– Bogać tam, ja z sianiem już skończyłem. Jak nam ruskie mleczną krowę zabrali i kury podusili, to trza było w Polskę ruszać za chlebem. Ale ja już na ojcowiznę nie wrócę. Młodszy brat dostanie. Ja tu mam po co żyć. Pannę poznałem, mówię ci, Franek, gładka bestyjka, a jaka zaradna.

– To czemu jej kiedyś nie przyprowadzisz? Pogadalibyśmy. Co, kolegów się wstydzisz?

– Eee, nie, tylko ona panna, do szkół chodzi. Wieczorowo.

– No a co, dziewczyna całe życie gary będzie szorować? Niech się kształci. Zdobywa tę, no, edukację.

– Odgrażała się, że jak poważnie myślę o niej, to też będę musiał. Do szkół mnie ciągnie. Mówi, że się nadaje. Że teraz potrzebują fachowców.

– Dyć tam kształci. Wszyscy wiedzą, co ona wieczorowo robi – odezwał się do tej pory milczący trzeci uczestnik biesiady. Niski, przysadzisty blondyn z kaszkietem przekrzywionym na bakier. Z emocji aż wypluł źdźbło trawy, które do tej pory międlił w ustach.

– Leszek, ty uważaj, bo ja w zasadzie spokojny jestem, ale widzisz to tutaj – Franek podsunął koledze pięść pod nos – cmentarzem zalatuje. Miarkuj się więc, chłopie, bo w zasadzie nic do ciebie nie mam, ale jak z nerw wyjdę, to...

– Chłopak ma rację – odezwał się Zbyszek. – Nie godzi się porządnej dziewczyny obgadywać. A ty, Leszek, uważaj, bo jaki pan, taki kram. Sam nigdy sobie porządnej dziewczyny nie znajdziesz, bo na dziwki chodzisz.

– A chodzę, za swoje chodzę. Czasu człowiek nie ma po tej robocie i aż w krzyżu łupie. Gdzie ja miałbym czas na te kwiatki, czekoladki, zaloty? Prosta sprawa, jest siwucha, jest zabawa.

– Te, Leszek, żebyś tylko jakiej francy od tej zabawy nie dostał.

– No, no, uważaj sobie. Zalotnik, psia mać. Zaradna. he, he, zaradna, a juści.

Franek spochmurniał. Widać jakieś ziarno prawdy tkwiło w koleżeńskich kpinach. Zbyszek wstał z koca, wychylił butelkę piwa duszkiem, palcem przytrzymując

porcelanowy korek, który uporczywie spadał przy każdym łyku. Przetarł usta wierzchem dłoni.

– Dobre piwko. No to, żeby nam się...

Przerwał w pół zdania i spojrzął na drugą stronę Oławy, gdzie rosły bujne drzewa.

– A ten co to za cudak?

W półcieniu zachodzącego słońca zamajaczyła jakaś sylwetka. W płaszczu i kapeluszu pomimo wciąż panującej duchoty. Taszczyła coś na kształt worka z juty. Po chwili rozległ się głośny plusk. Nieznajomy rozejrzał się wokół, dostrzegł grupkę biesiadników i nasunął głębiej rondo kapelusza na oczy. Zniknął błyskawicznie i po chwili dało się słyszeć trzask zamykanych drzwi pojazdu. Zawarczał silnik, zazgrzytały opony na żwirze.

– Te, Franek. Chodź no tu na chwilę.

– Co ty, Zbyszek. Dobrze mi tak, jak leżę.

– No chodź, mówię.

W końcu Franek poszedł za Zbyszkiem, żeby sprawdzić, co takiego wpadło do wody. Niestety, tak jak młodzieniec intuicyjnie podejrzewał, były to ludzkie zwłoki, które już leniwie zataczały krąg w niespiesznym nurcie Oławy.

Leszek dołączył do nich. Narobił takiej wrzawy, że zaraz poderwało się kilka osób, żeby sprawdzić, co się dzieje. Zawsze można było popatrzeć, jak ktoś dostaje po pysku – w ramach rozrywki. Tym razem jednak sprawa była cięższego kalibru. Mężczyźni chwycili się za ręce i Zbyszek, brodząc po pas w wodzie, chwycił nieboszczyka za rękaw marynarki. Zaciągnęli ciało na brzeg i zostawili na piaszczystej łasze, porośniętej szuwarami. Ktoś pobiegł na Rakowiec po milicję, ktoś inny postanowił zwinąć manatki, żeby uniknąć spotkania z funkcjonariuszami. Jakaś rozochocona tanim winem dziewczyna, która najlepsze lata miała już za sobą, zaintonowała biesiadną pieśń o rybkach, co śpiał w jeziorze.

– Boże, Franek, to trup, najprawdziwszy trup! – krzyknął Zbyszek.

– I widziałeś, kto wrzucił? – zapytał Leszek.

– Niby tak, ale był cały zakryty.

– . tylko jedna spaaaaaac nie moooooze...

– Poszedł kto po blacharnię? – rzucił Zbyszek.

– Tak – potwierdził Franek.

– Musimy zostać, bo pomyślą, że to my...

– No...

– . .a karasie po kutaaaaasie. .!

– Daj jej no który w łeb albo kielicha, bo drze się jak stare prześcieradło i myśli zebrać nie można. – Leszek pogroził jej pięścią.

– Tak było miło, tak spokojnie – powiedział Franek.

– Daj no mnie, kochanieńki, jeszcze piwka dla kurażu, bo coś słaby jestem. – Zbyszek wyciągnął rękę do chłopaka.

– A pij, Zbysiu, pij. Miej coś z życia. Jak przyjdą, to nie dadzą nawet łyka wziąć, ja

ich znam.

Patrol pojawił się biegiem. Wszystkie posterunki milicji miały przykazane, że trzeba zachować czujność i łapać mordercę, co grasuje w mieście. Paski pod brodą, pały w pogotowiu, raportówki podskakujące z każdym krokiem. Jeden dla porządku jeszcze w biegu przeciągnął blondyną po nogach najbliższemu i chwiejącemu się biesiadnikowi z sąsiedniej grupy gapiów.

– Jeeeezu! Biją!

– Morda w kubek. Dowód obywatel ma?

– Jaki dowód, panie władzo? Na trawce pod domem siedzę, to jaki dowód, pytam się ja?

Kiedy tylko funkcjonariusze zobaczyli trupa, stanęli jak wryci. Starszy stopniem zsunął czapkę na tył głowy.

– Leć młody na komendę. Dzwon do kryminalnej. To chyba ten wampir – rzucił sierżant Fajans do stójkowego.

Młodszemu funkcjonariuszowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Odwrócił się na pięcie i popędził z powrotem. Sierżant zaczął skrupulatnie zapisywać personalia obecnych.

– Ciulala, ciurlala, la. !

– Niech ktoś uciszy tę babę, bo nie wytrzymam – powiedział drugi sierżant, Kuźniak.

Po chwili na łączce przy Oławie zrobiło się niebiesko. Milicjanci otoczyli ją kordonem tak, że już nikt nie mógł się z niej wymknąć. Po jakichś dwudziestu minutach pojawił się młody człowiek średniego wzrostu z wyraźnymi cieniami pod oczami. Miał jasną marynarkę przerzuconą nonszalancko przez ramię, a na jego obliczu malowały się prawdziwe troska i niepokój.

– Sierżancie, ma pan personalia tych obywateli? – zapytał Gromiś Fajansa.

– Mam, obywatelu poruczniku.

– No to teraz spiszcie, co każdy z nich widział, jeśli w ogóle może patrzeć na oczy.

Gromiś spojrział w kierunku rozrywkowej niewiasty, która, przysiadłszy na trawce, wpadła teraz w pijacki stupor. Następnie podszedł do denata, młodzieńca w letnim garniturze, lat około dwudziestu pięciu, z rozszerzonymi oczami i dwiema dziurami w bladej, niemal przeźroczystej szyi.

– Niech to szlag!

– Kolejna ofiara naszego mordercy? – zapytał Kuźniak, który trwał wiernie pół kroku za Gromiś.

– Przecież widzisz.

– Ale ten jakiś taki za młody. Wszyscy inni byli starsi.

– Słuszna uwaga, obywatelu sierżancie, znaczy się za młodszych się teraz bierze.

– A może to przypadek?

– Przypadek to jest, jak mąż zapomni drogi do domu. No i znowu mamy wodę. Wodnik szuwarek, psia jego mać. Zaczyna mu się podobać wrzucanie trupów do rzeki. Ślady nieczytelne, woda myje dokładnie ofiary, nie ma punktu zaczepienia.

U boku Gromiła pojawił się Fajans, straszny służbista.

– Obywatelu poruczniku, melduję, że tylko jeden jest, co go widział.

– Jak to: „widział”?

– No tak. Zbigniew Chyl. Syn Mateusza i Antoniny z domu Matusek urodzony...

– Dawajcie go w te pędy!

– Rozkaz!

Chyl zbliżył się, mnąc w dłoniach czapkę niczym uczeń pod groźnym spojrzeniem belfra. Wyglądał na nieźle przestraszonego, ale też nie codziennie widzi się trupa.

– Mówcie, coście widzieli – powiedział Gromiła.

– Niewielem widział, panie władzo. Wstałem, żeby kości rozprostować, i tak jakoś mi oko poleciało na drugi brzeg. Widzę, a tu ten jegomość wrzuca coś do wody. Jak mnie zobaczył, to czmychnął.

– Zapamiętaliście, jak wyglądał?

– A jakże. Niewysoki, niski w zasadzie, twarzy nie widziałem, bo miał kapelusz. Ciemny kapelusz i płaszcz. Prochowiec, też ciemny.

– Płaszcz w taki upał?

– No przecież mówię. Ale czmychnął, tak jakoś hyc, że nie zdążyłem niczego zobaczyć. Aha, i odjechał samochodem.

– Widzieliście samochód? Mówcie!

– Nie, nie widziałem, słyszałem tylko, jak odjeżdża.

– Fajans – Gromiła zwrócił się do sierżanta służbisty – dawaj mi ciupasem ekipę śledczą na drugą stronę rzeki. Niech przeczeszą wszystko, niech zrobią gipsowe odlewy opon i dużo zdjęć. Może sukinsyn tym razem popełnił jakiś błąd.

– Taa jest! – rzucił i już go nie było.

Gromiła zastanowił się. Do tej pory wiadomo było, że morderca grasował w nocy. Teraz dopiero zachodziło słońce, więc albo to trup z poprzedniego dnia, albo morderca zrobił się niecierpliwy i ani myślał czekać na zapadnięcie zmroku. Stefan zatrzęsł się z oburzenia na myśl o bezczelności sprawcy.

Myślał, że jest niewidzialny? Zostawił pierwszy, konkretny ślad i teraz za to zapłaci. Gromiła uśmiechnął się odruchowo, bo będzie miał co napisać w raporcie do zwierzchników. Tym razem nie będzie to jedna strona z jego podpisem. Miał nadzieję, że ekipa dochodzeniowa nie zادةpcze śladów po drugiej stronie. Tym razem miał już konkret i mógł od niego zacząć.

– A więc powiadacie, że on hyc. Zapamiętaliście coś jeszcze?

– Nooo, myślałem, że jak nas zobaczył, nasunął kapelusz głębiej na twarz. Ale to nie to. On dotknął runda kapelusza i jakby się uklonił.

– Uklonił się? Komu, wam?

– Nam, znaczy mnie konkretnie. No tak, uklonił się.

Gromiła zagotował się cały. Nie dość, że morduje, to jeszcze się tym chwali! Uklonił się, elegant jeden.

„Żebym go tak dorwał w swoje ręce. Ale poczekaj, już ja cię znajdę!”

Z tą myślą zaczął metodycznie przetrząsać kieszenie denata. Natrafił na legitymację, jedną, drugą, portfel, klucze, okulary.

– Kogut Stanisław. Student. Członek ZMP – powiedział Gromił właściwie do siebie, odczytując dane z poszczególnych legitymacji. – Za przyszłą inteligencję pracującą zaczął się brać nasz ptaszek.

Z pobliskich zarośli dobiegł go pełen oburzenia świergot, jakby kryjący się tam wróbel poczuł się urażony takim porównaniem.

– . zakochana jest nieboooooże. – Odpocząwszy nieco, walkiria opita małmazją patykiem pisaną przebudziła się, powracając do swej interpretacji pieśni biesiadnej.

– Niech ją ktoś w końcu na dołek wywiezie. – Gromił nie wytrzymał i jego polecenie zostało wykonane natychmiast ku wielkiej uldze pozostałych.

Kogut, Kogut, coś mu to mówiło. Gdzieś ostatnio słyszał to nazwisko. Jasne! W związku ze sprawą sabotażu na uniwersytecie. Śledczy z drugiego pionu opowiadał, a jemu z kolei powiedział kumpel z bezpieki, że jakiś student głupoty wygadywał i to na forum publicznym, bezceństwa jakieś i do tego nie po linii, więc zgarnęli.



W poniedziałek rano Gromił ruszył długim korytarzem, by dotrzeć do Urzędu Bezpieczeństwa na Podwalu. Wartownik przy kracie zerknął tylko na legitymację i otworzył drzwi.

Gabinet pułkownika Stanisława Podatnego mieścił się w najdalszym zakątku budynku. Znajdujący się na drugim piętrze obszerny pokój narożny, do którego wchodziło się przez sekretariat, był bardzo oszczędnie umeblowany. Wstawiono tu jedynie szafę pancerną przedwojenne biurko, dwa krzesła i fotel funkcjonariusza. Na biurku leżały teczki akt i stała lampa odwrócona w stronę gościa. Tym razem się nie świeciła.

– Siadajcie, poruczniku.

– Obywatelu pułkownika, melduję, że podejrzany zamieszany w sprawę sabotażu na uniwersytecie, niejaki Kogut Stanisław, został odnaleziony martwy przedwczoraj w godzinach wieczornych. W Oławie na Niskich Łąkach.

Podatny poderwał wzrok znad papierów, jakby go kto dźgnął.

– Kogut zabity? Niech to szlag. Meldujcie!

– Melduję: świadek zeznał, że nieznajomy na drugim brzegu rzeki wrzucił ciało Koguta Stanisława do Oławy, skąd też zostało wyłowione przez świadków zajścia. Po przybyciu organów ścigania z pobliskiego komisariatu wezwano dochodzeniówkę, czyli mnie, w związku z domniemanym powiązaniem tej sprawy z inną, którą prowadzę. Występuje tu identyczne *modus operandi*, jak w przypadku tak zwanego wampira.

Podatny zerknął z ukosa na Gromiła.

– Że co, jaki *modus*. ? Nieważne. To wam dali tę sprawę?
– Tak jest, obywatelu pułkownika.
– I która to jest ofiara, obywatelu poruczniku?
– Melduję, że ósma, obywatelu pułkownika.
– No to Gromił, co wy tu jeszcze robicie?
– Melduję, że zbieram informacje na temat denata, obywatelu pułkownika.
– A co tu więcej zbierać? Napił się młody, nie wytrzeźwiał i narozrabiał na uczelni jak jakiś chuligan. Ale że jest to. był to student oddany władzy ludowej, wysłuchaliśmy go i wypuściliśmy po rozpoznaniu sprawy. Można ostatecznie przymknąć oko na taki pierwszy wygłup. Młode to, wysokie jak topola, a głupie jak fasola. Podpisał, co było trzeba, i do domciu.

Pułkownik spochmurniał po ostatnim zdaniu.

– Najwyraźniej zaczął się cieszyć, że władza ludowa okazała mu wyrozumiałość. Zapił gdzieś znów w podejrzanym towarzystwie, no i skutki mamy...

– Podpisał?

– No tak, protokół, zeznanie...

– I obiecał meldować, jak zobaczy, że coś jest nie tak?

– Gromił, wy mnie tu za słówka nie łapcie. Co podpisał, to nasza sprawa.

– No niekoniecznie, bo to może mieć związek z moją sprawą.

– To nie jest wasza sprawa, tylko sprawa sprawiedliwości ludowej, zrozumiano?

– Zrozumiano, obywatelu pułkownika.

Gromił odniósł wrażenie, że Podatnego korci, żeby włączyć skierowaną w porucznika lampkę i zacząć rozmowę na zupełnie innej stopie.

– No to odmaszerować! Aha, i pamiętajcie, żeby podesłać mi kopie raportów z dochodzenia. Bezpieczeństwo lubi wiedzieć, co się dzieje.

– Tak jest, obywatelu pułkownika! Przez mojego przełożonego majora Horeszkę.

– Dobrze już, znikajcie. Mam huk pracy.

Kiedy Gromił wracał do siebie, pomyślał, że sprawa wcale nie jest taka oczywista i podpisanie zobowiązania do współpracy może mieć jakiś związek z przedwczesnym zejściem Koguta. Ale zachował tę myśl dla siebie.

Po wyjściu porucznika Podatny ciężko osunął się na fotelu. Szkoda, cholera. Już trzymał tych studencików na widelcu, bo Kogut miał sporo za uszami i chciał się zrehabilitować. Oczywiście wielu z nich regularnie kontaktowało się z UB, żeby przekazać istotne informacje, ale w przypadku Koguta miał pewność, że raporty będą wyczerpujące i regularne. Swoją drogą to ciekawe, może jednak ten student nie działał sam, podburzając studentów w auli? A jeśli ktoś bał się dekonspiracji i zlikwidował kontakt?

Trzeba się będzie temu dokładniej przyjrzeć. Już on przyciśnie tego pięknoducha Gromiła. Wydaje mu się, że jest milicjantem, a mleko jeszcze ma pod nosem. Już on wydobędzie wszystkie szczegóły.

Dłoń odruchowo powędrowała mu w stronę bakelitowej podstawki lampy. Snop

jaskrawego światła spadł wprost na oparcie krzesła. Podatny po chwili wyłączył światło. W jakimś stopniu ta niewinna czynność uspokoiła go, pozwoliła zebrać myśli i ustalić plan działania. Żartobliwie mówił o tym, że to technika oświecenia. Podniósł słuchawkę telefonu i wezwał do siebie swojego śledczego.



– Aleś się podłożył, Stefan. – Parsknął śmiechem jego starszy kolega i przełożony major Jacek Horeszko. – Nigdy, przenigdy nie melduje się ubezpieki, chyba że jest to nieodzowne. Wlazłeś na grząski grunt. Teraz będą za wami łązić i patrzeć na ręce.

– Nie wiedziałem, myślałem. – bąknął nieco najeżony Gromił.

– Dowódcy trzeba się było zapytać. Od tych panów lepiej z daleka, bo są w stanie wynaleźć coś, czego nie ma. Dobrze, prześlemy mu kopie raportów, może coś z nich zrozumie. – Uśmiechnął się złośliwie. – W tej służbie jak nigdzie sprawdza się powiedzenie: „Nie matura, lecz chęć szczerza z ciebie oficera”. Nie znają się na robocie, łać tylko umieją. – dodał jakby do siebie.

– To co teraz mam robić? – zapytał skonfundowany Gromił, słysząc takie poufale zwierzenia z ust zwierzchnika.

– Że tak powiem, pójdz za trupem. Popytaj się wśród kolegów, sprawdź w miejscu zamieszkania, może utrzymywał jakieś inne znajomości. W pozostałych przypadkach nie ma żadnego punktu zaczepienia, tutaj masz ten cały sabotaż. Może jednak coś w tym jest?



Podczas niedzielnych zajęć na uczelni Warkot nasłuchiwał się tyłu plotek i fantastycznych opowieści, że aż mu uszy spuchły. Wśród braci studenckiej aż huczało, a najgorliwsi aktywiści stali się dziwnie milczący i cisi. O śmierci Koguta wiedzieli już wszyscy.

Gadali, że miał odciętą głowę i poznano go tylko po legitymacji ZMP. Że zabójców było kilku i jakieś gusła nad Kogutem odprawiali. Że milicja mało co ich nie nakryła, ale zwiali. Wrocławskie tereny zielone straciły wiele ze swej atrakcyjności i teraz nawet w biały dzień nikt się nie zapędzał samotnie do parku.

Warkot cierpliwie trawił te wszystkie plotki, choć sam bardzo chciał się skupić na nauce i zbliżającym się dyplomie. Nie dało się. Zewsząd dobiegały go głosy, że w mieście pojawił się jakiś Lustmörder i nikomu nie popuści. Podobno wcześniej było już kilka ofiar, ale milicja trzymała wszystko w tajemnicy.

Kolega z roku zdradził Jankowi, że spotkał pewnego jegomościa, który od kilku dni

pił z dwoma znajomymi na umór w Syrenie przy Engelsa przy głośnym jazzbandzie. Wszyscy się świetnie bawili, tylko ta trójka zachowywała się, jakby byli na stypie. Po kilku głębszych jeden z nich zaczął chodzić od stolika do stolika i biadolić na tragiczny los kolegi, który przecież tylko chciał do domu pojechać, a tu takie nieszczęście.

– Niebożątko, niebożątko – powtarzał.

– Kto taki? – pytali zaciekawieni młodzieńcy.

– No jak to kto? Mój kochany Wituś. Wypili mu krew, strzygonie jedne, wykrywawili jak świnkę na kaszankę. I on teraz, biedny. – Jegomość zaszlochał głośno.

– Niech się pan nie martwi. Na pewno ich złapią.

– Złapią? A bo to takiego odmieńca złapać łatwo? Mówię, proszę szanownej mł. eep, młodzieży, wampir, normalny wampir.

– Jaki tam wampir, szanowny panie? Wampirów nie ma!

– A tam, nie ma! – zachnął się jegomość. – Żebyście widzieli Witusia, bladziuchny taki na katafalku. Niebożątko. A temu psiekrwie, w tej limuzynie, to kości bym porachował!

– Jakiej limuzynie?

– No zatrzymał się, żeby Witusia do domu odwieźć, i już chłopca nie widziano. Czarna taka, szykowna, chyba pobieda albo jaki mercedes. Nie, chyba jednak ruska.

Na te słowa Warkot zamarł i chwycił kolegę za rękę.

– Mówił, że czarna limuzyna? Pobieda?

– No tak, opowiadam ci przecież. Puszczaj.

– Kiedy to było?

– W sobotę byliśmy w Syrenie, a oni chyba się bawili od piątku. Koledzy z pracy.

– Ty, a mówił coś jeszcze?

– Nie, tylko że go na milicji przepytywali. Że protokół podpisywał, a potem nawet nie chcieli zatrzymać na dołku.

– Na milicji, nie na UB. Pewien jesteś?

– No przecież pamiętam, bo tyle razy to powtarzał, że krzesło w teatrze by się na pamięć nauczyło. Milicja, mówił, panie, o pardonsik, obywatelu porucznik. mówił.

– Trzeba więc się będzie z nim spotkać – powiedział Warkot bardziej do siebie niż do kolegi.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

BYŁ JAZZ...

Wrocław stał się miastem młodych ludzi. Królowali na ulicach, na uczelniach, nadając owej ciągłej walce swój młodzieńczy, nieustępliwy i zadziorny sznyt. Powojenne lata można by nazwać okresem życzliwości i zabawy, gdyż te dwie cechy dominowały w zburzonym Wrocławiu. Życzliwości wobec drugiego człowieka, wyrozumiałości wynikającej z bagażu doświadczeń. Bliźniemu należało współczuć i pomagać w codziennym znoju, gdyż większość nie miała nic i nie było czego komu zazdrościć. Witanie na ulicy nieznanomych osób uśmiechem, uchYLENIEM czapki czy pozdrawianie miłym słowem były na porządku dziennym. Wciąż obowiązywały staromodne formy grzecznościowe wyniesione z domów. Ci, którzy nie doświadczyli błogosławieństwa ezoterycznej wiedzy towarzyskiej ogłady, dostosowywali się czym prędzej, by zatrzeć wrażenie plebejskiego pochodzenia i by nie wyróżniać się zbyt z tłumu.

Skończyły się walki, chciało się odetchnąć pełną piersią. W lokalach pojawili się muzycy, których poszukiwano jak nigdy. Jeśli palce nie zeszytywniały od karabinu czy łopaty, a do tego jeszcze muzyk miał stary instrument, mógł bez problemu znaleźć zatrudnienie. Przede wszystkim grano stare szlagiery, przedwojenne wyciskacze łez. Gdziekolwiek zatrudniano nawet niemieckich obywateli, którzy grali dawne melodie, choć nie wszystkim się podobały. Powstawały na tym tle konflikty i muzycy w końcu musieli zrezygnować z tego repertuaru. Zaczęli grywać utwory Glenna Millera i innych amerykańskich wielkich epoki big-bandów.

Muzyka ewoluowała, zabierając po drodze kolejne elementy cza-czy, rumbly, swingując w podcieniach lokali, które mnożyły się jak grzyby po deszczu. Oficjalnie władza nie zakazywała wykonywania tej muzyki i – w odróżnieniu od małych miejscowości w Polsce – we Wrocławiu nie prześladowano, nie zatrzymywano muzyków ani też bawiących się przy grajkach studentów. Pojawiały się jednak głosy oburzenia – niemal oficjalnie, bo w prasie. Jakby chciano wprowadzić przymus tańczenia przy Kalince zamiast przy tych nowoorleańskich melodiach.

„Słowo Polskie” z października 1950 roku zamieściło taki oto artykuł:

Obok stałej coca-colizacji Europy Zachodniej, obok marshallizacji kiczomatografii włoskiej czy francuskiej, obok zalewu rynków wydawniczych porno-kryminalistyką „autorów” amerykańskich – „kultura” zaoceaniczna zastrzykiwana jest ludom europejskim przy pomocy instrumentów muzycznych orkiestr jazzowych. Dziki, pornograficzny, drażniący, wyzwalający najniższe instynkty taniec zdegenerowanych Amerykanów zdobył sobie od wielu lat dyktaturę w europejskich salach tanecznych.

Boogie-woogie, samba, swing czy inne brzydactwa deprawują młodych ludzi nie mniej od filmu czy książki kryminalnej (.). Pary takie przy dźwiękach wrzaskliwej muzyki puszczają się w opętańczy taniec, przeginając się i łamiąc swe nieszczęsne ciała w mało estetyczne formy.

Wrocławianie nic sobie z tego nie robili. To nie przaśna Wystawa Ziem Odzyskanych i elitarny Kongres Intelktualistów prowokowały do stworzenia nowych kręgów inteligenckich, tylko mambo – muzyka o wyrazistym afrykańskim rytmie. Nowe rytmy wyparły zarówno przedwojenne szlagiery, jak i propagandę.

W Syrenie, lokalu z wyszynkiem, o zgrozo, na placu Engelsa, młodzi ludzie z zapamiętaniem łamali swe nieszczęsne ciała w mało estetyczne formy przy dźwiękach wrzaskliwej muzyki zespołów, takich jak Rytm czy orkiestra Bulandy.

Tego wieczora lokal dosłownie pękał w szwach, bo studenci zaczęli zdawać pierwsze egzaminy przed terminem zbliżającej się sesji i potrzebowali nieco oddechu od ślęczenia nad podręcznikami w akademikach. Nie każdego było stać na zabawę tutaj. Agent, czując rosnącą koniunkturę, podnosił ceny, co miało mu zrównoważyć honorarium zespołów i inne koszty. Młodzież jednak niewiele sobie z tego robiła, spędzając cały wieczór przy jednym zamówieniu, bo nie przychodzili tu, by się napić czy zjeść.

Jan Warkot bez trudu wyłowił z tłumu trzech obywateli zatopionych w smutnych rozmyśleniach. Po pierwsze w kolorowym tłumie wyglądali niczym pracownicy zakładu pogrzebowego w swych czarnych garniturach. Po drugie siedzieli ciągiem przy stoliku, przywołując tylko co jakiś czas bardzo zadowolonego kelnera. Po trzecie miny mieli minorowe, jakby na przekór donośnym, radosnym dźwiękom w tonacji dur.

Siedzący w środku Józef Kalinowski miał najbardziej zboląły wyraz twarzy. Widać było, że śmierć przyjaciela wstrząsnęła nim do głębi. Może nie tyle samo zejście, co zupełnie absurdalne okoliczności zgonu.

– Przepraszam, czy mogę się przysiąść?

Trzej biesiadnicy podnieśli wzrok jak jeden mąż i zobaczyli młodego, wysokiego człowieka w studenckiej czapce. Miał poważny wygląd, jak na swój wiek, to nie był jakiś młokos z mlekiem pod puszką wąsów.

– Siadaj, młodzieńcze. Napijesz się z nami? Bo my tu żegnamy kolegę. od kilku dni. Inne knajpy są takie jakieś sztywne, a tutaj, widzi kawaler. młodość, zabawa, wigor.

– Piękne panny – dorzucił drugi.

– I zimna wódka – dokończył trzeci.

– Ja właśnie w tej sprawie. Bo podobny los spotkał mojego kolegę. to znaczy znajomego. Stanisław Kogut, tak się nazywał. Znaleźli go nad rzeką. I wszyscy też się zastanawiamy, co się mogło stać.

– Tfu, siła nieczysta! – Józef splunął siarczyście, jakby odczyniał uroki. – Żeby ja jeszcze tego ananasa spotkał. Żeby tylko zobaczył wtedy jego twarz.

– A co, widział pan mordercę?

– No właśnie nie, psiajucha! Szyby były zaciemnione, jak w rządowych limuzynach, i niczego nie widziałem.

– Szyby?

– No tak, w czarnej pobiedzie, do której Wituś wskoczył.

– To jego zabrał samochód? – Warkot posiadał tę informację już wcześniej, ale chciał się upewnić.

– No przecież mówię. Na łebka go wziął, pewnie kierowca jakiegoś generała. Wituś wskoczył i tyleśmy go widzieli. Dopiero później ten porucznik mi pokazał niebożątka na katafalku w komendzie.

– To pan rozpoznawał zwłoki?

– A pewnie, ale był taki bladziuchny, taki niepodobny do siebie i tylko miał te dwa ukąszenia na szyi, jakby mu kto dwie pijawki dla zdrowotności przystawił.

– I milicjanci nie mówili, co się stało?

– Oni sami ciemniacy. Przesłuchiwał mnie taki oficerek, porucznik niewiele starszy od kawalera. A służbista z tego franta, że hej. Choć trzeba przyznać, nad człowiekiem się ulitował, napić się dał strudzonemu.

– A nazwisko pan pamięta?

– Jakoś takie przedwojenne. Burzył czy Grzmiął. O nie! Gromił. Porucznik Stefan Gromił. Blondyn taki, nie za wysoki.

– I mocno pana maglował?

– A jak! Mokrusieńki wyszedłem z tej komendy. Ale taka praca, ja tam do niego nic nie mam. Przynajmniej w mordę nie bił.

Nie wiedzieć czemu w tym samym momencie, gdy muzycy udali się na krótką przerwę, na sali ktoś jak na zawołanie zaintonował batiarską pieśń *Bal u weteranów* z wyraźnym kresowym zaśpiewem:

*O północy się zjawili jacyś dwaj cywili,
Mordy odrapane, włosy jak badyli.
Nic nikomu nie mówili, tylko w mordę bili,
Tylko w mordę bili, ta joj ta fest.
Maniuśka moja, Maniuśka,
Chodź pójdziemy spać. do łóżka...*

Refren podjęła prawie cała sala w tej dziwnej jazzowo-folkowej mieszance emocji. Do tego było to wykonanie z drugą, bardziej rubaszną wersją refrenu, który w pierwotnej mówił o „rwaniu jabłuszka”.

– Widzi kawaler, tu wszystko zabawa, pieśń, taniec, tylko my takie smutki. Teraz czuję się stary i bezradny, ale jakby kawaler coś znalazł, na coś natrafił, to proszę dać znać. To nasz adres i telefon do zakładu pracy. – Kalinowski nagryzmolił coś ołówkiem kopiowym na serwetce. – A teraz już możemy się napić. Kelner!

– Ależ panowie, ja nie powinienem, egzaminy. praca...

– Niech kawaler nie wybrzydza, bo jak mówi stare przysłowie, kto nie pije, ten

kapuje!

– No dobrze, ostatecznie wszystko dla ludzi...

Tam ci znowu jakiś frajer

W kozaka si bawi:

Kastet ma w kieszeni,

A majcher w rękawi.

Ty do niego ani słowa,

Naj ci Bóg zachowa!

Bo on z Łyczakowa

Je gość, je gość!

Refren wybuchł ze zdwojoną siłą i w całej sali aż zahuczało od piosenki, którą młodzi ludzie mogli znać wyłącznie od rodziców i dziadków. Dziwny był to widok, bo oto cała sala – pełna studentów poubieranych w fantazyjne, kolorowe ciuchy, które na co dzień chowali na dno szafy – śpiewała pieśń z miejsca, którego nie było już na mapie Polski i nie wolno było o nim nawet wspominać. A jednak śpiewali. Może dlatego, że była skoczna, zawadiacka i w sam raz nadawała się do tych okoliczności.

– A chachary żyją. ! – zaintonował ktoś najwyraźniej ze Śląska, ale nie podjęto wyzwania.

Wrócili już muzycy, kłaniając się nisko. Starali się nie odwracać tyłem do publiczności, żeby nie było widać pocerowanych łokci eleganckich marynarek, który to widok z pewnością rozłożyłby mit doskonale prosperujących muzyków i mógł niekorzystnie wpłynąć na uczucia wpatrzonych w nich młodych miłośniczek jazzu stojących przy scenie. Należało podtrzymywać legendę i trzymać fason. Takie panowały tu wytyczne.

– Jasiu, szkoda, że musisz już iść, tego, hep, ale wpadnij jeszcze kiedyś, zadzwoń, umówimy się na głębszego.

– Może jaką koleżankę przyprowadzisz – zaproponował drugi z nostalgią w głosie.

– Dobranoc panom. Już po pierwszej, a ja rano do pracy...

Z placu Engelsa na Krzyki był kawał drogi, ale Warkot ruszył dziarskim, lekko tylko chwiejnym krokiem w stronę domu. Może uda mu się jakąś okazję złapać. przeklął się w myślach za taki pomysł.

W okolicy uszkodzonej przez artylerię wieży ciśnień, już w bardziej znajomym otoczeniu, poczuł, że ktoś go obserwuje. Nie było to bardzo wyraźne uczucie, a jedynie kołatało gdzieś na obrzeżach świadomości.

Zza rogu wyłonił się cień czarnej limuzyny i ruszył jego śladem, trzymając dystans na jakieś dwieście, trzysta metrów. Wzdłuż ulicy Sudeckiej po prawej rozciągał się ciemny park, a po lewej pojawiały się kolejno stare wille, niektóre zamieszkałe, a inne, z rusztowaniami, dopiero czekały na swoich lokatorów. Warkot wiedział, że nie ma drogi ucieczki – nieważne, czy skręci w park, czy którąś z uliczek, ruszą za nim i dopadną po kilku metrach. Zresztą tak naprawdę nie wiedział, czy ktoś go tropi, czy to

zwyczajnie jakaś ważna figura wracała po pracy do domu.

Po chwili jednak samochód przyspieszył. Warkot puścił się pędem przez ulicę. Nie było to łatwe z uwagi na kilka głębszych, które pochłonął na spotkaniu z nowymi znajomymi. W uszach wciąż dudnił mu rytm jazzowych utworów, szum sali tętnił w skroniach. Potknął się dwa razy. Ciemny zarys stromej dachu jego domu już się wyłonił zza sylwetek innych budynków.

Samochód jechał na pełnym gazie. Nagle maszyna zahamowała z piskiem, kiedy Warkot dopadł zielonej furtki. Auto stanęło na ulicy o dwadzieścia metrów za nim i nie mógł się nie obejrzeć, żeby zobaczyć, co będzie dalej. Wtedy dostrzegł przedziwne zjawisko, które zatrzymało kierowcę.

Spośród drzew zaczął się wyłaniać słup pomarańczowego ognia. Wyglądał tak, jakby ktoś wyciągnął z pieca hutniczego huczące płomienie zdolne stopić najtwardszą stal. Mieniały się wszystkimi odcieniami czerwieni, żółci i pomarańczy ogień miał mniej więcej trzy metry wysokości. Zdawało się, że za chwilę pozostawi jedynie zwęglone zgliszcząca po rosnących tu drzewach. Jednak jakimś cudem żar omijał je, choć rozświetlone nad nim powietrze falowało z gorąca.

„Wypiłem, ale nie aż tyle, żeby mieć takie zwidy” – pomyślał Janek.

Warkot z otwartymi ustami wpatrywał się w ogień, zupełnie zapominając o złowieszczej limuzynie. Zjawisko całkowicie zaprzeczało wszelkim prawom fizyki i logiki. Gdyby zobaczyli to wszyscy współcześni ideolodzy i badacze próbujący racjonalizować religijne cuda, wietrzący w nich tylko podstęp i oszustwo, aby dać masom ich codzienną porcję opium, zapewne obróciliby się w słup soli.

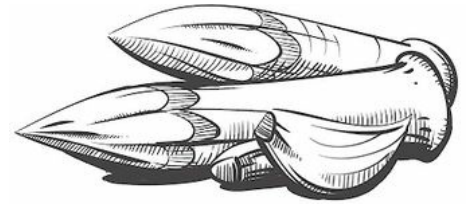
Ogień przemieszczał się w stronę limuzyny, jakby chciał ją pochłonąć. Kierowca też najwyraźniej miał takie samo odczucie, bo samochód ruszył z kopyta. Czarna pobieda skręciła z piskiem opon w najbliższą uliczkę i zniknęła z pola widzenia.

Chodząca pożoga stanęła w miejscu. Warkot miał wrażenie, że zwróciła się w jego stronę. Chciał uciekać, ale nie mógł się ruszyć z miejsca.

Płomienie już nie wydawały się takie drapieżne. Słup ognia zatrzymał się. Między pełgającymi teraz wolniej płomieniami Warkot dostrzegł coś jakby zarysy twarzy – nastroszone brwi, kontury oczu, nosa, żarzące się kosmyki włosów. Była to dziwnie znajoma twarz. Mało tego, Warkotowi wydawało się, że jedno oko mrugnęło do niego filuternie.

Tego było już za dużo. Cofnął się o krok i padł jak długi bez czucia. Najzwyczajniej w świecie zemdłał. On, weteran wojenny, student, człowiek, który niejedno widział i zawsze wychodził zwycięsko z opresji, nie wytrzymał widoku średniowiecznego pokutnika, który obecnie, wzięwszy wszystkie okoliczności pod uwagę, niezwykle rzadko pojawiał się w swojej pierwotnej postaci.

Słup ognia smutno pokiwał głową i rozplątał się między parkowymi drzewami.



ROZDZIAŁ JEDENASTY

ZAPACH IGLIWIA...

Genowefa Dziurman, gospodyni i główna lokatorka willi przy ulicy Sudeckiej, wstawała bardzo wczesnie rano. Przywykła do tego po pięćdziesięciu latach życia wypełnionego pracą. Przed wojną była żoną fornala w nadsereckim Czortkowie, który pobierał dwa litry spirytusu jako miesięczny deputat od dziedzica. Mąż kultywował stereotypy towarzyszące swemu zawodowi – kłął i lał żonę, jak mu coś nie pasowało. Czyli często. Zatlukły go Ruskie, jak przyszły wyzwalać lud województwa tarnopolskiego spod władzy obszarniczych ciemężycieli.

Najpierw Sowieci wyzwolili fornala od butelki wódki oraz zegarka z dewizką. Kiedy bronił konia przed zarekwirowaniem, zastrzelili go, uwalniając go od życia w ubóstwie.

Wyzwalaniu nie było końca, dlatego nieuświadomiony, wręcz ciemny lud podolski pochował się po domach i lasach. Ponieważ zrównano rubla z przedwojennym złotym polskim, przez kilka dni krasnoarmiejcy paradowali w nowych oficerkach, licytując się liczbą naręcznych zegarków. Wszystko mogło się jednak skończyć bardzo źle, bo niektórzy mołojcy zapragnęli wyzwolić baby z cnoty w zgodzie z międzynarodowymi prawidłami. Tu jednak kilku dostało widłami i przeszła im ochota na czułości. Dlatego też mołojcy spalili kilka zagród i domów, w których skryła się ta farbowana klasa robotnicza i chłopska.

Kiedy przetoczyła się już fala Sowietów, weszli Niemcy, wprowadzając w miejsce poprzedniego chaosu zasadę Ordnung muss sein i zaczęli rozstrzeliwać według listy, a nie podług widzimisię opitych spirytem bydlaków. Nacje te wydzierały sobie tam i z powrotem ziemię podolską niczym para wściekłych kundli, różniąc się od siebie tylko tym, że jedni w większości pili czaj z łyżeczką w szklance i odchylali mały paluszek przy przechylaniu stakana z wódką, a drudzy nie, za to puszczały głośno gazy i bekali przy posiłkach.

Jako że niemiecki i sowiecki *savoir-vivre* przy stole Genowefie nie odpowiadał, a w dodatku w jej domu zorganizowano po wojnie *dietskij sadok*, zabierając jej wszystkie pokoje wraz z kuchnią i przybudówką, postanowiła ruszyć na Ziemię Odzyskane, żeby otworzyć nową kartę swego życia. W transporcie poznała jednego lwowiaka, który zauroczony osobowością Genowefy oraz jej gospodarnością objawiającą się w ciągnącym się w nieskończoność transporcie luksusem pod postacią domowych przetworów i innych frykasów z miejsca padł na kolana na deskach wagonu i się oświadczył.

Ślub odbył się już we Wrocławiu, w kościele, a jakże, bo w końcu on kawaler, ona wdowa. Obydwoje mieli papiery przesiedleńcze, mogli więc brać i wybierać w pustych wtedy kwaterach w mieście. Zdecydowali się na zadrzewione Krzyki, bo choć dzielnica nie była spokojna, to nie z takimi niebezpieczeństwami radzili sobie na kresach.

W piwnicy domu było zapasów w bród, więc nie brakowało im niczego. Po kilku miesiącach sielanki przyszedł do nich urzędnik z kwaterunku i zapowiedział, że będą „zagęszczać”, bo Wrocław zyskiwał coraz to więcej obywateli.

Nie tak wyobrażali sobie życie, ale cóż było robić? Dlatego też cierpliwie znosili niewygodę, gdy dokwaterowywali im coraz to nowych lokatorów. Willa była przestronna, ale nie aż tak. Zajmowali, co prawda, główne dwa pokoje od frontu na parterze domu z osobną łazienką, ale na tyłach, na piętrze i na poddaszu mieli już nowych lokatorów. Dobrze, że na razie piwnica się uchowała przed „zagęszczeniem”.

Nie było to złe sąsiedztwo. Mieszkali tu porządni, uczciwi ludzie, którzy starali się nie wchodzić sobie w paradę i nie burzyć świętych zasad sąsiedztwa. Ostatni wprowadził się na poddasze student, Jan Warkot, który też był dobrze wychowanym, usłużnym młodzieńcem. Żadnym tam szalawią.

Jednak przed rokiem na Genowefę spadł niespodziewany cios. Po jej męża Ludwika przyjechało dwóch smutnych i okazało się, że całe życie knuł, podburzał i podkopywał władzę ludową wraz z licznymi współnikami. Dostał dziesięć lat. Właściwie za pochodzenie i nielegalnego schmeissera ukrytego w piwnicy. Genowefie nie mieściło się w głowie, że ktoś mógłby zrobić coś tak podłego temu chłopu, który był ucieleśnieniem uczciwości.

Co kilka dni pakowała koszyczek i ruszała za Odrę na Kleczkowską, żeby zanieść coś swojemu Ludwiczce. Teraz wychodziła, nie budząc nikogo w domu, żeby być w więzieniu na siódmą rano.

Kiedy stanęła na ścieżce, poczuła, że coś jest nie tak. Spuściła wzrok i mało nie krzyknęła ze zgrozy. Pomiędzy krzakiem rododendronu a wysokim, starym cisem rosnącymi przy ścieżce prowadzącej do domu coś leżało. Wystawały tylko dwie nogi w oficerkach. Szturchnęła jedną ostrożnie. Poruszyła się. Ktoś zaczął się podnosić z ziemi.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom, kiedy zobaczyła porządnego studenta, Jana Warkota, który wstawał, wypluwając igliwie z ust. Minę miał nietęgą, włosy zmierzwił, oczy podkrążone i nie pachniał najlepiej. Poczuła igliwie wymieszane z nieprzetrawionym alkoholem.

– Panie Jasiu, bój się pan Boga! – wykrzyknęła Genowefa. – Jakżeż tak można?

– Pani gospodyni, to nie tak. – zaczął, ale sam by sobie nie uwierzył w podobnych okolicznościach.

– Szoruj, młodzieńcze, pod tusz, bo za godzinę wychodzisz do pracy. Żeby cię tylko majster nie zobaczył w takim stanie. No niepodobna, niemożliwe – rzuciła już bardziej do siebie. – Żeby pięć metrów od własnego łóżka. !

Warkot zwiesił głowę, spuścił wzrok i – chcąc nie chcąc – powlókł się po schodach na górę. Tam doprowadził się do porządku, starając się nie myśleć o tym, czego był świadkiem poprzedniego wieczora.



Pierogi leniwe w barze mlecznym zapijane maślanką rosły mu w ustach jeszcze po pracy, ale musiał coś zjeść, żeby zniwelować skutki wczorajszego pijaństwa. Odwykł od spotkań suto zaprawionych alkoholem, choć wcześniej pił z gwardzistami jak równy z równym. Wzrok wbił w talerz puszystych pierożków, jakby ucieleśniały całe zło współczesnego świata.

„A masz, ty mały Trumanie – pomyślał mściwie, nadziewając jednego na widelec. – Masz kułaku, obszarniku, podżegaczu wojenny i krwiopijco. – Przy ostatnim wyzwisku, nie wiedzieć czemu, wzdrygnął się, ale zaraz dokończył atak. – A masz, ty nocna, pogańska maro z mroków średniowiecza!”

– Kawaler mnie wzywał? – dobiegł go głos zza pleców.

Warkot zadrzał. Nie musiał się odwracać, by wiedzieć, kto stanął za nim w tłumie amatorów pierogów, placków i maślanki.

– Czego pan ode mnie chce?

– W zasadzie na razie niczego.

– Proszę odejść, bo zawołam milicję!

– Och, proszę się nie dąsać, kawalerze. Co by milicja powiedziała, gdyby zobaczyła, że taki duży, silny chłopak boi się starszego pana?

– Ja swoje wiem. – Bez pudła rozpoznał twarz skrytą w słupie ognia.

– Przecież mówiłem kawalerowi, to nie chciał pan wierzyć. Na początku trochę piekło, potem zaczęło mnie bawić takie straszenie. W dodatku odkryłem, że taka zmiana postaci pomaga na reumatyzm i rozgrzewa. Dziwna to pokuta, ale tutaj nie mogę się za często pokazywać w tym stanie. Trochę to krępujące. Czasami wchodzę do płonących domów i wyciągam jakąś krzyczącą pannę z płomieni, która jest tak przerażona, że później i tak nic nie pamięta. Poza tym to doskonałe antidotum na komary. Również te w ludzkiej postaci. Strasznie się boją mojego ognia i unikają jak zarazy. Upiorny płomień to doskonały sposób, by uwolnić ich od ziemskich trosk i nawyków. Ty też masz podobną moc, ale jeszcze jej nie znasz. Nie, nie bój się, nie zamierzam cię podpalać.

Monolog ten w jadalni mlecznej, w tych zgoła banalnych okolicznościach, był równie niezwykły, jak widok wędzonej, suchej kielbasy w sklepie. Warkot odwrócił się i spojrzał Słupeckiemu prosto w oczy. Dostrzegł w nich tylko rozbawienie. Upiór najspokojniej postawił kubek z maślanką i talerz z pierogami obok porcji Warkota. Jak gdyby nigdy nic zabrał się do jedzenia.

– Upiorny płomień, hę? Teraz to nawet nie mam siły, żeby zjeść obiad.

– Się kawaler nie przejmuje, to stan przejściowy.

– A pan tak może sobie jeść. Jako ten, no...

– Słup ognia?

– No właśnie.

– Po tylu latach pokuty mogę robić naprawdę wiele. A smaczne jedzenie to nagroda za dobre sprawowanie.

– Jak słupek ognia może się dobrze sprawować?

– Pomagam takim jak ty. Pomagam czeladnikom Bractwa Wołoskiego.

– Czego?

– Bractwo Wołoskiego. Siedmiogrodzkiego. Inaczej: transylwańskiego.

– To jakaś organizacja?

– Bractwo Wołoskie powstało mniej więcej w XIV wieku, ale nie znajdziesz żadnych źródeł pisanych na jego temat. Wiadomo tylko, że pewnego dnia wielmoże z okolicznych prowincji skrzyknęli się i ślubowali walkę z odwiecznym nieprzyjacielem ludzkości, dawnym ulubieńcem naszego Stwórcy. Od kiedy zdradził Boga, robił wszystko, co w jego mocy, by udowodnić, że akt stworzenia był całkowicie niepotrzebny, a w jego wyniku powstał produkt wadliwy, można powiedzieć dzisiejszym językiem: sfuszerowany, drugiej albo i trzeciej jakości. Człowiek znaczy się. Istota ludzka.

– A co mi pan tu duby smalone opowiadasz! – Warkot chciał się zerwać z miejsca, ale wystarczyło jedno spojrzenie Słupeckiego, żeby usadzić chłopaka na miejscu.

– Bractwo stoi po stronie dobra – kontynuował Leon – i kształci obrońców ludzkości. Rogaty nie zamierzał sobie brudzić szponiastych łap w pomniejszych sprawach, dlatego wypuścił na świat watahę sług. Owi słudzy to ludzie z krwi i kości, tyle że posiadają mordercze skłonności. Może to wydać się zgoła nieprawdopodobne, teraz, w barze mlecznym przy pierogach, ale taka jest prawda. Przedwieczni są wśród nas, młodzieńcze, i to nie są „sługusy Trumana”, „pijawki-finansowcy”, choć znalazłbym kilka wyjątków, czy „zmory kapitalizmu”. Są jak najbardziej realni, to żadne tam wampiry, trzęsące się ze strachu przed światłem słonecznym. Owszem, starają się unikać silnych symboli religijnych, bo źle im robią na trawienie! Podobnie kołków z osiki i urznięcia łba. Ale przecież każdy człowiek może od tego zginąć. Wierzą natomiast, że czosnek, będący naturalnym antybiotykiem, jest w stanie wykończyć każdego z nich, jeśli nie zapachem, to smakiem. Ząbek czosnku nieopatrznie zjedzony przez osobę uczuloną na ten przysmak może spowodować poważne komplikacje zdrowotne. Nadkwasotę i takie tam. Oczywiście nadwrażliwość na niego jest różna, bo jest cechą indywidualną. Widziałem nieraz. Na przykład kuchnia francuska...

– To jakieś bajki dla niegrzecznych dzieci. Ja swoje wiem. Szkoły kończyłem. O niczym takim nikt nie mówił. Przecież coś by wyciekło do prasy. Partia wiedziałaby...

– Partia, dobre sobie! Paradny jesteś z tą partią. A pamiętasz, co widziałeś? Gdybym ci to powiedział miesiąc temu, uznałbyś mnie za kompletnego wariata. Zresztą wiem, jaką masz o mnie opinię. Ale nie będę się posługiwał jarmarcznymi sztuczkami, żeby cię przekonać. Wkrótce sam zrozumiesz. Do tego towarzyszył Stalin zadekretował, że w socjalistycznym społeczeństwie żadnych morderców nie ma. Mogą być tylko

wrogowie ludu. Mógłbym, oczywiście – rzucił chełpliwie – przeistoczyć się teraz w coś straszliwego, nie tylko w słup ognia, ale na przykład w bezgłowego barona czy rozkładającego się wisielca, tylko po co? Niczego nowego nie wniosłoby to do sprawy i jeszcze trzeba by się było na milicji tłumaczyć. Tam spisaliby protokół i odłożyli do archiwum do działu: „Brednie starych wariatów”.

Ale, jak to mówią, *sine experientia nihil sufficienter sciri potest*, „bez doświadczenia nie można dość wiedzieć”. Czyli jak się nie przewrócisz, to się nie nauczysz wstawać. Musisz dojść do tego sam, ja jedynie mogę ci służyć wskazówką, no i swoją ognistą osobą. Powiem ci jednak, że pierścień, który tak skwapliwie skrywasz przed kolegami z uczelni, ma wielką moc. Jeśli więc ktoś będzie szczyrzył do ciebie zęby w uśmiechu i zbliżał się niepokojąco, walnij go nim na odlew, a zobaczysz, co się stanie.

To najlepsza metoda na Przedwiecznych. Mówimy tu o grupie ludzi o morderczych skłonnościach, której członkowie chronią się wzajem i pomagają sobie. A ponieważ każdy z nich ma naprawdę paskudne cechy charakteru, wieki temu postanowili się sprzymierzyć, by zwykli ludzie nie przeszkadzali im w morderczym procederze. Do tego należy dodać całą otoczkę ezoteryczną, jaką wokół siebie tworzą. Wszystkie te rytualne mordy, picie krwi, orgie sprawiają, że cieszą się naprawdę złą sławą, a ludzie wierzą, że to istoty nadprzyrodzone. Lista członków sprzysiężenia jest najpilniej strzeżoną tajemnicą Przedwiecznych. Tuszują zbrodnie swoich akolitów i zdobywają kolejne stanowiska, zaszczyty. Jednym słowem trzymają się razem. Choć panuje u nich bardzo ścisła i rygorystycznie przestrzegana hierarchia. Ze względów bezpieczeństwa, bo co i rusz jakiś nieroztropny członek Przedwiecznych staje przed sądem, gdzie przedstawione mu są zarzuty. Mordercy tego typu są niezwykle egotyczni i terytorialni, ale musieli się połączyć na skutek zagrożenia ze strony aparatu sprawiedliwości. I trwają w tym stanie do dzisiaj.

– To wszystko takie. niepojęte. Nie mogę w to uwierzyć.

– Uwierzysz pan, kawalerze. Trzeba tylko pamiętać, że wiele jest kłamstw, co wam do głowy kładą. Musisz myśleć samodzielnie. No i mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Wkrótce nadejdzie wielki dzień dla Przedwiecznych i widzę, że szykują jakieś nowe łajdactwo. Niech pan się trzyma na baczności! Już mają kawalera na oku.

Nagle smaczne pierożki podeszły Warkotowi do gardła.

Starszy pan wytarł usta białą chusteczką i skinąwszy głową Warkotowi, najspokojniej wyszedł z baru. Zostawił go w pełnym osłupieniu.



Porucznik Stefan Gromił dotarł w końcu do kolegów studenta Koguta – tych, z którymi denat spożywał znaczne ilości alkoholu, ciesząc się ze zwolnienia z aresztu. Nie dość, że wypuścili studenta po incydencie na uczelni, to jeszcze dali mu istotne zadanie

służbowe, by rozpracować siatkę sabotażystów na Uniwersytecie. Kogut poczuł się postacią niezwykle ważną, na barkach której spoczywał los socjalistycznej ojczyzny. Miał z urzędu donosić na kolegów i wykładowców. Nie jak jakiś tam drobny, zastrachany szpicel, tylko agent pełną gębą.

– Jak to było z tym Kogutem, mówcie – ponaglił Gromił.

– Zjawił się w Staropolance na Nowotki, to taki lokal na starówce, panie władzo. Sypał forszą jak wielkie panisko, stawiał wszystkim, śpiewał. – zaczął mówić student geografii z trzeciego roku. – Ale nie żeby bardzo się upił. Był tylko lekko wstawiony. Najwyraźniej coś innego wprawiało go w dobry nastrój. Jakoś tak po północy ktoś go poprosił do telefonu. Wrócił zmieniony, poważny, taki skupiony. Zapłacił rachunek i zaczął się zbierać do wyjścia.

– No i co było dalej? Ktoś widział, jak wychodzi?

– Zdaje się, że jedna z koleżanek. Miała do niego słabość.

– Nazwisko.

– Ku. Kuchta Marlena. Z polonistyki.



Gromił stanął przed gmachem filologicznym i z całej siły musiał naprzeć barkiem na potężne drzwi, by wejść do dającego ulgę przed skwarem, chłodnego holu. Po kilku nieudanych próbach odnalazł Marlenę Kuchtę i bezpardonowo wyciągnął ją z seminarium na temat roli chłopca w literaturze.

– Obywatelka Kuchta, tak?

Dziewczyna cała zdrętwiała ze strachu. Nie docierało do niej, że Gromił przyszedł sam i nic nie wskazywało, że dostanie zaproszenie na Podwale. Ale ona jeszcze tego nie wiedziała. Dla zgodnej, całkowicie podporządkowanej rzeczywistości osoby sam fakt kontaktu z organami ścigania był czymś na kształt publicznej defloracji.

– T-tak.

– Czy była obywatelka dwudziestego piątego maja w godzinach wieczornych w lokalu o nazwie Staropolanka?

– By-byłam. obecna – dokończyła służbiście, bo już wiedziała, o co będą pytali. – Chodzi o Staszka, prawda? O kolegę Koguta?

– Proszę tylko odpowiadać na pytania – rzucił Gromił, ale zreflektował się, bo nowe doświadczenia wskazywały, że więcej jest w stanie uzyskać łagodnością niż przesadną srogością. – Tak, chodzi o Stanisława Koguta.

– No to. spotkałam się ze Staszkiem wieczorem tamtego dnia. To był piątek. Rozmawialiśmy trochę, a Staszek był. no, chciał mnie dokądś zabrać.

– Na chatę znaczy?

Marlena zaczerwieniła się po same uszy niczym piwonia.

– No tak. Mówił, że ma nowe płyty, że mieszka sam i jakbym chciała...

– A chciała obywatelka?

– Właściwie już się zdecydowałam – rzuciła wyzywająco, patrząc Gromiłowi w twarz.

– No i co się stało?

– Staszka poproszono do telefonu. Wrócił jakiś zmieniony. Taki jakby nieobecny. Przeprosił mnie i powiedział, że będzie musiał iść. Sam.

– A co obywatelka na to?

– Nic. Staszek wyszedł ze Staropolanki. Pobiegłam za nim, bo zapomniał reszty zabrać.

– Nie odebrał reszty z rachunku? Może napiwek zostawił?

– O nie, Staszek był bardzo uważający. Mówił, że każdy powinien być zadowolony z tego, co dostaje, a napiwki to były za burżuazji przed wojną i tylko psuły kelnerów.

– No i co było dalej?

– Dogoniłam go jakieś pięćdziesiąt metrów dalej na Włodkowica. Stał przy takiej limuzynie. Drzwi były otwarte i Staszek opierał się o dach i z kimś rozmawiał. Zobaczył mnie. Machnął jakoś tak ze złością ręką i wszedł bez słowa do samochodu. Stałam przez chwilę na pustej ulicy. Co miałam robić? Wróciłam do środka, posiedziałam jeszcze z godzinkę i wróciłam do akademika ze wszystkimi.

– Znaczący, nie udał się wieczór?

Znów to zaczepne, zbuntowane spojrzenie, jakby Gromił był jej starszym bratem.

– A właśnie, że się udał!

– Ale Kogut został zamordowany.

– No właśnie. – Znów przybrała zboląłą minę. – Dowiedzieliśmy się w poniedziałek.

– Pamięta obywatelka ten samochód?

– Duży, czarny, zagraniczny chyba. Aż błyszczał nowością. Jakby świeżo z fabryki zjechał.

– I Kogut tak po prostu wszedł do wozu i odjechał. ?

– No przecież mówiłam.

– Nikt go tam nie wciągnął?

– A gdzie tam. Staszek jest. był bardzo silny i musiałyby być ze trzech chłopa, żeby mu dać radę.

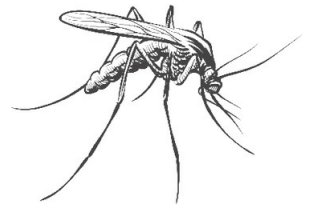
– Najwyraźniej niekoniecznie. Proszę wracać na zajęcia. Zaprosimy obywatelkę do nas, żeby obywatelka mogła podpisać protokół.

– Za-zaprosimy? – Marlena Kuchta aż jęknęła.

Gromiłowi żal się zrobiło dziewczyny, dodał więc miękko.

– Chodzi mi tylko o podpis, tylko o podpis, obywatelko.

Milicjant wyszedł na ulicę z mieszanymi uczuciami. Dotychczasowe śledztwo nie tylko nie zbliżyło go do mordercy czy też morderców, ale jeszcze cała sprawa mocno się gmatwała. Zastanawiał się, czy coś łączyło wszystkie ofiary. Postanowił przejść się do komendy i ruszył wzdłuż nabrzeża Odry.



ROZDZIAŁ DWUNASTY

ZWĘSZYĆ TROP...

Grigorij Iwanowicz Kolew służył w armii, od kiedy tylko pamiętał. Udało mu się szczęśliwie przeżyć czystki wśród kadry oficerskiej, ba, rzucono go tu, na zapad, co było nie lada nagrodą i wyróżnieniem.

Krążył niespokojnie po dużym gabinecie w przydzielonej mu krzyckiej willi. Z każdym krokiem wyobraźnia zabierała go coraz dalej. Przez ostatnią godzinę mógł być zająć już na Psie Pole, albo i dalej. Co i rusz omijał wielkie dębowe biurko ze staromodnym kałamarzem zdobnym w motywy myśliwskie. Powycierany dywan zdawał się jeszcze bardziej ustępować pod naporem podkutych oficerek, jakby pułkownik chciał go wdeptać w parkiet. Czoło zrosił mu pot pod wpływem natłoku myśli.

„Jak coś trzeba zrobić konkretnego, to zawsze wypada na mnie” – pomyślał z wyrzutem krasnoarmiejec.

Pierwszy nie mógł się ruszyć i tylko pozował do zdjęć. Kolew nie miał żalu. Teraz wypadała jego kolej, a poza tym ich grono nie opierało się na zasadach demokracji. Można było bardzo szybko awansować, ale też upadek bywał niezwykle bolesny.

„Zupełnie jak z Griszą” – pomyślał.

Rasputin miał wielkie wpływy, dostęp do bogatych domów, co noc inne damy dworu w łóżnicy, a skończył jak pies pod płotem. A miał panować nad wszystkim jak kardynał Richelieu. Ale w głowie mu się przewróciło. Był nieostrożny i tym książątkom, których rodzina jeszcze sto lat wcześniej pasła krowy nad Wołgą, przestała się podobać jego arogancja, tupet, no i nie oszukujmy się, brak higieny. Truli go, dźgali, siekli i topili bez skutku. W końcu, korzystając z instynktu samozachowawczego, udał trupa. Nie musiał wcale dręczyć carewicza, miał tyle do wyboru.

Ale chciał podczas tajnych obrzędów sekty zasmakować najbłękitniejszej z błękitnych krwi i reszcie dworu się to nie spodobało. Oficjalnie carewicz cierpiał na brak krzepliwości krwi. Każdy by na to zachorował, gdyby mu wpompowano tyle bielunia, że znalazł się właściwie na krawędzi życia. Ale wydano zakaz. Nie wolno było go ratować, bo był zakaz budzenia nowych do życia, gdyż starych pozostało wystarczająco dużo. No i ani zipnął. Poza tym młode książątko nie było do niczego przydatne. Ich czas się kończył. Już podburzony lud, hehe, miast i wsi, był gotów na rewolucję.

Kolew pamiętał to, bo był wtedy młody i zdrowy. Wystarczyło tylko dać sygnał i można było przejąć władzę. W całym tym tumultcie, który był na rękę starym, ludzie padali jak muchy. Od ran, od kozackich szabel i właściwie w każdy możliwy sposób. Cóż to jest tych kilka setek przy tysiącach poległych?

Mieli wówczas używanie. Przypalał się wtedy taki jeden jewriem po odsiedzeniu

kary twierdzy w Krakowie. Miał dar, to trzeba mu przyznać. Kiedy przemawiał do ludu, ten od razu ruszał na barykady. No więc dano mu władzę. Tymczasowo. Miał też niestety zaawansowaną kiłę. Nikt przy zdrowych zmysłach nawet podczas najbardziej wyuzdanych obrzędów nie będzie pił krwi syfilityka, bo to paskudne. Ktoś nawet by się i poświęcił, ale szykowano go na ikonę, symbol i męczennika rewolucji. By odszedł śmiercią naturalną.

Rada wytypowała nowego Pierwszego. Nie był może zbyt lotny, ale umiał wykonywać jej polecenia. Stał przy Wąsaczu niczym wierny pies, gotów łąsić się na byle skinienie uwielbianego przez tłum generalissimusa. Prawda była jednak inna. Wąsacz był tępym narzędziem w jego ręku i robił, co mu kazano, choć nawet nie wiedział, co się wokół niego dzieje. Co jakiś czas tylko z fotografii znikał kolejny czerwony włodarz, który zaczynał dostrzegać i kojarzyć fakty – takich ludzi Przedwieczni usuwali z annałów historii, jakby nigdy się nie urodzili. Tylko Trockiemu udało się zbiec, ale nie na długo, bo wysłano takiego jednego, co bardzo pragnął wejść w krąg wtajemniczenia i dołączyć do elity Przedwiecznych. Wykonał bezbłędnie swoje zadanie, choć oczywiście zaliczono to do mordów politycznych.

„I tak niektórzy robią wielką politykę, a ja muszę tu tkwić i popijać z tymi Polaczkami. Ten ich pułkownik to straszny jełop. Nie widzi niczego” – rozmyślał Kolew.

Ale raz było trudno, bo podstawił mu pod nos słój ogórków marynowanych w czosnku. Jeden fałszywy ruch i byłoby po Kolewie. Generał uwierzył w to, że ma ostre uczulenie na czosnek. Nie była to prawda, ale tamten wierzył w to bez zastrzeżeń. Wybuchnął, choć opanował się po chwili. Okiełznał swoją dziką naturę, jaką charakteryzowali się wszyscy Przedwieczni. I już miał chęć rzucić się tumanowi do gardła i wydrzeć jego i tak już gasnące życie z zapadniętej piersi.

Był mu jednak potrzebny. Gdyby postawiono tu kogoś bystrzejszego, kogoś, kto stroniłby od alkoholu, choć to niepodobna, mieliby duże kłopoty. Podatny, *nomen omen* dawał się wodzić za nos i robił wszystko, co mu Kolew kazał. Jeszcze tylko kilka miesięcy tej mordęgi i będzie mógł cieszyć się zasłużoną nagrodą.

Przygotowania szły pełną parą, ale coś nie dawało mu spokoju. Nawet sam Trzeci się tu zjawił, choć jak zwykle zostawiał po sobie ślad trupów, co niepotrzebnie zaalarmowało władze. Ale on już taki był, nieokiełznany, dziki od dnia wstąpienia do sekty Przedwiecznych, co wydarzyło się tak dawno temu, że najstarsi kronikarze tego nie pamiętali.

Kolew czekał teraz na niego i niepokoił się coraz bardziej, bo miał z nim styczność tylko raz i nie było to przyjemne spotkanie.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi, stanęła w nich gospodyni. Nieśmiała i zahukana niewiasta po pięćdziesiątce.

– Gość do pana, panie generale – rzuciła niepewnie od drzwi.

– Prosić, prosić, Jekaterino Stanisławowna.

W wejściu pojawił się Trzeci, jak zawsze odziany w ciemne ubranie pomimo

szalejącego upału. Gospodyni zniknęła, mówiąc coś o tym, że zaparzy czaj.

Gość zrzucił kapelusz i spojrzął na Kolewa. Ten zamarł cały i poczuł, jak resztki osocza w jego organizmie zmieniają się w lód.

– Witaj, Trzeci.

Przyklął w poddańczym geście, na co gość w jednej chwili poderwał go z podłogi. Cóż to byłby za obrazek, gdyby ktoś zobaczył, jak pułkownik krasnej armii klęka przed gościem. Trzeba by zabić wszystkich wokół.



Jan Warkot minął olbrzymią willę z dwiema limuzynami parkującymi przed domem w drodze na przystanek. Tramwaj kołysał się leniwie obciążony do granic możliwości, sunąc wśród wąwozu ruin. To właśnie tędy przebiegała linia natarcia Armii Czerwonej na miasto. Machina wojenna o olbrzymiej sile pod dowództwem niezbyt rożgarniętych oficerów miażdżyła kolejne domy, wykazując się bardziej brutalną siłą niż strategiczną finezją.

Warkot patrzył na pojedyncze kamienice niegdyś najbardziej reprezentacyjnej ulicy miasta. Teraz wystawały spod hałd gruzów, strasyły pustymi placami, które już zostały oczyszczone przez junaków SP. Nie był to obraz napawający optymizmem. Im dalej w miasto, tym więcej ruin. Za rondem właściwie kończyła się zabudowa i pierwsze jej ślady pojawiały się przed zabytkowym wiaduktem.

Warkot wysiadł przystanek dalej, bo dzisiaj miał wolne w drukarni, a poczucie obowiązku nakazywało mu podzielenie się informacjami, które mogły przydać się śledczym prowadzącym sprawę Koguta i innych ofiar. Ze ściśniętym gardłem wszedł w wąską uliczkę na początku Kościuszki. Stopy same zawiodły go do gmachu Komendy Milicji Obywatelskiej, gdzie podał na bramie swoje personalia, cel wizyty i cierpliwie czekał, aż zostanie wywołany.

Przyszedł po niego młody człowiek w jasnym, choć nieco siermiężnym stroju z letnim kapeluszem w dłoni.

– Obywatel Warkot?

– Tak, to ja.

– Porucznik Gromił. Chodźmy, przejdziemy się.

Warkot był nieco zbity z tropu tym niecodziennym zachowaniem milicjanta. Spodziewał się składania zeznań, stukotu maszyny do pisania, bakelitowych popielniczek i skrzypiących krzeseł. Nic z tych rzeczy. Porucznik był niewiele starszy od niego i zachowywał się z dziwną, jak na te czasy, nonszalancją, która raczej nie powinna cechować przedstawiciela władzy ludowej. Miał w sobie nieco służbistej sztywności, ale nie było w nim nic z pracownika Urzędu Bezpieczeństwa ani tępego zbira gotowego zdzielić przesłuchiwanego pałą.

– Chodźmy tędy. – Porucznik Stefan Gromił wskazał na kładkę na fosie, za którą rozciągał się pas zieleni, a jeszcze dalej widniały gruzy jakiegoś pałacu, który stał w tym miejscu.

Janek przypomniał sobie stare fotografie. Na tym budynku wisały flagi z hakenkreuzem, przed nim stała trybuna, z której mały kapral przyjmował hołdy sportowców podczas parady na święto sportu w niemieckim Breslau. Mocne ręce trzymające sztandary i proporce, zaokrąglone kształty naturalnych blond walkirii wykonujących jakieś akrobatyczne ewolucje. Oczy wszystkich zwrócone na trybunę, dłonie wyciągnięte w rzymskim pozdrowieniu. Tak, to miejsce wiele pamiętało.

Widać było lekko zniszczony gmach opery po prawej stronie, nieco dalej trójkątny dach kościoła Świętych Stanisława, Wacława i Doroty, a dalej, zza hałdy gruzów, wyłaniała się ratuszowa wieża jakby na przekór wszystkiemu. Przy ruinach uwijali się junacy, wywożąc gruz z hałdy na hałdę.

– Słucham, chciał obywatel ze mną mówić. Przepraszam za to niecodzienne otoczenie, ale musiałem się przejść, żeby zebrać myśli.

– Tak, no właśnie. Ja też tak często robię. Otóż ja w sprawie kolegi Koguta, ale nie tylko. Chciałem jakoś pomóc w śledztwie, chciałem dopowiedzieć. Bo ja, obywatelu poruczniku, ten czarny samochód widziałem przynajmniej dwa razy.

– Jaki samochód? Skąd wiecie o samochodzie?

– Ludzie mówią. moich kolegów wypytywano o czarną pobiedę.

– Hmm, no tak. Dla porządku powiedzcie, studiujecie?

– Tak, na Wydziale Maszynowym. Mam specjalizację drukarską i pracuję na stażu w drukarni. Właściwie już kończę studia.

– No to co wiecie o tym samochodzie?

– Widziałem go na własne oczy dwa razy. Raz, jak przejeżdżał koło domu, w którym mieszkam, przy parku na Szczytnickiej. Nowy, jak z fabryki, czarny z niklowanymi elementami, z nowiuśkimi oponami i białym kołem wokół felg.

– A skąd wiecie, że pobieda? Może mercedes?

– Panie poruczniku. po pierwsze, nie warto się kłócić z przyszłym inżynierem o marki wozów, po drugie, skąd we Wrocławiu miałyby się wziąć nowy fabrycznie mercedes? A poza tym interesuję się trochę motoryzacją...

– No dobrze. A ten drugi raz?

Gromił zauważył, że młodzieniec zmienił się na twarzy, jakby lekko pobladł.

– Kilka dni temu wracałem z lokalu, trochę pod muchą, no i gonił mnie...

– Jak to gonił?

– No, żebym tak się z miejsca nie ruszył. Ja szedłem, znaczy wracałem do domu, a wóz przyspieszył i już by mnie dopadł, gdyby nie. no właściwie nie wiem, co się stało. Obudziłem się już w domu.

„Zdecydowanie kłamiesz, ptaszku. Albo nie mówisz całej prawdy” – pomyślał porucznik. Za długo w tym siedział, żeby ktoś mógł go oszukać.

– Jak to tak, gonił was i nie dogonił?

– No nie wiem.

– Mówcie prawdę, bo cierpliwość mi się kończy – rzucił Gromił ze złością, jeszcze mu tylko brakowało do kompletu świadków studenta bajkopisarza.

– Panie poruczniku – odezwał się Warkot zupełnie już innym głosem, jakby posądzenie o kłamstwo dotknęło go do żywego. – Co by pan zrobił, gdyby zdarzyło się coś, czego nijak nie jest pan w stanie wyjaśnić? Jakby wszystko, w co pan wierzy, nagle po jednej nocy legło w gruzach?

– Mówcie, ja mam otwarty umysł.

I Warkot opowiedział. Mówił o spotkaniu z osobliwym nieznanym, który później przedstawił mu się jako Leon Słupecki. Opowiedział o dziwnych słowach, zatajając jedynie fragmenty zupełnie szalone, te o średniowiecznych zjawach i słupach ognia. Nie powiedział też o sygnecie z krwawnikiem, który teraz palił go żywym ogniem w zaciśniętą dłoń. Poprzestał na tym, że nieznanomy w jakiś przedziwny sposób odstraszył zmotoryzowanego prześladowcę, ale szczegółów nie zna. Pomiął też dziwną, pojawiającą się po śmierci jednego z Przedwiecznych nocną lunę, bo teraz już się domyślał jej przyczyny...

– Jak to odstraszył?

– No tak to, odstraszył. Dalej nie pamiętam, bo się obudziłem w domu. To znaczy koło domu, w ogródku.

– A dużo było pite?

– Nie zmyślam, panie poruczniku, ani też nic mi się nie przywidziało. A że trochę wypilem, to prawda. Ale nie na tyle, żeby mieć jakieś zwidy.

Gromił zamyślił się przez chwilę.

– Niech obywatel uważa na siebie, bo jest w tej sprawie coś, co mnie niepokoi. Nie możemy przydzielić funkcjonariusza, ale zaczniemy częściej patrolować te rejony miasta. Niedaleko znaleziono zwłó. – Ugryzł się w język. O mały włos zdradziłby tajemnicę śledztwa.

– Teraz, obywatelu poruczniku, to ze mnie jest kłębek nerwów. Oglądam się za siebie nawet w kanciapie w drukarni, jakbym czuł na sobie czyjś wzrok...

Może by jednak dać mu cywilnego „opiekuna”? Może zaprowadzi nas do zabójcy, bo najwyraźniej ten upodobał sobie dziarskiego studenta. Raz to mógł być przypadek, ale dwa razy. Wykluczone, chyba że...

– A politycznie jesteście uświadomieni? Znaczący należycie do ZMP?

– Nie było czasu. zaraz po wojsku na studia i teraz jeszcze praca.

– W wojsku byliście? No tak, to wyjaśnia sprawę. Chyba że nastąpiła jakaś pomyłka i chodzą za wami, żeby coś wyjaśnić.

– To nie to. W naszej drukarni aresztowano majstra Kapustę, ale zwolniono z braku dowodów. Sabotaż był. Byli z Urzędu, badali, przesłuchiwali, ale niczego nie wykryli.

„Mordy odrapane, włosy jak badyli. ” – nie wiadomo, dlaczego akurat te słowa z popularnej lwowskiej piosenki przyszły Gromiłowi do głowy.

– Kapusta, powiadacie?

– Tak, nasz majster.

– Sprawdzimy.

Po jakimś czasie rozmowa z oficjalnej przybrała charakter wręcz towarzyski. Gromił wypytywał o życie na uczelni, o drukarnię i o wiele spraw, które ze śledztwem nie mogły być związane. Zniknęła gdzieś oficjalna sztywność porucznika, któremu naprawdę spodobał się ten młody człowiek. Dochodził do wszystkiego własnymi siłami i na dodatek był spostrzegawczy, rezolutny i bystry.

„Ech, przydałby się nam taki milicjant” – pomyślał ze smutkiem o swoim sierżancie Fajansie, który choć posiadał wiele przymiotów, jakie powinny cechować przedstawiciela władzy, nie był zbyt lotny oraz nie miał ani krztyny poczucia humoru, co w oczach Gromiła stanowiło o wiele większą wadę. Może właśnie dlatego był idealnym „gliną”.

– Wie pan co, panie Janie? Zapraszam pana na obiad. Pogawędzimy sobie jeszcze.

Jan Warkot – student i praktykant – nie posiadał za wiele środków i dlatego rzadko jadł obiady na mieście poza studencką czy pracowniczą stołówką. We dwóch ruszyli, niczym starzy znajomi, do Staropolanki. Bryzol z karty najwyraźniej pamiętał czasy, kiedy Pablo Picasso rysował gołąbki na wrocławskich serwetkach, ale z cebulką i ziemniakami i tak smakował wyśmienicie. Gromił zaproponował kufel piwa i Warkot nie miał siły odmawiać. Orzeźwiający trunek skutecznie łagodził wpływ upału i Janka opanował błogi spokój, czując sytość w żołądku i przyjemny szmerek w głowie.

– Panie Janie, bez ceregieli – powiedział Gromił. – Mówmy sobie na ty.

– Ale przecież...

– Sam proponuję jako starszy wiekiem i stopniem.

– W takim razie...

– Kelner, dwie!

Po chwili na stole stanęły dwa kieliszki z wódką. Bruderszaft też miał swoje prawa. Wypili. Wyściskali się i wycalowali.

Milicjant pomyślał, że może się nieco pospieszył, ale też Janek nie miał nic wspólnego ze śledztwem, uczciwość przebijała mu z gęby, a Stefan Gromił nie miał we Wrocławiu wielu przyjaciół i czasem tęsknił za towarzystwem. Za koleżeństwem, którego w komendzie nie mógł się spodziewać od nikogo oprócz majora. Postronni raczej unikali znajomości z milicjantami, bo ci reprezentowali władzę, która nie dla wszystkich była miła i przyjemna.

„Co ja najlepszego robię?” – zastanawiał się Warkot, ale szczerze mówiąc, jemu również przypadł do gustu Gromił. Zupełnie nie miał wrażeń, że pije z milicjantem. Po tych dwóch godzinach rozmów wydawało mu się, że zna go od dawna. Pomyślał tylko, że być może nawiązywanie znajomości to specjalizacja każdego śledczego.

– Coś mi tu wciąż, Janku, nie pasuje. Mówię o tym całym Słupeckim. Oczywiście możemy go sprawdzić, ale kto zaświadczy, że to jego prawdziwe nazwisko? Trzeba będzie poszperać w urzędzie meldunkowym. Powinien gdzieś wypłynąć. Właściwie bardzo chętnie przesłuchałbym tego jegomościa, bo najwyraźniej ma niemało

wspólnego ze sprawą. Jak go ponownie spotkasz, to daj mi znać. Albo wprost zapytaj, czy chciałby złożyć zeznania. To czasem skutkuje. Znaczy się, czasem ludzie przychodzą do nas dobrowolnie, tak jak ty.

– Tak, wiem. – Warkot zwiesił głowę.

– Nie, no przecież nie mówię tu o...

– . o kapusiach?

– Trzeba mieć zaufanie do władzy. Władza jest ludowa, czyli dla obywatela. – Kiedy to mówił, przypomniał mu się pułkownik Podatny, za którym stała cała polityczna służba, i bezwiednie się skrzywił. – Słuchaj, Janek, przyszedłeś do mnie, dlatego że sam miałeś wątpliwości. Sam chcesz się dowiedzieć, o co tu chodzi.

– No tak, nie daje mi to spokoju. A do tego jeszcze ten facet. Teraz mam wrażenie, że mi się różne zwidy pojawiają, ale jak jest w pobliżu, to wszystko wydaje się takie realne, prawdziwe do bólu.

– Są rzeczy na niebie i ziemi, o których nie śniło się...

– Ja mówię poważnie. Co by było, gdybyś z dnia na dzień dowiedział się, że ziemia jest jednak płaska i podtrzymują ją żółwie czy słonie? – Kiedy Janek mówił, radio zaskrzypiało masową pieśnią: „Naprzód młodzieży świata, nas braterski połączył dziś marsz. ”. – O widzisz, rzeczywistość się o mnie upomina, a ja tkwię jak jakiś ciemnogród w gusłach i zabobonach.

– Jakbyś widział, co morderca robi z ofiarami, to też byś się odruchowo żegnał.

– Aż tak źle?

– Gorzej. Lekarz sądowy z przedwojenną praktyką nie widział w życiu czegoś takiego. A szyje łby po wiejskich weselach i wyciąga trupy z kanałów rzecznych od wielu lat. Jeśli lekarz sądowy z taką praktyką mówi, że nie widział czegoś podobnego w życiu, to trzeba się nad tym poważnie zastanowić. I nie lekceważyć przeciwnika.

– Miałeś z czymś takim już do czynienia? Z serią, znaczy się?

– Nie, ale nie mam tremy debutanta. Mam wrażenie, że mojemu majorowi kazano mnie rzucić na pożarcie. Żebym się wyłożył. Ale ja się nie dam. Złapię tego dziada, żeby nie wiem co.

Wypowiedź Gromiła została bezlitośnie skomentowana przez sączącą się z radia wesołą piosenką rewelersów, tym razem z wyraźną kpina: „Autobus czerwony przez ulice mego miasta mknie. ”.

– Sam widzisz. – Ożywił się Janek. – Nowe życie, optymizm, odbudowa, młodość, a tu coś takiego. Musimy wyplenić to sanacyjne zło, bo to jeszcze w ludziach tkwi.

– I co, wydaje ci się, że jakiś zwolennik Andersa morduje, żeby zyskać. Właśnie, co chce zyskać?

– Nie, to nie to. To nie są zwykłe mordy, o nie. Sprawca prawie nie zostawia śladów. Ale świadków zostawia i to mnie niepokoi. Za trzecim razem, kiedy zauważę samochód, może mi się nie udać i wtedy moje zwłoki będziesz wyciągał z kanału.

– Wypluj to, nawet tak nie mów.

– A widzisz, Stefan, to są właśnie gusła i przesady. Na szkoleniu uczyli. Czarne koty,

rozstawione drabiny, nawet niewinnemu kominiarzowi się dostało. Tylko krawcowe zacierają ręce, bo cięgiem przyszywają guziki. Nie wykorzeni się tak łatwo zabobonu – powiedział Warkot, choć już bez większego przekonania, bo przypomniał mu się żywy słup ognia.

– Zabobon zabobonem, a ja mam w kostnicy już kilka trupów i nikt nie wie, dlaczego się tam znalazły. Trup, namacalny dowód! Tramwajarz znaleziony w parku przy moście...

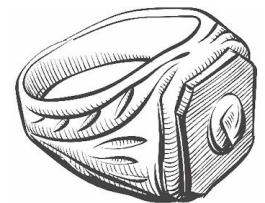
„Na lewo most, na prawo most, a dołem Wisła płynie.” – radio piętnowało nastrój palącą kpina.

Zamilkli teraz na dłuższą chwilę i siedzieli tak, wpatrując się w pustkę, niczym rewolucjoniści z radzieckiego filmu o carskiej Ochronie. Radio zachrypiało z satysfakcją i ucichło, po czym rozległ się głos spikera zapowiadającego transmisję z jakiegoś sportowego meczu. Obsługa lokalu i kilku nielicznych klientów najwyraźniej czekali właśnie na to, bo starszy kelner dał głośniej.

– Chodźmy stąd – powiedział Janek. – Jak na jeden dzień mam rozrywki powyżej uszu.

– Poczekaj, wezwę samochód i odwiozę cię do domu. Chciałbym, żebyś mi pokazał, gdzie widziałeś ten wóz.

Nie był to jedyny powód, ale Stefan Gromił nie chciał ujawniać wszystkich kart nowemu przyjacielowi. Kto mniej wie, krócej będzie przesłuchiwany. Bynajmniej nie przeszedł z Warkotem na ty z czystego wyrachowania, ale miał też pewien plan, w którego szczegóły nie zamierzał go wtajemniczać. Po chwili mknęli przez ulice Wrocławia na południe, do spokojnej willowej dzielnicy.



GDZIE BY UCHO PRZYŁOŻYĆ...

Obywatel sierżant Ryszard Znój mieszkał w ponemieckiej willi. Podszedł do okna, bo usłyszał jakieś zamieszanie na zewnątrz. Zobaczył niebieski, nowiutki gazik z wymalowanym napisem „MO” na boku. Ostatnio dostali kilka takich aut i teraz je próbowali.

Ryszard Znój nie miał łatwej pracy. Był, jak to mówili, tajniakiem, chodził po cywilu po mieście i szukał guza. Praca wywiadowcy nie należała do łatwych ani przyjemnych, ale Znój potrafił idealnie wtopić się w tłum, nie zwracając niczyjej uwagi. Jego całkowicie niewyróżniający się wygląd był niesłychanym atutem w tej pracy. Z twarzy niepodobny do nikogo, średnich wzrostu i wagi potrafił zmienić się w lwa przy łapaniu przestępcy. Świadczył o tym wielokrotnie połamany nos jak u boksera.

Patrzył teraz na sąsiada z poddasza, Janka Warkota, który pokazywał coś temu świeżo upieczonemu porucznikowi z dochodzeniówki. Sierżant Kuźniak jak zwykle asystował Gromiłowi i zapisywał skrętnie słowa przełożonego. Znój zamyślił się.

„Czyżby Janek się w coś wplątał? Niemożliwe. Pewnie coś widział”.

Młodzieniec gestykulował zamasyście. Nad nimi drzewa wtórowały mu dzielnie, wymachując wielkimi gałęziami, bo oto nadciągał mocniejszy wiatr, a może i nawet burza, która przyniesie ulgę wszystkim mieszkańcom Wrocławia. Znój odłożył brzytwę i przestawił kubek z rozrobionym mydłem do golenia na stoliku pod oknem, po czym ręcznikiem wytarł resztki piany z twarzy.

Wczoraj późno wrócił i dzisiaj też musiał się stawić na służbie wieczorem. Lubił, kiedy posyłali go do knajpy. Miał się tam zjawić taki jeden podejrzany o handel walutą. Poważna sprawa. Trzeba było namierzyć pozostałych z szajki i to zaszczytne zadanie przypadło w udziale właśnie Znojowi. Ciekawe, czyżby młody porucznik w końcu wpadł na trop? W komendzie porobili już zakłady, co nie było może zbyt koleżeńskie, ale w końcu to tylko niewinna zabawa. Zakładali się o to, czy Gromił wyłoży się ze śledztwem, czy też nie. Większość twierdziła, że tak, ale Znój na przekór wszystkim postawił górala na Gromiła, co mogło mu się bardzo opłacić, gdyby porucznik spełnił pokładane w nim nadzieje.

Sam Znój był osobą i funkcjonariuszem nietykalnym w komendzie, bo kiedyś ochraniał samego „Waltera” – generała Karola Wacława Świerczewskiego – w jego walce z banderowcami. Ezoteryczna wiedza o całym zajściu związana ze śmiercią generała czyniła z niego osobę niezwykle ważną i poważaną w pewnych kręgach. Już dawno mógł zdobyć oficerskie szlify, gdyby nie to, że w przewrotny, perwersyjny sposób lubił swoją pracę. Nie każdy się do niej nadawał, a Znój uczył się fachu u najlepszych.

We Wrocławiu osiadł po demobilizacji i od razu wstąpił do milicji. Chcieli go brać

do UB, ale on po Bieszczadach polityki miał powyżej dziurek od nosa. Co innego przyłożyć bandziorowi, a co innego czekać, aż cię kto rozwali z mausera. Nie miał rodziny, bo wcześniej nie było czasu, żeby ją założyć, a teraz tym bardziej. Dostał przydział na pokój w tej starej willi i bardzo chwalił sobie tutejsze otoczenie pozwalające zapomnieć o dusznych zaułkach miasta pełnych występku i zbrodni oraz o tym, że było w nim więcej gruzów niż domów.

Mieszkał bezpośrednio pod mansardą Warkota, wiedział więc, co się u niego dzieje. Miał też widok z okna na ulicę i park rozciągający się za nią. Widok ten niezmiennie sprowadzał spokój na udręczoną duszę Znoja, która wymagała zdrowego odpoczynku na łonie zwyczajności. Dopiero wtedy mógł śledzić, inwigilować, bić się na pięści i strzelać się ze wszelkiego rodzaju szumowinami. Był w gruncie rzeczy osobą łagodnego usposobienia, na co często nabierali się jego „klienci”. W razie potrzeby pokazywał im swoją drugą naturę, której sam się nieco obawiał. Był niezwykle silny i stale pracował nad sobą, robiąc pompki i przysiady. Sporo też ćwiczył na macie i w ringu, żeby nie wyjść z wprawy.

Kiedy wszedł do gmachu komendy, już na progu jego gabinetu zgarnął go szef dochodzeniówki.

– Rysiu, zastawiamy dzisiaj sidła. Wrócisz zaraz do domu.

– Jak to do domu? A waluciarz?

– Waluciarza weźmie Tomek z chłopakami. Ty jesteś potrzebny do obserwacji dużo gorszego łobuza.

– Chodzi o sprawę wampira? – zapytał, bo był człowiekiem domyślnym i poukładanym.

– No właśnie. Nie możemy tam postawić radiowozu, bo się spłoszy, a jak ty wrócisz cichcem do domu, będziesz mógł obserwować wejście. Stefek mówi, że tamten może dziś zaatakować studenta.

– A student wie?

– Lepiej, żeby nie wiedział. Będzie siedział w domu i się uczył do końcowych egzaminów. A ty będziesz, że tak powiem, pilnował go.

– Mam mu sprawdzać zadania domowe?

– No, nie żartuj sobie. To naprawdę poważna sprawa. A jak się spiszesz, to i awans, i premia...

– Tak, tak, już to gdzieś słyszałem.

– No nie gderaj już, tylko zabieraj się do domu.

– W domu to mi się spać zachce.

– To sobie kawy zaparzysz albo herbaty.

– W domu to ludzie umierają...

– No lepiej, żeby nie. A co, wolałbyś na drzewie z lornetką komara ciąć? Zastanów się.

Gderając jeszcze trochę, Ryszard Znój, chcąc nie chcąc, zabrał się z powrotem do domu. Nikt z lokatorów nie wiedział, czym się zajmuje, bo i po co? Specjalnie też

sąsiedzi nie pytali, takie to czasy.

Kiedy złapał dłonią za ślimaka poręczy na parterze, opanował go dziwny niepokój. Czuł coś takiego kilka razy w życiu, a ostatni raz, kiedy kolega z oddziału z zaciętą miną złowróźnie przeładował pepeszę podczas konwojowania „Waltera”. Nie był człowiekiem zabobonnym, ale w instynkt wierzył jak mało kto.

Cicho wszedł się po schodach skręcających się w półkolistym wykuszu. Wszedł do pokoju i lekko uchylił okno. Na zewnątrz wiatr coraz mocniej huśtał ciężkimi od liści gałęziami. Co jakiś czas spadał na ziemię kasztan z głuchym stukotem, otwierając zieloną skorupkę, by wypuścić brązowy załazek nowego kasztaniego życia, który i tak przeważnie trafiał w najlepszym przypadku do dziecięcego piórnika.

Na wyczekiwaniu upłynęły mu cztery godziny. Na ścianie ponemieckiej willi szeleścił bluszcz pokrywający niemal całe dwie ściany. Pani Genowefa nie raz narzekała na to zielsko, bo choć ładne, zdzierало bezpardonowo tynk z budynku, wpijając się weń drapieżnymi mackami. W naturze ładne przejawy życia często bywały też bardzo niebezpieczne. Znój widział w jednej książce pisanej jeszcze gotykiem litografię piranii, których ławica potrafiła odrzeć do kości dorosłego wołu. I nie, ta ryba nie była sympatyczna z wyglądu. Podobnie jak pająk ptasznik wbijający swe szczęki w niewinnego, małego ptaszka w pozie, w jakiej uchwycił go artysta. Ptasznik.

„Ptasznik z Tyrolu” – pomyślał Znój i zaśmiał się w duchu. Podobała mu się ta analogia z kilkoma wyższymi oficerami III Rzeszy pochodzącymi właśnie z tego górskiego regionu. Ale na przykład taka meduza...

Głośniejszy szelest za oknem przyciągnął jego uwagę. Coś tam było.

„Łasica” – pomyślał Znój. Pełno ich tutaj było, a i czasem coś większego przebiegało parkowe alejki, tupiąc niemiłosiernie. Ale łakome łasice wspinały się raczej do ptasich gniazd, żeby wypić jajka. Macki bluszczu kończyły się w połowie okna poddasza, łapczywie sięgając po więcej, choć dalej został tylko spadzisty dach.

„Przecież nie przeoczyłbym niczego ważnego” – zastanowił się Znój.

Ostrożnie wyjrzał przez okno i spojrzął w dół. Serce stanęło mu na chwilę, a krew zamieniła się w lód. Z odległości mniej więcej dwóch metrów wpatrywały się w niego błyszczące ślepia. Przyczepione do ściany. Tkwiły w czarnym tumanie, gęstym cieniu, który zdawał się podtrzymywać je w zawieszeniu.

Ślepia zabłyśły złowrogim blaskiem. Znój cofnął się gwałtownie i zapalił światło przy łóżku. Żarówka zaiskrzyła, zamigotała, po czym zgasła. W pokoju znów zapanowała ciemność, widać było jedynie długie cienie ogrodowych cisów w świetle pojedynczej latarni. Ale po chwili i one zgasły. Tak, zgasły, jakby ktoś zdmuchnął za długo palącą się łojową gromnicę. W jednej chwili.

Znój wiele rzeczy widział w życiu, ale nigdy czegoś takiego. Zdusił krzyk przerażenia, kiedy masa zgęstniałej, krzepnącej ciemności wlała się przez parapet, przez uchylone okno do pokoju. Cofnął się, odruchowo sięgając do kabury. Wysłużona tetetka wypadła z głuchym stuknięciem na powycierany chodnik na podłodze.

Psiakrew! Nie było czasu, by szukać jej po omacku. Znój cofał się, aż oparł się

plecami o chłodne drzwi na korytarz.

„Boże ratuj!” – pomyślał zupełnie wbrew swej naturze.

Mroczny cień przypadł do niego, uniósł niczym szmacianą lalkę. Pod czaszką milicjanta rozbłysło tysiąc gwiazd, jakby dostał kastetem w szczękę. Poczuł, że słabnie, i próbował jeszcze walnąć napastnika pięścią na odlew, ale trafił w próżnię. Równie dobrze mógł pojedynkować się z gęstą, wiosenną mgłą na łące. Ta mgła jednak miała uścisk mocny niczym szczęki żelaznego imadła i Znoj zaczął się zapadać gdzieś w niebyt, w otchłań bez dna, z której nie ma wyjścia i gdzie nikt jeszcze nie znalazł ratunku.

Opadł bezwładnie w uścisku napastnika. W kilka sekund uszło z niego życie. Jego ostatnią myślą było to, że chyba jednak przegra ten zakład.



– No i co? Spałeś i niczego nie słyszałeś?

– Zasnąłem nad projektem. Nie słyszałem i nie widziałem niczego.

– Ty się ciesz, że żyjesz, chłopie.

Gromił stał z Warkotem w korytarzu na piętrze poniemieckiej willi, a przez półotwarte drzwi do pokoju Ryszarda Znoja widać było tylko jego nogi. Genowefa przemknęła schodami, zegnając się ukradkiem. Błysk flesza lampy z pokoju oślepił ich na chwilę.

– Cholera jasna! Naczelnik mi głowę urwie.

– Nikt tu nie wiedział, że pan Ryszard w milicji pracuje.

– A pracuje, to jest pracował, bo taki miał zawód. W pracy był niewidzialny, a tu coś takiego.

– Ale jednak ktoś go zobaczył...

– A może się tylko pomylił? Może morderca laźł do kogoś innego?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Okno było uchylone. Cholera, i tak nie wiem, w jaki sposób wdrapał się po tej ścianie. Bluszcz siedzi w niej mocno, ale nie na tyle, żeby człowieka utrzymać. Zresztą nie ma żadnych śladów, nawet listka nie urwał...

– To skąd wiadomo, że tędy?

– Drzwi były zamknięte na zasuwę od wewnątrz. Jakby wlaźł od ogrodu, to lokatorzy wrzasku by narobili, bo mają doniczki na parapetach. To jedyne logiczne wytłumaczenie.

– Zaraz, chwileczkę.

Gromił spojrział na pień drzewa stojącego tuż za oknem. Kora nosiła wyraźne ślady otarcia, jak po rakach pracownika energetyki na drewnianym słupie.

– Zdjąć mi ślady z tego drzewa – rzucił do sierżanta. – Ten morderca to musi być

niezły akrobata – mruknął do siebie.

W tej dziwnej sprawie jednak zwykłych śladów było jak na lekarstwo.



Pociąg pospieszny z Gdańska zatrzymał się ze zgrzytem hamulców na peronie trzecim wrocławskiego dworca. Nie przywiózł wielu pasażerów. Wsiadali teraz pospiesznie, by jak najszybciej ruszyć do domów albo do pracy. Poranny chłód przyniósł odrobinę ulgi. Co jakiś czas zrywał się wiatr, jakby zamyślony nad miastem tylko co chwilę przypominał sobie, co właściwie należy robić.

Budynek dworca kolejowego należał do najpiękniejszych w Europie. Smukłe wieżyczki nie służyły obronie, ale miały cieszyć oko estetów. Wzorowany na architekturze dziewiętnastowiecznej Anglii w istocie przypominał zamczysko z kart powieści gotyckiej. Strzeliste dachy, dębowe drzwi i solidne żeliwne dźwigary w środku dawały poczucie bezpieczeństwa i pewności. Stanowiły rękojmię punktualności pociągów. W odróżnieniu od nieuchronnej ostateczności peronów Dworca Świebodzkiego, które kończyły się niewielkimi zaporami ze zderzakami wewnątrz budynku i nie prowadziły dalej donikąd, tu pociągi miały otwartą drogę na świat.

Wrocławskie dworce kolejowe żyły stadnie – te największe, Główny, Świebodzki i Nadodrze, oraz te mniejsze stacyjki, jak Brochów, Klecina, Psie Pole, jedynie z wiatą albo z niewielkim budynkiem, w którym mieściły się kasa i poczekalnia. Znały się, doskonale połączone siecią stalowych szyn. Porozrzucane po całym mieście stanowiły przyczółki poszczególnych dzielnic, ich okno na świat. Do każdej z nich spieszyli pasażerowie, często w pędzie, mocno spóźnieni albo ci stateczni i obowiązkowi, którzy zjawiali się na stacji na pół godziny przed odjazdem pociągu.

Słupecki wygładził tweedową marynarkę. Nie miał bagażu, co już samo w sobie mogło się wydać podejrzane, ale dzięki pocziwemu obliczu nie wzbudził podejrzeń kolejowej straży. Zszedł po schodach do głównego holu dworca, gdzie od razu skierował kroki do baru i zamówił wielki kufel pieniącego się piwa karmelowego. Z wyraźnym zadowoleniem gasił pragnienie, delektując się zimnym napojem.

Otarł nieznacznie usta i zaczął obserwować otoczenie. Grupa hałaśliwych junaków weszła właśnie do holu dworca. Zapach popularnej wody kolońskiej, jaki roztaczali wokół siebie, był w stanie powstrzymać szarżującego nosorożca. Oglądali się za dziewczynami, co jakiś czas wydając pełne zachwyty gwizdy, gdy któraś szczególnie się im spodobała. Junacy należeli do awangardy okresu przejściowego i na razie cieszyli się statusem budowniczych, którzy stawiają miasto na nogi. Ta fanfaronada była dość nerwową reakcją na codzienną, bardzo ciężką pracę w trudnych warunkach. Na przepustce cieszyli się młodością, pełnymi kieszeniami i tym, że mają tych kilka godzin z dala od gruzu i pyłu. Radowali się swoją niewiedzą, młodzieńczą ignorancją, bo – jak

powszechnie wiadomo – kto mniej wie, ten lepiej śpi.

„I niech tak pozostanie” – pomyślał Słupecki, odstawiając pusty kufel na blat barowy.

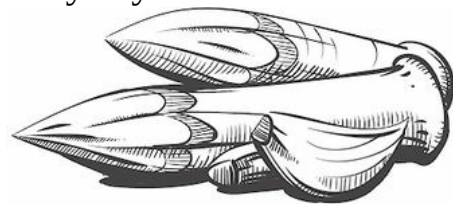
Ruszył niespiesznie w stronę tunelu, którym dało się przejść na drugą stronę budynku dworca. Wyłożony połyskliwą klinkierówką tunel przypominał odwróconą nieckę basenu. Znajdowały się tu boczne przejścia do różnych części budynku. Słupecki zatrzymał się przy jednym z nich. Ostrożnie rozejrzał się na boki, tunel był pusty. Wśliznął się przez grube, żelazne drzwi, na których jeszcze widniały napisy po niemiecku informujące, jak należy się zachowywać w schronie. W środku ruszył betonowymi stopniami w dół i wszedł w całkowite ciemności.

Korytarze rozgałęziały się tutaj gwiazdźście i można się było od razu zgubić. Słupecki nie potrzebował latarki, żeby poruszać się w tych grobowych ciemnościach. Kroczył pewnie jednym z korytarzy z głośnym chrzęstem butów. Co chwila trafiał na jakieś porzucone przedmioty. Wózki dziecięce, skrzynie, hełmy niezwykniętej armii III Rzeszy i tym podobne. Nikt inny nie zapuszczał się w te rejony, bo nie dość, że mógłby zostać tu, na zawsze gubiąc drogę, to jeszcze nie wiadomo, jakie lichy gauleiter Hanke kazał tu pochować.

Słupecki szedł dobre pół godziny, aż w końcu stanął przy niedużych schodkach wiodących ku stropowi. Wspiął się na nie, odkręcił metalowe koło i napał od spodu na klapę wjazdu. Ustąpiła ze zgrzytem. Mężczyzna zerknął przez szparę na zewnątrz i upewnił się, że znalazł się we właściwym miejscu. Garaż był pusty. Na dodatek zamknięty na kłódkę od zewnątrz. Słupecki uśmiechnął się pogardliwie.

Wjazd po zamknięciu stawał się zupełnie niewidoczny. Wyglądał jak zwykła betonowa płyta podobna do reszty wokół ułożonych na podłodze. Słupecki stał w starym ogrodzie ocienionym potężnymi świerkami i cisami na tyłach domu o lekko purpurowej barwie, którego okna, ściany i liczne wykusze układały się z chaotycznego nieładu w niezwykle przemyślną strukturę architektoniczną.

Mimo że już minęła jedenasta, okna rezydencji były pozasłaniane okiennicami. Słupecki przybrał niewidzialną dla postronnych postać dzwonnika z Nidzicy i ruszył przez wysokie chaszczce, aż w końcu stanął przy drzwiach wejściowych. Ani śladu żywej duszy. Ulice, na zbiegu których stał dom, też opustoszała. Słupecki bezszelestnie wśliznął się przez dębowe drzwi i wszedł do środka. Już tu kiedyś był.



POD GROŹNYM SPOJRZENIEM PRZYWÓDCÓW LUDU...

Nawałnica uderzyła znienacka. Nagromadzone w niecce gorące masy powietrza, kłębiąc się niczym rój wściekłych os, starły się z masami chłodniejszego powietrza. Nakrywając głowy teczkami i torebkami, wrocławianie pierzchali do domów przed ulewą albo kryli się po bramach.

Jan Warkot i Stefan Gromił siedzieli w mieszkanku śledczego przy ulicy Szewskiej, jednej z najstarszych ulic Starego Miasta. To tutaj przed pierwszą Wielką Wojną powstał dom Pod Żółtym Pokojem i Czerwoną Gwiazdą, gdzie zgodnie z nazwą istniała loża masońska. Mieścił się tu również wykwintny dom pogrzebowy dla obywateli wyznania mojżeszowego, a także sklep znanej fabryczki czekolady. W domu, który stał tu poprzednio, urodził się znany fizyk Max Born i ten fakt również wpływał na szczególny charakter tego miejsca.

Z balkonu po prawej stronie widać było kilka starych kamienic leżących, zdawałoby się, na wyciągnięcie ręki, a po lewej gruzowisko, które nie przesłaniało starego ratusza. Kamienica jakimś cudem ocalała z wojennej pożogi. Nie ruszyły jej też brygady odzyskujące cegłę na odbudowę stolicy. Budowniczy zdawali się przewidzieć tego typu zagrożenie i postawili dom z betonowym szkieletem wypełnionym ceglami, który bardzo ciężko poddawałby się ciosom kilofa.

Gromił i Warkot siedzieli w pokoju o wysokim suficie z widokiem na wieżę ratusza i pili wódkę. To zapewne najrozsądniejsze zajęcie w taką pogodę, ale obydwaj mieli znacznie więcej powodów, by odprawić ten rytuał – byli kawalerami tuż za progiem dorosłości, ale przed progiem dojrzałego cynizmu.

Gromił stracił wywiadowcę w dziwacznym i zupełnie niewytłumaczalnym morderstwie i spodziewał się ostrej reprymendy przełożonego za to, że nie dał Znojowi wsparcia. Nieważne, że nie było w tym jego winy – ktoś musiał ponieść konsekwencje. Źle się czuł z tym, że zastawia pułapkę na mordercę z przyjacielem w roli przynęty.

Warkot przedstawiał sobą jeszcze gorszy widok. Nie dalej jak dwa miesiące temu był człowiekiem nowych czasów. Studentem po wojsku, który miał zapewnioną posadę inżyniera w drukarni. Młodzieńcem, przed którym otwierały się perspektywy, o jakich członkowie jego rodziny mogli tylko pomarzyć. Chodził na masówki na uczelni, głęboko wierząc w to, że nadszedł czas na zmiany i że ich kierunek jest słuszny. Nie wzdragał się przed marszem ze szturmówką podczas święta ludzi pracy.

Jego świat jednak runął niczym domek z kart. Nie dość, że ponoć pochodził z obszarniczej rodziny wyzyskiwaczy ludu pracującego wsi i miasteczek, to na dodatek przekonał się na własnej skórze, że zabobon i gusła minionych okresów okazały się nie

być imaginacją kleru i ich popleczników. Wszystkie te wyśmiewane przez ludzi nowych czasów bujdy wyłaniały się teraz z pomroki dziejów niczym upiory, strasząc go za dnia i w nocy.

Poza tym Janek miał wyrzuty sumienia, że zataił szczegóły znajomości ze Słupeckim i jego prawdziwą tożsamość przed nowo poznanym kolegą.

– No i co?

– Ech, wypijmy. – Błysnęło szare ołowiane szkło i kolejna porcja siwuchy trafiła tam, gdzie powinna.

Ogórki chrupnęły zgodnym chórem. Warkot dziobnął trochę mortadeli, bo od wczoraj nie miał nic w ustach. Towarzyszył temu kolejny atak deszczu na okna. Pac, pac, pac, pac.

– Ale leje – rzucił Janek. – I to patrz, zawsze, cholera, od zachodu.

– Klątwa jakaś? – odparł Stefan. – A z drugiej strony nie pada?

– No patrz, jakoś nie.

– Może dom wybudowali za wysoki...

– Nawet aura jest przeciwko nam.

– Nie dramatyzuj, Janku, nie dramatyzuj. Nie takie rzeczy żeśmy przetrzymali. U nas na Mazowszu...

– Tak, wiem, ciężko było, u nas też.

– No dobra, dość tego. Wypijmy lepiej. Za spokój duszy Ryśka.

Warkot skinął tylko i chwycił za szkło. Wypili, zakąsili. Spojrzeli na siebie i jak na komendę wybuchnęli głośnym śmiechem.

– Głędzimy jak stare baby – stwierdził Stefan. – Trzeba by jakoś dopieprzyć temu zbójowi, bo braknie nam miejsca w kostnicy.

– Ale jak?

– Ile może być takich pobied? Dwadzieścia pięć w całym mieście?

– Ale nie do wszystkich masz dostęp – zauważył Warkot z niezwykłą trzeźwością.

– No to zacznę eliminować te, do których mam.

– Nie stajesz ty, Stefek, komuś na odcisk?

– Tego nie wiem, major jest po mojej stronie, to kumpel. Z dawnych czasów.

– Ale na minę cię wsadził.

– Rozkaz to rozkaz.

– Ciekawe czyj. Możesz się dowiedzieć?

– Mogę spróbować, ale boję się, że wzbudzę czyjąś ciekawość takimi pytaniami.

– Eeee, już i tak za późno. Ten etap masz chyba za sobą?

– Prawda.

– Ja też mogę coś powęszyć. na własną rękę.

– Ty mi się w Szerloka nie baw, bo to może się źle skończyć.

– A niby co mam robić, siedzieć z założonymi rękami i czekać spokojnie, aż mnie utrupią?

– No chyba tak, ale pamiętaj, po cichu i z ostrożnością.

- Mam pewne możliwości...
- Myślisz o tym Słupeckim? Aha, w meldunkowym nie figuruje żaden Leon Słupecki, więc albo podał ci fałszywe nazwisko, albo dojeżdża skądś, sukinsyn.
- Tak, dojeżdża. to pewne.
- Janek, ty coś wiesz i mi nie mówisz. Uwierz, znam się na tym.
- I pij tu z milicjantem.
- Sam żeś przylazł.
- Zaprosiłeś.
- I bardzo się cieszę, że mnie odwiedziłeś.
- Dobrze już, dobrze.
- No to co z tym Słupeckim?
- Stefan, on nie jest taki jak inni.
- Znaczy co? Agent? Sabotażysta?
- Nie, to nie o to chodzi. On po prostu...
- No mów.
- On jest cholernie stary, przynajmniej z tego, co mi mówił.
- Na to jeszcze nie ma paragrafów.
- Niedługo znowelizują prawo i paragraf się znajdzie.
- Żartujesz, a mnie w ogóle nie jest do śmiechu.
- Słuchaj, Stefan, co byś zrobił, gdybym powiedział ci coś, co w ogóle się w głowie nie mieści. Gdybym wiedział coś, co każdy zdrowy na umyśle człowiek nazwałby zabobnem, ba, widziałby w tym zaczątki choroby psychicznej.
- Serio mówisz?
- Serio.
- No to wal.
- Ale każesz mnie na Kraszkach zamknąć.
- Nie, słowo oficera.
- Słowo?
- Słowo.
- No dobrze, ale pamiętaj...
- Mówże wreszcie!
- Leon Słupecki to dusza pokutująca w ludzkim ciele.
- Zalewasz! – Stefan Gromił wybałuszył oczy, jakby widział Warkota po raz pierwszy w życiu. – I ty to mówisz, Janku? Ty? Po wojsku, po studiach i po wszystkim, czego nas uczono?
- Żeby tak skonał, Stefan, widziałem, jak zmienił się w słup ognia. To on przegnał mordercę w pobiedzie, bo tamten już mnie miał. Wtedy, kiedy wracałem późno.
- Stefan Gromił się zasepił.
- Sprawa jest poważniejsza, niż myślałem.
- Oczywiście mi nie wierzysz. Ja sam sobie nie wierzyłem przez jakiś czas, ale zbyt wiele rzeczy się wydarzyło i teraz jestem skłonny uwierzyć we wszystko. Widzisz ten

sygnet? – Krwawnik błysnął drapieźnie w świetle trzech żarówek żyrandola.

– Fingiel jak fingiel. Widziałem takich sporo.

– Nie takich. To prezent od Słupeckiego. Podobno należał do mojej rodziny. Jest bardzo stary.

– A skąd niby to wie?

– No właśnie. Znał imiona moich rodziców, dziadków, pradziadków. Wiedział, czym się zajmowali wcześniej i czym zajmowali się później.

– To żaden dowód.

– Może i masz rację, ale zbyt wiele tu tych przypadków i zbiegów okoliczności. Ja chcę dojść prawdy. Powiedział jeszcze...

– No, co?

– Że to broń i trzeba maznąć mordercę przez pysk, żeby go powalić.

– Nie. teraz to już kolega pieprzy na całego.

– Jak matkę kocham.

– Niezły numer z tego Leonka. Żeby tak człowieka przekabacić. Coś mi mówi, że spotkamy go jeszcze.

– Jestem tego pewien. On jest bardzo zaangażowany w tę sprawę. Mówił coś o jakimś bractwie. A raczej o dwóch. Że morderca jest członkiem branżowego związku zawodowego seryjnych morderców, czy jakoś tak.

Stefan podszedł do starego kredensu z nadstawką. Otworzył drzwiczki z kryształowymi szybami i wyciągnął zieloną, kanciastą karafkę.

– Zmiana repertuaru. Mam tu nalewkę jeżynową. Od mamy. Na spirytusie. Może to coś pomoże.

– Nalewaj.

Gęsta, ciemna ciecz miała barwę krwi. W zielonych, półokrągłych kieliszkach na romboidalnej stopce, rżniętych przez przedwojennego czeskiego mistrza szklarstwa odbijały się refleksy świetlne, podkreślając kolor trunku. Warkot, podświadome czując obrzydzenie z powodu zmiany trunku, przechylił niewielką czarękę. Nalewka smakowała wyśmienicie. Była klarowna i mocna.

– Stefek, Słupecki mówił, że morderca rytualnie pije krew jak na kartach tych zatęchłych powieści dla pensjonarek i kucharek...

– Co powiedziałaś?

– Krwiopijca, tak się wyraził.

Gromił zbladł wyraźnie. Nawet nalewka robiona według starej, domowej receptury nie mogła rozproszyć lęku, który zaległ na dnie żołądka.

„To wszystko by się zgadzało, tylko. Tylko to niemożliwe” – pomyślał milicjant.

– Tak, tak, niemożliwe. – Warkot najwyraźniej czytał w myślach przyjaciela.

– I co jeszcze mówił? – dopytywał się Gromił z wyraźnym napięciem w głosie.

– Mówił, że istnieje też Bractwo Siedmiogrodzkie, nie, Wołoskie. I że oni zwalczają członków tej sekty od wielu wieków.

– Ale skąd ta sekta? Z Socjalistycznej Republiki Rumunii?

- Nie, jest jeszcze starsza.
- Czyli co? Siła nieczysta?
- Wręcz przeciwnie. Oni tylko tak straszą, żeby ludzie się bali...
- Przecież nie połączę się z kolegami z Bukaresztu i nie będę ich wypytywał o takie bzdury.
- A jasne, bo wtedy ciebie zamkną na Kraszkach.
- A więc co robić, Jasiu?
- Skoro ten Słupecki jest w sumie nieszkodliwy, przyjmijmy przez chwilę, że ma jakieś zaburzenia, ale jest po naszej stronie. Dlaczego by więc nie skorzystać z jego pomocy? Mówię na razie, a jak przyjdzie co do czego, to się go weźmie na obserwację na oddział zamknięty.
- Dobrze mówisz. A oficjalnie...
- A oficjalnie będzie to tylko kolejny świadek pchający śledztwo do przodu.
- No dobrze, ale jak się z nim skontaktować?
- Mam niejasne przeczucie, że nie będziemy musieli go szukać. Sam nas znajdzie.



Budowle sakralne Wrocławia uchroniła przed wyburzeniem jedynie panująca powszechnie piastowszczyzna. Niemieckich księży zastępowali polscy, którzy ściągnęli tu z głębi kraju lub też przyjechali transportami ze wschodu. Była to niepisana wymiana barterowa z Warszawą, która pozwalała na transfery ludzi do podnoszącego się z kolan Wrocławia w zamian za codzienne wywozy tysięcy ton cegieł do odbudowy stolicy.

Wrocławianie obserwowali to wszystko ze stoickim spokojem ludzi, którzy niejedno już widzieli, kąśliwie komentując tylko, że w Warszawie budynki szprechają po szwabsku niczym te w Berlinie. Było to nowe doświadczenie w historii Europy rozpoczęte po wojnie z Francuzami pod koniec XIX wieku, symbolicznym zwycięstwem w odwecie za klęskę z okresu napoleońskiego. Francuzi musieli zapłacić olbrzymią kontrybucję za przegraną wojnę. Większość budynków z czerwonej cegły w mieście powstała, *de facto*, za pieniądze Francuzów. Po drugiej wojnie nie opłacało się ich rozbierać, bo cegła była zdrowa i mocna, zostały więc, tworząc widoczny element tej dziwacznej sztafety ceglanej we Wrocławiu i nadając miastu charakterystyczny wygląd.

Takim budynkiem był główny gmach poczty, kunsztowny przykład stylu historycznego w postaci szkoły przy Piotra Skargi, budynki szpitalne i szkolne, które doskonale nadawały się do celów edukacyjnych i zdrowotnych. Uczniowie mogli rozkojarzać się do woli, spoglądając na strzeliste, neogotyckie łuki, chodzić po solidnych kamiennych schodach w budynkach, na które niegdyś mógł sobie pozwolić zamożny germański esteta, choć w obecnych czasach, zdaniem niektórych, był to wyłącznie architektoniczny zbytek i marnotrawstwo materiału.

Obowiązujący trend w sztuce i architekturze dało się zauważyć w na razie nielicznych, lecz i tak dominujących przejawach budowlanych. Grubo ciosane posągi w marmurze, podobizny murarzy, hutników i robotnic w chustkach na głowach już zyskały status dzieł sztuki. Obrazy przedstawiające murarskie trójki, młodzież ze szturmówkami idącą ramię w ramię w pochodzie pierwszomajowym zawisły w gmachach galerii w całym kraju. Zaburzone proporcje postaci, naprężone mięśnie i rozwiane pionierskie chusty miały reprezentować wizerunek nowego człowieka.

W wielu przypadkach wybitni artyści zaczęli romansować z nową władzą, dając z siebie wszystko na swoim odcinku pracy. Zerwano z dekadencją sztuką, czyszcząc ją całkowicie z wydumanych ozdobników, burżuazyjnych elementów i miałych tematów. Zapanował naturalizm na granicy turpizmu, co również dało się zauważyć w życiu codziennym. Nowym ludziom podobała się taka sztuka, gdyż nie musieli szukać gorączkowo ukrytych interpretacji, zamysłów artystów, bo teraz artyści obrazowali życie takim, jakie było – prostymi, bezaluzyjnymi środkami wyrazu, na granicy kiczu.

We Wrocławiu znalazły się też dzieła historyczne, przywiezione ze Lwowa – takie jak Panorama Racławicka czy pomnik Fredry. O ile Kościuszko był jak najbardziej postacią pozytywnie postrzeganą przez nową władzę, bo chodził w chłopskiej sukmanie i powołał oddziały kosynierów do walki, to już wróg, z którym walczył, był tematem tabu. Dlatego też po chwili namysłu ze strony władz Panorama spoczęła w magazynie. Podobnie pomnik hrabiego Fredry, który na monumencie rozpiętał się na fotelu z magnacką nonszalancją, musiał poczekać na lepsze czasy.

Do tego nazwy miast takich jak Lwów, Tarnopol czy Stanisławów źle się kojarzyły i udawano po prostu, że nie ma takich miejscowości, jakby ich nigdy nie było. Kresowiaczy w zamian dostali Ziemię Odzyskaną i to powinno im wystarczyć. I rzeczywiście, duża rzesza mieszkańców pokochała nowe miasto z typowymi dla ludzi ze wschodu zapamiętaniem i żarliwością. Tylko na placu dało się usłyszeć ściszone rozmowy na ten temat, ale wyłącznie w gronie znajomych. Krążyły też szyderskie wierszyki, lecz nie wiadomo, kto je wymyślał.

Truman, Truman, spuść ta bania, tu jest nie do wytrzymania.

Albo:

Zamiast w kącie trzepać prącie stawaj w narodowym froncie.

Czy też:

*Ne ma myła, ne ma sała,
bo sowiecka właść nastala.
Ne ma krowy ni swyni
tolko Stalin na styny.*

Pojawienie się ulicznej poezji nie było przejawem nienawiści, a jedynie próbą zmniejszenia napięcia, jakie zapanowało na początku lat pięćdziesiątych, w czasach ponurych, nad którymi unosił się cień Wąsacza. Na Podwalu pracowano pełną parą.

Trzeciego zupełnie nie interesowały ani nowa, ani też stara sztuka w powojennym Wrocławiu. Miał swoje zadanie, które umiłał sobie wypadami na miasto. Prawie ukończono odnawianie budynku katedry wrocławskiej pod wezwaniem Jana Chrzciciela. Oczyma wyobraźni widział, jak w tym samym miejscu wokół starej, romańskiej świątyni powstaje nowa, gotycka. Imaginował sobie też, że miał osobisty udział w czternastu wypadkach przy budowie, bo rusztowania w tamtych czasach robiono wyłącznie z chybotliwego drewna i o wypadek było nietrudno. Jakiż to musiał być piękny widok, gdy człowiek o rzadkiej wówczas profesji murarza spadał z krzykiem z kilkunastu metrów na ziemię.

Pomimo to nowa świątynia w średniowieczu pięła się w górę bez większych przeszkód. Miała być większa i wyższa. Miała sięgać strzelistymi wieżami wprost do nieba, po drodze gubiąc swą militarną funkcję przysadzistego stylu romańskiego. Zgodnie z nowymi prądami w sztuce i architekturze. Zgodnie z tradycją, w nowej budowli umieszczono kilka elementów ze starej świątyni. Sam ich widok palił go żywym ogniem.

Nie zapuszczał się też często w tumskie zaułki, bo łatwo było tu natrafić na kogoś, kto mógł go rozpoznać i wszcząć alarm. Teraz zmobilizował aż pięciu akolitów, którzy wykonywali dla niego stosowne prace. Wszyscy byli bardzo zaangażowani w odbudowę stolicy Dolnego Śląska i piastowali tu poważne funkcje. Reszta to głupie, niczego nierozumiejące pionki, które skuszono dostatkiem bądź innymi błahostkami.

Cóż to był za widok na pierwszomajowej trybunie! Na dziesięć osób stała tam trójka z sekty morderców z zamiłowania zwanych Przedwiecznymi. Gdybyż pozostali tylko wiedzieli! Ale nie, przecież wierzyli w poukładany świat, każdy tajny związek był dla nich szpiegowskim spiskiem imperialistów, skąd by więc mieli znać prawdę? Do tego Stalin zadekretował, że w społeczeństwie socjalistycznym morderców nie ma, bo ludzie tracą naturalne zbrodnicze skłonności. Dobre sobie.

Trzeciemu tylko jedna, a właściwie dwie rzeczy spędzały sen z powiek. Pierwszą stanowił ten drukarzyna, młodzik, który nawet nie wiedział, jak ma postępować i że jest dużym zagrożeniem dla wyznawców jego kultu.

„Cholerne Bractwo Wołoskie! – pomyślał pogardliwie. – Wysyła nieopierzonego młokosa na starcie z organizacją, która swoją moc i doświadczenie zbierała przez tysiąclecia. To niby ma być jakiś podstęp?”

Drugim problemem był ten przeklęty Słupecki.

„Do czego zmierza ten świat? Żeby dusza nie mogła sobie spokojnie pokutować, tylko łąziła tam, gdzie jej nie proszą. To było ze strony konkurencji zagranie zdecydowanie poniżej pasa. Słup ognia, niech go deszcz obleje! I do tego te jego jarmarczne sztuczki, żeby wybudzić Warkota z letargu, w jaki zapadła jego rodzina. Ale też żeby zwrócić uwagę władz, że dzieje się coś, nad czym nie będą w stanie

zapanować”.

Kiedy wykańczał łapsa mieszkającego pod mansardą młokosa, odczuł wielką satysfakcję, bo tamten należał do ludzi, którzy nie wierzyli w istnienie czegoś tak przewrotnego i perwersyjnego, jak spisek osób o morderczych skłonnościach. Według podręczników kryminalistyki ludzie o podobnych zabójczych cechach bardzo rzadko współdziałają ze sobą. Przedwieczni byli całą organizacją. To tak, jakby czerwony kapturek dowiedział się, że wilk nie tylko istnieje, ale też ma za sobą cały związek zawodowy broniący prawa do zżerania dziewczynek.

Widok zamglonych oczu milicjanta sprawił mu niewysłowioną radość i rozkosz. Gdy uchodziło z niego życie, miał ochotę powstrzymać się nieco, by przedłużyć agonię, by rozkoszować się przerażeniem w oczach i dudnieniem zestrachanego serca.

Podobnie było z tym młodocianym kapusiem, który niepomny tego, co mówił mu ojciec, zmienił się w prawdziwego łajdaka bez zasad i kośćca moralnego. Zadzwoił do Staropolanki, podając się za przełożonego pułkownika Podatnego, i kazał mu wyjść do samochodu stojącego na ulicy pod pozorem przeprowadzenia jakiejś tam bzdurnej akcji inwigilacyjnej.

Młody oczywiście połknął przynętę. Uh, jakież on miał łojotok. Żeby tak nie dbać o siebie. A wierzgał, kiedy się zorientował, ale było już za późno. Widok przedśmiertnych drgawek dodał Trzeciemu siły, jakiej potrzebował. Nie żeby była mu niezbędna do życia, ale nadawała sens jego istnieniu i pomagała w wygubieniu ohydnych przedstawicieli rodzaju ludzkiego.

Oczywiście wspomagał się instrumentem, który był w stanie w ciągu kilku sekund wypompować sporą ilość krwi z szyi ofiary do specjalnego termosu. Miał też w zanadrzu gruszkę z gazem halucynogennym, który wydobywał na wierzch wszystkie jej fobie, sprawiając, że zamierała z przerażenia.

Reszta, którym upuszczono krew do rytuałów, była mniej bądź bardziej przypadkowa, choć ta napruta bździągwa z obfitymi piersiami też miała swoje za uszami, bo prowadziła się niczym Messalina. Skrzywił się na wspomnienie bimbru we krwi. Ci współcześni ludzie to straszliwe flejtuchy.

Kiedy wrócił do domu i zaparkował samochód w garażu, większość jego ludzi była na miejscu. Brakowało jeszcze jednego, Kolewa, ale z nim już odbył krótką i zdecydowanie nieprzyjemną dla niego rozmowę.

Wszedł przez hol do dużego salonu na tyłach domu. Rezydencja była duża, posepna, w miarę na uboczu, z dużym ogrodem z tyłu. No i nikt się tu nie zapuszczał, bo Trzeci kazał umieścić stosowną tabliczkę na furtce. Nic w rodzaju, że zły pies, że gryzie, bynajmniej. Wystarczyło zawiesić czerwoną tabliczkę z godłem i napisem „Ministerstwo Obrony”. W tych czasach nikt się nie odważył przekroczyć takiej bariery.

– Witaj wśród nas, Trzeci! – odezwała się zgodnym chórem czwórka podopiecznych.

Jedynie pierwszych dziesięciu z Przedwiecznych mogło nosić tytuł umiejscawiający ich w hierarchii.

Przyjrzał się im spod zmrużonych powiek. Trzech mężczyzn, jedna kobieta. Jeden

pułkownik LWP, jeden ubek z Warszawy po cywilnemu, członek Rady Narodowej i wykładowczyni z uczelni.

„Ładna gromadka” – stwierdził w myślach.

– Może być – rzucił zgryźliwie, widząc krąg na podłodze narysowany kredą. – Ale dzisiaj nie będzie żadnych obrzędów. Chyba że znaleźliście jakąś dziewicę. – Rozejrzał się, ale wszyscy tylko zwiesili głowy w zakłopotaniu. – Nie? Tak myślałem.

Trzeci stanął przy kominku.

– A więc do rzeczy. Wezwałem was, by ustalić szczegóły działań, a nie mamrotać te zatechłe mantry. Nie muszę wam mówić, co będzie, jak otworzą tę cholerną katedrę. Chowają gdzieś tę relikwię i jak ją wystawią na widok publiczny, to możemy się stąd zwijać. To jest sprawa ambicjonalna. Symboliczna, że tak powiem. Włostowic był protoplastą wszystkich członków Bractwa Wołoskiego. Do tego ludzie w obliczu takiej relikwii stają się bogobojni, modlą się, cholera, i tłumią naturalne mordercze skłonności. A jak ci z Bractwa Wołoskiego się zorientują, że szukamy relikwii, to mogą nas wszystkich zgubić. Poznają naszą tajemnicę! Zrozumieliście w końcu?!

– Ależ, Trzeci, nie możemy nic więcej zrobić. – zaczął członek Rady Narodowej.

– A wstrzymać odbudowę? To chyba nic trudnego, braki materiałowe. Naród odbudowuje stolicę i tym podobne bzdury. A pozwolenia wszystkie są? Przeciwpożarowe na przykład? Mam was uczyć roboty? Wstrzymywać, zwlekać, robić uniki i w kwestiach kluczowych zachowywać znaczące milczenie. Wymowne milczenie! Że niby są czynniki. i tak dalej.

Urzędnicze sztuczki i biurokratyczne procedury były wielkimi sprzymierzeńcami Przedwiecznych, bo umożliwiały im jawne wpływanie na sprawy bez wzbudzania wokół siebie niepotrzebnych emocji i zainteresowania.

– Ale przecież potwierdzono oficjalnie linię partii w kwestii gotyckich i romańskich zabytków na Ziemiach Odzyskanych. Że niby Piastowie i. – próbował tłumaczyć członek Rady Narodowej.

– Piastowie? A widział kto ostatnio jakiegoś?

– No nie, ale Dolny Śląsk pod krzyżackim butem. – odezwała się niepewnie historyczka, która najwyraźniej przejęła się przybraną rolą.

– A Krzyżaka ty widziała, co? Poza tymi, co oblaży zielony mostek? No, widziała? To tylko fasada. Już i tak modlą się w kilku kościołach, co będzie, jak dostaną katedrę? Poza tym trzymają gdzieś w ukryciu tego cholernego lwa i nie mogą wyśledzić gdzie. I miecz też trzymają. Tam, gdzie lew, tam i miecz. Nie ma do nich dostępu, czarna swołocz. Nie muszę chyba przypominać, co się stało ostatnim razem, kiedy w katedrze w Kolonii pojawiły się prawdziwe relikwie. Na szczęście nasi kochani sojusznicy zbombardowali tę budę do cna i relikwie gdzieś się zawieruszyły. Nie wszystkie, tylko te prawdziwe. No czysta rozpacz. – Uśmiechnął się drapieźnie. – Zrobimy tak...

Zgromadzeni słuchali w skupieniu.



Kiedy rano Jan Warkot wychodził do pracy, Leon Słupecki już na niego czekał przed domem.

– Dzień dobry! – zawołał uradowany pokutnik.

– A dobry, dobry. Tylko dlaczego to ja muszę od rana zjawy widywać? W biały dzień?

– No niech się kawaler rozchmurzy. Mam dobre wieści.

– Tak? – Warkot nagle stał się czujny.

– A tak! – potwierdził buńczucznie Słupecki, najwyraźniej zamierzając odprowadzić Warkota do pracy.

– No to słucham – rzucił Warkot, ruszając pieszo w drogę.

– Wiem, gdzie się kryje nasz krwiopijca.

– No to już się robi ciepło. A gdzie konkretnie?

– W starej willi, trzy ulice stąd.

Warkot stanął w miejscu jak wryty.

– Tutaj?

– A co, nieładne otoczenie? Drzewa, park i w ogóle. Przedwieczni też chcą mieć odrobinę oddechu. Nawet psychopatyczny morderca lubi czasem sobie kwiatki popodlewać. Te trujące oczywiście.

– I samochód też tam jest?

– Jest, stoi w garażu.

– Ale skąd. – zaczął, ale przestał, bo dotarło do niego, że dusze pokutujące mają swoje sztuczki.

– Bez obaw. Można tam też dojść przez garaż, furtka jest pod stałą obserwacją.

– Jak to przez garaż?

– Normalnie, tunelem z dworca.

– Tunelem? To pewnie kawał drogi.

– Tak, ale to bezpieczna droga. Poza wzrokiem ciekawskich.

– A od ulicy?

– Oficjalnie budynek należy do Ministerstwa Obrony. Tabliczkę wywiesili. I za dnia siedzi tam strażnik z pepeszą.

– No to leżymy, bo Stefan nie dostanie nakazu rewizji.

– Ten milicjant? Nie, nie dostanie. Za ciężki resort. Poza tym tamten ma immunitet. Ale można z zaskoczenia.

– Jak to z zaskoczenia?

– Jak kawaler będzie powtarzał to, co mówię, to się zdenerwuję. Jak już przyjdzie co do czego, można go zaskoczyć. Ale trzeba uważać, to nie byle jaki przeciwnik. Pierścień będzie potrzebny, bo ten to jest lepszy ananas. Do tego ma paskudny

charakter. Jak każdy z Przeklętej Dziesiątki Przedwiecznych. Poza tym wydaje mu się, że potrafi maskować się przy użyciu halucynogenów. To oczywiście ułuda, ale prawda jest taka, że jak nie zechce, to się nie da schwycić.

– Kim on w ogóle jest?

– Oficjalnie? To konsul sowietów, Sabiej. Nieoficjalnie Trzeci w hierarchii, bardzo stary i zażarty członek sekty. Przejął całą wiedzę Przedwiecznych od starożytności. Zachowuje się, jakby sam Rzym spalił, kutas złamany, o pardon, wypsnęło mi się. Raz chciał być królem gdzieś w Europie, ale mu się nie spodobało. Za bardzo na świeczniku. Jako konsul ma pełnię władzy i stoi na uboczu, podobnie zresztą jak Pierwszy i Drugi. Pierwszy wczepił się w tego tępego Wąsacza niczym kleszcz i, wspomnisz moje słowa, wykończy go prędzej czy później. Ławrenty, taka jego mać. Wszyscy poznali tysiąc lat doświadczeń swych przodków, więc to niebezpieczni gracze.

– A jakie mamy szanse w starciu z nim?

– Mamy? No tak, poniekąd mamy. Całkiem spore, bo teraz wiemy, kim jest. Ale ma też ze sobą swoją świętą i kilku nieświadomych niczego pomagierów. On sam tylko sobie jeździ po mieście i spija śmietankę, że tak powiem.

Warkot wzdrygnął się, słysząc te słowa.

– I co, trzeba go tak pierścieniem przez pysk? – zapytał Janek.

– Tak właśnie. Nawet jak nie zdechnie po pierwszym razie, to trzeba poprawić i tak do skutku. Wierzą w moc tego kamienia. Niektórzy są głęboko przekonani, że mają dużą alergię na czosnek, inni mniejszą. Z tego, co wiem, główny Przedwieczny, ten konsul, w ogóle się tego nie boi. Potraktowanie czosnkiem odbiera wyłącznie jako irytującą szykanę. Najlepszą i uniwersalną bronią na te paskudy byłby miecz.

– Da się załatwić – uśmiechnął się Warkot.

– Nie chodzi o zwykły miecz, tylko miecz komesa Piotra Włostowica, który jest gdzieś ukryty w mieście. Te pijawy szukają go. Ściągnęliby jak muchy do. no nieważne, bo to dla nich relikwia. Podobnie jak dla nas, ale nam posłużyłaby w innych celach. Załatwiłoby się ich od razu. Wierzą w moc tej broni, ponieważ wydaje im się, że są prawdziwymi wampirami, choć to nieprawda.

– Wampirami?

– Tak, to taka otoczka, którą Przedwieczni próbują się wytłumaczyć przed własnym sumieniem. Uważają, że są drapieżnikami w ludzkiej skórze i tak stworzyła ich natura. Swoje skłonności pielęgnują przy pomocy tego, co jest prawdziwym zabobonem. Tworzą legendę i mit, żeby zakamuflować zwyczajne morderstwa. Najpierw nie kontaktowali się ze sobą. Działali w ukryciu, zabijając ofiary. Folgowali swoim skłonnościom w tajemnicy. Później, jeszcze w egipskich czasach, zaczęli się rozpoznawać i zawierali przymierza. Ty mnie kryjesz, ja ciebie kryję, a najlepiej będzie, jak powiemy, że trzeba było złożyć ofiarę Anubisowi. Bez wyraźnej satysfakcji, o co to, to nie. Po prostu Nil wylał i nastąpiła klęska żywiołowa. I wtedy niewygodnego egipskiego magnata pod nóż. Albo zmiją potraktować, tak było. W ten sposób budowali swoją potęgę, sięgając do najwyższych stanowisk władzy. Później oczywiście były inne

wymówki. Czary, rzucanie podejrzeń o pogaństwo, przeciwstawianie się rewolucyjnej sprawiedliwości pod gilotyną, uporczywe trwanie w szponach burżuazyjnej władzy, takie tam. możliwości było wiele. Problem w tym, że skłonności wzbudza w nich rogaty, ale to już zupełnie inna, teologiczna kwestia. Oni sami są jak najbardziej ludźmi opętanymi własnym szaleństwem i żądzą krwi.

– A co to za miecz?

– Mówią, że wykuło go trzech mistrzów kowalskich. Jeden z zielonej wyspy, drugi z kraju Franków i trzeci z Orientu. Jest praktycznie niezniszczalny. Komes dostał go w prezencie od Krzywoustego. Ale kiedy popadł w niełaskę, miecz gdzieś zniknął. Odnaleźli go przed wojną, ale nie zdążyli wysłać Adolfowi do kolekcji różnych fajnych broni. Jak padał Festung Breslau, to go schowali. Nikt nie wie gdzie, oprócz tych, co go trzymają. Do tego jest jeszcze lew.

– Lew?

– Przestanie kawaler po mnie powtarzać, tylko się skupi. Chyba że chcesz pan zobaczyć samozapłon.

– W biały dzień, to dopiero byłaby gratka!

Słupecki zignorował go.

– Lew również należał do Włosta. Kamienna figurka, jak mawiali, posiadała cudowną moc. Te dwa skarby są schowane w jednym miejscu, ale nie wiem jeszcze gdzie. Krwio pijcy też nie wiedzą i się wściekają jak diabli. Nic dziwnego. Legenda mówi, że lew potrafi zdemaskować nawet najlepiej zakonspirowanego Przedwiecznego. Nie wiem, czy to prawda, ale tak słyszałem. A mieczem można zrobić im rach, ciach, ciach i po krzyku. Kilka tysięcy lat tradycji i finito. Po sekcie. Koniec pieśni – dokończył beztrosko.

– Na miecze mamy się z nimi bić?

– Nie, ja tylko tak przykładowo mówię.

– A przykładowo to można. Ale gdzie szukać tej relikwii?

– Ja jestem tylko skromnym średniowiecznym zbójem, duszą pokutującą. Skąd mam niby wiedzieć? Nie byłem przy tym, jak go chowali. Ale się dowiem.

– Jak?

– Ma się swoje sposoby.

– Znów tajemnice.

– Tak jest lepiej, bo młodzieniec dopiero wybudza się z letargu i nie wszystko rozumie. Po kolei.

– Jakiego letargu?

– Dobrze już, dobrze, nie wszystko na raz. Miesiąc temu jeszcze kawaler chodził na masówki o hodowli trzody i interwencjonizmie podżegaczy wojennych, a teraz gada w najlepsze z duszą pokutującą. Jak tak dalej pójdzie, do kościoła zacznie kawaler chodzić. A przydałoby się.

– Jak to do kościoła?

– A nie rozmawia kawaler przypadkiem z żywym, no powiedzmy żywym, dowodem

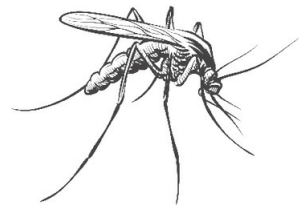
na to, że religia to nie jest opium dla mas?

– No tak, ale...

– Ech, szkoda gadać. Długa jeszcze droga przed nami.

Ruszyli teraz szybciej i po piętnastu minutach znaleźli się w kanionie cegieł starówki. Warkot pożegnał się ze Słupeckim i pognął na górę do biura drukarni, by jak najszybciej przekazać usłyszane rewelacje Gromiłowi przez telefon. Ten najpierw zaniemówił, ale po chwili wzięła górę jego praktyczna natura. Miał jeden odlew opony z miejsca morderstwa nad rzeką. Jeśli dopasuje go do koła. to co? Nic, bo morderca był dyplomata i nie mógłby mu nawet wypisać mandatu za deptanie trawnika.

Ale był to jakiś punkt zaczepienia. Ustalili, że spotkają się po pracy i omówią plan działania.



GDZIE GWIAZDA NA SALOMONOWĄ ŚWIĄTYNIĘ SPOGLĄDA...

Jan Warkot siedział od rana w bibliotece, przygotowując się do dyplomu. Musiał trochę nadgonić, bo wydarzenia ostatnich tygodni zdominowały jego życie. Wykładowcy byli wymagający, a on miał ambicję otrzymania najwyższej oceny. Jego promotor był dziwnie spokojny, ale Warkotowi udzieliła się nerwowość reszty roku, dlatego postanowił, że cały dzień przeznaczy na naukę. Po kilku chwilach Słupecki, mary nocne i dzienne, morderstwa oraz krwio pijcy przestali mieć znaczenie. Zastąpiły je swojskie tryby i przekładnie. Po godzinie zapomniał o całym świecie.

W tym czasie porucznik Stefan Gromiła sprawdzał dane w urzędach. Konsul nazywał się Walenty Iwanowicz Sabiej i miał wszelkie pełnomocnictwa od władz zwierzchnich. Samochód nie posiadał oznaczeń konsularnych, ale też nikt nie przejmował się takimi drobiazgami. Wóz był na tyle reprezentacyjny, że nie mógł się nim poruszać byle kto.

Z fotografii patrzył na Gromiła mężczyzna lat około pięćdziesięciu, brunet z lekkimi zakolami, o nienaturalnie jasnych oczach. Wąskie usta krzywiły się w nieznacznym, pogardliwym uśmiechu, a haczykowany nos dodawał całemu obliczu okrutnego charakteru. Całość była jednocześnie przystojna i odpychająca. Tak, tak mógł wyglądać seryjny morderca. Stefan Gromiła był fizjonomistą i uważał, że wiele ludzkich cech, przeważnie tych złych, objawiało się na twarzy. Gdyby dano mu jeszcze dziewięć innych fotografii do wyboru, bez wahania wskazałby na Sabieja, typując go na podejrzanego.

„Przedwieczny? Czy to, co mówił Janek, w ogóle było możliwe? Kto tu zwariował?” – myślał Gromiła.

Starał się, idąc tropem rozumowania Sabieja, wyobrazić go sobie na tronie, w wieńcu laurowym, jak spogląda na płonące Wieczne Miasto, albo w zbroi na polu bitwy, jak dowodzi wojskiem. Oczywiście z każdą nową tożsamością zmieniał nazwisko, może nieco wygląd. Ten tutaj spoglądał na niego z okrucieństwem i bezwzględnością zapiekłego komisarza ludowego tropiącego arystokrację.

Gromiła z zamyślenia wyrwał kolega, porucznik Adam Kordon, który stanął obok niego niczym duch.

- Cześć, Stefek. Słyszałeś już nowinę? Mamy nowe zadanie. Wszyscy.
- Co znów? Jakiś dywersant?
- Nie, mamy tropić jakieś zardzewiałe średniowieczne żelastwo.
- Co powiedziałaś?
- Miecza mamy szukać. Ponoć jest gdzieś tutaj. Był pod Grunwaldem czy jakoś tak...

– Nie.

– No tak, powariowali tam na górze. Im się wydaje, że nie mamy nic lepszego do roboty, tylko szukać jakichś średniowiecznych wykałaczek. Wydali nawet ogłoszenie do prasy.

– Jakie ogłoszenie, Adaś?

– Ktokolwiek widział, jest w posiadaniu lub zna miejsce przechowywania. Nagroda za zwrot albo trzy do pięciu za ukrywanie.

– A opis jest?

– Tylko ogólnikowy. Wiadomo, że to starość i do tego bardzo ważna dla tej, no. kultury narodowej. I jeszcze im jakiś lew uciekł.

– Co ty gadasz?

– No mówię ci, Stefek, obok miecza ma być jakiś lew.

– Co? Lwa też ktoś ukrywa? Rąbanką z placu go karmi? A może sąsiadami?

Adam zostawił Gromiła w pełnym osłupieniu i pomknął gdzieś dalej.

„A więc tak się sprawy mają. Coś zaczyna się tu potwierdzać. A może to po prostu szajka złodziei zabytków? Ale jak wytłumaczyć te tajemnicze zgony? Lekarz sądowy do tej pory siłuje się z raportem, bo nie wie, jakie ma wpisać narzędzie zbrodni. Co: kły? Trzonowe? A może siekacze? Krew by to jasna zalała! Ale pasztet. Jak powiem przełożonemu, że chcę ruszyć konsula, to mi nogi powyrywa z. no z tego miejsca, gdzie plecy tracą szlachetną nazwę”.

Gromił był trzeźwo chodzącym po ziemi realistą i musiał dotknąć, zobaczyć, żeby uwierzyć. Podobnie jak Warkotowi nie mogło mu się to pomieścić w głowie.

Zamknął z rozmysłem szufladę z aktami i wrócił do siebie. Rzeczywiście na biurku zastał polecenie służbowe: „Odnalezienie przedmiotu zabytkowego w formie miecza”. Pisano jeszcze o „figurce granitowej w kształcie lwa – na pierwszy rzut oka nie poznać, że lew, długości jednego metra, z oczodołami wklęsłymi” oraz „tułowiem w lewoskręcie”. I jeszcze jedno: „Grzywy nie stwierdzono”. Było też zdjęcie lwa, dość zamazane, przedwojenne. Rzeczywiście grzywy brak.

„Zdjęcia miecza nie ma, ale miecz to miecz – pomyślał Gromił. – Jak go tak szukają, to musi być cudaczny. Od razu będzie wiadomo, że to ten. Jednak nawet najgłupszy szabrownik zorientowałby się, że to cenny zabytek i najpewniej już leży w jakimś antykwariacie w Bonn. Chyba że by kamyki z pochwy powydłubywał. ”

Na samą myśl o tym Gromiłowi wystąpiły kropelki potu na czole. Jako człowiek kierujący się w życiu racjonalizmem, doceniał wartość zabytkową przedmiotów i wszelka forma wandalizmu i dewastacji wydawała mu się obmierzłą. Miejsce zabytków było w muzeum, a nie u jakiegoś handlarza. Żeby ludzie mogli się napawać wytworami feudalizmu powstałymi z krwawicy ludu pracującego...

„A tfu! Już zupełnie zgłupiałem. Gazetą gadam”.

Otworzył drzwi i wezwał do siebie sierżanta.

– Słuchajcie, Kuźniak, mam dla was zadanie bojowe.

– Tak jest, obywatelu poruczniku – odpowiedział sierżant.

– Trzeba będzie zdjąć mundur i połączyć po sąsiadach mieszkających obok tego domu na Sudeckiej. Tu macie adres. Ale tak, żeby się nikt tam nie zorientował, zrozumieliście? Taki no...

– Wywiad środowiskowy – dokończył za niego sierżant z uśmiechem.

– No właśnie. Czy ktoś coś widział, wchodził kto, wychodził, co ja was zresztą będę roboty uczyć.

– Tak jest, obywatelu poruczniku.

– Kuźniak, tylko. uważajcie na siebie. Na ogrodzeniu wisi taka tabliczka, ale wy w ogóle jej nie widzieliście, rozumiemy się?

– Tabliczka resortowa, znaczy się?

– Tak, resortowa, ale nie z naszego resortu...

Sierżant wydał z siebie przeciągłe gwizdnięcie. Była to, jak do tej pory, najbardziej osobista demonstracja odczuć sierżanta, od kiedy się poznali niespełna dwa lata temu.

– Przepraszam, obywatelu poruczniku, wypsnęło mi się.

Gromił uśmiechnął się tylko z sympatią.

– Ja musiałbym gwizdać cały dzień przy tej sprawie.

Sierżant obdarzył młodszego przełożonego spojrzeniem wyrażającym niemal ojcowską miłość i przywiązanie.

– Odmeldowuję się do wykonania zadania.

Trudno było oduczyć musztry tych zdemobilizowanych wojaków. Ale miało to swój urok.

– Idź już, idź.

Po wyjściu sierżanta Gromił odnalazł numer w notesie i wykręcił go, szarpiąc wściekle tarczę na ebonitowym korpusie telefonu.

– Halo, pan profesor Ochocki? Stefan Gromił dzwoni.

Coś zaszemrało po drugiej stronie linii.

– Tak, ten sam. Mam do pana sprawę. Mógłbym przyjść. Kiedy? Im wcześniej, tym lepiej. Można teraz? Jestem bardzo zobowiązany. Będę za pół godziny. Do widzenia.

– Szur-szur. – pożegnał się rozmówca.

Gromił odłożył słuchawkę i zatarł ręce z radości. Jeśli ktoś może coś wiedzieć na interesujący go temat, to tylko profesor Karol Ochocki. I akurat teraz przyjmuje na konsultacje.



Wydział Historii Sztuki był wciąż jeszcze bardzo niewielki. Ledwo garstka studentów chciała zgłębiać tajniki romańskich podcieni, empirowych krzeseł, biedermeierowskiej biżuterii czy flamandzkich obrazów na desce. Wszyscy woleli nauki ścisłe, bo tam wszystko można wyliczyć i skalkulować. Wiedza na temat zabytków była hermetyczna

i wymagała wielogodzinnego ślęczenia nad książkami, często wypraw w teren, bo co i rusz odnajdowano księgozbiory bądź zmagazynowane meble i ktoś musiał to wszystko ogarnąć i stwierdzić, że przedmiot A pochodzi z muzeum w B bądź C. A bywało, że i w Z.

Profesor Karol Ochocki w odróżnieniu od swego literackiego „przyrodniego brata” Juliana nie myślał już o machinach latających cięższych od powietrza, bo te na nieszczęście zostały już dawno wymyślane i użyte podczas ostatniej wojny. Zajął się dziedziną spokojniejszą, wymagającą jednak niezwyklej wyobraźni, cierpliwości i pamięci. Stale musiał rozpoczynać prace nad identyfikacją i katalogowaniem dzieł sztuki, które narodowosocjalistyczni „koneserzy” gromadzili w celu wywiezienia ich w nieznanych kierunkach.

Do brunatnych dołączyli się jeszcze prywatni i oficjalni zbieracze preferujący kolor czerwony, choć przypisanie poszczególnych bezcennych dzieł sztuki tak zwanej cywilizacji radzieckiej wymagało umysłu mistrza Leonarda i erudycji greckich oratorów. Czasem nieśmiałe protesty były kwitowane prostym, żołnierskim nie lzja i trofiejny eksponat wędrował na wschód. Jeśli jednak przedmiot został wykonany ze szlachetnych kruszców i nie posiadał zdobiących go kamieni szlachetnych, przeważnie lekceważąco go pomijano, bo cóż bowiem znaczył niepozorny obrazek Bruegla w porównaniu z pierścieniem ze szmaragdami, nie mówiąc już o nowoczesnej tokarce precyzyjnej wykonanej w Niemczech.

Często jednak dochodziło do sporów i zaczęto przebąkiwać o tym, czy profesorowi Ochockiemu nie czas już na emeryturę. Starszy pan jednak był niewzruszony i zawsze wyciągał argument nie do podważenia, że musimy najpierw wykształcić kilku nowych profesorów, żeby starzy mogli odejść na zasłużony odpoczynek. Jak dotychczas był to bardzo ważki argument, bo wydział musiał mieć swojego profesora. A najzdolniejsi pisali dopiero doktoraty.

I tak siedział w swojej niewielkiej jaskini wyłożonej od podłogi do sufitu książkami, z poupychanymi tu i ówdzie fragmentami średniowiecznych rzeźb, pustych barokowych ram. Na małym, choć solidnym biurku stał srebrny kałamarz z okresu, gdy Cesarz wszystkich Francuzów nakazał wyburzenie murów obronnych w nieprzyjaznym Breslau. Obok niego znajdowała się duża, brązowa popielnica z tego samego okresu – czara podtrzymywana przez charakterystyczne dla stylu empire trzy harpie o potężnych pazurach. W środku tliły się resztki jakiejś kartki.

– Witam serdecznie, szanownego pana! – wykrzyknął Ochocki na widok Gromiła, który zajrzał do gabinetu niczym zestrachany studenciak przychodzący po zaliczenie.

– Dzień dobry, panie profesorze – przywitał się Stefan.

Zapominał na śmierć o formie „obywatel”. W obecności takiego autorytetu opadały wszelkie sztuczne formy grzecznościowe, zdecydowanie ostatnio nadużywane.

Profesor Ochocki spojrział na Gromiła znad okularów. Był dużym, jowialnym mężczyzną lat około sześćdziesięciu. Nosił staromodną bródkę, na której tylko gdzieniegdzie pojawiły się srebrzyste nitki siwizny. Włosy pana profesora

przypominały jako żywo fryzurę Fryderyka Chopina podczas żywiłowego koncertu złożonego z mazurków i oberków. Ochocki odruchowo sięgnął do kieszonki kamizelki, żeby wyciągnąć ciężką srebrną dewizkę zegarka, pohamował się jednak. Był to odruch warunkowy, wyuczony przez lata w placówkach oświatowych, gdzie należało pilnować czasu.

Ochocki był warszawiakiem z krwi i urodzenia, ale wydarzenia z powstania warszawskiego i to, co się stało bezpośrednio po nim, na stałe wyгнаły go z rodzinnego miasta. Postanowił dać się unieść powszechnej fali optymizmu i osiadł na Ziemiach Odzyskanych. Wprowadził się do obszernego mieszkania nieopodal przechrzczonej niedawno ulicy Stalina wraz z żoną oraz dwójką uroczych córek. Ożenił się późno, co można było przypisać jego ekscentryzmowi bądź też – jak żartowali sobie z niego koledzy – wrodzonemu roztargnieniu. Podobno wyrwany z zamyślenia sakramentalnym pytaniem zadany przez księdza przy ołtarzu podczas ceremonii zaślubin w warszawskim kościele Świętego Krzyża zawołał głośno: „Dostateczny!”.

– A więc czym mogę szanownemu panu służyć? – zapytał Ochocki.

Gromił stropił się jeszcze bardziej i wyciągnął z kieszeni złożoną na cztery kartkę.

– Mam tutaj nasz wewnętrzny rozkaz. Nie ujawniam żadnej tajemnicy, bo jutro powinno się ukazać podobne ogłoszenie w prasie. Czy pan profesor zechciałby...

– Proszę pokazać.

Ochocki czytał przez chwilę, co jakiś czas parszkając bezgłośnie śmiechem, jakby Gromił podsunął mu artykuł ze „Szpilek”. Po chwili odłożył kartkę i spojrzał poważnie swojemu gościowi prosto w oczy.

– To byłoby nawet zabawne, gdyby nie było takie poważne. Od wielu lat szukamy tego miecza. Z tego Włostowica był, jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli, straszny kozak. Mordował wrogów bez litości, posługiwał się nawet bronią niegodną rycerza, za co zresztą musiał odbyć pokutę. To znaczy za strzelanie z kuszy. Wrogowie go nienawidzili, a stronnicy kochali. On sam lubił dobre życie, piękne kobiety i wojnę. Typowy przedstawiciel zawadiackich chwatów z tamtych czasów. Czytał pan coś na jego temat?

Gromił skonfundowany pokręcił głową.

– A szkoda. Wielka szkoda. Bo to jeden z pierwszych wielkich wrocławian. No i mamy tu miecz. Broń średniowiecznego rycerza ponoć miała cudowne właściwości. Sagi północy wspominały o Hruntingu Beowulfa, celtyckie legendy o Excaliburze króla Artura i Fragarachu Manannana mac Lira, chanson de geste o Durendalu Rolanda i Joyeuse Karola Wielkiego, Mahomet miał Zulfikara. Wszystkim tym mieczom przypisywano magiczne cechy, ale prawdopodobnie były po prostu arcydziełami sztuki kowalskiej, wytrzymałszymi, ostrzejszymi i mocniejszymi od pozostałej masówki.

– Panie profesorze, czy mógłby mi pan opowiedzieć o mieczu Włostowica? – zapytał Gromił, obawiając się, że wykład pochłona dygresje.

– Legenda mówi, że miecz, o który chodzi, zwano Rybichwostem. Został wykuty przez trzech kowali. Pierwszy z nich wywodził się z ludu Franków. On zdobył

pierwszorzędną stal, dzięki której miecz nie tępił się i był niezwykle ostry, a następnie nadał broni kształt. Z tego można wnioskować, że prawdopodobnie przypominał nieco zmodyfikowany miecz normański. Z całą pewnością był półtoraręczny, co w czasach Włosta już samo w sobie było dość niezwykle. Drugi kowal, który przybył z Orientu, zadbał, żeby ostrze posiadało niezwykle giętkość i wytrzymałość na podobieństwo wielowarstwowej stali damasceńskiej. Stąd jego nazwa. – Uśmiechnął się profesor. – Trzeci mistrz pochodził z Hiberni, czyli z obecnej Irlandii. On ozdobił i wykończył miecz. Myślę, że mógł wyglądać tak. – Ochocki zaczął coś kreślić ołówkiem na kartce, po czym podał ją Gromiłowi. – A dlaczego tak to pana zainteresowało, że tak spytam? Przecież nie fatygowałby się tu pan w tej sprawie, bo z gazet wiem, że jest pan zajęty o wiele poważniejszym śledztwem. Prowadzi pan tę trudną sprawę seryjnych morderstw.

– Moim zdaniem te sprawy się łączą – odparł wymijająco Gromił i spojrzał na rysunek.

Zobaczył miecz o zwężającej się głowni zwieńczony normańskim guzem głowicy o rękojeści układającej się w misterne łby smoków, skierowane ku dołowi, pozwalające wykręcić miecz przeciwnikowi z dłoni. Długie ostrze miało szeroką, pojedynczą strużynę pośrodku, co powodowało natychmiastową śmierć w przypadku wbicia w ciało przeciwnika, gdyż krew miała którędy spływać z zadanej rany. Gromiłowi zrobiło się zimno, kiedy wyobraził sobie, jaką straszną bronią mógł być ten miecz we wprawnych rękach.

– Myśli pan, że morderca używa tego miecza?

– Nie. Morderca najwyraźniej szuka tej broni.

– A to poszukajmy i my.

Ochocki chrząknął i sięgnął do dolnej szuflady, skąd wyciągnął cienki zeszyt zapisany drobnym, starannym pismem. Były w nim rysunki i mapy.

– Szczerze mówiąc, szukamy go od jakiegoś czasu – powiedział profesor. – Wiadomo, że znaleźli go naziści, ale podczas obrony miasta przepadł bez śladu. Byłby to wspaniały eksponat do naszej kolekcji w muzeum. Przeprowadziłem prywatne śledztwo. Wiadomo, że militariami zarządzały konkretne osoby. Te najcenniejsze bronie opuściły miasto przed podejściem Armii Czerwonej, ale wiemy na pewno, że Rybichwosta wśród nich nie było.

– Skąd ta pewność?

– Bo gauleiter Hanke pokazywał ten miecz na jednym mitingu, żeby wskrzesić patriotyczny żar i zagrać podkomendnych do walki. To niezwykle postać ten Hanke, gdyby nie on, miasto padłoby przynajmniej dwa miesiące wcześniej. Ale trzymał wszystko żelazną ręką, choć na koniec odleciał w nieznaną, jak mówią. Skoro miasto było odcięte, miecza nie mieli jak wywieźć.

– A Hanke nie mógł go zabrać ze sobą? Znaczący się samolotem?

– Oczywiście, że mógł, ale on miał za dużo zmartwień, żeby jeszcze jakiś miecz ze sobą targać. Poza tym zachował się rozkaz z jego podpisem, w którym zobowiązuje

jednego ze swoich podkomendnych do ukrycia miecza w bezpiecznym miejscu. Wszyscy ci oficerowie mieli trochę, no. kuku na muniu na punkcie mistycyzmu i nauk tajemnych. Jak to dzieci kucharek i gospodyń domowych. Wie pan, runy, skandynawskie bóstwa i tym podobne. Nawet kabała, choć była to, że tak powiem, mało kosztowna wiedza w świetle ideologii niemieckiej z tamtych czasów. Wystarczy sobie wyobrazić Hitlera jako Odyna, Göringa jako Thora, no może jedynie Goebbels. chociaż Loki do niego pasuje. od razu robi się wesoło! Ale też wszelkie zadęcie prowokuje zarty. Znalazłem coś takiego, proszę spojrzeć.

Gromił przyjrzał się jeszcze raz pomiętej i wygładzonej kartce papieru. Ktoś starannym, kaligrafowanym pismem zostawił wskazówkę. Gromił nie znał niemieckiego, ale uprzejmy profesor przetłumaczył mu tych kilka zdań.

. Nadejdzie jeszcze chwila triumfu, kiedy niezwyciężone germańskie legiony zdławią wszystkich nieprzyjaciół. Dzień ten jest bliski, choć teraz trwamy w oblężeniu i bronimy się zaciekle przed hordami barbarzyńców ze Wschodu. Zatem miecz Petera Vlasta należało złożyć w bezpiecznym miejscu, co niniejszym uczyniłem, by nie opuścił naszego miasta, by został na stałe tu, gdzie jego miejsce. Miecza lew strzeże, a skryty jest tam, gdzie gwiazda Salomonowa na świątynię spogląda, w miejscu, w którym widać, jak słońce zachodzi nad sercem miasta.

Ecce Petrus Vlostides alti sanguinis princeps.

Heil Hitler!

SS-Scharführer Walter Zugmann

– Co to może znaczyć? – zapytał Gromił.

– Och, jestem pewien, że pod całą tą paplaniną kryje się rzeczywiste miejsce ukrycia miecza. Dam panu znać, jak coś mi przyjdzie do głowy.

– Dziękuję, panie profesorze. Proszę o telefon, kiedy tylko coś się wyjaśni w tej sprawie.

– Panie poruczniku, nie sądzę, żeby pańscy koledzy do mnie trafili. Będą raczej szperać po targowiskach i melinach paserów.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę.

– Więc dlaczego mnie pan odwiedził?

– Właśnie dlatego. Do widzenia.

Gromił wyszedł z gabinetu profesora i znalazł się na ulicy Szewskiej, o kilkadziesiąt

metrów od swego mieszkania. Postanowił odświeżyć się i przebrać, bo upał znów zaczął mu doskwierać. Czuł duże podniecenie, bo właśnie wkroczył na ścieżkę, z której widać było rozwiązanie tajemnicy. Przypomniał sobie słowa Janka, o tym, że Przedwieczni również biorą udział w tych poszukiwaniach, i – jeśli to, co słyszał, było prawdą – mieli nad nim przewagę w ludziach, sprzęcie i dekretach.



Walenty Iwanowicz Sabiej z zadowoleniem zatarł dłonie. Metoda kija i marchewki skutkowała od dawna. Problemem było tylko to, że odsączony już się nie słuchał, bo nie żył. Należało więc postępować ostrożnie i z rozwagą. Zatrzasnął za sobą drzwi czarnej pobiedy i wyjechał z garażu. Pewne sprawy należało załatwiać osobiście, bo nawet najlepszy pomagier potrafił zawalić najprostsze zadanie.

Sabiej wprawnym ruchem wyprowadził samochód na jezdnię i skręcił w lewo. Musiał dojechać prawie do wiaduktu, by zawrócić w ulicę Ślężną. Tu po obu stronach szerokiej, dwupasmowej arterii stały resztki przedwojennych domów dla robotników. Nic specjalnego, ale w obecnych czasach było to lokum na wagę złota. Szczęśliwcy zajęli je już pod koniec okresu Dzikiego Zachodu, przedstawiając stosowne dokumenty w urzędach. Czasem im kogoś dokwaterowano, ale raczej rzadko – tutaj nie zagęszczano zbyt często, bo mieszkanca były nieduże, choć w przyjemnej okolicy, niedaleko parku.

Kilka większych domów wyraźnie odstawało od całości. Niemcy budowali skromne jak na ówczesne czasy szeregowy domy, które miały góra trzy piętra. Nie tylko w tej dzielnicy. Na Sępolnie zachowało się całe osiedle ułożone przez nadgorliwego projektanta w kształt niemieckiego orła, co obecnie próbowano starannie zamaskować. Sabiej uśmiechnął się złośliwie. W tych właśnie małych domkach mieszkało ponad dziewięćdziesiąt procent zwolenników małego kaprała, którzy pomogli mu zdobyć władzę.

Po obywatelskim oddaniu właściwego głosu dalej robili sobie kompoty ze śliwek, topili smalec, sadzili róże w przydomowych ogródkach, nie zdając sobie sprawy, że właśnie podpalili lont największej bomby na świecie. Ciekawe, czy postąpiliby tak samo, gdyby wiedzieli, jakie podziękowanie zgotuje im wkraczająca do miasta Armia Czerwona, która przez bez mała dwa tygodnie trzęsła całym niemieckim Breslau. Ile Helg, Irmin i Brygid płakało po jej przejściu rzewnymi łzami, zachodząc w głowę, dlaczego w życiu przytrafiła im się taka tragedia.

Sabiej dojechał do dworca i poprowadził limuzynę prosto do starówki, mijając odrapane domy z dziurami po kulach. Tu, na placu Feliksa Dzierżyńskiego, skręcił w lewo i wjechał w labirynt staromiejskiej zabudowy. Po stu metrach był już przy drukarni. Zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Czekał.



Warkot zupełnie nie odczuwał uniesienia, jakie opanowało Gromiła w sprawie ukrytego skarbu. Wciąż jeszcze miał w pamięci wydarzenia ostatnich dni i w dalszym ciągu jego skołatany umysł starał się z nimi uporać. Jediną ostoją były uczelnia i egzaminy końcowe. Zbliżał się koniec okresu wyrzeczeń i Warkot mocno się tego trzymał. Pracował teraz nad uruchomieniem nowej maszyny offsetowej wraz z majstrem Kapustą, który tylko kręcił głową, bo jeszcze takiego potwora nie widział w swoim życiu. Niby zasady funkcjonowania takie same, ale wszystko zautomatyzowane i wystarczyło tylko dobrze poustawić, żeby maszyna działała samodzielnie.

– Widzisz, Janku, o tak, ta zakładka musi iść tutaj, bo inaczej tłok by się zatarł. I trzeba pamiętać, żeby przewód na farbę był zawsze czysty. Jak się zapcha, to po sprawie. Trzeba będzie wszystko czyścić, więc albo maszyna pracuje przy otwartych zaworach, albo, kiedy stoi, zawory się zamyka i pilnuje, żeby wszystko ściekło z kanału.

– Mam taką maszynę na tapecie. – rzucił Warkot – . znaczy na desce kreślarskiej, ale na żywo widzę pierwszy raz.

– Nie jesteś jedyny.

– To naprawdę pocieszające. Znaczą idzie postęp.

– Coś ty taki zapiekły? Dziewczyna cię kantem puściła? A może się kurwisz? Niedobrze przed obroną, a do tego jeszcze ten cholerny upał.

– Nie, panie majster, to nie to...

– Powiedz, co się dzieje. Jesteśmy w końcu kolegami.

I Warkot opowiedział. Wszystko, ze szczegółami. Mieli sporo czasu i pracowali tylko we dwóch przy prowadnicach i kanałach smarujących prasę farbą.

– Cie choroba! – zaklął przejęty nie na żarty majster. – I co, te zbójce od Ruskich do nas przylazły?

– Trudno powiedzieć skąd tak naprawdę.

Warkot był bardzo zdziwiony, że majster ani słowem nie zakwestionował prawdziwości jego słów. Ale w końcu. człowiek przedwojenny.

– Teraz od Ruskich i nie można ich ruszyć – powiedział Janek. – Po pierwsze, nikt nie uwierzy, po drugie, to Ruskie, więc są pod ochroną.

– Już ja bym takiemu zamalował w pyszczysko, żeby mu cała klawiatura na chodnik wypadła – zadeklarował Kapusta. – Nie dość, że mamy urzędowych zbójców, to jeszcze się takie łachudry napatoczyły.

Milczeli przez chwilę, wpatrując się w nową maszynę. Majster odezwał się pierwszy.

– A ten, no. płomienisty upiór. to morowy chłop, z tego, co mówisz, to tak. Pomaga, a mógłby tylko straszyć, wyjąc jak potępieniec...

– Panie Kapusta, to jest potępieniec.

– To niech mu ziemia lekką będzie! I mówisz, że zbój? Taki na łotrów najlepszy. Jak się człowiek będzie cackał z takim mordercą, to nic dobrego z tego nie wyjdzie. Ale żeby konsul? Dyplomacja zupełnie na psy zesłała po tych wszystkich Poczdamach. A Ruskie nie mają tam swoich ludzi, żeby takiego ancymona wybadali?

– Mają, ale ci, co badają, wykonują rozkazy sekty Przedwiecznych. Więc ma jak u Pana Boga za piecem. Ciepło, tyłek wozi, ludzi wydusi, ile chce, i na dodatek nic mu nie mogą zrobić. Raj, panie majster, prawdziwy raj. No, bo co, na Podwalu zamkną? Nawet gdyby, to tego łajdaka zaraz wypuszczą. I kto mu da radę?

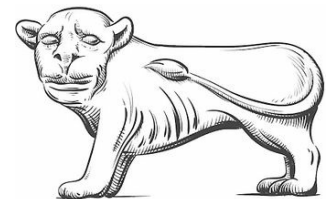
– Z tego, co mówiłeś, to ty z tym swoim nowym kolegą – rzucił kąśliwie majster.

– Nie dam złego słowa powiedzieć na Stefana, to uczciwy człowiek.

– Uczciwy blacharz? No niech ci będzie, ale ja bym takiemu nie ufał. Kiedyś to byli uczciwi. Wiadomo, że będą w mordę lać, to i lali, ale jaki respekt mieli. A teraz to tałatajstwo z pałuby. Daj spokój, Jasiu, daj spokój.

I Warkot dał spokój, bo o czym było dalej dyskutować? Lżej mu się tylko na sercu zrobiło, ponieważ mógł się w końcu zwierzyć komuś, kto nie patrzyłby na niego po każdym zdaniu jak na człowieka niespełna rozumu.

Nieopodal odwieczny wróg wszystkiego, co ludzkie, czekał cierpliwie niczym tłusty pająk w sieci.



ROZDZIAŁ SZESNASTY

KALI OREKSI...

Pułkownik Podatny wcale nie był zadowolony. Został wybrany, by powitać pierwszą delegację greckich komunistów, którzy musieli ewakuować się z ojczyzny, bo ci, co zdobyli władzę, mieli straszliwą alergię na kolor czerwony i na ateistów w szczególności. Chcąc nie chcąc, wbił się w paradny mundur z licznymi odznaczeniami. Ze strony radzieckiej miał mu towarzyszyć generał Grigorij Iwanowicz Kolew, jak zwykle gotów dotrzymać kroku kompanowi w ilości toastów. Podatny był zadowolony z takiego obrotu sprawy, bo w końcu to nie on musiał brać na siebie główny ciężar powitania – zostawił to w rękach Kolewa.

Kiedy jechali razem limuzyną w stronę siedziby Rady Narodowej, Kolew był jakiś zamyślony i nieobecny.

– Co wam? Chorzy jesteście?

– A daj spokój, Stanisław. Porozmawiamy o tym jutro, bo też będę miał dla ciebie zadanie bojowe. Na razie bawmy się i godnie przyjmijmy naszych międzynarodowych braci.

Przewodniczący Rady Narodowej przygotował wszystko na medal. W sali stanął długi, suto zastawiony stół, na którym pyszniły się drogie alkohole i półmiski owoców oraz zakąsek. Towarzysze greccy mieli przygotować prawdziwy przysmak – pieczonego barana, który przez kilka dni moczył się w specjalnej zalewie.

Spotkanie otworzył krótką przemową przewodniczący. Po nim wystąpił Podatny, a zaraz za nim Kolew. Wszyscy mówili o międzynarodalizmie, o przyjaźni, pokoju i padło coś też o białych gołębiach z gałązkami oliwnymi w dziobach, a wiadomo przecież, gdzie rosły gałęzie oliwne. Czyli wszystko było po linii i jak najbardziej zgodnie z wytycznymi. Potępiono w czambuł knowania imperialistów z trumanowską szajką na czele, napiętnowano próby zburzenia trwałego pokoju i wyszczerbienia zrębów.

Atmosfera zrobiła się prawdziwie międzynarodalna, gdy jeden z greckich gości wniósł pierwszy toast. Co prawda nikt go nie zrozumiał pomimo usilnych zabiegów ściągniętego ciupasem tłumacza, ale wiadomo było, że to sprawdzony towarzysz. Z twarzy Greka biła miłość do klasy robotniczej, a oczy błyszczały mu złowieszczo na wspomnienie amerykańskich sługusów i ich wrażeń greckich sprzedawczyków.

Wniesiono pierwsze danie. Głośne siorbanie nie było w stanie zepsuć międzynarodowego nastroju. Zupa była z jakiejś ryby, która pływała sobie w Morzu Egejskim.

– *Wkusna*, u nas też mamy takie zupy. Tylko świeża musi być – zagaił Kolew.

– No, dobra. Choć ja tam za rybą nie przepadam – odparł Podatny, bo i też tęsknił za domową potrawą, czyli ziemniakami polanymi omastą.

Kolew mlaskał z zadowoleniem, bo zupa była naprawdę smaczna. W końcu wniesiono rzeczoną pieczeń z barana, a właściwie z trzech baranów. Przedstawiciele zarówno gości, jak i gospodarzy najwyraźniej pościli przez ostatnich kilka dni, żeby nie umknęła im żadna potrawa z przyjęcia. Wzniesiono toasty.

– Wiesz, Stanisław, ja coś tego ich anyżkowego świństwa nie mogę. Nie ma tu gdzie naszego samogonu?

Usłyszał to przewodniczący i błyskawicznie dał znak kelnerowi, który ruszył pędem na zaplecze. Po chwili przed Kolewem stanęła karafka z wódką, podano ją też gościom. Grek, niejaki Takis, wziął solidny haust wódki i wytrzeszczył oczy. Zaczerwienił się cały, zabrakło mu tchu i dopiero po chwili wybełkotał:

– *Ja su!* – Co znaczyło „na zdrowie”.

Kiedy przetłumaczono, Podatny rzucił:

– A tak, tak, na zdrowie. Tu trzeba lepszego zawodnika, towarzyszu. Nie macie wprawy, tylko tyle. Ale przywykniecie.

– *Den katalaweno!* – Grek w końcu odzyskał powietrze w płucach, ale nie zrozumiał, co pułkownik do niego powiedział.

– Nieważne, napijmy się – zaproponował Kolew, wznosząc kolejny kieliszek wódki. – Za międzynarodową przyjaźń! – wykrzyknął gromko i wydać było, że już zaczął się dobrze bawić.

Wszyscy wstali i unieśli szkło. Spełniono toast.

Kolew usiadł i sięgnął po przekąskę – jakby podpłomyk, który Grecy łamali i maczali w różnych miseczkach rozłożonych na stole. Ułamał sobie kawałek, powąchał nadwołżańskim obyczajem, po czym zanurzył w miseczce z białym jakby serem. Wziął kawałek obficie umoczony w serze do ust, pogryzł, przełknął i zbladł.

– *Kali oreksi* – odezwał się życzliwie Grek. – *Tzatziki!*

– Tak, na zdrowie, smacznego. – Tłumacz już też sobie gołnął i zaczął się wczuwać w świąteczną atmosferę.

Kolew, blady jak ściana, zaniemówił. Zamarł w bezruchu, ściskając resztę podpłomyka w dłoni niczym kartkę z listem od żony, w którym informowała go, że ucieka z głównym księgowym z tartaku. Podatny zrozumiał, że wydarzyło się coś złego. Kolew nie mówił nic, nie oddychał, gapił się tylko w dal, blednąc coraz bardziej. Zachwiał się na krześle. I runął całym ciężarem do tyłu. Padł, tak jak siedział, a cała sala zamarła.

Dopiero po chwili podniósł się tumult. Kierowca Kolewa odruchowo sięgnął do kabury. Podatny rzucił się, żeby robić usta-usta.

– On jest uczulony, uczulony jest – powiedział Podatny.

– Uczulony na nabiał? – zapytał przewodniczący.

– Nie to, nie to.

– Na czosnek może?

Tłumacz gorączkowo przekładał Takisowi wszystko na temat stanu zdrowia sowieckiego generała. Grecki komunista, twardy facet, który brał udział zarówno

w walce z Niemcami, jak i później w komunistycznej partyzantce, zbladł jak ściana.

– *Bdella* – wybąkał, po czym głośno powtórzył: – *Bdella!*

– Co mówi ten wąsaty? – dopytywał się przewodniczący.

– Mówi, że krwiopijca – wybełkotał tłumacz, śmiejąc się histerycznie. – Wampir, znaczy się.

– Kto wampir? – zachnął się przewodniczący, jako że wszystko brał do siebie.

– No ten, Ruski. – Tłumacz zupełnie nie miał szacunku dla konającego. – Ale przesądni ci Grecy...

Kolew nie ruszał się, pozostając w dziwnej pozycji – ni to leżał, ni to siedział, z rękami wyciągniętymi ku górze, jakby chciał zaprotestować, ale już nie mógł.

– *Vrykolakas!* – wykrzyknął w końcu Grek ile sił w płucach i trzeba go było wyprowadzić z sali.

– *Vryko*. co?

– Wampir, wilkołak. – Chichotał coraz bardziej wstawiony tłumacz, sięgając po nową karafkę.

– Pana to bawi?

– A co? Mam płakać? Wampir to wampir, nie ma się nad tym co, hep, rozwodzić.

Kolew miał rozległy zawał. Będąc członkiem sekty Przedwiecznych od wielu lat, uwierzył, że po zjedzeniu czosnku padnie trupem. Wpajane przez lata przesady doprowadziły do tego, że Kolew wierzył, że picie krwi podczas tajnych rytuałów uczyniło z niego istotę nadprzyrodzoną. Skóra z sinobladej stała się wręcz popielata. Jego potężna postać skurczyła się w tej dziwnej pozycji. Twarz zapadła mu się w głąb, a kończyny zwiotczały na krześle tak, że padł z hukiem na plecy, wciąż siedząc. Po chwili nie było już śladu po wysokim funkcjonariuszu i został tylko zezwłok.

– Jezus Maria! – zawołała jakaś aktywistka, zupełnie nie po linii.

Podatny też był blady jak ściana, wiedział, że prawdziwa gehenna dla niego dopiero się zaczyna, bo będzie się musiał z tego wytłumaczyć.

– A taki był pocziwy, no dosłownie chłop z kośćcami. – odezwał się sam do siebie.

– No to tego, *kalinihta*, towarzysze! – Tłumacz pożegnał się i zwinął do domu, wcisnąwszy uprzednio sporą porcję jedzenia i butelkę wódki w karafce do skórzanej torby.

Jakoś nikomu specjalnie nie spieszyło się na spoczynek.



Sabiej w przedziwny sposób, jakimś szóstym zmysłem, odczuł śmierć Przedwiecznego jako mocne i bolesne szarpnięcie gdzieś w trzewiach. Wiedział doskonale, że miejski las na wschodzie Wrocławia łapczywie chłonał teraz esencję Kolewa. Czarna jak smoła dusza uchodząca ze starego ciała nie przyniosła mu większej przyjemności. Wsiąkała

w ściółkę niczym w gąbkę, dając jej siły witalne. Park promieniał radością.

– Niech szlag trafi te badyle – rzucił pod adresem łączącej roślinności.

Do tego jeszcze ta ohydnie zadowolona z ich niepowodzeń natura, która – jak to mówią – miała swoje prawa. Sabiej niemal widział rozbawiony wzrok tego zielonego monstrum, które cieszyło się z każdej ich wpadki. Na nieszczęście w starym Wrocławiu była cała masa terenów zielonych, niektórych bardzo starych, które niczym przyssawki oblej ośmiornicy chłonęły starożytną moc uciekającą z ciał familusów i Przedwiecznych.

„Trzeba będzie jakoś temu zaradzić w innych ośrodkach – pomyślał. – Wy tłumaczyć tej tłuszczy, że drzewa są im do niczego nie potrzebne. Że beton jest piękny w swej potężnej szarej masie. Po co im drzewa i trawa na nowych osiedlach? Niech sobie pelargonie sadzą w donicach, jak im to do szczęścia potrzebne”.

Pod wpływem tego tragicznego wydarzenia zmienił zamysł. Włączył silnik i czym prędzej pomknął na południe. Wiedział, że pozostali również to odczuli i na pewno zjawia się w krzyckiej willi. Pędził samochodem po ulicach, nic sobie nie robiąc z nerwowych dzwonek tramwajarzy oraz głośnego trąbienia innych kierowców. Koła podskakiwały na nierównościach, sunąc raz po nowym, lekko już rozmiękłym asfalcie, raz po granitowych kostkach pamiętających jeszcze kajzera.

„Czy ci cholerni brukarze nie mogą raz czegoś równo położyć? Dlaczego w jednym miejscu jest płasko, a w innym dziury jak po bombie lotniczej? – rozmyślał. – W Rzymie za taką drogę budowniczych przybito by do starych drzewek oliwnych. A dzisiaj co, po premii im polecą?”

Gdy zatrzymał się z piskiem opon przed gotyckim domiszczem, do furtki podbiegł żołnierz z karabinem pozostawiony tu na warcie przez Podatnego. Zobaczył minę Sabieja i bez słowa podał tyły, bo w końcu sam nie wiedział, co się tutaj działo, oprócz tego, że odbywały się spotkania w ograniczonym gronie. Wiadomo – tajemnica państwowa. Lepiej nie wiedzieć.

Sabiej wściekle trzasnął drzwiczkami wozu, otworzył z rozmachem furkę i wbiegł do środka. W gabinecie chwycił za telefon, by odbyć kilka nerwowych rozmów – w tym jedną błyskawiczną z Moskwą. Przedwieczność miała swoje zalety, ale też kilka istotnych wad, przez które za sprawą jednego idiotycznego błędu sen o potędze mógł prysnąć jak bańka mydlana.

Ścisnął mocno słuchawkę, odbierając relacje z tego, co się wydarzyło. Głupota, zwykła głupota, która powinna być przekleństwem i domeną zwykłych ludzi, sprawiła, że jeden z Przedwiecznych zginął śmiercią tragiczną na oczach kilkunastu osób. On sam był bardziej odporny i po zjedzeniu ząbka czosnku tylko by się skrzywił. Kolew miał zupełnie inaczej. Był niezwykle podatny na sugestie. Należało teraz posprzątać, świadków odesłać w nieznane i jak najszybciej zapomnieć o całym incydencie. Młyńskie koło historii zmiażdżyło jednego z Przedwiecznych, dając tym ludzkim szumowinom fory.

Musiał teraz działać zdecydowanie. Na pierwszy ogień poszedł pułkownik Urzędu

Bezpieczeństwa Publicznego Stanisław Podatny – należało go izolować, dowiedzieć się, co wie i na jakim etapie znajomości był z nim Kolew. Sabiej wiedział, że Kolew miał plany wobec pułkownika, teraz chciał tylko sprawdzić, czy będzie mu powolny, czy potrafi trzymać język za zębami. Przeważnie urzędnikami UBP byli sadystyczni tchórze, służący wobec przełożonych i bezwzględnie okrutni wobec podwładnych i podejrzanych. Jeśli Podatny przejdzie rozmowę z Sabiejem, wygra, jeśli nie, to nic mu nie pomoże.

Sabiej wolno wykręcił numer Urzędu Bezpieczeństwa. Po drugiej stronie przez dłuższą chwilę słyszał sygnał telefonicznej centrali.



Janek nawet nie podejrzewał, że był o krok od niechybnej śmierci z rąk tych, którzy trzęśli całym miastem i wywracali je na nice w poszukiwaniu relikwii. Śmierć Warkota, wybudzanego z socrealistycznego letargu przez płonącego upiora, miała być tylko dodatkiem, wisienką na torcie, drobną premią za wszystkie wysiłki, jakie Przedwieczni włożyli w plan opanowania miasta.

Warkot wyszedł, beztrąsko pogwizdując, z budynku drukarni, ale w połowie Oławskiej dogonił go Kapusta i zaproponował wypicie kielicha w pobliskiej knajpie z wyszynkiem. Czemu nie? W końcu uczynił go powiernikiem swojej tajemnicy i teraz cała trójka, Warkot, Kapusta i Gromił, posiadali mniej więcej taką samą wiedzę o rzeczywistych wydarzeniach toczących się w mieście. Stefan był niedostępny i Warkotowi nie udało się go wydzwonić; najwyraźniej zajmował się śledztwem. Miał też na głowie przełożonych, którzy musieli przecież żądać jakichś rezultatów.

Na ile mógł zawierzyć majorowi? Tego Gromił nie wiedział. Przedstawienie raportu, z którego wynikałoby, że mordercą jest konsul bratniego Związku Radzieckiego, graniczyło z samobójstwem. Musiałby mieć niezbite dowody, na przykład mordercę pochylającego się nad zwłokami albo fotografię samego przestępstwa, a i tak prawdopodobnie całej sprawie ukręcono by łeb, co najwyżej odsyłając dyplomatę do kraju. Błędne koło.

Warkot i Gromił już dawno doszli do wniosku, choć nie padło ani jedno słowo na ten temat, że oto sami będą zmuszeni do popełnienia przestępstwa, by ukrócić panoszenie się po mieście mordercy z dyplomatycznym immunitetem.

Gdy Warkot z Kapustą weszli na starówkę, życie toczyło się tam jak gdyby nigdy nic. Słońce chowało się już za zachodnią pierzeją Rynku, pozostawiając po sobie jedynie pomarańczowe, ciepłe światło dające natchnienie pacykarzom. Skierowali swe kroki do popularnego lokalu w środkowej zabudowie wrocławskiego rynku. Zeszli schodami i skierowali się do sali po prawej stronie, gdzie serwowano głównie przekąski i alkohol. Kapusta strzelił palcami w przedwojennym zawadiackim geście, na który kelnerzy

jeszcze się nie obrażali, bo był to dla nich niezawodny znak szybkiego zarobku.

– Słucham szanownych panów. – Kelner zjawił się tak szybko, że nawet nie zdążyli jeszcze zająć miejsc.

– Cztery głębsze i dwa razy zimne nóżki – rzucił Kapusta, zanim Warkot zdołał się odezwać.

– W tej sekundzie dla szanownego pana. – Kelner zniknął jak duch.

Na sali nie było zbyt wielu klientów mimo popołudniowej pory. Jeden z bywalców trzymał się szynkwasu, stanowiąc żywe zaprzeczenie wszelkich praw grawitacji, i śmiał się w kułak łebskiemu Izaakowi Newtonowi, który je odkrył. Właściwie był o krok od lewitacji, co i tak nie wzbudziłoby większego zainteresowania wśród klientów. Najwyraźniej był jednym z przedsiębiorczych ludzi nowych czasów, bo nie każdy mógł pozwolić sobie na elegancką marynarkę z grubej wełny, założoną na przekór panującemu w mieście skwarowi. Do tego co chwilę wyciągał gruby zwitek banknotów, jakby sprawdzał, jak bardzo może jeszcze się upodlić.

Śledziły go baczne spojrzenia obsługi lokalu, bo już obliczali w myślach, kiedy gość zacznie wielkopańskim gestem przylepiać im górale do czoła. Należało jedynie podtrzymać stan permanentnego wstawienia, nie dopuszczając do tego, by gość zasnął przy barze. Dlatego też barman reagował co trzeci raz na próbę zamówienia kolejnej kolejki, dozując precyzyjnie alkohol. Przed lewitującym pojawiła się też szklanka parującej, aromatycznej mokki, by zredukować nieco stan upojenia i przywrócić go do etapu półświadomości, która co prawda uniemożliwiała wyjście z lokalu, ale w niczym nie przeszkadzała w zamawianiu kolejnych kieliszków wódki.

– Patrz, Jasiu, jak się zrobił – rzucił Kapusta, starając się wprowadzić beztronski nastrój do rozmowy. – Upaprał się jak salceson w piachu.

Tak naprawdę w świetle tego, co usłyszał, próba wprowadzenia wesołej atmosfery była zadaniem niezwykle karkołomnym. Do tego Warkot stwardniał jakoś tak w sobie, jakby w końcu z młodzieńca zmieniał się w mężczyznę, wkraczając w świat dorosłych zmartwień.

– Zaraz odleci – przyznał Warkot.

– Nie. tu są wytrawni kelnerzy. Nie pozwolą mu wyjść z tą forszą. Najwyżej zostawią stówę na taryfę.

– Pewnie tak.

– No to siup, jak powiedziała aktorka do organisty – powiedział Kapusta, po czym ujął wysoki kieliszek na stopce i stuknął w szkło Janka. – Na pohybel krwiopijcom i innym degeneratom.

– Niech będzie i siup. Na pohybel.

Warkot nawet się nie skrzywił, gdy pierwszy łyk palącej cieczy spłynął mu do gardła.

– Na zdrowie – odezwał się trzeci głos.

– No nie, pan mnie po prostu prześladuje – rzucił Warkot, widząc Leona Słupeckiego, który bezceremonialnie przysiadł się do nich.

– Nie przedstawiś nas, Jasiu? – zapytał Kapusta, jednocześnie machając na kelnera,

który, będąc doskonałym obserwatorem, już zręcznie lawirował między stolikami, idąc w ich stronę.

– Zdzisław Kapusta, nasz majster, Leon Słupecki, ognisty upiór...

– A widzę, żeś już nieco poopowiadał naszemu drogiemu majstrowi. To dobrze, nie będę musiał tłumaczyć od nowa.

– Ba. bardzo mi przyjemnie – wybełkotał osłupiały Kapusta.

– Mnie również. To dobrze, że nasz młodzieniec ma takiego przyjaciela, bo szczerze mówiąc, w tej waszej drukarni to straszliwe łajdaki pracują i donosiciele. – Mrugnął do Warkota.

Kelner zjawił się już przy stoliku z karafką wódki, bo przecież nie będzie latać wte i wewte. Słupecki zatrzymał go w chwili, w której chciał zniknąć.

– Pan da jeszcze sześć wzmocnionych. – Rzucił porozumiewawcze spojrzenie, wciskając czerwony banknot za kamizelkę kelnera.

– Się robi, proszę szanownego pana.

Kelner odpłynął, cały gnąc się w lansadach. Po chwili wrócił, niosąc na tacy sześć kieliszków z trunkiem koloru paliwa lotniczego.

– Pierwszorzędna przepalanka. – Mrugnął znacząco do Słupeckiego.

Doświadczony kelner we krwi miał umiejętność rozpoznawania właściwego fundatora. Kieliszki stanęły na stole niczym pluton egzekucyjny. Kiedy kelner odszedł, Słupecki od niechcienia przyłożył płonący palec po kolei do brzegów szkła. Kieliszki z trunkiem zajęły się niebieskawym płomieniem niczym pochodnie na pionierskim capstrzyku.

– No to najlepszego. – Kapusta nie wiedział, co powiedzieć, ale alkohol przełamał wszelkie bariery.

Wypili. Trunek był mocny, z gatunku tych, co od razu do głowy nie idą, a jedynie przywołują przyjemne ciepło w żołądku.

– A więc sytuacja wygląda następująco – zaczął Słupecki. – Jeden z Przedwiecznych przekreślił się dzisiaj. Niejaki Kolew, generał. Wyobraźcie sobie, że padł ofiarą kuchni greckiej. Zjadł tzatziki z czosnkiem i fajtnął na ziemię aż miło. Wiem, że wszyscy krwio pijcy w mieście to odczuli, bo pojawił się refluks natury. Konsul musiał się nieźle wściec, a to dobrze, bo jak wściekłość przesłania mu oczy, przestaje myśleć racjonalnie i wychodzi z niego jego drapieżny charakter. Wtedy może popełnić błąd. Kawalerze, jakieś wieści od naszego dzielnego porucznika?

– Dzwoniłem, ale jest gdzieś w mieście. Najwyraźniej wpadł na trop.

– To dobrze, może coś wymyśli. Niech on się zajmuje konsulem, a my będziemy szukać miecza.

– A nie odwrotnie?

– To nieważne, sprawy te są ze sobą ściśle powiązane.

– Jak to jaaa pijany? – Jeden z obywateli siedzących przy stoliku wyraził szczere oburzenie. – A tamten to coooo? – pieklił się klient, wskazując na dżentelmena przy barze.

– Tamten to. – Kelner szepnął parę słów zaindyconemu nie na żarty konsumentowi. – Tabliczka jest. „Nioletnich i pod wpływem nie obsługujemy”.

– Jak to? – Klient był na granicy płaczu. – W domu nie można, bo stara czuwa, na ławce nie można, bo Milicja Obywatelska nie pozwala, w ruinach strach, bo gazrurką można w baniak zarobić, to gdzie mam się ubzdryngolić jak nie w lokalu?

– To jest lokal kategorii S, więc nie można chlać jak jakiś wozak, trzeba z godnością, zamówić przekąskę, popić oranżadą, a nie tak. na chama.

– Dobrze, w takim razie zamawiam dwa bryzolki, dla mnie i kolegi. z buraczkami mogą być. i kartofelki, rozumie pan starszy, pszysssmażzone...

– A to co innego. – Kelner wyraźnie mięknał.

– . i litr wódki – dokończył listę życzeń sfrustrowany klient.

– A to musi być jeszcze oranżadka!

– No dobra, dawaj pan, panie ober, tę oranżadę, ale na jednej nóżce, co, kochanieńki?

– I dwa jasne z pianką – dorzucił jego kolega.

– Widzisz, Michałku, niedługo trzeba będzie do knajpy dwóch ży. Hep! Żyrantów brać – żalił się dalej kompanowi.

Kapusta parsknął śmiechem. Wypili jeszcze dwie płonące kolejki i zamówili kolejne. Kiedy Kapusta nabrał odwagi, zapytał Warkota, starając się nie patrzeć na senną marę siedzącą obok niego.

– Dasz mi jakieś zadanie, Jasiu, co? Chcę pomóc...

– Ja mam dla pana propozycję – wtrącił się Słupecki. – Niech pan nie spuszcza z oka tego oto kawalera. Niech pan go samego nigdzie nie zostawia. Stoi?

– No jasne, że stoi. Sztama! – rzucił Kapusta już lekko podochocony alkoholem, choć wciąż było widać, że ma niezłego pietra z powodu obecności średniowiecznej duszy pokutującej.

Mężczyźni nachylili się nad blatem stołu i zaczęli rozmawiać na poważnie.



TAKA SPOKOJNA WIELKANOC...

Festung Breslau

Wielki Piątek, 30 marca 1945 roku

SS-Scharführer Walter Zugmann był niezbyt wysokim, lekko już łysiejącym blondynem, na którym czarny mundur ze srebrnymi błyskawicami leżał jak ulał. Podoficer do specjalnych poruczeń z namaszczenia samego Reichsführera-SS wracał właśnie z odprawy u Hankego. Z tymczasowego Sztabu Obrony miasta miał ledwo parę kroków do schludnego domu z kremowej cegły, gdzie zajmował mieszkanie po jakimś krawcu czy kupcu bławatnym. Lokum było przestronne, z pięcioma dużymi pokojami na ostatnim piętrze, zwieńczone niewielkim tarasem z widokiem na ulicę.

Lubił to miejsce, choć nie urodził się w Breslau. Klimat był nieco męczący, ale można wytrzymać, a huśtawkę temperatur rekompensowały wizyty w parkach i zagajnikach nad Odrą, gdzie często wybierał się z rodziną. Jego starszy syn walczył gdzieś tam na froncie z Amerykanami, a młodszy zdobył właśnie szlify w Hitlerjugend. Żona, wspinała niemiecka gospodyni, pracowała teraz wraz z innymi dla dobra Rzeszy i przygotowywała posiłki dla Volkssturmu – prawdziwe cuda z tej resztki zapasów, jakie jeszcze pozostały w mieście. Zugmann nie przepadał za koniną.

Będąc starszym podoficerem SS, miał prawdziwe szczęście, że powierzono mu tak odpowiedzialne zadanie jak opieka nad germańską relikwią – mieczem Petera Vlosta. Miecz spoczywał wraz z lwem, symbolem siły i władzy, w ciężkiej średniowiecznej skrzyni, która posiadała sekretny zamek niepozwalający postronnym otworzyć ciężkiego wieka wybijanego żelaznymi guzami. Wystarczyło jednak włożyć drugi klucz albo długi, okrągły przedmiot w ukryty otwór, by zwolnić zamek.

Skrzynia ważyła sporo, ale dwóch silnych mężczyzn mogło ją przetransportować, unosząc za dwa uchwyty na krótszych bokach. Spoczywała teraz w sztabie po niezwykle żywiołowym i patriotycznym przemówieniu Hankego. Widać było, że poderwał oficerów do walki, że germańska krew berserków znów zawrzała i Zugmann ponownie dostrzegł żar w ich oczach.

Teraz musiał wypełnić zadanie. Nie wiadomo, jak dalej potoczą się losy Festung Breslau. Ruscy byli coś podejrzanie za spokojni od kilku dni, a zwiadowcy zanotowali koncentrację ciężkiego sprzętu na obrzeżach miasta. Co jakiś czas słychać było warkot maszyn samolotów zwiadowczych, które przemykały po błękitnym niebie.

Święta Wielkiej Nocy zapowiadały się spokojnie. W kościołach, które jeszcze miały dach, szykowano się do obchodów, a dziś, w Wielki Piątek, odprawiano nabożeństwa pasyjne. Zugmann nie był człowiekiem wierzącym, choć na klamrze pasa munduru nosił napis Gott mitt uns – „Bóg jest z nami”. Natürlich, lepiej z nami niż z nimi.

Zresztą to poganie. Sama myśl, że Bóg, gdyby oczywiście istniał, mógłby być z kimkolwiek innym niż z Niemcami, była zgoła absurdalna. Ponad tysiącletnia historia cywilizacji i rozwoju, która wydała tylu wielkich synów i ucywilizowała wiele barbarzyńskich plemion, nie została napisana a przez słabeuszy.

Zugmann lubił atmosferę świąt Wielkanocy i Bożego Narodzenia, mimo że nie wierzył. Wolał tę nazwę – Wielkanoc – niż żydowską Paschę. Gita pewnie coś szykuje na śniadanie wielkanocne, coś dobrego z zakamarków prawie pustej spiżarni. Może dostała jakiś przydział w sztabie? W końcu jej Walter jest ważną figurą, z którą musi, chcąc nie chcąc, liczyć się sam gauleiter Hanke. Może po wykonaniu tego zadania dostanie awans? A może przynajmniej wyższy stopień Żelaznego Krzyża, który pięknie błyszczał na lewej kieszeni munduru. Albo jedno i drugie.

Od jakiegoś czasu zastanawiał się, gdzie można by ukryć tę żelazną skrzynię tak, żeby wróg, nawet jeśli wejdzie do miasta, nie odkrył drogocennych przedmiotów. Budynki publiczne odpadały. Po pierwsze – albo zmieniono je w prowizoryczne szpitale, albo dawały schronienie Niemcom bez dachu nad głową. Kościoły i eleganckie wille też odpadały, te miejsca od razu przyciągną uwagę barbarzyńców ze wschodu. Zakopać? Odpada. Wszędzie były gruzy i zakopywanie czegokolwiek wzbudziłoby niepotrzebną uwagę. A na terenach zielonych od razu ktoś by zauważył ślad po usunięciu świeżo kielkującej trawy. Rozkaz był wyraźny – ani lew, ani miecz nie mogły opuścić Breslau.

W domu Zugmann zapalił papierosa i odgrzał sobie resztkę kawy z przydziału. Musiał się skupić i coś wymyślić. Z lubością pogładził się po kieszeni munduru, gdzie spoczywała srebrna papierośnica ze złotym hakenkreuzem, który kazał grawerowi wstawić na miejsce gwiazdy Dawida. Pasowało. Aromatyczny tytoń, chyba jeszcze z Grecji, uderzył mu do głowy. Nie jadał za dobrze ostatnimi czasy i musiał się mocniej spinać pasem. Okropne czasy! Żeby tak bestialsko niszczyć to piękne miasto! Jego szerokie ulice, parki, domy, zabytki. Ci Rusczy to straszne dzikusy – różne opowieści chodziły wśród frontowców, ale Zugmann uznał, że to tylko pogłoski.

Siadł przy biurku i starannie ułożył na blacie trzy kartki papieru, na których miał zamiar zapisać te same wskazówki ukrycia skrzyni. Jedna kopia dla Himmlera, druga dla Hankego i trzecia dla siebie – tak na wszelki wypadek. Jakby się dostał do niewoli, to i tak nic z tego nie zrozumieją, słowiańskie ścierwa.

Na samą myśl o tym, że jacyś podludzie mogliby wziąć go do niewoli, zagotowała się w nim germańska krew. Niedopuszczalne. Obronią miasto, wygrają tę wojnę i odwrócą jeszcze losy świata. Właśnie taki sposób myślenia zjednał mu zaufanie władz w Berlinie; i był całkowicie szczery w swych przekonaniach. Żarliwy członek NSDAP, w partii od samego początku. Bolał go nieco niski stopień w hierarchii, ale to się zmieni – już miał przed oczami oficerskie szlify na mundurze.

W zamyśleniu wyciągnął lugera z kabury. Broń była starannie naoliwiona i wypucowana. Strzelał z niej dawno, ale teraz może się przydać. Sprawdził magazynek – pełny. Za godzinę miał się u niego pojawić podoficer z dwoma silnymi

żołnierzami, by mogli przywieźć skrzynię ze sztabu i ją schować. Zobowiązano ich do najściślejszej tajemnicy. Streng geheim – brzmiał rozkaz. Zugmann miał też rozkaz zastrzelić ich na miejscu, gdyby wydali mu się niegodni zaufania.

Za oknem przeleciał z furkotem jakiś spłoszony ptak i Zugmann odruchowo poderwał się z krzesła. Kiedy już stał z pistoletem w dłoni, podszedł do firany i delikatnie zerknął przez szparę. Dosłownie go zatkało. Jakaś kobiecina próbowała iść w stronę Odry, klucząc między resztkami dobytku i powyrywany kocimi łbami. Dźwigała jakiś ciężki tobolek. Skromny dobytek albo nielegalną żywność ukradzioną z jakiegoś składu. Szkoda, że nie ma żandarmów w pobliżu.

Jego wzrok powędrował nieco wyżej i zatrzymał się w miejscu. Cały czas szukał jakiegoś charakterystycznego znaku, jakiegoś symbolu, dzięki któremu można byłoby dokładnie zapamiętać miejsce złożenia relikwii. Breslau był pełen rozmaitych rzeźb, maskaronów i reliefów, ale do tej pory żaden z nich nie przykuł uwagi Waltera Zugmanna na dłużej. Przyglądał się kamienicy po drugiej stronie ulicy, nieco na lewo.

Dom był solidny, pięciokondygnacyjny z piętrowym strychem, półkolistymi wykuszowymi oknami i dwoma tarasami po obu stronach na ostatnim piętrze. Zbudowano go w tym samym roku, co Jahrhunderthalle i most Wolności, więc musiał mieć żelbetową konstrukcję, którą nie tak łatwo zburzyć. Stał do tej pory bez uszczerbku, choć jego starsi bracia wokół padali pod ostrzałem ruskiej artylerii.

Miejsce było idealne. W samym sercu miasta, a jednak z dala od ważnych wydarzeń i reprezentacyjnych miejsc. Taki dom mógł przetrwać niejedno. Spojrzał po oknach, ale na wyższych piętrach nie zobaczył śladu życia. Z pewnością mieszkańcy uciekli do schronów, by nie wystawiać się na ruskie pociski, które najpierw wbijały się w dach i jeśli ten puścił, spadały niżej, by palić, burzyć i rozwalać na kawałki siłą eksplozji i mocą chemicznych środków zapalających. Na frontonie domu dominowała postać anioła. Stała poniżej dwóch masonskich symboli: gwiazdy zarannej i Świątyni Salomona – kolumnady przykrytej dachem umiejscowionym na dwóch półkolistych wykuszach. W Breslau dużo było masonów przed wojną. Na jednym z domów za Odrą Zugmann widział nawet zupełnie jawne symbole masonskie w postaci kielni i cyrkla oraz słońca zamykającego się na okrągłym oknie przy dachu, tam, gdzie najprawdopodobniej znajdowała się loża.

„Dobrze, że stłamsiliśmy to dekadentkie tałatajstwo” – pomyślał nazista.

Patrzył teraz jak sroka w kość na budynek, który przez sześć lat przydziału w Breslau miał na wyciągnięcie ręki. Podniósł słuchawkę i zakreślił korbką telefonu polowego. Póki co miał jeszcze łączność ze sztabem. Zapowiadała się bardzo spokojna Wielkanoc.



Smutni weszli do Muzeum Archidiecezjalnego, Muzeum Narodowego i do siedziby

księdza Urbana na Ostrowie o godzinie szóstej rano. Przetrzęsnięto budynki od strychu po piwnice, zaglądnąc do każdej szafy, skrzyni i schowka. Potłuczono przy okazji naczynia ze starożytnego Egiptu, zarekwirowano dwie halabardy oraz średniowieczną rzeźbę baranka, którego podejrzewano o to, że był lwem. Grupa w Muzeum Narodowym zajęła terakotową figurkę wołka, który nie dość, że nie był lwem, to jeszcze miał rozłożyste rogi.

Zrezygnowany Podatny postanowił kupić swoim orłom bilety do zoo, aby sobie mogli popatrzeć na lwa. Z wykładu na temat broni białej ze szczególnym uwzględnieniem różnic między bronią drzewcową i mieczami zrezygnował od razu. Szukano, stukano i nic nie znaleziono. Podatny wiedział, że nie spodoba się to przełożonemu Kolewa, ale nic nie mógł na to zaradzić.

Sprawa samego Kolewa, który umarł na zawał wywołany paniką po spożyciu czosnku, na szczęście przycichła. Greków uspokojono, mówiąc, że generał zadławił się kością z barana, bo po prostu zbyt łapczywie jadł, radując się ich wizytą. Innych świadków zejścia generała uspokojono metodą kija i marchewki, mówiąc im, że nic nie widzieli i nie słyszeli, bo jak nie, to. Nie trzeba było kończyć.

Każdy z obecnych jak najszybciej chciał zapomnieć o całym incydencie. Tłumacza odnaleziono w areszcie na Starym Mieście, ale ten zaklinał się na wszystkie świętości, że nic nie pamięta, bo jeszcze sobie dali w gaz z kolegą z filologii polskiej, po czym wykrzykiwali na placu Dzierżyńskiego obrazoburcze hasła sarmackie, zarówno w staropolszczyźnie, jak i po łacinie. Również klasycznej. Taki filologiczny sojusz łacińsko-polski. Na wszelki wypadek jednak wzięto tłumacza na dołek i nie podano mu nawet kubka wody czy tabletki z krzyżykiem. Za karę chyba. Wziął to bardzo do siebie. Wiadomo, humanista.

Podatny musiał więc zastosować plan B i zlecił obserwację zarówno Jana Warkota, jak i Stefana Gromiła. Któryś w końcu musiał się zdradzić, a Podatny był pewien, że są na tropie poszukiwanych przedmiotów. Oczywiście w rozmowie z Sabiejem wyznał, że zawsze chciał być komsomolskim faworytem i że będzie to dla niego zaszczyt przejść pod komendę takiej znakomitości, jak konsul Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Część tajną, spiskową i dekadencją taktownie pominięto w tej rozmowie, choć wisiała nad Podatnym, jak to zauważył konsul, niczym miecz Damoklesa, oczywiście pod warunkiem, że rzeczony Damokles miał właściwe pochodzenie klasowe. Okazało się, że nie miał. Szkoda. Ale i tak podobała mu się przenośnia Sabieja. Z domu Podatny wyniósł zasadę, że co ma wisieć, nie utonie, i tego się trzymał w życiu. No i że w domu wisielca nie mówi się o sznurze. Dlatego też milczał.



Wywiadowcy Urzędu Bezpieczeństwa wymieniali się, żeby śledzeni się nie

zorientowali, że mają ogon. Stefan Gromił zauważył ich już po godzinie, ale udawał głupiego. Jan Warkot cały dzień żył w błogiej nieświadomości, ale sprawiedliwości stało się zadość, bo dwaj wywiadowcy musieli spędzić cały dzień na uczelni, gdzie czuli się cokolwiek nieswojo pod spojrzeniami różnych ważnych osób zerkających na nich z portretów i popiersi. W końcu ustalili zeznania i zameldowali Podatnemu, że student Warkot Jan nie robił niczego podejrzanego, wręcz przeciwnie, najwyraźniej się uczył, choć mógł to być równie dobrze kamuflaż.

Zdzisław Kapusta dotrzymał danego Leonowi Słupeckiemu słowa, ale mógł pilnować Warkota tylko w drukarni bądź w drodze do domu, co i tak było dość uciążliwe. Kiedy jednak znajdował się w pobliżu Janka, nie spuszczał go z oka.

Trzeciego dnia milicjant zwołał zbiórkę pod wieczór u siebie w domu, bo miał już serdecznie dosyć łązających za nim amatorów z blachą ważniejszą od jego. Zasłonił szczelnie okna i poczęstował Kapustę i Warkota nalewką z pigwy.

– Łażą za mną – powiedział Stefan.

– Za mną też – przyznał Janek. – Ale po co?

– Boją się, żebyś im miecza nie sprzątnął.

– Ale to przecież absurd. Ja nie mam bladego pojęcia, gdzie jest to żelastwo, a do tego mam dyplom i drukarnię na głowie. Kiedy miałbym go szukać? Nocą? Pan majster potwierdzi.

– Oni mają taki prikaz z góry. Obawiam się, że od jednego z tych krwio pijców, może od samego Sabieja. Niech sobie łużą, nic nie wyłużą.

– Może dla ciebie to normalka, a ja się dziwnie czuję. Panie Zdzisławie, niechże pan coś powie.

– Dla mnie to nie pierwszyna – odezwał się Kapusta – ale łużą, to fakt. Wścieku jakiegoś dostali. Mój kolega, stolarz z muzeum, mówił, że wszystko powywracali do góry nogami, aż się sam pan kustosz zdenerwował, kiedy mu zaczęli ściągać eksponaty z gablot. „Ja obywatelom pokażę!”, krzyczał, „Ja do Warszawy zadzwonię. Obywatele nie wiedzą, kto ja jestem! Mnie sam towarzysz Bierut odznaczył”. I tym podobne. Popatrzyli na niego jak na wariata i wrócili do wybebeszania ekspozycji. Kustosz mało nie dostał apopleksji. Wybiegł z sali, jakby go rogaty gonił.

– Nie rogaty, tylko nie rogaty – odezwał się czwarty głos.

Konspiratorzy byli w komplecie.

– Wszelki duch. – Zląkł się nie na żarty majster, a Gromił, który Słupeckiego widział po raz pierwszy, wymownym gestem sięgnął do wiszącej na krześle kabury.

– Spokojnie, obywatele, tylko spokojnie – powiedział Słupecki. – Nie chciałem przeszkadzać, więc znów się zmieniłem w niewidzialnego mnicha z Nidzicy.

– Obywatel upiór? – zapytał pro forma Gromił.

– A i owszem, nie będę się wypierał. Straszycie się trochę, ale teraz to mi już spowszedniało. Tak, to ja pogoniłem kustosza, bo chciałem, żeby skończyli tę szopkę. Dlatego teraz was śledzą. I dobrze, bo możemy ich zrobić w konia i upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Dwie pieczenie. niech pan mówi bez ogródek. – Zezłościł się Warkot.

– Chyba rozumiem – zaczął wolno Gromił. – Sprawa morderstw i sprawstwa konsula to jedno, a odnalezienie relikwii, żeby zapobiec rozplenieniu się tego tałatajstwa w naszym mieście, to drugie.

– Ano właśnie.

Każdy po kolei zaczął relacjonować swoje postępy w śledztwie, z czego najmniej mieli do powiedzenia Kapusta i Warkot. Stefan Gromił opowiedział wszystkim o spotkaniu z profesorem Ochockim i jego pośrednim udziale w poszukiwaniach, bo nikt nie znał tych archiwów i książek tak jak on. Najlepiej więc nadawał się do tego rodzaju badań.

Czekał jeszcze cierpliwie na wywiad środowiskowy sierżanta Kuźniaka, ale nie obiecywał sobie po tym zbyt wiele. Skoro Przedwieczni żyli w konspiracji od tysięcy lat, to przecież Trzeci nie zdradzi się niczym przed wścibskim sąsiadem, który ma za dużo czasu, więc gapi się przez okno. Choć nigdy nie wiadomo. W każdym razie punktualnie o szóstej rano i o osiemnastej następowała zmiana wartownika przy bramie rezydencji. Gosposia dochodząca zjawiała się o siódmej i wychodziła o czwartej po południu. Pozornie był to jeszcze jeden zwykły budynek resortowy, choć pod wieloma względami swym wyglądem przypominał miniaturkę zamku na karpackiej przełęczy Bran.

Leon Słupecki zupełnie niezrażony tym, że kwestia tego, w jaki sposób dostał się do mieszkania Gromiła, pozostawała wciąż otwarta, opowiedział ze szczegółami o podziemnym tunelu wiodącym aż do garażu samej willi. Zgromadzeni słuchali go z przejęciem.

– Pan Zdzisław powinien się przeprowadzić ze swojej klitki do pokoju po wywiadowcy w domu Janka. Może pan to ułatwić? – zwrócił się do Gromiła. – Przydział i zamianę?

– To doskonały pomysł, postaram się – odparł Stefan. – Ale w jaki sposób mamy nakryć Sabieja na gorącym uczynku, nie mówiąc nawet o jego aresztowaniu?

– A kto tu mówi o aresztowaniu? Nawet jeśli to się panu uda, to w ciągu godziny sam pan trafi za kratki, a Sabiej odejdzie wolno. Trzeba będzie łajdaka ukatrupić. Może sobie myśleć, że jest nieśmiertelny, ale to nic mu nie da.

– No tak, ale...

– Tu nie ma żadnego „ale”, jeśli chce pan położyć kres panoszeniu się Przedwiecznych w pańskim mieście, to może pan zrobić tylko jedno. Nic innego. Bez przywódcy reszta tej bandy pójdzie w rozsypkę. Proszę pamiętać, że każde miasto, które posiada silną relikwię, co oczywiście niedowiarkom może się wydać staroświeckie i nieprawdopodobne, odstrasza wszelkie tałatajstwo. Do katedry nie mogą wleźć, bo wydaje im się, że stópki poparzą, ale kręcić się wokół niej będą na pewno, zaciskając wąskie usteczka z bólu, bo to poświęcona ziemia. Taka jest siła sugestii u osób z pozoru całkowicie normalnych, proszę szanownych panów. Wszyscy w to wierzą. To ja mógłbym mieć teoretycznie problemy z wejściem, choć ostatnio jakby zdjęto mi zakaz.

Za dobre sprawowanie chyba.

– Czyli co pan radzi? – zapytał Gromił.

– Wyłuskiwać dziadów po kolei i eliminować, innego wyjścia nie ma.

– Jeśli mogę. – wtrącił się Kapusta. – Mam pewne doświadczenie z czasów wojny. Jak chcieliśmy jakiegoś uzbrojonego szkopa załatwić, to czekaliśmy na moment, w którym sam będzie, gad jeden.

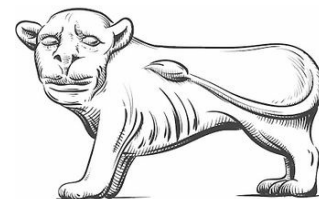
– Historia dowodzi, że to skuteczny plan. Roku Pańskiego 1293 niejaki Ludek Pakosławic za poduszczeniem Henryka I głogowskiego porwał z łaźni Henryka V, księcia wrocławskiego. W tamtych trudnych czasach musiał biedaczysko wiele niedziel czekać na sprzyjające okoliczności, w których księżę odda się ablucjom, ale opłaciło się przedsięwzięcie.

– A ci Przedwieczni to w ogóle do łaźni chodzą? – wyraził swoje powątpiewanie Warkot.

– Chodzą, ale samotnie, bo uważają się za istoty spektralne. Taka jest siła sugestii i przyzwyczajenia. Dlatego nasz konsul może chodzić w ciemnym płaszczu i kapeluszu w taki upał i się nie spoci. I do tego nie zostawi śladów na miejscu zbrodni, bo uważają, że rządzą się innymi prawami natury niż ludzie. Poniekąd tak właśnie jest. Ich jestestwo po śmierci przejmuje jak zawsze łapczywa natura, dlatego w niektórych regionach pleni się taka bujna roślinność. Przedwieczni żyją w sprzeczności z naturą, mordując i chłęcząc łapczywie krew z rytualnych kielichów, dlatego też wszystko rozkwita, gdy któryś z nich się odmelduje.

Spotkanie dobiegało końca. Słupecki ukłonił się grzecznie i rozpląnął się w powietrzu. Warkot z Kapustą też zaczęli się zbierać. Gromił nie zatrzymywał ich. Wyszli razem i ruszyli Szewską w stronę Krzyków.

Nagle zajechał im drogę cywilny samochód. Wyskoczyło z niego dwóch smutnych i bezceremonialnie zawlekło ich do auta. Kapusta bronił się, więc jeszcze dostał w łeb. Samochód z piskiem opon odjechał w nieznanym kierunku. Ledwo dwóch przechodniów obejrzało się za nimi. Takie widoki powszedniały w tych trudnych czasach.



ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

TRÓJKA POKOJU...

– Korea Płonie! Żołdacy MacArthura plądrują Koreę, która broni się dzielnie – grzmiał spiker *Kroniki Filmowej* z ekranu. – Polskie dzieci, takie jak Jadzia, oddają zabawki i ubrania dla koreańskich rówieśników. Pomoc dzieci ofiarom amerykańskiego bestialstwa to teraz nasz obowiązek. Łzy matek koreańskich wołają o pomstę! Obywatelu, bądź gotów. Do ciebie też przyjdzie trójka pokoju!

Stefan Gromił poszedł do kina raczej z konieczności niż z chęci, bo choć na chwilę musiał się oderwać od zupełnie nieprawdopodobnej rzeczywistości. Jednak już podczas kroniki zaczęło go opanowywać prawdziwe obrzydzenie. I nie chodziło bynajmniej o amerykańskich imperialistów i podżegaczy wojennych, wiadomo, że Kronika była tendencyjna. Gromił miał dość świąt ludowych, planu sześćoletniego, towarzyszy radzieckich wraz z ich światowej klasy technologią, towarzysza Bieruta wraz z towarzyszem Cyrankiewiczem do kupy, obrzydły mu plena, konferencje i otwarcia nowych szkół. Miał wielkie obawy, że „trójka pokoju” przyjdzie najpierw do niego.

Gdyby miał cukrzycę, trzeba by go było reanimować – takie to wszystko było słodkie jak ulepek. Najpierw porcja optymizmu – plan sześćoletni, młodzież w pochodzie ze szturmówkami, a potem łyżka dziegiu – na przykład Korea. Albo modne ostatnio demaskatorskie materiały z procesów żołnierzy AK, z których robiono sadystów, morderców i degeneratów. Albo materiał o knowaniach militarystów amerykańskich i jego neohitlerowskich pomagierach w stylu Adenauera.

Przed chwilą poleciał materiał o kongresie katolików we Wrocławiu, gdzie wystąpili również, nigdy przez niego niewidziani, „katolicy z bratniego NRD” pod hasłami „Pokój. Całość Ojczyzny. Odprawa rewizjonistom dewizą naszej manifestacji”. W życiu nie słyszał o enerdowskich katolikach. A tu proszę, są! Była to zapowiedź czegoś niedobrego. Czuł instynktownie, że Przedwieczni maczali w tym swoje brudne paluchy.

Widoczna na zdjęciach z Kroniki katedra wrocławska po wojnie przedstawiała obraz nędzy i rozpacz, podobnie jak większość wrocławskich kościołów. Jeśli już się jakiś uchował, to spadały nań kolejne nieszczęścia losu, tak jak na kościół Świętej Marii Magdaleny. Jednego dnia były wieże z hełmami i Mostek Pokutnic, ale jakiś ruski cep założył w stojącej tu od wieków budowli skład amunicji. Doszło do wybuchu i teraz był to już tylko cień dawnej świątyni.

Ślady po zburzonych wrocławskich kościołach spotykało się na każdym kroku. Gotyk może nie był tak okazały jak w Paryżu, Kolonii czy Norymberdze, ale miał swój niepowtarzalny urok granicznego miasta często przechodzącego z rąk do rąk, pyszniąc się licznymi architektonicznymi detalami. Można by pomyśleć, że dalej spotykały się tu święte trzech nacji: Jadwiga, Dorota i Elżbieta, snując przędzę na skrzypiących

kołowrotekach i spoglądając ze smutkiem na ukochane miasto.

Kaplica Błogosławionego Czesława ocalała cudem, choć kościół Świętego Wojciecha, przy którym stała, został zniszczony. Katedra wypalona, z zawalonym dachem właśnie została odremontowana, choć hełmy wież musiały jeszcze poczekać na lepsze czasy. Kiedy w 1241 roku żądni łupów Mongołowie podeszli pod miasto, spalono drewnianą zabudowę, a większość mieszkańców skryła się za murami zamku. Dominikański przeor romańskiego kościoła pod wezwaniem Świętego Wojciecha modlił się wtedy tak żarliwie, że z nieba spadł słup światła, rozlewając się po okolicy, oślepił Mongołów i wywołał wśród nich panikę. Przeor Czesław Odrowąż został bohaterem – obrońcą grodu nad Odrą. Mongołowie odeszli, zadowolając się mniejszymi łupami. Ten cud nie powtórzył się więcej albo też kroniki milczały na ten temat, taktownie nie wchodząc w szczegóły.

Stefan Gromił opuścił kino przed projekcją filmu, wzbudzając zdziwienie bileterki. Nawet nie usłyszał, co próbowała do niego powiedzieć. Kiedy tylko znalazł się na ulicy, podszedł do niego wyraźnie poruszony Leon Słupecki.

– UB aresztowało Janka i Kapustę – wyszeptał mu wprost do ucha.

Oczywiście oficer Milicji Obywatelskiej nie powinien korzystać z informacji przekazywanych mu przez istotę nadprzyrodzoną, ale sytuacja była wyjątkowa.

– Co pan widział, gadajże człowieku!

– Zgarnęli ich jeszcze na Szewskiej, jak wychodzili od pana.

– I dokąd zabrali?

– Idę o zakład, że nie do lodziarni. Co więcej, w budynku na Podwalu też ich nie ma. Pozostaje więc...

– Dom przy Sudeckiej?

– Zaraz tam pędzę, a pan niech się dowie czegoś drogą oficjalną, czy zostały im postawione jakieś zarzuty. Jeśli będą tam na Krzykach, to założę się, że żadnych oficjalnych zarzutów nie będzie. Sabiej ściągnął ich tam, żeby zamęczyć. Trzeba działać szybko. No to lecę...

Nie dokończył i w ułamku sekundy został po nim tylko strzęp białego oparu.

– Cholera jasna – zaklął pod nosem Gromił. – I mam swoją trójkę pokoju!

Pospiesznie skierował się przez plac do komendy. Panował tam ruch jak w dzień targowy, wszyscy biegali gdzieś bez ładu i składu.

– Stary chce cię widzieć – rzucił mu przez ramię jeden z kolegów. W jego oczach malował się wyraźny smutek i współczucie.

Major Jacek Horeszko, szef pionu śledczego, nerwowo bębnił palcami o blat stołu. Najeżona petami popielniczka z bakelitu wyglądała jak jakaś średniowieczna machina tortur.

– No i coś ty, Stefek, najlepszego nawywijał? Telefony mi się urywają. Od naczelnika i UB. Wszyscy chcą cię powiesić za jaja.

– Ależ, panie majorze, zrobiłem tak, jak pan mi polecił. Poszedłem za trupem.

– I co, trup nagle ożył? Co to za konszachty z tym młodym drukarzem? Dlaczego

konsultujesz śledztwo z nim, a nie ze mną? Możesz mi to wyjaśnić?

– A co z nim? Z Warkotem, znaczy. Nie został aresztowany?

– A co ma być? Pewnie w pracy albo wkuwa. Skąd ci przyszło do głowy to aresztowanie?

Gromił już wiedział, że podejrzenia Słupeckiego są uzasadnione. Sabiej ich porwał.

– To mój świadek. Ważny świadek. To właśnie dzięki niemu powiązałem wszystko i wiem na pewno, że mordercą jest radziecki konsul Sabiej.

– Czyś ty z byka spadł, chłopie? Wiesz, jaki będzie tu za chwilę młyn? Gadaj, co wiesz.

Stefan Gromił streścił przełożonemu wszystkie wydarzenia i opisał poszlaki wiodące wprost do dyplomaty. Pomiął oczywiście drugie dno całej sprawy, wspominając tylko przelotnie o Leonie Słupeckim. Bez względu na to, jak tolerancyjny był major, nie kupiłby wątku tajnego, ezoterycznego spisku z udziałem seryjnych morderców i Gromił zdawał sobie z tego sprawę.

– No tak, to nie wygląda dobrze. I mówisz, że odcisk opony pasował do jego wozu?

– Tego nie wiem, nie mam przecież dostępu do samochodu dyplomaty. Jednak z całą pewnością pochodzi z tego typu opony. Ale wyeliminowałem wszystkie wozy tej marki, bo albo wtedy stały pod urzędami, albo były w terenie. Nie ma ich znów tak dużo. Do tego relacje świadków, okolicznych mieszkańców, którzy widzieli tę akcję, wskazują jednoznacznie na osobnika o rysopisie Sabieja. Nie dadzą za to jednak głowy i obawiam się, że w sądzie się to nie przyda.

– W jakim sądzie? Czyś ty zupełnie rozum postradał? Jedyne drogi to uderzyć do jego przełożonych i sam wiesz, że nie będzie to droga usłana różami. Przede wszystkim nasi się wściekną, że my tu towarzysza konsula szarpiemy, a właściwie nie mamy nic. Nie rozumiesz tego? Łby nam utracą! Tobie i mnie przy okazji. Zupełnie nie wiem, jak podejść do tej sprawy. Czy zanotowano jakieś nowe ofiary?

– Nie, panie majorze. Od ostatniego razu cisza. Oby nie przed burzą.

– Ale po co on to robi? Zboczeniec jakiś? Historia kryminalistyki notuje takie przypadki. Było kilku znanych morderców niby wampirów. Na przykład taki Kuba Rozpruwacz.

– Ale Kuba Rozpruwacz posługiwał się chirurgicznym nożem do amputacji. Prostytutki mordował. Ten nie. No chyba że nosi przy sobie mały, kościany widelec i dźga nim ofiary. Albo pompkę. Ale co robi z krwią? Nie było w nich ani kropelki. A nasz wywiadowca? Znoj? Facet zaprawiony w bojach, odważny do szaleństwa, a teraz leży w kostnicy. Jeden bandzior nigdy nie dałby mu rady. Zatruli go czymś.

– Jak widzę, na razie masz same znaki zapytania. To źle i dobrze. Źle, bo nie masz odpowiedzi, dobrze, bo masz czym ciągnąć to śledztwo. Przełożonych na razie biorę na siebie, ale jak się uprą, to będę miał związane ręce. W najlepszym przypadku po prostu odsuną cię od śledztwa. W najgorszym. nawet nie chcę o tym myśleć, bo należysz do moich najzdolniejszych podwładnych. Weź pod lupę tego Sabieja, ale po cichu. Ostrożnie, bo obydwaj skończymy za kratkami. Postaraj się znaleźć namacalny dowód

jego winy. Może się czymś zdradzi, może mu nerwy puszczać...

„Namacalny, dobre sobie – pomyślał Gromił. – Takiemu nerwy nigdy nie puszczają. Co to, to nie”.

– Tak jest, obywatelu majorze.

– Stefan, wiesz, że cię lubię. Niech tak zostanie.

Gromił poszedł do swego gabinetu, gdzie już czekał na niego sierżant Kuźniak.

– Szefie, to jest obywatelu poruczniku, melduję wykonanie zadania.

– Czego się dowiedziałeś?

– Nie jest tego dużo, ale mam rysopisy osób odwiedzających ten dom. Mieszka tam jedna taka starowinka. – zaczął niepewnie.

– Która parzy świetną herbatkę i częstuje ciastem z truskawkami? Ma też dużo wolnego czasu?

– Jakby pan tam był, panie poruczniku.

– I co ci powiedziała?

– Że przychodzą regularnie. Mówiła, że szychy, bo dwóch w mundurach. Jeszcze jakiś łysielec i babka pod pięćdziesiątkę w okularach. Mam wszystko spisane. Kobięcina ma oko, to fakt.

– Ma oko i lubi wdzięcznych słuchaczy. Wiesz, że musisz to podzielić przez dwa?

– Wiem, ale rysopisy są tak szczegółowe, że chyba przyjdę do niej z naszym rysownikiem.

– Zrób coś lepszego. Daj tam jakichś dwóch chłopaków z aparatem. Niech się postarają. Stary, to znaczy obywatel major, żąda namacalnych dowodów, to my mu je damy.

– Tak jest, obywatelu poruczniku.

– I Kuźniak, pamiętajcie...

– Tak, obywatelu poruczniku?

– Po cichu, na paluszkach i w białych rękawiczkach. Gdyby to naprawdę był obiekt Ministerstwa Obrony, to mają tam swoich od śledzenia takich, co się za bardzo obiektem interesują. Pamiętaj, oni są dobrzy w te klocki.

– Jasna sprawa, obywatelu poruczniku. No to ja się odmeldowuję.

– Poczekaj jeszcze. Znajdź mi tego z lokalówki i zarezerwuj mieszkanie w domu u Warkota po naszym zmarłym. Oficjalnie na lokal operacyjny.

– Tak jest.

Kiedy tylko sierżant wyszedł, na biurku Stefana Gromiła rozdzwonił się telefon.



Skutych kajdankami Warkota i Kapustę poprowadzono z garażu na tyłach domu na Krzyckiej do tylnego wejścia. Po pokonaniu kilku schodków, wiodących na obszerną

werandę z widokiem na stare sosny, przeszli do holu, a następnie do piwnicy za ciężkimi drewnianymi drzwiami. Prześladowcy przekuli ich i zacisnęli kajdanki na jakichś rurach. Zostali sami.

– Jezu, Jasiu, co teraz będzie?

– Pęka pan, panie Zdzisławie?

– Ja nie pękam, ale się porobiło...

– Jakby nas naprawdę aresztowali, to bylibyśmy teraz na Podwalu, a nie w jakiejś piwnicy.

– Racja.

– A więc oficjalnie nie jesteśmy aresztowani, tylko porwani przez jakichś zbirów, bo nawet nie okazano nam legitymacji.

– Też prawda.

– A jak brzmi święte prawo porwanego i więzionego bezprawnie?

– No jak?

– Porwany ma prawo się uwolnić i uciec prześladowcom.

– Ale w jaki sposób? To cholerstwo mocno trzyma. – Szarpnął się w kajdankach.

– Myślę nad tym. Może coś mi przyjdzie do głowy.

Gdzieś na górze skrzypnęły drzwi i rozległy się odgłosy kroków. Albo ktoś tam mieszkał, albo dopiero przyszedł.

– Panie Zdzisławie, jakby co, to my nic nie wiemy, dobrze?

– Ja w ogóle nic nie wiem. Od tego trzeba zacząć. Wiem, jak zmyć farbę drukarską z facjaty, co nie jest takim znów prostym zadaniem. Człowiek tylko po tym wonieje benzyną. Ale krótko. Wiem, jak się strzela z karbidu. I jeszcze kilka innych rzeczy, ale o tym tutaj nie mam zielonego pojęcia.

– Ciii...

Zaskrzypiały drzwi do piwnicy. Gdzieś z góry wpadł do środka snop światła. Usłyszeli kroki na schodach. Po chwili w świetle okienka piwnicznego stanęła kobieta lat około pięćdziesięciu w ciężkich okularach na nosie. Zdjęła je jednak, bo najwyraźniej były tylko na pokaz. Miała na sobie białą bluzkę pensjonarki i brunatną spódnicę z podwójną plisą z przodu. Do tego brązowe buty na koturnie finezją szewską przywodzące na myśl buty hiszpańskie do zaciskania na kostce. Krój był parodią najnowszej mody paryskiej, no i wykonanie pozostawiało wiele do życzenia.

Kobieta miała złą, zaciętą twarz, na której wykwitło teraz coś w rodzaju przyjaznego uśmiechu, choć Warkotowi kojarzył się raczej z rozwartą paszczą krokodyla w zoo.

– Panowie, witajcie w naszych skromnych progach – zaczęła głosem chropawym, jakby ktoś mielił tłuczone szkło.

– Czemu. czemu zawdzięczamy to niecodzienne zaproszenie? – zaczął mówić Warkot, starając się nadać głosowi jak najbardziej obojętne brzmienie.

– Cóż, przecież pan doskonale wie, panie Janie. Nie owijajmy w bawełnę.

– Dobrze pani mówić, a tu jest cholernie niewygodnie...

– Może być jeszcze bardziej niewygodnie, wierzy mi pan?

– A tak, nie mam najmniejszych złudzeń.
– Jasiu, o czym ta baba gada? – zapytał Kapusta.
– Milcz, bo staniesz się karmą dla psów – rzuciła kobieta tym samym uprzejmym głosem.

– Ożeż ty, prukwo niemyta!

– Panie Zdziśku, niech pan da spokój – powiedział Janek.

– No dobrze. – Świdrujący wzrok kobiety znów wbił się w młodego drukarza. – Nazywam się doktor Eulalia Wnyk i pracuję na Uniwersytecie Wrocławskim. Na co dzień egzaminuję studentów równie opornych na wiedzę co pan. Nie mają najmniejszych szans. Ale oni przynajmniej dysponują drugim i trzecim terminem. Albo egzaminem komisyjnym, choć przyznam, że jak mi się który nie spodoba, to i tak nic nie wskóra. Swoje doświadczenia z innych dziedzin wykorzystuję przy wydobywaniu wiedzy z opornych. Wszelkimi środkami, włącznie z tymi nieprzyjemnymi.

– Znaczy co, mało jedna, posiłki im obrzydzasz na studenckiej stołówce? – rzucił Kapusta.

– Panie Zdziśku, prosiłem pana – powiedział Warkot.

– Jeszcze jedno słowo, a pozbawię pana plugawego ozora.

Groźba poskutkowała.

– Tak więc, panie Janie, niech mi pan opowie o postępach śledztwa.

– Ale ja nic nie wiem.

– A z porucznikiem to kto się spotyka tak często?

– Ale to mój kolega. Spotykamy się, napijemy kapeczkę, jak to kawalerka – rzucił trochę zbyt pośpiesznie.

– I kogo pan chce nabierać, panie Janie kochany. Przecież my wszystko wiemy.

– Skoro wiecie, to po co pani pyta?

– Dość tego! – ryknęła Eulalia. – Gadaj, co wiesz o mieczu, śmieciu, bo żywy stąd nie wyjdiesz.

Jej rysy wyostrzyły się i Warkot dostrzegł z przerażeniem pełne uzębienie pani doktor.

– Co ja mogę wiedzieć? Wiem, że milicja go szuka, no i jeszcze jakiegoś lwa, ale nic poza tym.

– Łżesz! – Pani doktor najwyraźniej puściły nerwy. – Łżesz jak pies!

– Jak paniusia tak źle karmi pieska, to nic dziwnego, że biedne zwierzątko słowa prawdy nie powie. – Nie wytrzymał Kapusta i mrugnął porozumiewawczo do Warkota.

Doktor Eulalia Wnyk rzuciła się i walnęła Kapustę na odlew. Głowa drukarza stuknęła głucho o mur i po chwili pojawiła mu się na czole strużka krwi. To wyraźnie podochociło panią doktor. Oblizła nerwowo usta, ale zapewne powstrzymał ją jakiś zakaz, bo zdławiła w sobie mordercze instynkty.

Warkot postanowił grać pierwszego naiwnego do końca.

– Możecie nas tu trzymać i miesiąc, ale ja po prostu nie wiem nic więcej. O co chodzi? O wywóz dzieł sztuki przez zieloną granicę? Po co wam ten miecz? Ile

obywatelce zapłacą za niego podżegacze wojenni na aukcji w Bonn? – Uderzył w oficjalny język dla podkreślenia swej niewiedzy w tej sprawie.

Nagle poczuł czyjś dotyk. Wzdrygnął się. Co mogło jeszcze żyć w tej zatechłej speluncie? Hodowali tu jakieś plugastwo czy co? Dotykały go jednak ludzkie palce, a nie macki czy odnóża wija bądź pająka. Był to dotyk dający otuchę, bo Warkot zorientował się, do kogo należy dłoń. Poczował, jak otwierają się kajdanki na nadgarstku. Kapusta też musiał to poczuć, bo podskoczył jak rumak dźgnięty ostrogą.

– Tylko bez propagandowych haseł! – krzyknęła Eulalia. – Od haseł to jesteśmy my! Tylko robole mogą być takie głupie, by uwierzyć w te bajki o wolności, klasie robotniczej i tym podobnych bzdurach. Nie ma wolności, zapamiętaj sobie chłopczyku! Idziecie jak barany na rzeź, bo my tak chcemy. Te wasze gadki o planie sześćioletnim, o podżegaczach wojennych, jak ci się wydaje, kto to wymyśla? Ktoś musi was trzymać w ryzach. Bez tego jesteście tylko durną, ciemną masą, która trątuje się nawzajem w panice. Tylko kretyni wierzą w androny w stylu „Walka w obronie pokoju” – aż parsknęła śmiechem – czyli jakieś osiemdziesiąt procent ludzkości. *Si vis pacem, para bellum*, „Jeśli chcesz pokoju, szykuj się do wojny”. Stara zasada, choć ubrana w nowe piórka. I dalej, machajcie sobie tymi czerwonymi szmatami, walczcie o pokój, przekraczajcie normy, składajcie samokrytykę, bo to właśnie dla was przygotowaliśmy. Żebyście byli posłuszni, moje wy owieczki.

Zaperzała się coraz bardziej, zupełnie nie dostrzegając, że zarówno Warkot, jak i Kapusta byli już wolni. Siedzieli tylko na betonowej podłodze, czekając na stosowny moment. Porozumieli się bez słowa.

Pani doktor odrzuciła głowę w tył i zaniósła się upiornym śmiechem. Był to rehot z piekła rodem, na dźwięk którego obaj mężczyźni dostali gęsiej skórki. Był to też odpowiedni moment.

Warkot rzucił się do niej pierwszy, Kapusta za nim. Schwycili ją pod ramiona, próbując obalić na ziemię. Otrzeźwiała w jednej chwili. Strząsnęła ich niczym dojrzałe ulęgałki. Była niezwykle silna, jak na kogoś o tak mizernej posturze. W chwilach szaleństwa takie osoby dysponują olbrzymią siłą.

Toczyła wokół wściekłym wzrokiem, a w kącikach ust pojawiła jej się biała piana. Kapusta zamachnął się na odlew, ale przodownica nauki się uchyliła i jego pięść świsnęła tylko w powietrzu, a on sam stracił równowagę i poleciał do przodu. Warkot poderwał się z ziemi i próbował złapać ją z tyłu za szyję, ale wywinęła mu się i stanęła teraz na wprost niego.

– Ach, ty pomocie karpacki! – wrzasnęła. – Ty glizdo! Poznaj moc Przedwiecznych, ludzki robaku!

Wyciągnęła do niego dłonie ze świeżym *manicure*'em. Zdawało się, że cała jej postać jakby rozplynęła się w gęstym, czarnym jak smoła cieniu. Widać było tylko mocne, spiłowane na ostro pazury wyciągające się łapczywie w stronę Warkota. I straszliwe, nabiegłe krwią ślepia.

– Pamiętaj, masz pierścień na palcu. Obróć krwawnik na zewnątrz – wyszeptał głos

wprost do ucha Warkota.

Posłuchał.

– A teraz celuj tam, gdzie ma pysk – dopowiedział upiór w niewidzialnej postaci.

Kapusta właśnie podnosił się z ziemi po silnym kuksańcu lamii, gdy Warkot uderzył. Zrobił to odruchowo, nie zdając sobie sprawy, że tak właśnie od wieków załatwiano porachunki z członkami sekty w jego rodzinie. Dłoń wystrzeliła błyskawicznie w przód, mijając uchwyt spazmatycznie zaciskających się pazurów, i spadła w miejsce, w którym widać było tylko błyskające białka przekrwionych oczu. Biły z nich czysta wściekłość i zwierzęca drapieżność.

Poczuł, jak krwawnik zagłębia się w coś, co można od biedy nazwać czołem. W tej samej chwili odczuł silny wstrząs. W piwnicy zrobiło się jasno jak w dzień i po sekundzie znów zawładnął nią mrok.

Wnyk odskoczyła z jękiem, po czym zawodząc nieludzkim głosem, zaczęła biegać po piwnicy w nieskoordynowanych ruchach. Trudno było za nią nadążyć wzrokiem. Obijała się o ściany, stare kosze wiklinowe, ramię zardzewiałego roweru i narzędzia ogrodnicze, rozrzucając je po całej podłodze. Z każdym krokiem traciła siły. W końcu padła na ziemię z głośnym, ohydny płasnięciem, zostawiając po sobie tylko smród i złe wspomnienie.

– Z pewnością studenci płakać po niej nie będą – powiedział Kapusta. – Ani też pracownice dziekanatu.

Słupecki się zmaterializował.

– I to się nazywa zwolnienie dyscyplinarne z naganą wpisaną do akt!

– Za. zabiłem ją? – wykrztusił Warkot.

– Niech się kawaler nie przejmuje. Pan się tylko bronil.

– Ale przecież...

– Nie ma czasu na pogaduszki. Teraz szybko i ostrożnie. Do garażu.

Na paluszkach przeszli przez hol, wyszli na taras, a następnie kilkoma susami wydostali się z ogrodu. Drzwi garażu skrzypnęły złowieszczo, ale nikogo to na szczęście nie zaalarmowało. W środku nie było samochodu i Słupecki bezbłędnie trafił do właściwej płyty. Kiedy zeszli, płyta została starannie zasunięta na miejsce. Słupecki zmienił się w słup ognia, wywołując palpację serca u Kapusty. Warkot już to widział, a do tego ostatnimi czasy niewiele rzeczy robiło na nim większe wrażenie.

– Żeby wam ciemno nie było – wyjaśnił skonfundowany pokutnik. – A teraz chodźcie, tylko nie zgubcie mi się gdzieś po drodze.

Powrót zajął im nadspodziewanie mało czasu. A może emocje były tak wielkie, że tego nie zauważyli. Koniec końców wyszli w trójkę w tunelu łączącym obie strony dworca. Byli brudni i umorusani, oprócz Słupeckiego, który jak zwykle obnosił się ze swoją sanacyjną elegancją. Ruszyli bez słowa do baru dworcowego, by ukoić zszargane nerwy piwem karmelowym.

– O mały włos. – zaczął Warkot.

– To jeszcze nie koniec, ale dwójkę Przedwiecznych mamy z głowy. Teraz jednak

czeka nas najtrudniejsza przeprawa – powiedział Słupecki. – Dobrze się spisałeś, mój czeladniku – zwrócił się do Warkota. – A i pan, panie Zdzisławie, niezgorzej. Wytrąciłeś pan tę lamie z równowagi i sama się odkryła.

– Hem, no tak. Ja tak właściwie to sam z siebie, bo co nam będzie jakaś wywłoka ubliżać? – rzucił Zdzisław niepewny, czy rzeczywiście przez ostatnie dwadzieścia minut oglądał duszę pokutującą spowitą w płomienie.

– I słusznie – pochwalił Słupecki. – Muszę teraz sprawdzić, co u pana porucznika, bo zdaje się, że ma kłopoty w pracy. – Mrugnął porozumiewawczo i wyszedł z baru, zostawiając Warkota i Kapustę.

– No i co teraz będzie, Janku? – zapytał smutno majster.

– Nic nie będzie. Wyśpimy się i idziemy do pracy.

– Ale tamci będą nas szukać...

– Może tak, może nie. Pod latarnią zawsze najciemniej. Z całą pewnością to wszystko da im do myślenia. Oficjalnie nikt nas nie aresztował, więc przynajmniej milicja nie będzie się czepiać.



ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

SERCE MIASTA...

Czerwiec rozpoczął się we Wrocławiu od wzrostu zachmurzenia, co przez mieszkańców zostało przyjęte z ulgą, a przez sercowców z niepokojem, bo nadal było gorąco i w dodatku jeszcze wilgotno. Karetki jeździły wte i wewte, rycząc syrenami na trwogę, dowoziły pacjentów na ostry dyżur.

Medycyna opierała się na prostych zasadach ściśle powiązanych z kalendarzem natury. Zima – chirurgia twarda oraz choroby układu oddechowego; wczesna wiosna, późna jesień – choroby natury psychiatrycznej; lato – choroby układu krążenia i skór oraz uządlenia; okolice poświęteczne – ciężka niewydolność nerek i wątroby; zimowe i letnie sesje egzaminacyjne – choroby weneryczne oraz wycieńczenie organizmu na skutek nadużywania alkoholu.

Pozostałe schorzenia występowały bez widocznego porządku logicznego, a może tylko współczesna nauka nie dostrzegła odpowiednich wzorców zachowań wirusów oraz okoliczności sprzyjających występowaniu poszczególnych schorzeń i urazów. Pracownicy uspołecznionej służby zdrowia dwoili się i troili, przyjmując też na świat coraz to większą liczbę obywateli Wrocławia – właśnie rodziło się pierwsze nowe pokolenie w tym mieście. Widok przyszłych ojców nerwowo spacerujących pod szpitalami stał się powszedni. Ich ślad znaczył szlak papierosowych niedopałków. To nic, że bukiet kwiatów ściskany w spoczonej dłoni musiał zostać za bramą szpitala, to nic, że dziecko i szczęśliwą mamę widzieli tylko przez szybę – wręcz promienieli na widok w sumie dość brzydkich, różowych i pomarszczonych ludzików płci obojga, które dla nich były najpiękniejsze na świecie.

Dziecko stanowiło również argument dla rady zakładowej szczęśliwych rodziców, by zwiększyć metraż mieszkaniowy albo dać przydział na wózek i środki pielęgnacyjne. System przydziałów i talonów zapoczątkowany przez biedne lata powojenne był obecnie dość sprytną wymówką nowego państwa, które tłumaczyło braki na rynku oficjalnie kwitnącej wręcz gospodarki.

W walce o plan sześćioletni łódzkie prządki przekraczały wielokrotnie normy, pracując na trzy zmiany, zakłady szewskie szkoliły nowe kadry, by buty przestały wyglądać jak trupięgi, produkcja krawiectwa lekkiego i ciężkiego szła pełną parą, a i tak dziwnym trafem towary przez nie produkowane uważano za przedmioty zbytku i luksusu. Jeśli już jakiś produkt nasycił rynek detaliczny, to popyt na niego spadał, bo płaszcze, marynarki, koszule, spódnice i kapelusze miały jeden kolor i jeden fason. Przeważnie szarobury i siermiężny.

Ale cóż było zrobić? Nowe państwo stawiało na wielkie zakłady przemysłowe, lekceważąc i wręcz zwalczając małe manufaktury, by nie dopuścić, aby ktokolwiek zbytnio się wzbogacił. Ludność, chcąc nie chcąc, kupowała te wyroby, ale ileż to razy

na liczkach elegantek wrocławskich pojawiał się rumieniec złości, gdy sąsiadka stroiła się w sukienkę o takim samym kroju i kolorze? Ileż płaszczy pozamieniano w restauracjach, ponieważ zdarzało się, że wisiał jeden taki sam obok drugiego?

Przedwojenni rzemieślnicy wyczuwali koniunkturę i choć szewcy nie mieli co liczyć na duży przydział skóry, łatali to, co było, i starali się w jakiś sposób ulżyć właścicielom obuwia, które wprost z fabryki po kilku metrach zostawiało bąble i otarcia na nogach. Powstały zakłady cerowania artystycznego, które specjalizowały się w naszywaniu irchowych łat na przetarte łokcie i maskowaniu dziur wyżartych przez niewdzięczne mole w smakowitej amerykańskiej wełnie. Te poprawki dodawały jeszcze szyku, nadawały zawadiackiego charakteru noszącemu, bo świadczyły o jego indywidualizmie i pomysłowości.

Przywdziewanie wojskowych kurtek z demobilu było jeszcze stosunkowo bezpieczne, ale już pojawiały się głosy, że to imperialistyczne i neokolonialne. Ergo – mężczyzna w standardowym garniturze i płaszczu wykonanym przez zakład uspołeczniony, wiszącym na nim niczym kapota na wałachu, był człowiekiem godnym zaufania. Tego drugiego – w amerykańskiej kurtce, welurowych spodniach z paczki, kolorowej koszuli hawajskiej i butach na słoninie z placu targowego – uważano za człowieka niepoważnego, letkiewicza, za osobę, której nie można powierzyć żadnej ważnej funkcji czy też wyższego stanowiska.

Mógł się tak nosić artysta, choć i tu dominowała moda podrasowana nieco paryskim beretem, chustką na szyi bądź szykownymi ogrodniczkami. Ale artystów poznawało się po pierwsze po bosmańskich brodach bez wąsów, po fajce trzymanej wiecznie w zaciśniętych zębach lub też, co najprostsze, po dużej tece z rysunkami i szkicami pod pachą. Wiadomo – artysta! Przychodzili tacy na starówkę w czapkach-kolarzówkach albo chustkach zawiązanych w cztery rogi na głowie. Siedzieli na małych krzeselkach czy na starych skrzynkach i szkicowali, rysowali, tworzyli akwarele, bo na tym polegały ich zajęcia praktyczne na akademii. Często mieli niepozwalającą się skupić widownię, która za ich plecami krytykowała i głośno komentowała ich pracę. Byli też tacy, co soplowali na ich widok, uznając za niebieskie ptaki wymigujące się od prawdziwej roboty.

Ale władza potrzebowała artystów, malarzy, rzeźbiarzy, muzyków. Sławili wysiłek hutnika, ślusarza, tokarza i murarza. Opiewali w pieśniach budowniczych i pionierów, subtelnie sugerując obowiązujący oficjalnie pozytywny nastrój. Piętnowali też bumelantów na plakatach i ulotkach, szabrowników, podżegaczy wojennych, przywódców imperialistycznych państw i koalicji. Bez nich Święto Majowe nie byłoby takie barwne, takie kolorowe, bo przed trybuną honorową mogli pokazać swoje dzieła stworzone wprawną ręką. Portrety przywódców partyjnych i państwowych, karykatury Adenauera, barwne szarfy z wypisanymi na nich równiutkimi literami procentami przekroczonej normy.

Bez ich przewodnika i nauczyciela, uczestnika kongresu intelektualistów, Pabla Picassa, nie byłoby we Wrocławiu tylu serwetek kawiarnianych zarysowanych

gołąbkami pokoju niosącymi gałązkę oliwną. Nie byłoby schematycznych wizerunków hitlerowskich przywódców, a także obrazów amerykańskich bomb lotniczych spadających na ludność cywilną. To oni, idąc za ciosem, kształtowali współczesną estetykę, nie zdając sobie sprawy, że to raczej obowiązująca estetyka kształtuje ich styl tworzenia pod czujnym okiem Urzędu Kontroli Prasy, Widowisk i Publikacji, który miał początkowo swoją siedzibę na ulicy Nowej, tuż przy fosie, w gmachu dawnej kompanii studenckiej Borussia, gdzie jeszcze nie tak dawno młodzieńcy zaprawiali się w picciu bawarskiego piwa i w fechtunku. Cenzura była właściwie zbędna, bo wszyscy bardzo się pilnowali. Samodzielne myślenie automatycznie wpisano do rejestru przeżytków sanacji i zaniechano go w imię wyższego dobra.

Jak na ironię jednak, niektórym, czasem największym apologetom nowego systemu, zaczęły się otwierać oczy. Na początku lat pięćdziesiątych kontestacje i buntury wymagały silnego charakteru jednostki. Reszta starała się normalnie żyć w rzeczywistości sprzecznej ze swoimi przekonaniem. Różnie sobie ludzie z tym radzili. Niektórzy rzucali się w wir pracy, tłumacząc sobie, że przecież to dla Polski, dla wspólnego dobra, że trzeba odbudować miasto, kraj, przemysł. Inni niestety popadali w alkoholizm i staczali się, a jeszcze inni siłowali się ze światem, reagując na wszystko wybuchami złości, co nie zawsze kończyło się dla nich dobrze.

Pozostali zamykali się w swoim wewnętrznym świecie, dziwaczej i odcinając się od ludzi. Tacy mieli najgorzej, bo był to świat nietolerujący indywidualizmu w jego najczystszej postaci – alienacji. Wyrzuceni poza nawias żyli z dnia na dzień, ze zgrozą przyglądając się poczynaniom młodych aktywistów z ZMP. Spust surówki czy trójki murarskie budziły u nich lęk, a czyn społeczny oraz podjęcie zobowiązania współzawodnictwa pracy wywoływały prawdziwą panikę. Człowiek, co prawda, jest zwierzęciem stadnym, ale potrzebuje też odrobiny kontemplacji w samotności, w domowym zaciszu, bez udziału innych. Teraz próbowano wydrzeć ludziom ten ostatni bastion prywatności.



Stefan Gromił przechodził kryzys osobowościowy. Wszystko zaczynało go mierzić. Obrzydła mu jego praca, choć był w niej coraz lepszy. Miał dość torów biegnących od gruzowisk do linii kolejowej, wywożących fragmenty budynków w nieznane. Mdło mu się robiło na sam widok kilofa. Słyszając śmiech junaków z SP, miał ochotę wyjąć tetetkę z kabury, przeładować i zacząć strzelać.

W świetle ostatnich wydarzeń wszystko przestawało mieć sens. To, co mu wpajano na szkoleniach dla milicjantów i później w pracy, zupełnie nie przystawało do rzeczywistości widzianej przez pryzmat nowych wydarzeń. Jedynym jasnym aspektem życia była przyjaźń z Jankiem Warkotem, bo mógł stykać się z kimś, kto przeżywał to

samo i cierpiał z tego samego powodu.

Czuł się jak rogaty wrzucony nagle do basenu z wodą święconą. Siedział w mieszkaniu i rozmyślał o tym wszystkim.

I wtedy zadzwonił telefon.

– Stefan? Tu Janek. Dzwonię od pani Genowefy. Wszystko w porządku. Wydostałem się z majstrem z tej choleralnej willi przy pomocy Słupeckiego. Stary, ale było! Załatwiłem jedną taką. Nie, nie znasz. Nie, no nie ma zwłok, tak jakby się rozplynęła w czarnej smole. A potem czmychnęliśmy tunelem do dworca. Słupecki się zapalił. No tak, dosłownie się zapalił. Żebyśmy się nie zgubili po ciemku. Kapusta to mało zawału nie dostał. O jednego krwiopijcę mniej, tak mówi Leon. Że co? Siedzisz w domu? No to siedź, jak ci pasuje, bo ja muszę się wyspać. Majster chwilowo u mnie przemieszkuje. Załatwisz mu ten pokój? To świetnie! Będzie się cieszył. I zawsze raźniej. No to co, do jutra? Trzymaj się, stary! Prześpij się, to ci też dobrze zrobi. No to ciao!

Stefan Gromił odłożył delikatnie słuchawkę na widełki. Coś tajemniczo strzeliło na linii. Może ktoś słucha, a może nie – było mu wszystko jedno. Wstał ciężko z krzesła, odsunął firankę i wyszedł na niewielki taras z widokiem na stare kamienice, ruiny oraz szczyt wieży ratusza.

Rozejrzał się – nie było żywej duszy. Wszyscy skryli się w domach przed czerwcowym zaduchem. Zostawił uchylone drzwi i zasunął tylko kotarę. Rozebrał się, umył się, zapalił papierosa i wyciągnął wygodnie na dużym, poniemieckim łóżku z drewnianą ramą, aż jęknęły sprężyny. Leżał tak przy zgaszonym świetle i palił.

Palenie sprawiało mu dużą przyjemność, pod warunkiem że nie wypalał więcej niż dwa, trzy papierosy dziennie. Tylko by dopomóc koncentracji umysłu. Kupował na placu drogie camele, bo w końcu jedna paczka wystarczała mu na tydzień i mógł sobie pozwolić na odrobinę zbytku. Papierosa umieszczał w srebrnej lufce, co było przedmiotem niewybrednych żartów kolegów z pracy, z czego nic sobie nie robił. Tak mu bardziej smakowały. Po za tym wypalał camela niemal do końca i nie miał poźółkłych palców.

Leżąc tak, usłyszał jakiś szelest za oknem: *szur, szur, szur*.

Nie przypominało to ani ptaka, ani wszędobylskiego gryzonia, bo przecież ściana była pionowa, a szczur to nie wydra. Na tę myśl błyskawicznie poderwał się z łóżka.

„Tak musiało być ze Znojem!” – pomyślał.

Boso, na palcach podszedł do drzwi balkonowych, po drodze wyłuskując pistolet z kabury. Wyciągnął szyję, by zobaczyć, co się dzieje na tarasie. Było już ciemno i gdzieś tam paliły się światła w oknach poniemieckich kamienic. Na wprost dostrzegł secesyjny detal domu po drugiej stronie Szewskiej – piękną twarz w splotach misternych loków. Zawsze była przyjazna i wręcz uśmiechnięta, ale teraz wykrzywiła się w złowieszczym grymasie, ściągnęła brwi i zdawała się naigrawać z losu, jaki czekał Gromiła.

„Zwidy jakieś!” – zaklął w myślach i przeładował pistolet.

Elfie oblicze zmieniło się już w jawnie szydercze. Twarz zaczęła przypominać

wykrzywiony w złym grymasie pysk meduzy.

Szur, szur, szur. – znów rozległ się dźwięk, tym razem bliżej. Na tarasie dziwnie pociemniało, co Stefan zaobserwował przez uchylone zasłony. Zrobiło się też zimno. Bariierka balkonu zdawała się pokrywać szronem. W czerwcu.

Na skraju tarasu pojawiły się pierwsze, jeszcze niewielkie czarne włókna, które potężniały, przybierając postać grubych macek, jakby stworzonych z samej głębi mroku, całkowitego braku światła. Wkrótce pokryły cały balkon.

Gromił poczuł, jak kropelki potu występują mu na czoło i jedna z nich zaczyna ściekać mu po nosie. Odruchowo starł ją wierzchem dłoni, w której trzymał pistolet. Secesyjny maszkaron już bezgłośnie się śmiał, na całego ukazując pełne uzębienie.

Nie zastanawiając się dłużej, Gromił otworzył drzwi balkonowe na oścież i krzyknął:

– Stać, milicja!

Ktoś otworzył okno po drugiej stronie ulicy, ktoś inny zapalił światło.

– Co tam się dzieje!?! – krzyknął jeden z tych odważniejszych, bo większość wołała się nie wtrącać.

Czarny opar zawirował i zgęstniał.

– Stój, bo strzelam! – krzyknął Gromił.

– A strzelaj już, strzelaj, tylko się nie drzyj i daj ludziom spać! – odezwał się głos z prawej.

Opar jakby się zawahał. W ciemności zabłyśły białka oczu, ale tylko przez chwilę, bo oto Gromił poczuł za plecami żar niczym z pieca hutniczego. Odwrócił się instynktownie i zobaczył Leona Słupeckiego okolonego ogniem, potępieniec zmarszczył groźnie brwi, wpatrywał się gdzieś poza niego, w ciemną, skłębioną smołę na tarasie.

Było to z pewnością przepiękne widowisko świetlne, choć Gromił nie miał czasu na kontemplację tego zjawiska. Natomiast ktoś inny to zauważył.

– Pali się! Pali!

– No to dzwoń pani po straż!

– Ale ja nie mam telefonu!

– No to dymaj pani do budki i przestań się drzeć, jak pragnę zdrowia.

– Ale naprawdę się pali!

– Obywatele, proszę o spokój! – Z dołu zawołał ktoś urzędowym głosem. Patrol.

Czarny cień zwinął się tak szybko, jak się pojawił, na co Słupecki znów zmienił się w pana w średnim wieku pozostającego poza wszelkimi podejrzeniami.

– No i co, pali się? Głupia baba!

– Sameś pan głupi, stary cap!

– Obywatele, proszę o spokój – zadudnił milicjant na ulicy. – Już późno, proszę się udać na spoczynek.

– Czy może mnie pan poczęstować papierosem? – zapytał Słupecki Gromiła.

– Myślałem, że upiory nie palą. to znaczy nie tak palą.

– Nabawiłem się tego nałogu u Garibaldiego. Ćmił jak komin. Jeszcze wolno palić,

ale wspomni pan moje słowa, że ci, co produkują gumę do żucia, przedmiot amerykańskiej dekadencji, wygryzą z rynku firmy tytoniowe, mówiąc, że szkodzą zdrowiu, zobaczy pan.

– Mówią – zaczął ostrożnie Gromił – że nawet myślenie szkodzi, co dopiero dym papierosowy.

Słupecki jak gdyby nigdy nic zapalił camela od własnego palca, zaciągnął się mocnym, aromatycznym dymem.

– Wspaniale! – Delektował się papierosem przez chwilę.

– Ale jak się pan tu znalazł? Janek do mnie dzwonił i mówił, że odpoczywacie po brawurowej ucieczce.

– A wie pan, przechodziłem akurat obok.

– Panie, takie bajki to możesz pan Garibaldiemu wciskać.

– No dobrze. Martwię się o pana. O was.

– Janek naprawdę wykończył tam jakąś babę?

– A jak, moja szkoła! Zamalował jej pierścieniem przez pysk, aż iskry poszły. A ona fajt i się odmeldowała. Pojęczała jeszcze trochę, ale to tyle. Po kilku sekundach było po sprawie. Im się naprawdę wydaje, że po tym krwawym ochleństwie są nieśmiertelni i zdolni do wszystkiego. Zostało jeszcze chyba dwóch i Sabiej. Tak między nami mówiąc, to właśnie odwiedził pana członek Rady Narodowej, oficjalnie niejaki, no jak mu tam, Katz czy Kutz? Nie, już wiem! Roman Kantz. Przebrzydłe paskudztwo w ludzkiej postaci. Wspiął się po murze jak jakaś kuna.

Dobrze, że nie widział pan tego ohydneho pyszczyska, bo milicjant nie milicjant, zestrachałby się pan na amen. Miał kiedyś wypadek. Bliskie spotkanie z widłami jednego z krewkich włościan. Właściwie powinien był wykitować, ale odratowali go jakimiś ziołami czy czymś takim. Tylko pokiereszowana facjata została. Teraz łązi za Trzecim niby piesek, potrafi też prosić, dawać łapę i aportować. O, aportować to on potrafi najlepiej.

Zasadził się na pana. Widziałem go, jak przywarł do muru przed wejściem jak gdyby nigdy nic. W biały dzień, obwieś jeden! Po zmroku zaczął się wspinać po gzymsach. Siła sugestii powoduje, że wydaje im się, że są silniejsi nocą, bo nasze słońeczko ich nie zabija, ale mocno osłabia. Żarliwie w to wierzą. Jeśli więc chcemy dopaść Sabieja, to najlepiej w biały dzień, bo nocą będzie trudno. Pompują się adrenaliną po zachodzie.

A ten jeszcze wpuścił panu ten ich gaz do mieszkania, proszę otworzyć szerzej okno. Chyba z bielunia. Ale dzisiaj pozostanie w willi. Pasek rozrządu strzelił panu konsulowi w nowym autku, a takie było ładne i nowe. Radzieckie. A ten do wygod przywykł i na piechotę już mu się nie chce. Szkoda tylko, żeśmy Kantza nie utrupili. Ale żeby tu, w sercu miasta...

– Też o tym myślałem od czasu wizyty u profesora Ochockiego. Myśli pan, że miecz schowali gdzieś w okolicy?

– Najpewniej. Zresztą jest tu kilka możliwości. Zostawili wypalony ratusz, ale go nie zburzyli. Kilka bardzo starych kamienic, gdzie jest mnóstwo zakamarków, piwnic. jest

tutaj strych?

– I to jaki! Dwupiętrowy, ale boimy się włączyć wyżej, bo deski jakieś takie nieszczególne i chyba sobie tam osy gniazdo założyły.

– A jest tam coś?

– Kilka starych mebli, jakieś gazety sprzed pół wieku. pranie sąsiadki, pani Apolonii. Panie Leonie, kiedyś strych służył jako przechowalnia zbędnych gratów. I rzeczywiście słyszy się tu i ówdzie, że ktoś jakieś biureczko wytargał, jakiś portrecik w złoczonej ramie. I później wszystko ląduje na Grunwaldzkim albo na Nowym Targu. Ludzie chcą jakoś sobie radzić...

– Teraz starocie nie są w cenie, chyba że złote albo srebrne. A propos ma pan coś srebrnego? Mój dawny znajomy to na przykład nosił w kieszeni srebrną kulkę i kilka ząbków czosnku, tak na wszelki wypadek. Kiedyś taki zaprzysięgły Przedwieczny próbował go dopaść, ale przeraził się nie na żarty, bo ten wsadził mu dwa ząbki w pysk, he, he i. można przewidzieć, co było dalej. Zawał i trup na miejscu. Widowiskowa śmierć, choć bynajmniej nielekka. Niektórzy z nich są szczególnie podatni na sugestię czosnkową. Wyobraźnia sprawia, że czują się, jakby im ktoś wlewał kwas do gardła.

Gromił wzdrygnął się na samą myśl.

– Ohyda. Ale dlaczego ludzie nic o tym nie wiedzą? Dlaczego ci, co wiedzą, milczą?

– W dawnych czasach wiedza o Przedwiecznych była dość powszechna, ale też, jak to u was mówią, panowały gusta i zabobony. Pisarze tworzyli utwory literackie, że niby wampiry, długie zęby, wypijanie krwi z szyi i takie tam. Dorabiali legendę do całkowicie racjonalnego zjawiska fiksacji psychicznej. Ludzie się ich bali, bo nic nie wiedzieli na zicher. Krążyły tylko domysły i pogłoski. A tamci, karmiąc się tym strachem, rozwijali się i opanowywali kolejne ośrodki władzy. Stworzyli własne obrzędy. Naprawdę pili krew ludzką i zwierzęcą, utwierdzając się nawzajem w przekonaniu, że stają się od niej silniejsi. Że są niezwyciężeni i niepokonani.

To było dawniej. No jasne, można mówić, że my, starzy, nic nie wiemy, na niczym się nie znamy, nic nie widzieliśmy. Każde młode pokolenie jest takie głupie i naiwne – uczy się dopiero na własnej skórze. Tutaj jest jeszcze gorzej, bo panuje ten, no, materializm dialektyczny. Jakby obowiązująca państwowa religia. Ślepi i głusi nie widzą, kto tutaj wodze trzyma. Ale tak, jak przekonałem Jana kilkoma prostymi sztuczkami, które ukazały mu prawdę i zwróciły jego uwagę, tak i pan przejdzie na naszą stronę.

– Wydaje mi się, że już się to stało. Mierzi mnie to wszystko.

– Tylko niech się pan w pracy nie wygada. Teraz to nie potrwa długo. Wąsacz jest na wykończeniu, a już tam ten ich Pierwszy zadba, żeby nie miał spokojniejszej śmierci. I ten nasz, Boluś, coś jakby słabo wygląda. Bładziuchny, że hej.

– A wie pan, że jeszcze niedawno zachnąłbym się za takie słowa?

– Wiem, tym większą przyjemność sprawia mi mówienie do pana w ten sposób.

– Myśli pan, że wróci, ten, jak mu tam. Kac, znaczy się, Kantz?

– Kac wróci i Kantz wróci, freudowska pomyłka, panie Stefanie. Ale nie dzisiaj.

Moja rada: dobry sen i rano zimny prysznic.

– Ostatnio jest tylko zimna woda, ciepłą trzeba zagrzać.

– Lato w pełni! Po co komu ciepła woda? Zimną trzeba się myć, hartować tego no, ducha.

– I co? Funkcjonariusz Milicji Obywatelskiej przyjmuje rady średniowiecznego zbója za dobrą monetę?

Słupecki nadał się nieco.

– Ja przynajmniej grzecznie pokutuję i poprzedniego życia się nie wypieram. Ale owszem, tak właśnie pan robi. I musi się pan z tym pogodzić.

– I jeszcze jedno. Na fasadzie domu naprzeciwko mojego widziałem, jak maszkaron się do mnie szczyrzy. Czy to normalne?

– Normalne. Przedwieczni często używają halucynogenów, żeby osiągnąć swój cel, stąd potrafią przeprowadzić bardzo sprawną masówkę, na której wszyscy chcą ukarania trumanowskich żołdaków. Wszyscy są za i klaszczą, aż ich dłonie bołą. A po powrocie do domu, przy żoninej zupie zastanawia się taki jeden z drugim. Ale właściwie o co chodzi z tą Koreą? Jedni Koreańczycy atakują drugich i jedni mają za sobą Amerykanów, a drudzy „chińskich ochotników”. A skąd ci ochotnicy się tam wzięli? Z biurem podróży przyjechali czy jak? Ale w pracy skandują: „Bierut, Pokój, Bierut, Pokój”, jakby to miało jakiś głębszy sens.

Ale nie ma. Zaślepieni są, dlatego muszą chodzić na masówki, żeby mogli ich utrzymywać w stanie zaczadzenia i otumanienia. Inaczej zaczęliby główkować. Cały system polega na ogłupianiu. To jest prawdziwe opium dla mas. Stworzyli laicką religię, bo nowa musiała wyprzeć starą. Przynajmniej w założeniach. Ale jak coś ma dwa tysiące lat, to nie da się tak łatwo wypłenić. Dlatego Przedwieczni się pieklą, bo im to, że tak powiem nowym językiem, plan zawala. Stąd to całe zamieszanie z Rybichwostem i lwem.

– A o co chodzi z tym lwem?

– Lew został przywieziony z Ziemi Świętej przez Krzyżowców z Czerwoną Gwiazdą, nie, nie z tą. Chodzi o rycerzy szpitalników. Mieli tu nieopodal lazaret, tam, gdzie stoi Ossolineum.

– Na Szewskiej?

– No właśnie. Kiedyś cały ten teren należał do nich. Tam są najstarsze budowle świeckie w mieście, choć teraz je otynkowali. Krzyżowcy zabrali posążek lwa, który miał boską moc i strzegł miejsc świętych przed rogatym i jego pomagierami. Legenda głosi, że zmieniał się w straszliwą bestię, kiedy tylko jeden z nich próbował koło niego przejść. Z wyglądu jest mały i niepozorny. Ale też wielce starożytny. Włost dostał w komplecie miecz i lwa, żeby oba te przedmioty chroniły miasto przed wszelkim złem i jakiś czas mu się udawało. Ale wtedy też górę brała polityka i popadł w niełaskę. Wówczas te przedmioty zniknęły i nikt nie wiedział, gdzie są. Odnaleziono je jednak i. dalej już pan wie.

– W bestię, powiada pan...

– A tak, w dużego złego kocura!

– Ciekawe rzeczy pan opowiada. Chciałoby się jednak zobaczyć, dotknąć...

– Niewierny Tomasz! Jak przyjdzie co do czego, to zobaczy pan i dotknie, bez obaw.

No to zbieram się. Niech się pan wyśpi i nie myśli na razie o głupotach. Przedwieczny nie wróci, bo to strasznie ambitne bydlaki i unoszą się honorem. Aha, i proszę pamiętać. Czosnek i stare srebro. W kieszeni, tak na wszelki wypadek. Może zadziała.

– Panie Leonie. Jeszcze jedno...

– Tak?

– Dziękuję za pomoc.

Upiór skinął głową i się ulotnił. Była już noc. Gromił zrezygnował z ostatniego papierosa. Położył się na skrzypiącym łóżku i już po chwili zasnął głęboko. Maszkaron na frontonie domu po drugiej stronie ulicy też jakby zmrużył oczy.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

DO KOGO TA MOWA?...

Jan Warkot miał teraz nowego sąsiada. Udało się zameldować Zdzisława Kapustę w pustym pokoju krzyckiej willi. Pani Genowefa była zadowolona z nowego lokatora, który z miejsca zaczął pomagać jej w cięższych domowych pracach. Wciąż odwiedzała męża w więzieniu bez większej nadziei, że go wcześniej wypuszczą.

W mieście pojawiło się więcej drewnianych rusztowań przy budynku ratusza, zaczęły natomiast znikać te przy katedrze. Prace właściwie zakończono i teraz czekano na uroczystość poświęcenia świątyni. Gruz znikał z miasta wolno, lecz systematycznie. Położono wiele specjalnych torowisk dla dużych kontenerów, które kursowały wte i wewte. Drobnym gruzem zasypywano dziury, a cegły wędrowały dalej koleją. Dzięki tym wszystkim pracom z rumowiska zaczęły się wyłaniać zaułki Wrocławia.

Tak jak woda z mydłem jest w stanie nie do poznania zmienić umorusaną twarz, tak prace przy odgruzowywaniu sprawiły, że miasto piękniało w oczach. Dotychczas były widoczne jedynie duże budynki wyłaniające się spod brunatno-szarych hałd. Teraz mieszkańcy Wrocławia zaczęli poznawać jego detale i malownicze uliczki.

Ulica Garbary, boczna Studenckiej, kusiała chłodem, lekko skręcając w stronę gmachu Uniwersytetu Wrocławskiego niczym symbol drogi do wiedzy, która bywa kręta i wyboista. Na Starych Jatkach również było pięknie, choć wojna zrównała z ziemią połowę zabudowy. Kilka przecznic dalej kręta uliczka Psie Budy wabiła urokiem minionych czasów. Dawni architekci miasta włożyli ogrom pracy, by nowe budynki wpasowywały się w pierzeję starych, tworząc harmonijną społeczność domostw, w której te młodsze, mocniejsze i wyższe podpierały swymi murami te bardziej wiekowe, korzystając z ich życiowych doświadczeń.

Niegdysiejsze wrocławskie hotele i zajazdy miały najwięcej doświadczeń. To w nich nocowali sławni i bogaci goście. Raczyl się pszenicznym piwem i zajadali smakowitą gęsiną, nie zdając sobie sprawy, że przelewając swoje wrażenia na papier i przenosząc obrazy na płótna, na zawsze zostawili we Wrocławiu część siebie. Powracając w te strony, zauważali nowe budowle i lokale, ale i tak szli na piwo do Piwnicy Świdnickiej z myślą, że jeszcze tu wrócą i rozejrzą się po mieście, a może i osiadą na stałe.

Obecnie wciąż trwała akcja zamalowywania i skuwania wszelkich śladów po dawnych mieszkańcach. Z początku było to działanie spontaniczne, później przybrało cechy zorganizowanej procedury. Mieszkańcy w odróżnieniu od władz trwali w stanie zawieszenia, bo jeszcze niewiele osób wierzyło, że Wrocław zostanie w Polsce, dlatego sporo działań miało charakter dość tymczasowy. Po zlikwidowaniu Ministerstwa Ziem Odzyskanych nastroje wyraźnie opadły. Wrocław usuwał się w cień, stając się już nie ziemią obiecaną, lecz prowincją służącą tylko za magazyn cegieł. Optymizm pierwszych pionierskich lat ustąpił marazmowi, który miał trwać jeszcze kilka lat.

Mieszkańcy cieszyli się, że nikt nie buduje we Wrocławiu betonowych gmaszysk ani nie stawia huty na obrzeżach. Była to metoda na przetrwanie, choć miasto też płaciło za to swoją cenę. Na spadek optymizmu wśród nowych mieszkańców wpływał nasilający się stalinowski terror, jakby władarze miasta starali się przypodobać tym ze stolicy wzmożonymi aresztowaniami i śledztwami. Nasiliło się donosicielstwo, gdyż słabe jednostki starały się zdyskontować swoją wątplą pozycję i uszczknąć coś dla siebie w tych trudnych czasach. A może po prostu taki mieli charakter.

Kolejne fale ludności napływowej świadczyły jednak o tym, że można tu żyć, często lepiej niż w innych regionach kraju. I to właśnie pocieszało pomimo rosnącego głodu mieszkań. Po przyłączeniu do miasta nowych dzielnic, które też wcale nie były nowe, a jedynie odseparowane administracyjnie, sytuacja nieco się poprawiła, ale na krótko. Wyższe uczelnie kształciły coraz więcej absolwentów, którzy w większości chcieli tu pozostać na stałe.

Nowymi obywatelami miasta byli zarówno Gromił, Warkot, jak i Kapusta, choć mieli już większy staż jako wrocławianie. Teraz nie wyobrażali sobie, że mogliby mieszkać gdziekolwiek indziej. Tak właśnie od wieków działało na wszystkich to miasto, niczym magnes przyciągając do siebie każdego, kto choćby na chwilę tu zawitał.



Stefan Gromił miał poważny problem. Oglądał właśnie zdjęcia wykonane przez wywiadowców. Już dwa tygodnie siedzieli u starszej pani, która wydawała się w sumie zachwycona tym, że ma do kogo usta otworzyć. Zdjęcia były ostre i wyraźne. Gromił spoglądał na swego niedawnego prześladowcę z Rady Miasta.

„Może i rzeczywiście ma w sobie coś diabolicznego. Jak to się człowiek może pomylić. Idzie do urzędu, a tam. ”

Rozmyślenia przerwał mu sierżant Kuźniak, który strzelił obcasami po wojskowemu, wchodząc do jego pokoju.

- Obywatelu poruczniku...
- Kuźniak, dajcie spokój tej musztrze. Mówcie, co macie na wątrobie.
- Melduję, że coś się tam szykuje.
- No mówcie wreszcie.
- Spotykają się coraz częściej. Zwolnili też wartownika przy bramce i postawili swojego. Takiego zbira w skórze, któremu źle z oczu patrzy. Wczoraj widziałem, jak przyjechał duży samochód, taka ciężarówka, i wyładowywali coś tam po nocy.
- Jesteś pewien?
- A jak! Chłopaki obfotografowali to całe towarzystwo. Konsul tylko stał obok i się przyglądał. Myślę też, że nas „zrobili”. Znaczy się wiedzą, że ktoś ich obserwuje.
- Jak mogliście do tego dopuścić?

– Panie poruczniku, to nie my. My wchodzimy i wychodzimy przez ogród, i nawet nikt firanką nie ruszy. Ale ten skurczybyk ma jakiś szósty zmysł. Wydawało mi się, że patrzy na mnie wprost przez te zasłony i uśmiecha się szyderczo.

– Może się do własnych myśli uśmiechał?

– Nie, ja mam nosa, obywatelu poruczniku.

– Szósty zmysł, co? No to się zwijajcie. Zostaw tylko jednego chłopaka na wszelki wypadek, gdyby coś naprawdę się zaczęło dziać.

– Tak jest. Wykonuję.

– A czy przyszły już wyniki z laboratorium? Czekam na nie w nieskończoność.

– Melduję, że przyszły. Dziś rano.

– No to na co jeszcze czekasz, dawaj mi je tu zaraz!

Kuźniak wrócił do sekretariatu i po chwili pojawił się z szarą teczką związaną tasiemką.

Po wyjściu sierżanta porucznik Stefan Gromił długo wpatrywał się w długi dokument zapisany w żargonie medycyny sądowej. Zrozumiał z tego tylko tyle, że rany powstały w wyniku nakłucia, że nie mają poszarpanych krawędzi, czyli zostały zadane bardzo ostrym narzędziem o małej średnicy na głębokość około dwóch centymetrów, wprost w tętnicę szyjną.

– Tyle to i ja wiem – powiedział sam do siebie i nie wiedzieć czemu poczuł chłód.

„Obcych substancji chemicznych nie stwierdzono – czytał. – Wykryto tylko śladowe ilości czegoś, co mogło być naturalnym enzymem rozcieńczającym krew”.

Znów fala zimna. Tym razem mocniejsza.

„Niech ja skonam. Naprawdę ich wypił. Żadne inne rozwiązanie nie wchodzi w grę”.

Gromił dopiero teraz w pełni uświadomił sobie, że ma namacalny dowód na niezwykłość tej zbrodni.

– Przecież nie pokażę tego majorowi – szepnął do siebie.

– A dlaczego nie? – rozległ się znajomy głos.

– Panie Leonie, nie może się pan pojawiać w ten sposób, to już przekracza...

– Powinien pan pokazać to majorowi, niech sam oceni. W końcu to nauka ścisła. Może zrozumie, z czym my się tu zmagamy.

– Wywali mnie na zbity pysk, a na pewno nie pozwoli tego puścić dalej.

– No to stwórzcie odpowiednią legendę. Wampir, znaczy taki normalny seryjny morderca, jeździ po mieście czarnym wozem i pobiera do strzykawek krew, która, jak wiemy, jest darem życia, żeby ją dostarczyć żołdakom MacArthura rannym w Korei. I co, niezły numer? Zwierzchnicy to kupią, bo mają sieczkę we łbie. Moje rycerskie nogawice miały więcej rozumu niż te barany.

Gromił zastanowił się nad tym.

– A wie pan, że to może się udać.

– Pewnie, że się uda. Dlatego że Amerykanie teraz są wrogiem numer jeden. Nawet jak ktoś się popuka w czoło, to nie będzie przecież podważał oczywistej prawdy, że gdzieś ta krew znika. Poza tym informacja taka jest jak najbardziej po linii. Może

zwiększyć nienawiść do Amerykanów. Przydać się władzy. Wilk syty i owca cała, że tak powiem.

– Ale może wybuchnąć panika. Czarne limuzyny, wie pan...

– Jeszcze nie teraz. Najpierw załatwimy Sabieja po cichu, a potem przekaże się informację do prasy, że uniemożliwiono, że zapobieżono, że ujęto. albo inaczej! Że sprawca zginął na miejscu przestępstwa i szlus. Bez podawania personaliów, rzecz jasna. Że niby tajemnica służbowa i śledztwo trwa. Gazety będą szły jak świeże bułeczki. Warkot zadrukuje się na śmierć w tej swojej manufakturze.

– Ma pan rację. Muszę tylko szczerze porozmawiać z Jackiem, jak już będziemy blisko. Słyszał pan rozmowę z sierżantem?

Słupecki z zażenowaniem pokiwał głową.

– Może to nieładnie podsłuchiwać, ale tak, słyszałem.

– Proszę, proszę, pan upiór ma skrupuły...

– Kiedyś nie miałem. Teraz mam. Zdaje się, że moja pokutnicza resocjalizacja przywraca mnie zdrowej, pardon, martwej tkance społeczeństwa.

– No tak, diabeł komżę ubrał i ogonem na mszę dzwoni.

– Widzę, że nauki za młodu nie poszły w las. Jednak coś pan tam pamięta z religii.

– To nie religia, to folklor.

– Do kogo ta mowa?

– O, widzę, że pan szanowny w środowisku warszawskim zaczął przebywać.

– Darujmy sobie te uszczypliwości. Proszę.

– No dobrze. Co pan teraz proponuje?

– Niech pan pilnuje Janka jak oka w głowie, bo oni teraz wiedzą, że może któregoś z nich zabić. Dlatego nie będą próbowali w pojedynkę, tylko w odpowiednim momencie ruszą na niego hurmem.

– Widziałem się z nim. Cisza, spokój, praca, nauka...

– . cnota.

– A tak, biedaczysko nie ma teraz nawet czasu, żeby się trochę połajdaczyć.

– Zazdrości pan?

– Panie Leonie, miało być bez uszczypliwości.

– Jakoś mi tak samo wyszło...

– Do rzeczy. Może się pan dowiedzieć, co takiego tam przytargali? Bardzo to podejrzane.

– Mogę, choć niechętnie – powiedział Słupecki. – Mam uczulenie na krwiopijców.

– Ale się pana boją.

– Boją, ale im przejdzie, jak zostaną przyparci do muru.

– Lepiej się więc pospieszmy. – Gromił spojrział wymownie na Słupeckiego.

– Dziękuję, zrozumiałem. Już lecę. – I zniknął.

Gromił usiadł ciężko na krześle i przetaił czoło. Żeby tylko ktoś w komendzie nie zauważył tych wizyt, bo będzie niezły pasztet.

Mniej więcej w południe dostał telefon, który go jednocześnie ucieszył i zaniepokoił.

Dzwonił profesor Ochocki i prosił o pilne spotkanie. Gromił nie miał nic do roboty, z radością więc wyszedł z ponurego gmachu i skierował swe kroki na Stare Miasto.



Leon Słupecki, średniowieczny potępieniec i upiór, najspokojniej paradował po mieście w ludzkiej postaci. Powszechnie było wiadomo, o ile ktoś wierzył w takie rzeczy, że dusza pokutująca potrafi być wredna i złośliwa, jakby wyżywała się na żyjących za to, że żyją. U niektórych jednak owa złośliwość przyjmowała łagodniejszą formę inteligentnej uszczypliwości.

Słupecki był mistrzem w tej dziedzinie. Bogate doświadczenie życiowe i „duchowe” sprawiło, że czerpał prawdziwą satysfakcję z łagodnego karcenia i napominania swych bliźnich przy pomocy dość niewyszukanych, co prawda, sztuczek, lecz przynoszących zaskakujące efekty. Był to rodzaj terapii szokowej, który zastosował wcześniej w drukarni, w kinie i na uczelni. Któż to mógł wiedzieć, co jeszcze zmalował?

Teraz przemykał się niepostrzeżenie pod arkadami gmachu opery, na którym co i rusz wywieszano propagandowe transparenty, przeważnie w postaci białych liter na czerwonym suknie. Miały przypominać mieszkańcom Wrocławia, kto tu rządzi. I tak, obok okolicznościowych: NIECH SIĘ ŚWIĘCI 1 MAJA!, FRONT NARODOWY W WALCE O PLAN 6-LETNI, NIECH ŻYJE 22 LIPCA, pojawiały się też transparenty o bardziej ogólnej treści: DOLNY ŚLĄSK WIECZNIE POLSKI, STOLICA DOLNEGO ŚLĄSKA POZDRAWIA TOWARZYSZA BIERUTA, RĘCE PRECZ OD GRANICY NA ODRZE I NYSIE ŁUŻYCKIEJ.

Słupecki przystanął na chwilę, by przepuścić jakąś pędzącą kobiecinę, i uśmiechnął się do własnych myśli. Nie musiał się nawet starać, złudzenia optyczne wychodziły mu bez zarzutu. Wystarczy, że przeszedł dalej i z perspektywy hotelu Monopol zerknął na transparent, na którym ktoś wypisał: BÓJ W HUCIE WARSZAWY!

Sądząc po reakcji przechodniów na drugiej stronie ulicy, cel został osiągnięty. Jeden z nich mało się nie przewrócił ze śmiechu i chichocząc, zbierał papiery, które wypadły mu z aktówki. Jakaś młoda panna aż zakryła usta, tłumiąc okrzyk zdumienia, bo nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła. Nawet chłopczyk w spacerowym wózku uśmiechał się radośnie, choć nie bardzo wiedział dlaczego, ale zareagował na wybuch śmiechu swej mamy, która aż zatoczyła się na innego przechodnia, łapiąc równowagę. Ten podniósł wzrok i na jego twarzy odmalował się wyraz oburzenia.

Tyle radości, a wystarczyło tylko zamienić pierwsze litery dwóch wyrazów na transparencie. Warszawę zostawił w spokoju. To co, że nieortograficznie, ale za to śmiesznie. Oczywiście napis po chwili zniknął i wrócił do dawnej postaci, a ci, którzy go widzieli, myśleli, że to filuterna wyobraźnia podpowiedziała im taki układ liter. Słupecki zaśmiał się w duchu. Tego rodzaju psoty wychodziły mu ostatnio zupełnie

odruchowo.



Profesor był poruszony jak nigdy. Co chwila nerwowo sięgał do kieszonki z zegarkiem, co i rusz przecierał szkła w okularach, aż zachodziło niebezpieczeństwo, że je w końcu stłucze.

– Niech pan siada, panie poruczniku. Ale afera! Nie uwierzy pan, na co natrafiłem. Proszę tu spojrzeć. – Wyciągnął jakąś zakurzoną książkę i otworzył na jednej ze stron. – O tutaj.

– Zugmann, Walter, SS-Scharführer, I, Schuhbrücke 66/7.

– To jest...

– Książka meldunkowa z adresem zamieszkania naszego esesmana.

– Ale przecież...

– Tak, to budynek przy Szewskiej.

– Ale ja przecież. mieszkam naprzeciwko.

– No właśnie. Wszystko się zgadza. Niech pan sobie wyobrazi. Miasto pod ostrzałem, Zugmann ma rozkaz ukrycia relikwii. Wszędzie gruzy, wszystko się wali. Co robi? Wychodzi na taras i...

– . patrzy na wprost.

– Lekko po skosie, bo na wprost już gruzy.

– No tak.

– Ale patrzy i widzi. ?

– . gwiazdę i świątynię na fasadzie. na fasadzie mojej kamienicy!

– Skąd widać Serce Miasta. Co jest zawsze prawdziwym sercem miasta?

– Ratusz!

– A skąd widać ratusz?

– Z mojego tarasu!

– A od sąsiada nie?

– Nie, bo mu dach kamienicy zasłania!

– Czyli?

– Relikwie są u mnie w domu!

– Trafiony, zatopiony. Ma pan w domu kilof? – zapytał rzeczowo Ochocki.

– Nie, nie mam, dzięki Bogu. Ale jak, gdzie? Przecież to nie może być takie proste.

– Z Zugmanna też nie był żaden templariusz. Jeśli to jest u pana, to najprawdopodobniej zamurowano skrzynię w ścianie. I musi być jakiś ślad. Rysa. Mogli przecież wykuć tylko wnękę i od razu musieli ją zamurować. I najpewniej zasunęli ją jakimś meblem. Ma pan meble w mieszkaniu?

– Mam kilka, były już, jak się wprowadziłem.

- No i proszę! *Voilà!*
- Ale przecież to niemożliwe! Żeby taki zbieg okoliczności?
- Jak niemożliwe? Założę się o porcję leniwych z kefirem, że to tam jest i czeka na swego odkrywcę. A teraz, młodzieńcze, do boju!



Festung Breslau

Wielki Piątek, 30 marca 1945 roku

Pojazd opancerzony pokryty miejskim kamuflażem wjechał ze zgrzytem gąsienic w ulicę Schuhbrücke od lewej strony. Zaboksował na gruzie, ale kierowca miał wprawę – gładko wyrównał i podprowadził pojazd pod właściwy dom. Z maszyny wysypało się czterech żołnierzy z peemami w plamiastych panterkach oraz dowódca, również w mundurze polowym.

Na dole czekał już na niego Zugmann wystrojony w czarny mundur. Kierowca stanął przy karabinie maszynowym pojazdu i groźnie wymierzył z broni w okoliczne okna. Ci, co wyglądali przez nie, natychmiast się pochowali. Dwóch żołnierzy zdjęło ciężką, żelazną skrzynię z paki, a dwóch pozostałych wzięło narzędzia i zaprawę.

Cała grupa oprócz kierowcy weszła do budynku. Droga po schodach była uciążliwa, ktoś odłączył prąd od windy. Na czwartym piętrze, na samej górze, otwarto drzwi ostatniego mieszkania i żołnierze weszli do środka. Walały się tu wszędzie przedmioty codziennego użytku, stare gazety; najwyraźniej mieszkanie było opuszczone.

Zugmann obszedł je wzdłuż i wszerz. Za rozsuwanymi drzwiami mieścił się salon, który można było połączyć z pokojem dziennym zakończonym tarasem z widokiem na ulicę. Z lewej strony znajdowała się ściana szczytowa połączona z resztkami budynku, który jeszcze niedawno stał w tym miejscu. Mur musiał być gruby na półtora metra.

Żołnierze odsunęli wskazany przez Zugmanna kredens. Zabrzęczały kieliszki i tace. Kilka się nawet stłukło. Za kredensem zobaczyli jaśniejszy prostokąt ściany i zaczęli kuć w miejscu wyznaczonym przez Zugmanna. Po pół godzinie powstała wnęka zdolna pomieścić średniowieczną skrzynię. Żołnierze włożyli drogocenny przedmiot do środka, a Zugmann opieczętował go paskami ze swastyką.

Zaczęli wstawiać wyjęte cegły, po czym zamurowali skrzynię na amen i otynkowali mur. Jeden z nich, najwyraźniej biegły w maskowaniu, szerokim ławkowcem począł zamalowywać ścianę tak, że po kilkunastu minutach widniał na niej tylko brud i nie było nawet śladu po pracach. Tylko wilgotna plama wskazywała, że coś tu się działo. Wyschnie. Zasunięto kredens. Znów stłukło się parę kieliszków. Żołnierze starannie zatarli ślady po pracach i zabrali wszystkie narzędzia.

Zugmann z zadowoleniem przyglądał się swoim oknom po lewej stronie ulicy. Nikt

z sąsiadów niczego nie zauważył, a obecność opancerzonego pojazdu na ulicy nie była niczym niezwykłym. Żołnierze, głośno tupiąc, zeszli, a Zugmann spojrział tylko wymownie na oficera.

– Niech się pan nie niepokoi, to sprawdzeni ludzie – powiedział oficer. – Myślą, że w skrzyni znajduje się tajne archiwum SS.

– Mam nadzieję, ale jak miałby pan jakieś wątpliwości, to wie pan, co należy zrobić. – Zugmann położył wymownym gestem dłoń na kaburze pistoletu.

– Tak, wiem. Jeśli będzie trzeba, wykonam rozkaz.

Wyszli z mieszkania, zamykając za sobą starannie białe, przeszklone drzwi. Był to najlepszy kamuflaż, bo nawet jeśli ktoś tu wpadnie, nawet mu do głowy nie przyjdzie, by opukiwać ściany. Zabierze tylko, co będzie mógł, i najwyżej wróci po resztę. A jeśli pojawią się lokatorzy, to będzie oznaczało, że Breslau wytrzymało i po skrzynię będzie można przyjść w każdej chwili. Mogli tu nawet kłaść nowy tynk i malować – i tak trzeba by się było uważnie przyjrzeć zaprawie między cegłami, żeby coś zauważyć. A cegły zostały zatynkowane. Tynk pobrudzony.

Sprawa załatwiona. Zugmann musiał jak najszybciej posłać telefonogram do Berlina. Zameldować wykonanie rozkazu. Po powrocie do swego mieszkania usiadł przy biurku i zerkając co chwila przez okno, sporządził notatkę w trzech kopiach z zawołanym opisem miejsca ukrycia skrzyni. Zamyślił się przez chwilę, po czym jedną z nich złożył i schował w srebrnej papierošnicy. Dwie pozostałe włożył do przygotowanych podłużnych kopert z oznaczeniami wojskowymi i założył lakowe pieczęcie. Gorący czerwony lak rozlał się po szarym papierze, skrywając kolejną tajemnicę III Rzeszy.

Oficer mimowolnie pogłodził się po kieszeni munduru z kartką w papierošnicy i odruchowo dotknął najwyższego guzika czarnego uniformu, gdzie wkrótce, najpewniej, zawiśnie Żelazny Krzyż odpowiedniej klasy. Może z liśćmi dębu? Kto to wie? W końcu wykonywał ważne zadanie dla Rzeszy. Należało mu się już dawno.

„Dla naszego Wodza. Prezent na pięćdziesiąte szóste urodziny” – pomyślał.

Kurier zabrał wkrótce obie koperty i Zugmann mógł w końcu nieco odetchnąć. Zapalił papierosa i usiadł w ulubionym fotelu. W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku czekał teraz na Brygidę.

W Breslau kończył się jeden z ostatnich dni marca 1945 roku.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

NASER MATER...

Pani Genowefa Dziurman wróciła z więzienia od Ludwiczka bardzo czymś poruszona. Nie chciała z nikim rozmawiać i zaszyła się zaraz u siebie.

– Czyżby amnestia? – zastanowił się Kapusta podczas wspólnego śniadania z Warkotem.

Ostatnio zaczęli jadać śniadania, bo pan Zdzisław wstawał bardzo wcześnie, szedł po bułki i mleko, a potem nie dał pospać podopiecznemu.

– Śniadanie to podstawa – mawiał. – Człowiek jest jakiś taki wesoły od razu. Wyspał się, pojadł...

– A tam wyspał. – Warkot marudził, bo siedział do późna nad projektem dyplomowym. Obronę miał za dwa tygodnie.

– Nie narzekaj, Jasiu. Kto rano wstaje...

– Ten jest niewyspany! – dokończył za niego Warkot. – Jak mi pan będzie takie pobudki codziennie robił, to nie doczekam tej obrony. Zasnę przed komisją na stojąco! Tylko wstydu się najem.

– Z pewnością komisja doceni...

– Komisja doceni, jak będę przygotowany.

Jedli w milczeniu. Zdawało się, że zapomnieli o tym, co się niedawno wydarzyło, bo człowiek, jak mu dobrze, bardzo łatwo zapomina o wszystkich nieszczęściach.

Rozległo się pukanie i pani Genowefa wparowała do pokoju ze ściereczką do wycierania naczyń przewieszoną przez ramię. Stała w progu i wzięła się pod boki.

– No tak, panowie sobie śniadanko jedzą, a tam ludzie cierpią nie za swoje winy – zaczęła, wprawiając w osłupienie dwóch drukarzy.

– Pani Genowefo, co się stało? – zapytał Kapusta.

– Nic się nie stało. O to właśnie chodzi. I się nie stanie, dopóki człowiek nie dopuści swojej uczciwej natury do głosu – wypaliła i spojrzała wymownie na Jana Warkota.

– Czy coś pani zrobiłem? Dlaczego pani tak na mnie patrzy?

– A patrzę, co, nie wolno? – rzuciła na co dzień spokojna i miła gospodyni. – Patrzę i nie mogę się nadziwić.

– Ale o co chodzi? – zapytał już nie na żarty przejęty Warkot. – Przecież wyciąłem to zielsko od ogrodu, tak jak pani prosiła.

– No właśnie – poparł go Kapusta.

– Ja tam, panie Zdzisławie, do pana nic nie mam. Pan jesteś człowiek prostolinijny i poczciwy, ale niektórzy tutaj...

– Pani Genowefo, niech pani mówi prosto z mostu, bo nie wytrzymam! – rzucił Warkot.

– A to, że mógł pan, młodzieńcze, doprowadzić do uwolnienia mojego niewinnie

skazanego Ludwiczka, to nic? I nic pan nie zrobił, a mógł, to też nic?

– Jak to z więzienia?

– A mówił mi taki jeden, oficyjer, że chowa pan coś, nie chce się dzielić i dlatego Ludwiczek dalej gnije w mamrze jak batiar jaki!

– Ale co jest, pani Genowefo, co ja takiego chowam?

– A jakiś miecz młodzieniec schował i nie chce powiedzieć gdzie. A władza szuka, szuka wszędzie, ale wyrozumiała jest, to jeszcze kawalera nie zamkli.

– Jak pragnę. nie, jakichś bzdur ktoś pani Genowefie nagadał.

– A nie, bo osoba urzędowa, szarża, i mówił, że jak młodzieniec ten miecz odda, to oni Ludwiczka wypuszczą!

– Psiekrwie! – zaklął Kapusta. – Już takich sztuczek się imają. Biednego, Bogu ducha winnego chłopaka oskarżają. To wszystko nieprawda, pani Genowefo, słowem ręczę!

– Ale przecież mówił mi ten. – Kobieta była już mniej pewna swego.

– A wcześniej inni, też urzędowi, co mówili o Ludwiczku? Że zdrajca, łotr i bandyta, że na władzę ludową chciał się zamachnąć, nie mówili przypadkiem?

– No tak, ale. – Kobieta rozplakała się i przycisnęła brudną ścierkę do oczu.

– No już, będzie dobrze, pani Genowefo, dobrze już, dobrze. – Kapusta znalazł się przy niej i objął ramieniem. Kobieta zaczęła regularnie zawodzić.

– Bo tam mój Ludwiczek, na zatracenie, żeby ich tak zmora wydusiła, żeby w domu nie nocowali, żeby ich wrzody obsypały, żeby...

– A ładnie to tak złorzeczyć bliźniemu?

– Zmora? To dobre. – mruknął pod nosem Warkot.

– A jacy mi oni bliźni! Stara i głupia, nabrałam się na gładkie słówka tego drania.

– No właśnie, oni to potrafią. Niech pani w takie bajdy nie wierzy. Oni to tak zawsze, a do tego jeszcze naszego Jasia żeby oskarżać o coś takiego. Przecież on chłopak dobry, nieba by pani przychylił i jakby miał ten ich miecz, to przecież by oddał...

To akurat była nieprawda, ale pani Genowefa nie musiała uczestniczyć w wielkiej polityce. Powoli się uspokoiła i nawet zaczęła się uśmiechać przez łzy.

– No to już dobrze. Ja kawalera przepraszam, stara jestem i głupia. A naser mater z taką robotą! – zakląła. – No to ja na przeprosiny wam może kuleszki? Na kolację zgotuję...

Odwróciła się zawstydzona i zbiegła po schodach do siebie.

– Widzisz, Jasiu, żeby tak biednej kobiecie w głowie zamroczyć – powtórzył posepnie Kapusta.

– Panie majster? A co to ten nasrałmater?

– Naser mater, Jasiu, albo naser fajku. To takie kresowe naplewat.

– Aha.

– Znaczy, że do dupy, Jasiu. Albo żeby to jasny szlag! No, czas na nas. Trzeba do pracy. Przejdziemy się? Dzień taki piękny...



– Ja do pana Jana Warkota.

– Przepustkę obywatel okaże – powiedział strażnik z drukarni.

– No dobra, milicja. – Gromił podsunął legitymację pod nos wartownika, który momentalnie wyprężył się jak struna.

– A to co innego, może pan wejść jako osoba urzędowa.

Gromił nie chciał jeszcze bardziej szargać Warkotowi opinii w pracy, ale też sprawa była niecierpiąca zwłoki i nie miał czasu na zabawę. Popędził po schodach i bez pukania wdarł się do gabinetu głównego technologa. Zenon Zagnębiak właśnie był w trakcie kontemplacji ponętnego biustu panny Krysi, która przyniosła mu papiery do podpisania, i już dwa razy podpisał w złym miejscu.

– A pan tu do kogo? – burknął ze złością.

– Milicja Obywatelska, porucznik Stefan Gromił, Wydział Kryminalny. – Gromił machnął legitymacją przed nosem Zagnębiaka.

– Pani Krysiu, dokończymy później – rzucił ściśniętym głosem główny technolog. – Obywatel porucznik w jakiej sprawie?

– Warkota mi tu dawać ciupasem. Aha, i majstra Kapustę. Są potrzebni w śledztwie. Zabieram ich, być może na cały dzień.

– Ależ proszę, proszę, może pan ich sobie zabierać nawet na dłużej. – Do Zagnębiaka zaczęło docierać, że to nie o niego chodzi. – Skoro osoba urzędowa...

– Są ważnymi świadkami w sprawie kryminalnej. – Gromił nie mógł dopuścić do nowej fali plotek w drukarni. Przecież później będą musieli jakoś tu żyć.

Zagnębiak podniósł słuchawkę telefonu.

– Produkcja? Tak, tu Zagnębiak Zenon, to ty Franiu? Dawaj mi tu w te pędy Warkota i Kapustę. Że co? Że montują? Dawaj ich do mnie, mówię przecież!

Po chwili weszli we dwóch do gabinetu głównego technologa, Kapusta, mnąc kaszkiet, a Warkot, wpatrując się niepewnie w czubki swych butów.

– Nareszcie! – zawołał Gromił. – Nastąpił ważny przełom w sprawie, więc proszę zabrać rzeczy, bo już do pracy dzisiaj nie wrócicie. Być może przyjdzie całą noc siedzieć...

Warkot i Kapusta wymienili się spojrzeniami. Coś się działo. Nigdy nie widzieli Gromiła w stanie takiej ekscytacji. Zrobili w tył zwrot i poszli wykonać polecenie. Zenon Zagnębiak odezwał się nieśmiało do Gromiła:

– Bo obywatel porucznik wie, że ja z władzą zawsze bardzo dobrze żyję. Jakby coś, tego, było trzeba, to ja zawsze, oczywiście. To w sprawie tego wampira? Macie go?

– Tajemnica służbowa, ale powiem tak prywatnie, że nie, jeszcze nie mamy, ale będziemy mieć.

– Oczywiście, oczywiście. – Główny technolog zacierał ręce niczym handlarz końmi,

który właśnie wcisnął klientowi starą chabetę, wmawiając mu, że wygrała Wielką Pardubicką.

– Spokój w zakładzie jest? – zapytał groźnie porucznik Gromił, w duchu śmiejąc się do rozpuku.

– Ależ oczywiście, obywatelu poruczniku. Spokój, cisza, praca wre...

– No i bardzo dobrze, postępujcie tak dalej, a wszystko będzie jak należy.

Gromił uścisnął uroczyście dłoń Zagnębiaka, na co ten aż pokraśniał z zadowolenia.

– Obywatelu poruczniku, ja zawsze...

– Dobrze, już dobrze. Mam nadzieję, że nie porywam wam waszych orłów w nieodpowiednim momencie?

– Nie, ależ skąd. Proszę bardzo.

– No to idziemy.

Popchnął bezceremonialnie Warkota w stronę wyjścia. Kiedy znaleźli się na ulicy, Kapusta posłał Jankowi sójkę w bok.

– Ale miał minę! Panie poruczniku, ja zawsze. – zakpił, udając głównego technologa i składając dłonie jak do modlitwy.

– Panie Zdzisławie, trochę powagi. dla przedstawiciela Milicji Obywatelskiej – dokończył z uśmiechem Gromił. – A teraz poważnie, nie uwierzycie, gdzie najprawdopodobniej znajduje się miecz.

– No mów!

– Zgadujcie, do trzech razy sztuka.

– Stefan, daj spokój, bo wyskoczę z siebie!

– Siedzieliśmy parę razy obok niego.

– Zalewasz!

– Tak, i likierek piliśmy w doborowym towarzystwie.

– Niech ja skonam – westchnął Kapusta.

Gromił zrelacjonował im rozmowę z Ochockim, pędząc fragmentem ulicy Pokutniczej w kierunku Wita Stwosza. Minęli kolejną zaporę z gruzu i znaleźli się pod domem Gromiła, gdzie czekał już profesor z dwoma studentami. Mieli ze sobą sprzęt, którego widok w powojennym Wrocławiu nie wzbudzał większych emocji. Tylko że tym razem, jak podkreślał wielokrotnie Ochocki, to były kilof, mesel, młot i wiadro archeologiczne. Czym miałyby się różnić od zwykłych, murarskich, Warkot nie miał pojęcia, ale niech mu będzie.

Nie skorzystali z wiecznie zajętej windy, dlatego wdrapywali się na ostatnie piętro dobre dziesięć minut, bo Ochocki udawał, że kontempluje architekturę, w istocie odpoczywając na każdym półpiętrze. Próbował nawet mówić coś mądrego. Na pierwszym piętrze znajdowała się firma transportowa i winda, dostępna z parteru wyłącznie dla mieszkańców. Ochocki bezskutecznie naciskał czerwony przycisk.

– Zatrzymały, cholery, na górze – skomentował Gromił, który nieraz już próbował się przejechać do swego mieszkania w środku dnia. – Księgowość tam mają, więc nie chce im się targać papierów trzy piętra w górę i w dół.

– Księgoooooowość, to nie. niezwykle, co pan mówi – wysapał Ochocki, próbując nawiązać rozmowę na kolejny temat, byle tylko przystanąć na sekundę.

Schody, w zamyśle architekta służące jako konieczny dodatek do budynku przy sprawnej windzie, przypominały swoją strukturą górę, na którą Syzyf wtaczał głaz. Były dziełem mistrza stolarskiego sprzed pięćdziesięciu z górą lat, pięły się niczym stopnie w średniowiecznej baszcie i tylko widok z okien na zamknięte podwórze przynosił chwilową ulgę.

Dom miał od frontu dwupiętrowy dach, od oficyny jednak kończył się płaskim, rozłożystym tarasem, z którego pod pewnym kątem dało się dostrzec dwie wieże katedry. Gdy popatrzyło się w dół, widać było neoromańskie łuki nad dużymi drzwiami, które na bizantyjską modłę stawały jedne na drugich wytyczone pomarańczowym szlakiem połyskliwej klinkierówki.

Było to harmonijne połączenie nowej konstrukcji ze starymi motywami zdobniczymi, które architektom z początku wieku przychodziło z zadziwiającą łatwością. Całość dziedzińca emanowała niewymuszoną elegancją, pomimo że budynek był zaniedbany i nosił kilka śladów po wojnie.

– No, jesteśmy – wysapał Ochocki.

Otworzył drzwi i wszyscy weszli do środka. Studenci od razu ruszyli na taras.

– Ale tu pięknie! – wykrzyknął jeden z nich.

– No, a jaki widok! – zdziwił się drugi.

– Młodzieży! – Ochocki odzyskał dawny rezon. – Proszę uważać, proszę niczego nie ruszać, w końcu jesteście w czyimś domu. Panie Stefanie...

– Tak. O tutaj jest właśnie ten kredens. Był tutaj, kiedy się tu wprowadzałem. Wcześniej przyszli robotnicy i maznęli ścianę na ten szarobury, ale przynajmniej wygląda w miarę czysto.

Ochocki podszedł do mebla z lubością, przyglądając się zabytkowym przedmiotom za szkłem. Był wielkim miłośnikiem wszystkiego, co niesztampowe, nieseryjne i stare. Czuł się więc w tym mieszkaniu jak u siebie w domu. Następnie zaczął coś mierzyć dwumetrową taśmą i zapisywać w zeszycie. Warkot i Kapusta wpatrywali się w niego jak urzeczeni. Choć zostali formalnie przedstawieni przed wejściem, byli o wiele bardziej onieśmieleni obecnością Ochockiego niż beztroscy studenci, którzy najwyraźniej lubili profesora, choć traktowali go jako nieszkodliwego maniaka.

Ochocki skończył pisać i triumfalnie wcisnął ołówek kopiowy między kartki.

– No tak! – zawołał, jakby dokonał jakiegoś epokowego odkrycia, po czym najzwyczajniej w świecie sięgnął do wnętrza kredensu i bezceremonialnie wyciągnął karafkę z kieliszkami. – Nie pogniewa się pan, panie Stefanie? W końcu mogą się przydać, a do tego trzeba będzie przesuwać, więc lepiej, żeby nic się nie stłukło.

W całym pomieszczeniu głównym podejrzanym była ściana nośna, szczytowa od południowej strony, która teraz kończyła się pustką i strzępami murów na zewnątrz. Ochocki już wcześniej, jeszcze na dole, oszacował jej grubość. Teraz wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki niewielki, kauczukowy młoteczek i stetoskop.

Kiedy założył go sobie na szyję, wyglądał co najmniej jak ordynator szpitala lub naukowiec o włos przed dokonaniem wielkiego odkrycia w dziedzinie medycyny. Jak mawiał Ochocki: „Na wygląd trzeba sobie zapracować”.

Kiedy studenci przy pomocy samego Gromiła odsunęli mebel, przestawiając przy okazji paprotkę, ukazała się ściana tylko nieznacznie różniąca się barwą od reszty.

– Proszę o ciszę – zadudnił Ochocki.

Profesor zbliżył się do ściany ze stetoskopem w ręce i młoteczkiem w drugiej niczym sam mistrz Pasteur podchodzący do jakiegoś niezwykle groźnego wirusa, którego miał zamiar ogłuszyć celnym uderzeniem przez łeb. Metodycznie, krok za krokiem, zaczął opukiwać ścianę, zaczynając, rzecz jasna, od podłogi. Nie uszedł nawet dwóch metrów, kiedy rozległ się głuchy odgłos słyszany przez wszystkich, nawet bez stetoskopu. Ochocki wrócił do miejsca wyjścia i zaczął szacować rozmiary wnęki. Kiedy już tego dokonał, obrysował zarys na ścianie i wskazał studentom.

– No, panowie, do roboty, jak to mówią słowa pięknej pieśni pracy. Jak się weźmiemy, to zrobicie.

Studenci uśmiechnęli się, bo znali doskonale repertuar profesorskich powiedzonek. Zabrali się od razu do dzieła.

Kiedy zaczęły odpadać kawałki tynku, Gromił krzywił się coraz bardziej, jakby z każdym uderzeniem mesła odłupywano mu kawałki skołatanej duszy. Wiedział, że naprawa ściany będzie go kosztować z dwa litry siwuchy i pewnie górala na zakąskę. Nie mówił jednak nic, bo oto ich oczom zaczęła się ukazywać wyraźna bruzda wykuta przez tych, co schowali tu skarb. Zaprawa między cegłami była jaśniejsza i też mocniejsza, bo nie chciała się łatwo poddać. Po chwili jednak pierwsza cegła wpadła do środka wnęki z głośnym dudnieniem. Zazgrzytało żelazo.

– Proszę uważać panowie, bo może tam być jakaś pułapka.

– To teraz pan profesor nam mówi?

– Mówię, żebyście uważali.

– A co tam może być? Granat?

– Żebyście się nie zdziwili – mruknął profesor, który najwyraźniej wiele rzeczy widział.

Na całe szczęście kryjówka była wolna od wszelkich niespodzianek. Gromił odsłonił szerzej kotarę i światło wpadło do wnętrza pokoju. Zobaczyli zasypany rdzawym pyłem i gruzem prostokątny kształt, na którym było coś jeszcze.

– Jak pragnę skonać, parabelka! – wykrzyknął jeden ze studentów, choć w istocie nie był to luger P08 parabellum, lecz nowy walther P38, pistolet o większym kalibrze i nowoczesnej konstrukcji z zamkiem, który się raczej nie zacinał w porównaniu z mechanizmem poprzednika.

Zugmann musiał się ubezpieczyć na wszelką ewentualność, również taką, że zmuszą go torturami do odkucia skrzyni. Wolał więc dmuchać na zimne i mieć coś w zanadrzu.

Broń leżała zawinięta w nasączony olejem papier. Gromił wyciągnął ją, rozwinął i sprawdził komorę.

– Jeden w zamku, reszta w magazynku – powiedział jakby sam do siebie z lubością, patrząc na mordercze żelazo zachowane w doskonałym stanie.

Pistolet idealnie leżał w dłoni, co stwierdził z zażenowaniem, bo służbowa tetetka stała w klasyfikacji o dwie klasy niżej. Widać było, że broń jest nowa i dobrze utrzymana. Na pewno już z niej strzelano, co było logiczne, bo esesman nie chowałby niesprawdzonej broni.

– No to ja cię rekwiruję – rzucił Gromił pieszczotliwie do walthera.

Warkot spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Nie wiedziałem, że z ciebie taki militarysta z Bonn.

– Odczep się. Może uda mi się na niego załatwić papiery. To za tę ścianę – dodał pośpiesznie.

– No tak, co prawda, to prawda, za ten bajzel, panie Stefanie, to coś się panu od życia należy – stwierdził Kapusta.

Skrzynia po chwili stanęła na środku pokoju. Wszyscy pochylili się nad nią, a Ochocki z czułością oczyszczał ją pędzlem z kurzu i ceglanego pyłu. Była przepiękna.

– Około XIII wieku – zawyrokował profesor.

Gromiła najbardziej niepokoił fakt, że najwyraźniej wszyscy stracili zainteresowanie dla rozprutej ściany i hałdy cegieł na podłodze.

– Niech się pan nie przejmuję – powiedział profesor, najwyraźniej czytając mu w myślach. – Chłopcy zaraz to sprzątną i załatają ścianę. Prawda, chłopcy?

– Chłopcy to przed wojną u szewca drewniane gwoździe w zębach prostowali – rzucił zawadiacko jeden z nich, ale bez złości.

– A dostawali za to pałę z zaliczenia semestralnego czy nie? – zapytał retorycznie Ochocki i student zamknął się na dobre. – Ta młodzież, głupie to takie, panie Stefanie, że nie wiem. Ale życie da wam jeszcze w kość. – Pogroził studentowi wielką pięścią.

– No dobrze, my tu gadu-gadu, a skarb stygnie.

Studenci najwyraźniej nie wiedzieli, po co przyszli, i wybałuszyli oczy na swego profesora.

– Skarb, panie profesorze, to jest skarb?

– Najprawdziwszy, bo nie da się go przeliczyć na pieniądze.

– E tam, ja wiedziałem, że to będzie jakaś zatęchła księga albo garnek – rzucił pogardliwie drugi.

– Proszę, sami panowie widzicie, przyszłość polskiej humanistyki tak mówi. Zgroza!

– Może pan to otworzyć? – zapytał Warkot.

– Spróbujemy. – Zwrócił się do studentów: – Panowie, wiaderko, łopata i zapełniać mi tę dziurę. Zaprawę macie?

– Mamy, panie profesorze – zrezygnowani odezwali się chórem.

– No to do roboty!

Ochocki rozpoczął oględziny. Skrzynia była oblepiona paskami z pieczęciami, jakby miały powstrzymać potencjalnych poszukiwaczy skarbów. Z boku, przy jednej z rączek, wisiał duży, ciężki klucz, również owinięty tym paskudztwem. Ochocki zerwał rzemień

i przyjrzał się uważnie kluczowi. Zadowolony z oględzin wyciągnął z kolejnej kieszeni oliwiarę do maszyny do szycia i obficie splukał olejem zabytkowy przedmiot. Włożył klucz do zamka i przekręcił. Średniowieczny mechanizm ustąpił od razu, jakby czekał na tę właśnie chwilę.

Wieko ani drgnęło.

– Coś tu jest nie tak. – powiedział sam do siebie Ochocki, a studenci zaciekawieni wyciągali szyje. – Musi być jakiś mechanizm, jakieś zabezpieczenie...

Profesor oglądał skrzynię z każdej strony.

– Panie Stefanie, ma pan druty do dziergania albo szydełko? – zapytał.

– No coś pan, z byka spadł?

– A może sąsiadka?

– Jest w pracy, w szpitalu. Ale zaraz, mam wycior do broni, może być?

– Ach, ci stróże porządku publicznego. – Ochocki z dezaprobatą pokręcił głową.

Oczywiście gdyby Gromił miał stary sztylet, nie byłoby tych komentarzy, ale tak. Ochocki wziął do ręki podany przez milicjanta wycior do broni i wsunął go w ledwo zauważalny otwór na kilkanaście centymetrów w głąb skrzyni. Naciskając na jakąś zapadkę, spróbował jeszcze raz. Przekręcił klucz. Niewidoczny mechanizm ustąpił z cichym trzaskiem.

– Eureka! – wykrzyknął Ochocki, na co poderwali się dwaj studenci oraz kilka gołębi z tarasu.

Wieko odskoczyło.

Wszyscy zajrzeli do środka. Pierwsze, co zobaczyli, to kamienną figurkę, mocno już zniszczoną przez czas, zawiniętą tak, że lwu wystawał tylko okrągły łeb z trzema otworami – oczu i paszczy. Wyciągnęli lwa na podłogę i odwinęli z niemieckiej płachty maskującej. Ukazał im się w całej okazałości – romańska rzeźba, wykonana przez mistrza, lecz wygładzona przez dotyk tysięcy rąk, wszelkie szczegóły anatomiczne zwierzęcia zostały zatarte.

– To jest teraz tylko lew symboliczny. Symbol lwa, chciałoby się powiedzieć – powiedział profesor.

– Że jaki ten lew? – zapytał jak zwykle nie na temat Kapusta.

– No taki symbol, panie Zdzisławie, pod którym można powiesić karteczkę z napisem: „To jest lew” – pospieszył z podpowiedzią Jan Warkot.

– Aha – odparł Kapusta, dalej nic z tego nie rozumiejąc. Ponieważ zawsze miał smykałkę do techniki, bardziej od symbolicznego lwa interesował go mechanizm zamka w skrzyni, dlatego przyglądał mu się i drapał w głowę, co chwilę mówiąc: – Cie choroba!

Ale w skrzyni musiało być coś jeszcze. To, na co wszyscy polowali i na czym pragnęli położyć swe łapska. Rybichwost, miecz komesa Piotra Włostowica herbu Łabędź.

I coś tam jeszcze leżało. Zawinięty w podobny materiał podłużny przedmiot. Kiedy Ochocki odwinął zawój, ich oczom ukazał się artefakt takiej piękności, że wszyscy

zamarli w bezruchu.

– Cie choroba – powtórzył Kapusta.

– Dobry Boże! – zawołał Ochocki.

– Niech mnie gęś kopnie – dodał Jan Warkot.

– Naser mater – rzucił Stefan Gromił, aż wszyscy na niego spojrzeli. – No co? Poszerzam słownictwo.

Miecz miał głownię z szeroką strużyną zwężającą się ku dołowi. Głownia była niezwykle ostra. Rękojeść musiała być wykonana ze srebra, choć jedynie na środku i na guzie widniały dwa wielkie zielone kamienie – najpewniej szmaragdy – przyszpilone średniowiecznym zwyczajem jednym nitem przewierconym przez ich środek. Dwa smoki – a może gryfy – kierowały swe łby ku śmiercionośnej klindze, jakby chciały ukąsić wroga, z którym przyszło się zmierzyć właścicielowi miecza. Owijka na rękojeści była oryginalna, choć już mocno nadgryziona zębem czasu.

Wraz z mieczem zawinięto prostą drewnianą pochwę powleczonej delikatną, lecz wytrzymałą skórą jakiegoś zwierzęcia, być może płaszczki albo strusia. Pochwa nie miała ozdób, jedynie żelazną skuwkę, przy wlocie i na końcu, dla zabezpieczenia. Pozbawiony broni rycerz w sytuacji przymusowej mógł dźgać nią wroga. Na powierzchni pochwy umieszczono też trzy żelazne guzy w kształcie średniowiecznej róży – o dziwo doskonale zachowane. Była to bez wątpienia broń wielkiego wojownika, warta z cztery wioski z pańszczyźnianymi włączniami – jak nie lepiej. Powierzchnię głowni pokrywały nieregularnie rozchodzące się plamy, co świadczyło, że ten niezwykły oręż był jedną z pierwszych broni wykonanych techniką damastu – nazwa pochodziła od Damaszku w Syrii – stanowiącą ścisłą tajemnicę kowalskiego mistrza.

– No i co w tym takiego niezwykłego? – zapytał jeden ze studentów.

– A to, ośle jeden, że znalezienie półtoraręcznego miecza w kształcie normańskich mieczy zachodnich z damasceńską stalą można porównać do odkrycia współczesnej maszynki do golenia w piramidzie egipskiej.

– Ruscy ją wynaleźli – rzucił drugi student. – No tę maszynkę. Na śmietniku ambasady amerykańskiej. – Zarechotał zadowolony z własnego dowcipu.

Ochocki skierował wzrok ku górze, najwyraźniej szukając pomocy u Wyższej Instancji.

– Dobrze, że cię dziekan nie słyszy. To bezcenne znalezisko. Nie ma takiego drugiego miecza na całym świecie, a jak ktoś ci powie, że jest, to łże jak pies.

– Jak pies tej, cośmy ją tam w piwnicy. – Kapusta znów chciał wtrącić swoje trzy grosze.

– Panie Zdzisławie! – rzucił Warkot.

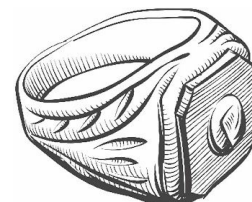
Kiedy studenci naprawili ścianę i zamaskowali ją regałem, cała grupa poszukiwaczy usiadła przy stole, a Gromił zaczął pełnić honory gospodarza domu. Wypito i za znalezisko, i na pohybel – tu Warkot, Kapusta i Gromił spojrzeli po sobie porozumiewawczo. Profesor starannie spakował miecz do skrzyni, którą studenci owinęli brezentem, żeby nie kusić uczciwych ludzi.

Widok dwóch młodych mężczyzn niosących ciężki przedmiot ulicą Szewską nie wzbudził większych podejrzeń. Narzędzia zostawili u Gromiła i mieli je odebrać później. W pokoiku na piętrze Wydziału Historii Sztuki Ochocki schował skrzynię tak głęboko, że sam diabeł by jej nie znalazł.

Trzon grupy poszukiwaczy skarbów w osobach Jana Warkota i Stefana Gromiła oraz profesora Ochockiego umówił się na spotkanie jutro z samego rana w tym miejscu. Miecz trzeba było poddać dokładniejszym oględzinom oraz ustalić plan działania. Nie mogli go po prostu oddać, bo najpewniej zaginęłby po drodze albo okazałoby się, że jest to miecz knezia Newskiego i wtedy byłoby po sprawie.

Warkot i Kapusta pojechali na Krzyki, a Gromił wrócił do swego mieszkania i zaczął pisać raport dla majora. Wolał to dobrze przemyśleć, bo w końcu za tymi przedmiotami rozpisano list gończy, choć Gromił dokładnie wiedział za czyją sprawą. Jeśli ujawni odnalezienie przedmiotów, to może i czeka go awans i medal, ale miecz przepadnie bezpowrotnie. Nigdy nawet mu do głowy nie przyszło, że będzie musiał kłamać w raportach. Pułkownik Podatny z całą pewnością czeka na jego kolejny ruch, a wraz z nim konsul Sabiej.

Stefan wolno zanurzył stalówkę w granatowym atramencie. Naser mater!



WPADŁA BOMBA DO PIWNICY, NAPISAŁA NA TABLICY...

Festung Breslau

Wielkanoc, 1 kwietnia 1945 roku

Walter Zugmann miał poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Wielka Sobota minęła bez większych wydarzeń, tylko samoloty zwiadowcze Ruskich latały jak wściekle, uprzykrzając mieszkańcom Breslau świąteczne dni. Co chwila słyhać było huk i dudnienie działek przeciwlotniczych, zwanych pieszczotliwie Acht-Acht – osiemdziesiątek ósemek. Wtórowały im wiernie odgłosy karabinów maszynowych, szczękającego zamka oraz spadających na ziemię łusek.

Z tymi dźwiękami mieszkańcy Breslau już nieco się oswoili. Spowszedniały im one i nie robiły większego wrażenia, bo strzelano nie do eskadry bombardującej, a jedynie do samotnego zwiadowcy na błękitnym niebie, za którym ciągnął się sznur ciemnych chmur od wybuchów. Siedzieli więc spokojnie w swych domach, szykując się do wielkanocnego śniadania.

Walter Zugmann wyszedł na taras, by delektować się resztką kawy, którą Gita wyśmienicie parzyła. Ta krzątała się teraz w kuchni, chcąc szybko skończyć, by mogli zasiąść do stołu. Trwała wojna, więc szła później do szpitala, a Walter miał się stawić w południe na kolejnej odprawie u gauleitera.

Zugmann wziął łyk aromatycznej kawy, odchylając odruchowo mały palec, i spojrzał na drugą stronę ulicy. Ktoś był w „jego” mieszkaniu i najwyraźniej też szykował się do śniadania. To nic. Przecież nie mogli wiedzieć o skrytce.

Minął już kwadrans po ósmej i Zugmann z niecierpliwością zerknął w głąb mieszkania, by sprawdzić, czy można już siadać do stołu. Odstawił filiżankę na stolik na tarasie i wyciągnął papierosa. Przez chwilę ostukiwał końcówki, by na koniec wetknąć go w srebrną fifkę. Zawilgocona zapalka zapaliła się dopiero za trzecim potarciem o draskę, protestując przy tym głośnym sykiem.

Zugmann zaciągnął się z lubością i spojrzał jeszcze raz na dom naprzeciwko. Kamienny anioł wznosił dłoń, jakby chciał zatrzymać ostrzał nieprzyjaciela jednym anielskim gestem, złożony z uspakajająco skrzydła. W istocie emanował z niego złoty spokój, zgodnie z nazwą kamienicy. Spłynął on również na Zugmanna. Uśmiechnął się do swoich myśli i jeszcze raz zaciągnął się mocno papierosem. Nagle, gdzieś z oddali, dobiegł go basowy szum. Dźwięk ten narastał i po chwili zmienił się w niski warkot eskadry maszyn.

Nalot! W Breslau zaczęły się odzywać po kolei syreny alarmowe, najpierw w dzielnicach zachodnich, tam, gdzie były fabryki, a potem bliżej, zupełnie blisko,

zagłuszając na chwilę ten natarczywy warkot. Zaterkotały karabiny maszynowe i zadudniły działa z większą częstotliwością. Zugmann znieruchomiał, słysząc pierwszy wybuch bomby lotniczej.

„Zapalające!” – ta myśl rozbłysła mu pod czaszką, jakby dostał w głowę obuchem. Papieros wypadł mu z dłoni i sypiąc iskrami, spadł gdzieś na ulicę.

– Brygida! – krzyknął. – Biegnij do schronu. Ale już!

Młodszy syn przebywał w koszarach wraz z innymi członkami Hitlerjugend i Volkssturmu. Mieli tam schron. Tu w okolicy funkcję tę pełniły wzmocnione piwnice. Jeden prawdziwy schron w pobliżu znajdował się przy kwaterze dowództwa, drugi na placu Solnym i kolejne nad fosą.

Pierwsza bomba spadła z upiornym świstem gdzieś przy łaźniach. Słup ognia wystrzelił w górę ponad dachami domów – Zugmann widział to wyraźnie. Bomba musiała trafić w skład amunicji. Spadały następne. Niewielkie, śmiertelne tuleje wypełnione fosforem. Rusczy chcieli wytłuc ich wszystkich jak karaluchy. Odezwały się też działa, o dziwo, od zachodu. Zaczęły zmieniać regularnie i miarowo piękne, szerokie ulice Breslau w dymiące rumowisko.

„Spokojna Wielkanoc! *Donnerwetter!*”

Brygida wypadła z mieszkania i pomknęła na punkt zborny, pocałowałszy tylko Waltera na pożegnanie jak każda dobra żona. Ścisnęła mu dłoń i spojrzała głęboko w oczy. Czy to już? Czy widzą się ostatni raz? Przetrwają? Atak był najzacieklejszy z dotychczasowych. Artyleria waliła na potęgę tak, że szyby drżały w mieszkaniach i doniczki ze skarbami natury cenniejszymi w oblężonym mieście niż złoto – cebulą i innymi warzywami – zaczęły spadać na ulice, rozbijając się z głuchym hukiem o trotuar. Cebula zastąpiła pelargonie, cóż za ironia losu.

Zugmann, wydostawszy się z uścisku żony, zaczął pospiesznie pakować najważniejsze papiery z biurka do niewielkiej szafy pancerniej. Zarzucił też panterkę wkładaną przez głowę na galowy mundur. Sprawdził, czy ma zapasowe magazynki do pistoletu, chwycił w biegu papierośnicę leżącą na blacie.

Zbiegł po schodach na podwórko. Mieszkańcy z tobołami, kocami i kołdrami pospiesznie schodzili do piwnicy. Wybiegł z bramy i nasłuchiwał. Jeden z samolotów śmignął górą i zrzucił śmiertelny ładunek na pobliski Neumarkt, wzbijając w niebo fontannę lepkich płomieni fosforu.

„Blisko głównej kwatery Hankego!” – pomyślał Zugmann i pognął do domu z aniołem na frontonie. Wpadł na klatkę. Ludzie biegali, w panice ściskając co cenniejsze przedmioty, pędzili na oślep przez krótki dziedziniec do największej z piwnic, gdzie zorganizowano prowizoryczny schron. Ktoś porzucił na podwórku ciężki materac. Ludzie zostawiali przedmioty, jakby dopiero teraz zorientowali się, że tam na dole zupełnie nie będą im potrzebne.

Na dziedzińcu w bocznej, półokrągłej klatce schodowej z kręconymi schodami piętrzyła się barykada z porzuconych tuż przy drzwiach mebli i materacy. W piwnicy leżała ich ziemia obiecana, ich Lebensraum, przestrzeń życiowa ludu germańskiego,

która skurczyła się niesamowicie w ciągu kilku ostatnich miesięcy i która musiała mu wystarczyć.

Zugmann wahał się przez chwilę, po czym ruszył pędem po schodach, bo winda i tak nie działała. Mijał przerażonych mieszkańców. Dopadł drzwi mieszkania z wnetką. Wpadł do środka, omiótł wszystko wzrokiem. Lokatorzy pewnie byli już w schronie. Musiał się upewnić, musiał sprawdzić, czy wszystko jest na miejscu. Kredens stał nieporuszony. Mieszkańcy zostawili zastawiony stół i potrawy na stole.

„*Alles in Ordnung.*” – westchnął w duchu i wyszedł na taras.

Nad dachami miasta zaczął się zbierać tuman kurzu i dymu, zakrywając stopniowo błękitne wielkanocne niebo. Groźne sylwetki samolotów pojawiały się to tu, to tam. Co chwila wybuchał pocisk artyleryjski bądź eksplodowała bomba lotnicza. Trzymające się do tej pory miasto zmieniało się w ruinę. Towarzyszyły temu huk nakładających się na siebie eksplozji i dudnienie dział przeciwlotniczych. Cała obrona na próżno.

Co chwila nad głową Zugmanna przesuwiał się złowrogi cień, a on schylał się odruchowo w oczekiwaniu nieuchronnego losu. Nagle pojawiło się coś jeszcze. Spojrzał mimowolnie na cienie padające na ulicę. Prostokątne skrzydła samolotów na jego oczach zmieniały kształt. Z metalowych, kanciastych cieni przeistaczały się w coś zgoła odmiennego. Robiły się bardziej obłe i jakby pierzaste. Nie było wątpliwości – widział na swojej ulicy, na domach, na fragmentach ludzkiego dobytku wielkie skrzydła kołujących istot, aniołów zemsty i zagłady, które nie były bynajmniej skrzydłami sprzyjających Germanom wojowniczych walkirii. Siały śmierć i zniszczenie.

Zugmann przetarł odruchowo oczy. Zdało mu się, że jedno ze skrzydeł musnęło dach kamienicy z nim stojącym na tarasie ostatniego piętra. SS-Scharführer zachwiał się i stracił równowagę. Poczul, że skołowana głowa ciąży mu niepomiaralnie, czapka z Totenkopffem spadła mu z głowy.

Jeszcze jedno muśnięcie czarnego, pierzastego skrzydła i Walter Zugmann przechylił się przez barierkę, po czym poleciał wprost na potrzaskane płyty chodnika, piętnaście metrów w dół. Po drodze dostrzegł tylko figurę anioła, który unosił dłoń już nie w geście pojednania i pocieszenia. Była to karząca ręka sprawiedliwości należąca do Tego, Którego Nie Było, i która spadała na zatwardziały w pysze i bucie grzeszników.

Zugmann walnął o ziemię z całej siły, drgnął jeszcze i znieruchomiał, a z głowy pociekła mu gęsta, ciemnoczerwona krew. Srebrna papierośnica z hakenkreuzem wypadła mu z kieszeni, zakręciła się siłą odśrodkową i znieruchomiała, otwierając się i ukazując zawartość. Złożona na cztery kartki papieru opatrzona godłem wypadła na zewnątrz i zatrzymała się przy trupie Zugmanna.

Teraz tylko ona знаła tajemnicę kamienicy w Breslau, ponieważ jedna z pierwszych bomb zapalających spadła na transporter opancerzony, grzebiąc pod jego zgłiszczami dowódcę oraz czterech esesmanów, którzy byli świadkami ukrycia skrzyni.

Breslau stawało w ogniu.



Stefan Gromił wstał wczesnie rano i z niecierpliwością oczekiwał godziny dziewiątej, na którą umówił się z profesorem Ochockim w pobliskim instytucie. Pół godziny przed czasem zszedł po schodach, mijając pracowników firmy transportowej, którzy ustawili się karnie na pierwszym piętrze, czekając na zlecenia. Przed bramą dwie dziewczynki i trzech chłopaków przekomarzali się przed pójściem do szkoły. Usłyszał strzępy dziecięcych rozmów.

– A nie, bo ja...

– Wcale że nie, bo ja...

– Trzeba to załatwić inaczej – wtrącił się jeden z chłopaków. – Wyliczamy.

– Wpadła bomba do piwnicy, napisała na tablicy, es-es głupi pies! Raz dwa trzy, wychodź ty!

„No i wypadło na tę z warkoczykami”. Uśmiechnął się w duchu Gromił i ruszył wzdłuż Szewskiej.

Ochocki najwyraźniej też nie mógł się doczekać, bo milicjant zastał go nad Rybichwostem. Jego pełen miłości i uwielbienia wzrok wodził po misternych zdobieniach, zatrzymywał się przy wgłębieniach i szmaragdach. Obok stał lew. Gromił patrzył na ten spektakl jak urzeczony, bo i jego też dopadła przedziwna, czarowna aura miecza. Ileż dłoni wojowników i wielmożów musiało go dotykać? Ile widział pół bitew? I ile wdów przez niego płakało?

– Dzień dobry, panie profesorze! – zawołał Gromił.

– Aha. dzień dobry, panie poruczniku. Siedzę tu od rana i mierzę, ważę i rysuję naszą rybkę. Wielką władzę musiał mieć nasz komes z taką bronią. Podejrzewam, że dałbym radę tym mieczem przeciąć żelazny pręt za jednym zamachem. Czego mógł dokonać zaprawiony w boju rycerz, nawet nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić. Zupełnie jakby mieć karabin maszynowy pod Grunwaldem. Żadna broń mu nie mogła sprostać. Ciął przez liche żelazo jak przez gomółkę, o *pardon*, o sełkę masła.

– Choć nic tak nie cieszy jak seria z pepeszy. – Uśmiechnął się Gromił ni z tego, ni z owego.

– Może w pańskim pokoleniu. Moje wciąż docenia honorową walkę, pojedynki, starcie dwóch wojowników oparte na zasadach kodeksu honorowego...

– Tak, jasne. Białe konie wchodzące do lokalu gastronomicznego, bale i rauty, szabelki – odezwał się trzeci głos.

Gromił i Ochocki zobaczyli wchodzącego do pokoju Warkota.

– Młodzińcze, proszę tylko bez ludowej propagandy. Szable zostawiało się na raucie w szatni. Jako uświadomiony, wykształcony człowiek powinien pan o tym wiedzieć. Miecze jednak. nie sądzę, żeby jego właściciel rozstawał się z nim nawet w łaźni. Choć może łaźnia to jest nieszczególnie dobra analogia w kontekście komesa Włostowica.

– No tak. – Gromił znowu się uśmiechnął, przypominając sobie opowieść o porwaniach w dawnych wiekach.

– Czy wiadomo coś więcej? – zapytał Warkot.

– Szczegółowe badania potwierdzają tylko, że jest to przedmiot niespotykany i jedyny w swoim rodzaju.

Zdawało się, że lew, jako bohater drugiej kategorii, smutno zwiesił łeb.

– No, ale co dalej? – dopytywał Warkot. – Przecież coś musimy zrobić, gdzieś go przekazać, bo ja wiem, zamknąć na cztery spusty w skarbcu...

– Nie ma takiego skarbcza, do którego oni nie mieliby teraz kluczy – odparował profesor. – Chyba że...

– Jakiego skarbcza, o czym obywatele tu tak rozprawiają? – odezwał się czwarty głos i spiskowcy podnieśli gwałtownie wzrok na nowego gościa.

Był to niestety funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, pułkownik Stanisław Podatny, a za jego plecami Warkot dostrzegł dobrze już sobie znane postacie dwóch smutnych z ironicznie skrzywionymi ustami. Zapadła cisza.

Podatny w godzinie swego triumfu nie zamierzał nikomu oddawać inicjatywy.

– Dziękuję wam serdecznie, towarzysze, za odnalezienie poszukiwanych przedmiotów. Władza ludowa nigdy wam tego nie zapomni, a może i order będzie, premia i awans.

Pułkownik spojrzał wymownie na Stefana Gromiła, który miał ochotę zapaść się pod ziemię w obliczu swojej bezbrzeżnej głupoty i naiwności. Oczywiście, że nie przestali za nimi łązić. Powinni byli cichcem wynieść osobno lwa, miecz, a skrzynię zostawić u niego w domu, podobnie jak narzędzia. Może by się nie zorientowali, a tak. Wszystko na nic.

Kpina Podatnego była wręcz namacalna. Nie mogli nic zrobić i choć oficjalnie profesor Ochocki miał prawo badać odnalezione przedmioty, wiadomo było, że to jest kres jego możliwości. Podatny dał znak swoim ludziom, którzy włożyli lwa do skrzyni, zabrali Rybichwosta ze stołu, owinęli w materiał i też schowali go do środka. Pułkownik wyciągnął dłoń.

– Klucz, poproszę – powiedział Podatny, a Ochocki, chcąc nie chcąc, oddał mu klucze i już miał coś powiedzieć o tajnym zamku, ale zmilczał.

Zgrzytnęło żelazo i przedmioty zostały bezpiecznie zamknięte we wnętrzu żelaznego smoka. Smutni wynieśli skrzynię do samochodu. Podatny został jeszcze, najwyraźniej by napawać się swym triumfem.

– Obywatele, przecież my wszystko wiemy. Chcieliście nam zrobić niespodziankę, a ja wam ją zepsułem. Jestem pewien, że zostanie to umieszczone w pańskim raporcie, poruczniku. Hm?

– Tak jest, obywatelu pułkowniku – rzucił niemal wrogo Gromił, mierząc wzrokiem uśmiechającą się ohydnie kreaturę.

Kiedy Podatny wyszedł, pozostawiając po sobie niezatarte wrażenie oraz kłęb intensywnego odoru taniej wody kolońskiej, Warkot odezwał się pierwszy.

- No to klops.
- Klops – potwierdził Gromił. – Dobrze, że nas nie aresztował.
- Co się odwlecze, to nie uciecze.
- Wypluj te słowa. Mówił o wdzięczności i nagrodzie – zaczął niepewnie Gromił.
- Czyś ty się z choinki urwał? Taki duży porucznik, a wciąż naiwny jak dziecko. Taki to może mówić w poniedziałek jedno, a we wtorek coś zupełnie innego...
- Widzę, że sporo się nauczyłeś, Janku – odezwał się Słupecki, który pojawił się znikąd.
- A pan. do kogo? – zapytał Ochocki. Widział Słupeckiego po raz pierwszy.
- To nasz, tego, no. konsultant – powiedział Gromił.
- Pewnie zagraniczny? – Skrzywił się ironicznie Ochocki, cały czas bacznie przyglądając się pokutnikowi. – A pan to zdaje się nietutejszy?
- Jak najbardziej tutejszy. Od kilkunastu lat. Na placówce.
- Dyplomatycznej?
- Uchowaj Boże! Jakby to powiedzieć, spektralnej.
- Pan zdaje się nie jest całkiem...
- Nie, nie jestem. – Słupecki spojrzał na profesora, któremu twarz rozjaśniła się, jakby w końcu do niego dotarło.
- Zwariowaliście? Wiecie, co by było, gdyby dziekan zobaczył w naszym gmachu najprawdziwszą zjawę? – Najwyraźniej Ochocki był przenikliwszym obserwatorem, niż wszyscy sądzili.
- Przebóg, rozpoznał mnie! – wykrzyknął wesoło Słupecki. – No to już nie muszę niczego zmyślać. Leon Słupecki, do usług.
- Ten Leon Słupecki?!
- No nie, zaczynam pana naprawdę lubić. Znaczy, zna mnie pan?
- Oczywiście. Naturalnie do tej pory jedynie ze źródeł. Ale że pana puścili. No, no! Wyższa Instancja, mam na myśli.
- Może doszli do wniosku, że bardziej im się przydam tutaj na ziemi niż konkurencji tam na dole. Warunki dalekie od cywilizowanych. Estetycznie i moralnie nie do obrony. Ale skoro zna pan moją historię, to muszę jeszcze tylko dodać, że pomagam tym moim urwisom w odwiecznej walce dobra ze złem. I jak najbardziej urzędowo.
- Słupecki streścił Ochockiemu kulisy ich znajomości. Profesor coraz szerzej otwierał oczy ze zdumienia, aż w końcu nie wytrzymał.
- I to wszystko prawda? Jak na świętej spowiedzi?
- Najświętsza prawda. Przeżywamy plagę zawodowych morderców, którzy od dawna czaili się na różne relikwie, by używać ich w zakazanych rytuałach. A teraz usłużny pan pułkownik wytargał jedną z nich przy pomocy swoich sługusów. Pójdzie pewnie po nagrodę.
- I nie przeraża to pana?
- Nie, ponieważ w odpowiednim momencie ugryzł się pan profesor w język. Kiedy chciał pan powiedzieć o drugim zamku. Smutni to tępe osiłki, a zaślepieni szaleństwem

krwiopijcy nie mają zmysłu technicznego i nie wpadną na to, że drugi zamek blokuje pierwszy. To już ich taka przypadłość. Żeby pan profesor widział, jak marszczyli nochale nad astrolabium czy pierwszymi czasomierzami. To w gruncie rzeczy prymitywne bestie bazujące na swych morderczych instynktach. To prawdziwy cud, że Sabiej nauczył się prowadzić samochód. Dawniej wozili go wszędzie. Tutaj chciał mieć odrobinę niezależności. Ale zamka nie rozgryzą, dlatego jestem całkowicie spokojny. Niech sobie zabiorą skrzynię, a my im i tak ją odbierzemy, bo wiemy, gdzie będzie. – Mrugnął do Gromiła i Warkota.

– Pan Leon odkrył tunel z dworca do willi. Możemy się podkraść niepostrzeżenie. I racja, poczekamy spokojnie, aż Podatny zawiezie im skrzynię i przyjdzie po nagrodę. – Gromił pospieszył z wyjaśnieniami.

– A potem co? – Warkot nie miał zamiaru ustąpić.

– Potem. oddamy przedmioty ich konkurencji. – Uśmiechnął się tajemniczo Słupecki.

– Znaczy komu? Amerykanom? – Warkot potrafił być jednak wciąż naiwny jak dziecko.

– Tak, słyszałem, że kardynała uwolnili. pewnie na krótko – powiedział Ochocki.

– I przyjedzie tu na poświęcenie katedry – dokończył Gromił.

– O czym wy mówicie? – Warkot chciał koniecznie wiedzieć.

– O poświęceniu katedry. Krwiopijcy nie lubią się tam pokazywać, a do tego zostawimy im niespodziankę w drzwiach. He, he. – Słupecki był bardzo zadowolony ze swego planu.

– Ale dlaczego w katedrze?

– Bo jest to największy obiekt sakralny naszego miasta, a Wielką Synagogę wysadzili już przed wojną, dlatego! – Słupecki w końcu się zirytował.

– I nie mogą tam wleźć?

– Teoretycznie mogą. Ale wierząc w swoje nadprzyrodzone moce, nie chcą się narażać, bo to poświęcona budowla. Że tak powiem, religia im zakazuje. Do tego siła sugestii sprawia, że wejście na poświęcony grunt to dla nich bardzo bolesne doświadczenie i może się źle skończyć dla każdego z nich.

– No tak, to jest dobry plan. Ale co powiemy oficjalnie? – zapytał Gromił.

– Pana już o to głowa nie boli. Odnalazł pan artefakty, tak? Odnalazł. Przekazał władzom zwierzchnim, które wyraziły swoje uznanie dla pańskich wysiłków? Przekazał pan. Ma pan to z głowy? Jak najbardziej. Teraz niech się Podatny martwi, co będzie, jak skrzynia znów zniknie. A pan spokojnie dokończy raport dla majora, który w świetle odnalezienia przedmiotów odłoży wszystko ad acta. KA–PE–WU?

– Pan, panie Leonie, naprawdę obraca się ostatnio w bardzo podejrzanych kręgach. – Gromił zwrócił uwagę na dość nieudolne próby użycia gypsu przez średniowiecznego upiora.

– Bywało się tu i ówdzie. Mam swoją gwardię przyboczną. Lwowskich batiarów, łobuzów i chuliganów, ale serca u nich złote, a czerwonego nienawidzą jak psa...

– Kapusta powiedziała, że to ten pies, co kłamie. – Warkot parsknął śmiechem.

– Jak to kłamie? Jaki pies? Ja już nic nie rozumiem – zdziwił się Ochocki.
– A to taki nasz prywatny żart. – Uśmiechnął się Gromił.
– W takim razie do dzieła. Profesor chowa notatki dotyczące miecza, bo jeszcze gotowi są też je skonfiskować. W sumie dziwię się, że tego nie zrobili. Jan do drukarni. A porucznik pisze raport dla majora, żeby formalnościom stało się zadość. Ja natomiast, tup, tup, tup, za skrzyneczką...
– Trup, trup, trup, panienczko. – odezwał się śpiewnie, za to ni w pięć, ni w dziewięć Ochocki, parafrazując ludową piosenkę.
– Niech pan uważa, panie profesorze, bo ponoć jest łapanka do zespołu Śląsk. Na baletnicę to mi pan nie wygląda, ale do chóru jak najbardziej – zauważył zgryźliwie Warkot.
– Oczywiście, w chórze wujów. – Ochocki dokonał towarzysko-muzycznej samokrytyki.
– Panowie, panowie, proszę bez obsceny. No to ja znikam. – I słowa dotrzymał.
Spiskowcy, nowi czeladnicy Bractwa Wołoskiego, rozeszli się do powierzonych zadań.
Zbliżało się południe i każdy z nich miał doskonale wytłumaczenie swojej absencji w miejscu pracy.



Festung Breslau

Wielkanoc, 1 kwietnia 1945 roku

W domu pod Żłotym Pokojem, Gwiazdą i Świątynią zapanowała głucha cisza. Wszyscy mieszkańcy zeszli do prowizorycznego schronu, ale też znaleźli się tu obywatele zamieszkujący pobliskie kamienice, dla których zabrakło miejsca w innych piwnicach. Był więc Theodor Czapella, mistrz stolarski, który przyszedł z odległego numeru trzydzieści dwa, bo już wcześniej bomba naruszyła jego dom. Był Georg Heinrich spod czwórki, urzędnik państwowy ze znaczkiem NSDAP w klapie. Była pani Holzapfer, krawcowa z oficyny, u której niegdyś stroiły się wszystkie elegantki z miasta, był Erwin Keller, inspektor budowlany spod piątki, Irma Cohn, wdowa po fabrykancie, oraz Frantz Elke, handlarz końmi, a obecnie bezrobotny z kamienicy numer trzydzieści siedem. Był pan Karl Adamski, który, wróciwszy z Ameryki do rodzinnego Breslau z majątkiem, został w mieście, rezydując na dwóch ostatnich piętrach kamienicy, choć i tak musiał nosić trójkąt z literą P na ubraniu, oraz pan Gunter Kuhle, artysta malarz mieszkający wraz z małżonką u Adamskiego na samej górze, sprzedawca Georg Smytkowski z rodziną i pan Erich Pelz z żoną z kamienicy Błogosławieństwa Bożego z naprzeciwka, przedstawiciel szlacheckiego zawodu

szewskiego, od którego to cała Schuhbrücke wzięła w średniowieczu swoją nazwę.

W piwnicy zebrało się grono osób stanowiących przekrój narodowościowy mieszkańców niemieckiego Breslau. Zabrakło tu tylko Fritza Guttentaga, spod siódemki, drobnego wytwórcy, którego duch wciąż jeszcze unosił się nad wszystkim. Franc Israel Guttentag dostał w 1940 roku papier, w którym kazano mu się stawić na punkt zborny wraz z niezbędnym dobytkiem. Od tamtej pory nikt go nie widział. Imię Israel zostało mu nadane przez hitlerowską administrację, żeby nikt nie miał wątpliwości, z kim ma do czynienia.

Wszyscy obecni drżeli o życie i swoich najbliższych. Z każdym wybuchem kulili się teraz przy światłach lamp naftowych, z niedowierzaniem przyjmując fakt, że tak właśnie przychodzi im spędzać świąteczny wielkanocny poranek. Salwy nie ustawały, wręcz przeciwnie – nasilały się i zbliżały niebezpiecznie do Starego Miasta, tak że tynk zaczął się sypać z sufitu piwnicy, zasypując wszystkich białym pyłem.

– To oburzające – odezwała się pani Holzapfer – dlaczego nasi nie pogonią tych bolszewików?

– No ty wyłaż pani na ulice i machaj, żeby zawracali – rzucił kpiąco Smytkowski, który miał już dość płaszczenia się przed Niemcami. Przyciskał żonę i córeczkę do piersi, jakby chciał mężowsko-ojcowskim uściskiem ochronić je przed bombami.

– Proszę tylko bez takich – odezwał się ostrym głosem narodowy socjalista Georg Heinrich, rasa aryjska, typ nordycki i tak dalej, który nie wiedzieć czemu nie poszedł jak inni w jego wieku na front.

– Dekownicy. – Z pogardą splunął Erich Pelz, którego dwaj synowie już zdążyli zginąć pod Stalingradem.

Gdzieś bardzo blisko nastąpiła eksplozja. Zadrżały mury i zamigotały płomyki w lampach.

– Drodzy państwo, sąsiedzi – zaapelował Adamski – wszyscy jedziemy na tym samym koniu, równie dobrze to mogą być nasze ostatnie święta.

– Wypluj pan to słowo! – odezwał się Frantz Elke – nie trzeba kusić losu.

– A w ogóle, dlaczego to nie jest aryjski schron? – krawcowa Holzapfer wyraziła szczerze narodowosocjalistyczne oburzenie.

– Jak się pannie hrabiance nie podoba, to droga wolna. – Elke też już miał dość.

– Można by zastosować kryterium, że z piwnicy mogą korzystać tylko lokatorzy – zauważył pragmatyczny, jak zawsze, inspektor budowlany Erwin Keller. Niemieckie rozwiązania praktyczne zawsze były przecież najlepsze.

– Nie będzie żadnego wprowadzania kryteriów – odezwał się gromkim głosem Adamski, który w końcu był właścicielem połowy kamienicy. – Takie gadanie to zwykły bołszyt! – dodał z amerykańską. – Wszyscy w tym siedzimy razem i razem będziemy czekać. Zrozumiano? I dość już o tym.

Irma Cohn poruszyła się niespokojnie, bo na własnej skórze przekonała się, na czym polegało wprowadzanie kryteriów specjalnych. Jej mąż, właściciel dobrze prosperującego sklepu z artykułami piśmienniczymi, został w trzydziestym ósmym

wywieziony w nieznanym kierunku i tylko sucha informacja na urzędowej kartce zawiadamiająca o jego zgonie świadczyła, że w ogóle kiedyś należał do pełnoprawnych obywateli Breslau. Chociaż ona sama pochodziła z dobrej, mieszczańskiej niemieckiej rodziny, teraz została jej klitka w oficynie, ponieważ skalala rasę. Przemykała się cichcem pod ścianami, żeby nie wzbudzać zainteresowania innych.

– Wszyscy macie nie po kolei w głowie, ja to od dawna mówiłem, ale czy mnie kto słuchał? Jakby powiedziano, ty Frantz oddaj III Rzeszy swoje pieniądze, oddaj siły i środki i jedź sobie, gdzie oczy poniosą, to ja powiedziałbym *gut*, mogę jechać. Ale nie, interes upadł, ale jechać nie pozwolili. A mam kuzyna w Szwajcarii i mógłbym tam otworzyć biznes, tam lubią koniki. Góry, świeże powietrze. Ale ten mój szwajcarski kuzynek jakoś się nie palił, żeby krewnego z Breslau do siebie wziąć na wikt i opierunek. No to siedzę tu i patrzę, co się dzieje. I dobrze było przed wojną, dostatnio było, ale nie, ciągiem mało i teraz wszystko *kaput*, płacz tylko i zgrzytanie zębów.

– Frantz, daj spokój. – uspokajała go Irma Cohn.

– Ja mogę dać święty spokój, ale czy *Russen* dadzą nam spokój? Nie sądzę.

– No i dziwią się, że wojnę przegrywamy z takimi obywatelami – zaperzył się inżynier Keller.

– Teraz to ja dla pana obywatel. – rzucił Frantz – . a jeszcze niedawno. Koni pan żałujesz na front, panie Elke, co z pana za patriota? Pańskie słowa!

– Teraz to już cały pański asortyment skończył w żołnierskich menażkach, i perszerony, i te wyścigowe.

Elke nie mógł się pogodzić z końskim losem. Być może miłość do zwierząt świadczyła o tkwiącej w nim resztkę człowieczeństwa, a może była to zwykła obojętność wobec losu wszystkich zabitych i pomordowanych. Teraz, kiedy sobie trochę gołnął, zdobył się na odwagę, by rzucić w twarz sąsiadom, co myśli na ten temat.

Adamski postanowił uciąć te rozmowy o niczym. Nie wnosiły niczego i nie były w stanie odegnać nasilającej się kanonady. Trzymali drzwi otwarte wbrew zasadom panującym w schronach, bo też nie był to regularny schron, ale zwykła piwnica, i chcieli, bardzo wszyscy chcieli usłyszeć, jak Rusczy dają za wygraną i przestają strzelać. Nagle coś huknęło w pobliżu. Był to głuchy odgłos, jakby ktoś sobie upuścił bańkę z mlekiem na nogę. Coś zaszurało i zazgrzytało niemiłosiernie. Na krętych schodach pojawił się ciemny kształt.

„Szczur? – pomyślał Adamski. – Ale taki wielki?”

Na ich oczach do piwnicy domu sprzed pięćdziesięciu lat wpadła niewielka bomba lotnicza, sunąc ze zgrzytem po kręconych schodach niczym żywe, drapieżne zwierzę poszukujące ofiary. *Bą, bą, brzdęk...* Musiała wpaść przez otwór dziedzińca, ominęła dach i spadła na pozostawiony w pośpiechu materac, ale zsuwała się dalej, toczyła nieco bokiem, odwracając się na stopniach, nosem z zapalnikami w dół, ku zgrozie i przerażeniu zebranych w piwnicy mieszkańców.

Wszyscy zamarli. Mogła to być bomba z opóźnionym zapłonem, choć nie podejrzewano Ruskich o takie technologiczne wyrachowanie. Ładunek zatrzymał się na

betonowej posadzce piwnicy o trzy metry od podkurczonych nóg Czapelli, który jęknął tylko, wybałuszając oczy. Nikt nic nie mówił, nawet nie oddychał, wszyscy wpatrywali się w pomalowanego na ciemny kolor potwora z czerwoną gwiazdą na boku. Widniał na niej napis cyrylicą *Za Rodinu, za Stalina*.

Maszka wystawiała kolec zapalnika niczym jadowity skorpion. Dlaczego nie eksplodowała w chwili zetknięcia z ziemią, tego nie wiedział nikt. Albo w fabryce u Ruskich pracował jakiś sabotażysta, albo też to zwykła nedoróbka. Tak czy inaczej, bezpieczniej by im było z koszem pełnym węży niż z tym koszmarem zamkniętym w metalowym pojemniku. Musiała być to bomba zapalająca, bo była naprawdę niewielkich rozmiarów. Miała jakiś metr długości. Bez względu na to, mogła zniszczyć cały budynek, obejmując go niedającą się ugasić pożogą i zabijając wszystkich lokatorów w jednej sekundzie.

Wszystkim się zdawało, że coś tyka w środku, ale było to tylko złudzenie; słyszeli echa zamków karabinów maszynowych ostrzeliwujących samoloty. Nic nie tykało. Bomba najwyraźniej czekała na zachętę z ich strony. Córka pana Smytkowskiego zaczęła płakać. Mężczyźni wstrzymywali oddech, ktoś zaczął się głośno modlić. Tak oto wojna stanęła w ich progu, za nic mając narodowość, rasę czy przynależność partyjną. Nie mogli nic zrobić, w żaden sposób, bo przecież nie wiadomo, jak się zachowa monstrum przy próbie podniesienia go z ziemi. Nikt się nawet gwałtownie nie poruszał, a głosy wydawali ciche i wyważone. Wpatrywali się z przerażeniem w bombę.

– A, panie Smytkowski, co to za esesman szedł do pana, kiedy wszyscy schodziliśmy? – zapytał Adamski, żeby rozładować napięcie.

– Nie mam pojęcia. Widziałem go na dole. Czegoś najwyraźniej szukał.

– Może guza? – zapytał zaczepnie Frantz Elke.

– Pognał na górę, jakby go kto gonił...

– Pewnie się już nie dowiemy. – wyszeptała szewcowa, pani Pelz, żegnając się pospiesznie.

– Proszę nie upadać na duchu...

– *Lieber Gott*. – wyszeptał Heinrich. – Das ist schrecklich!

– No to przekonamy się, czy On jest z nami. – rzucił kąśliwie Frantz Elke. – Bardzo bym chciał się przekonać.

– Frantz...

Wydawało się, że unoszący się nad nimi duch dawnego lokatora pobliskiej kamienicy, Guttentaga, dolewa jeszcze oliwy do ognia: *Gutn glik! Szejnem dank, meszuge gojem! Frejlech Pejsech!* (Szczęścia życzę, piękne dzięki, szurnięte goje! Szczęśliwej Paschy!).

Wszyscy milczeli, wpatrując się w nieruchomego prześladowcę i wsłuchiwali się w dudnienie dział, jakby była to najsłodsza muzyka w ich uszach, bowiem to nie odgłos wybuchu ich bomby. Po dwóch godzinach starali się nawet nie patrzeć na niewypał, jakby fakt ignorowania go mógł powstrzymać sprężynę tkwiącą w zapalniku.

O wpół do szóstej po południu kanonada ucichła tak nagle, jak się rozpoczęła. Przez

dobrze pół godziny wciąż siedzieli w piwnicy, bojąc się, że przy próbie przejścia nad bombą ona w końcu nie wytrzyma i pęknie na tysiące płonących fragmentów. Najgorzej było jednak, gdy pojawiło się Sonderkommando saperów i po pełnym napięcia kwadransie żołnierze wynieśli niewypał, a stamtąd zapakowali go na ciężarówkę.

Wtedy mieszkańcy cudem uratowanej kamienicy w milczeniu zaczęli wychodzić na dziedziniec. Szli po schodach cali biali od tynku, nie patrząc sobie w oczy. Theodor Czapella wyszedł na ulicę srebrny jak gołąbek. Osiwiał w ciągu tych kilku godzin całkowicie. Później, żeby nie zapeszyć, wszyscy w swoich mieszkaniach zasiedli do świątecznych stołów, odmówili modlitwę dziękczynną za darowane życie i starali się zapomnieć o całym wydarzeniu.

Ciało Waltera Zugmanna zniknęło podobnie jak bomba, najwyraźniej zabrane przez służby medyczne. Została tylko duża, czarna już plama zakrzepłej krwi. Dopiero po wojnie żona pana Adamskiego, którego władze nie chciały wypuścić z powrotem do Ameryki, bo on sam nie zadbał wcześniej, by otrzymać amerykańskie obywatelstwo, opowiedziała całą historię pani Apolonii, sąsiadce Stefana Gromiła.

A dzieci, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co mówią, skandowały wyliczankę:

– Wpadła bomba do piwnicy, napisała na tablicy es-es, głupi pies!



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

MAJOR OPÓŹNIA AKCJĘ...

W krzyckiej willi zapanowało prawdziwe uniesienie, kiedy pułkownik Podatny wykonał rozkaz i przywiózł skrzynię z bezcennymi przedmiotami. Sabiej uściskał zdumionego Podatnego, całując go po proletariacku niczym solenizanta. Smutni wstawili skrzynię do salonu z oknami wychodzącymi na ogród. Wsiadli do samochodu i czekali na szefa.

Sabiej postawił skrzynię na honorowym miejscu, dźwigając ją samemu bez większych problemów. Wziął klucz od pułkownika, włożył go do zamka, przekręcił i. Nic się nie wydarzyło.

– Jest pan pewien, że to dobry klucz? – zapytał poirytowany konsul.

– Jak najbardziej, przecież pan go przekręcił, musi więc. – Podatny zaniemówił. – Ten cholerny profesorek! Zawołajcie moich ludzi z wozu.

Smutni stawili się na rozkaz. Rozglądali się ukradkiem po pełnym przepychu pomieszczeniu. Czuli, że coś tu jest nie tak, ale nie potrafili określić, co dokładnie. Chyba pierwszy raz w życiu poczuli się nieswojo.

– Macie mi ściągnąć tu tego profesora, na jednej nodze!

– Tak jest, obywatelu pułkownika! – wykrzyknął służbiście jeden z nich, zagłuszając krzykiem swój strach przed przełożonymi.

Smutni odjechali z piskiem opon, a Podatny zwrócił się do Sabieja.

– Za chwilę będziemy go mieli, Walenty Iwanowiczu. Otworzymy skrzynię.

– Lepiej, żeby tak się stało. Trzeba było go od razu zapakować do wozu!

– Ależ, Walenty Iwanowiczu...

– Dobrze, już dobrze. Tak się pan cieszył z odkrycia, że zapomniał o całym świecie. Zdarza się. – Popatrzył z wściekłością na dzieło wrocławskich rzemieślników i pomyślał, że tak blisko jeszcze nigdy nie byli. A zarazem tak daleko. – Psiakrew! Na wszystkie ogary piekieł! Na ogon Anubisa!

Kynologiczne klątwy ciągnęły się dobrych kilka minut. Zrezygnowany Trzeci siadł w fotelu i zaprosił Podatnego, by zajął miejsce obok. Sięgnął po kryształową karafkę i nalał dwa stakany przezroczystej ciecchy. Wypił jednym haustem. Podatny niepewnie łyknął ze szklaneczki i zakrzuszył się tak, że trzeba go było poklepać po plecach.

– Spirytus! – wybełkotał.

– A co, brak wprawy u was, Stanisławie Ignatowiczu? Kolew szkolenia nie przeprowadził do końca?

– Ja nie. Tylko z zaskoczenia mnie wzięliście...

– Pokazałbym ci ja, co to jest brać z zaskoczenia, aleście się spisali dzisiaj, więc dajmy spokój...

Podatny poczuł zimny dreszcz na plecach i strużkę potu spływającą po czole. Za oknem rozległ się pisk hamującego samochodu. Po chwili smutni niczym bracia

syjamscy wparowali do salonu.

– Nigdzie go nie można znaleźć, obywatelu pułkowniku. Jak kamień w wodę. – wykrztusił jeden z nich. – Rozpłynął się w powietrzu, jak to mówią...

– Nie ma profesora? No to po co ja was w ogóle trzymam, jak jednego starszego pana nie możecie mi znaleźć? Macie go tu przywieźć natychmiast! Szukać aż do skutku! Wykonać!

– Taa jest!

– No i wymknął się nam profesorek.

Sabiej, nawet nie patrząc na Podatnego, wyszedł z gabinetu i zszedł po schodach do piwnicy. Stanisław, nie wiedząc, co ma robić, ruszył za nim. Nie była to przemyślana decyzja.



– Szanowny panie Leonie, ale po co ten pośpiech?. – zapytał profesor.

– Zupełnie mnie zaćmiło. Przecież nie będą mogli otworzyć skrzyni i od razu po pana przyjadą.

Słupecki miał rzadki moment autorefleksji i złościł się na swój brak przenikliwości. Popędzał teraz Ochockiego, który sapał, stękał i niemrawo protestował, znosząc takie postępowanie. W skórzanej teczce dzierżył wszystkie rysunki i dokumenty związane ze średniowieczną skrzynią i jej zawartością. Zabrał też odruchowo kilka najcenniejszych przedmiotów, które trzymał na uczelni. Słupecki twierdził, że zrobią mu kipisz w gabinecie.

Szli bardzo szybko przez mosty na Piasku i zatrzymali się tylko w budynku filologii. Na portierni Słupecki jakimś cudem przekonał portiera – staruszka, że muszą skorzystać z telefonu, że nagła sprawa, niecierpiąca zwłoki...

Kiedy Ochocki dostał już upragniony telefon, zadzwonił do żony, która była właśnie w pracy. Kazał jej zabrać córki i wyjechać na kilka dni do siostry, do Krakowa. Słupecki mówił, że nie będą ich szukać, ale nigdy nie wiadomo. Licho nie śpi. Krwiopijcy byli w stanie zrobić wszystko, byleby tylko dostać się do zawartości skrzyni. Żona nawet nie protestowała, bo znała bardzo dobrze męża i wiedziała, że nie mówiłby czegoś takiego bez powodu. Westchnęła tylko ciężko, odłożyła słuchawkę i zaczęła pospiesznie pakować rzeczy do torebki.

Słupecki z Ochockim pognali dalej. Zwolnili dopiero za zielonym mostkiem. Tutaj, na poświęconej ziemi, nie wypadało gonić jak stado potępieńców. Skręcili w starą uliczkę za wymagającym remontu dwupoziomowym kościołem Świętego Krzyża z XIII wieku, którego kanonikiem – przez ponad trzydzieści lat – był Mikołaj Kopernik. Mijając olbrzymią dziurę w ziemi, znaleźli się tuż przy ogrodzie botanicznym. Tu w czasie wojny działała bateria przeciwlotnicza, a po wojnie saperzy musieli się nieźle

narobić, żeby oczyścić teren z materiałów wybuchowych. Teraz widać było nowe nasadzenia i troskę, z jaką pracownicy ogrodu pielęgowali zgromadzone tu okazy botaniczne.

Mężczyźni minęli bramę i skręcili w ulicę Kanonii, gdzie pod numerem dwunastym znajdowało się Muzeum Archidiecezji Wrocławskiej. Słupecki szarpał nerwowo za rączkę dzwonka, aż któraś z sióstr zakonnych otworzyła im drzwi.

– My do księdza – powiedział Słupecki. – Proszę powiedzieć, że imię Leon Słupecki z profesorem Ochockim, osobiście.

Siostra znikła, ale wróciła po chwili z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Niech panowie wejdą.

Przeszli przez duży hol i później na piętro, gdzie urzędował ksiądz Wincenty Urban, lwowiak osiadły we Wrocławiu. Wielki miłośnik i znawca sztuki, dobry duch archidiecezjalnych zbiorów. Dzięki niemu kolekcje muzeum wzbogaciły się o wiele cennych eksponatów, które – podobnie jak Ochocki – tropił, wyszukiwał i wrywał z gardła zapomnienia.

– Witam, drogi panie Słupecki!

– Pochwalony Jezus Chrystus.

– Na wieki wieków. Widzę, że mi pan znamienitego gościa przyprowadził. Panie profesorze, wiele o panu słyszałem, to dla mnie zaszczyt.

– Ja również wiele dobrego słyszałem o księdzu.

Kurtuazyjna rozmowa trwała krótko, bo nie mieli wiele czasu. Słupecki w bardzo zwięzły sposób opowiedział, że Ochockiego tropi UB, choć taktownie milczał, dlaczego służby go poszukują, oraz nie poruszał tematów nadprzyrodzonych. Ksiądz Urban kiwał głową i kilka razy spojrzał przenikliwym wzrokiem na Słupeckiego. Kiedy ten skończył, dopiero zabrał głos.

– Gdybym pana nie znał, panie Leonie, to powiedziałbym, że chce mi pan tu niezły pasztet sprokurować, ale jako że znamy się nie od dziś, powiem tak: nie jestem już, co prawda, dyrektorem Muzeum, ale jeszcze kilka kontaktów mam i pana profesora mogę przez parę dni przechować. Idą ciężkie czasy dla kościoła, bo znalazło się kilka czarnych owiec, które czerwony na swoją stronę przekabacił. Nazwali się patriotami, choć to tylko fasada. Zwykle zaślepienie, albo i też tchórzostwo powoduje nimi, bo z czerwonym się kumają. Myślą, że im to coś pomoże. Otóż nie, nie pomoże. Dobrze pan wie, panie Leonie, jak postępuje czerwony z katolikami, boś pan ze mną we Lwowie był i niejedno też widział. Ale mów, z czym pan jeszcze przychodzi, bo znamy się na tyle dobrze, że wiem, iż pan coś w zanadrzu chowasz.

– Znaleźli Rybichwosta.

– Niemożliwe! Tu we Wrocławiu?

– A gdzieżby indziej? Był zamurowany w mieszkaniu znajomego. Ledwośmy zatargali kufer z mieczem i lwem, a już UB nam go wydarło. Dlatego szukają profesora.

– Żeby co, badał go dla nich?

– Nie. Żeby otworzył im skrzynię. – Uśmiechnął się złośliwie Słupecki.

– Skrzynia ma podwójną zapadkę i zabezpieczenie? Znam ja ten typ. Mamy w muzeum podobną. Moskal chciał się do niej dostać, ale za głupi był. A tam zapadka. I dopiero po jej naciśnięciu skrzynię można otworzyć. Niemcy schowali w niej naszą Księgę henrykowską. Ani chybi zniszczyliby bezcenny zabytek po złości, że nie złoto i kamienie, tylko jakaś książka. Dobrze sobie, jakaś książka! Były dwie takie skrzynie i ta wasza to pewnie ta druga. Czyli ja też znam sposób, jakim się ją otwiera.

– No właśnie. Wiemy, gdzie przechowują skrzynię. I to nie jest na Podwalu. Chcemy się zakraść i odebrać relikwię.

– Tylko uważajcie, bo w tych ludziach krztyny honoru nie ma. Możecie ściągnąć na siebie wielkie nieszczęście. – Ksiądz Urban najwyraźniej znał jedynie ludzką postać Leona Słupeckiego.

– Wiemy o tym, mamy wszystko opracowane.

– A co chcecie, panowie, zrobić z tymi przedmiotami, kiedy już się odnajdą?

– Oddać w prawowite ręce. W ręce kościoła i wiernych na użytek całej wrocławskiej trzódki.

– Och, chwała Ci, Panie! – Ksiądz Urban wznosił dłonie ku górze.

– Tylko tu będą bezpieczne, bo. – odezwał się profesor.

Słupecki kopnął Ochockiego w kostkę.

– To ja zostawiam już panów, bo obowiązki czekają. – Upiór spojrzał groźnie na profesora, nakazując mu milczenie w sprawach, których nie należało jeszcze poruszać.

Ksiądz umieścił Ochockiego w jednym z pokoi na ulicy Kanonia, Słupecki pożegnał się grzecznie i wyszedł od Ubrana. Wiedział, że naukowiec będzie bezpieczny.



Stanisław Podatny, pułkownik Urzędu Bezpieczeństwa, wiedział, na co się pisze. W rozmowach z Kolewem temat jego „przyjęcia” do grona wybranych wciąż powracał. Podatny jednak wtedy myślał, że chodziło o dołączenie do prawdziwej elity sprawującej władzę w krajach demokracji ludowej, do najlepszych i najbardziej wtajemniczonych. Sam sobie potwierdził, że i owszem, ale wyprowadził go z błędu, podkreślając, że sam akt przyjęcia nie będzie dla niego ani miły, ani przyjemny. Wręcz przeciwnie. Będzie wymagał od Podatnego stalowych nerwów, wymazania z pamięci tego wszystkiego, czego go nauczono, by mógł w pełni czerpać ze źródła tajemnicy.

Kiedy zeszli do piwnicy, Podatny zobaczył dziwną scenę. Pod ścianą stał jakiś starożytny posąg, ni to egipski, ni południowoamerykański. Został wykonany z kamienia i przedstawiał jakieś koszarne starożytne bóstwo z ozorem wywalonym z paszczy najeżonej setką ostrych kłów. Figura miała wytrzeszcz oczu, choć nie z powodu problemów z tarczą, ale by przerażać każdego, kto na nią spojrzy. Miała też jakąś maskę czy koronę na głowie z wijącymi się węzłami i skorpionami. Jej szponiaste

dłonie wznosiły się na wysokość dorosłego człowieka i można było przysiąc, że lada chwila pochwyci nieszczęśnika w swe pazury, by rozedrzeć go na sztuki. Potwór kucnął na kamieniu – wyryto na nim jakieś inskrypcje w języku, którym nikt nie mówił od wielu tysięcy lat. U podstawy widniały bielące się czaszki i kości ludzi. Całość sprawiała tak odpychające wrażenie, że Podatny mimowolnie odwrócił wzrok.

Wtedy ją zobaczył. Pod ścianą siedziała zmalretowana, młoda, dość pulchna dziewczyna o białych jak len włosach. Była cała rozczochrana i zapłakana. Spoglądała na Podatnego z nadzieją w oczach, jakby mógł ją wyzwolić, uratować od tych monstrów, które ją tu uwięziły.

– Proszę pana! Proszę pana! – zawołała Marlena Kuchta. – Niech mi pan pomoże! Ja przecież nic złego nie zrobiłam. Byłam tylko na spotkaniu założycielskim Towarzystwa imienia Jakuba Szeli. Wtedy taki jeden pan podszedł do mnie i zapytał, czy znam Staszka Koguta, no to ja powiedziałam, że tak, a wtedy on zaprosił mnie na kawę i ciastko. Dalej nic nie pamiętam. Obudziłam się tutaj przykuta do ściany. Proszę pana, błagam pana, niech mi pan pomoże!

– Nie jest to może dziewica, *sensu stricto*, ale ujdzie w tłoku – rzucił Sabiej.

Jego oschłe słowa wywołały kolejną falę płaczów i szlochów. Sabiej, nic sobie z tego nie robiąc, zaczął ustawiać coś przy posągu. Były to stare czarki z brązu o kształcie ludzkiej czaszki z otworem w czerepie.

– Ratuuuunku! – wydarła się Kuchta.

– Milcz, bo przez pysk zdzielę! A potem zaknebluję – warknął Sabiej.

Studentka zamilkła w jednej chwili. Tak zwaną siłę nieczystą знаła z rozlicznych ballad i podań ludowych, choć do tej pory był to dla niej wyłącznie folklor i bajanie starych bab przy darcie pierza. Teraz zaczynało do niej docierać, że większość tych utworów jest w istocie zapisem z natury. Włos jej się jeżył, gdy przypominała sobie powoli każdy z utworów, w których występowały wilkołaki, południce, topielce i inne stwory, bo jeśli nawet cząstka z tego była prawdą...

Ten brutal miał przekrwione, czarne ślepia i Marlena za nic na świecie nie chciała, żeby znów się zdenerwował. Pochlipywała więc sobie w kąciku, zerkając z nadzieją na mężczyznę w średnim wieku w prochowcu, który przyszedł tu za nim. Wydawał się normalny, choć gdyby wiedziała, ilu niewinnych ludzi wyprawił na tamten świat, zadrżałaby z trwogi.

„Ach, gdyby Staszek tu był, obroniłby mnie. ” – Aż drgnęła ze strachu, gdy uzmysłowiła sobie, że ten łajdak, który oto tu stoi przed nią, mógł być poszukiwanym mordercą.

„WAMPIR! – przemknęło jej przez myśl. – Prawdziwy wampir z gazety!”



Kiedy zbiry Podatnego wywracały na nice gabinet profesora Ochockiego, wzbudzając niezdrową ciekawość w instytucie, Gromił stawiał się u majora Jacka Horeszki, by złożyć raport. Uwzględnił w nim oczywiście zarekwirowanie przedmiotów przez pułkownika Stanisława Podatnego i jego obietnicę rychłego awansu w nagrodę za odnalezienie przedmiotów.

Major spojrział na młodszego przyjaciela niezwykle bystro i przenikliwie.

– No dobrze, a co tam się zdarzyło naprawdę?

– Naprawdę jest tak, jak napisałem w raporcie. Odszukaliśmy, odkuliśmy, zanieśliśmy i na drugi dzień, kiedy mieliśmy już zameldować o znalezieniu poszukiwanych przedmiotów, zjawił się pułkownik i zarekwirował skrzynię. Co z nią było dalej, tego nie wiem.

– A jak ci się wydaje?

– Myślę, że nie dojechała na Podwale. Myślę, że jest w willi Sabieja. Ale nie otworzą jej, bo nie potrafią.

– Wiesz, że możesz zapłacić życiem za tę wiedzę?

– Właśnie dlatego celowo pominąłem w raporcie mój udział w otwarciu skrzyni. Napisałem tylko, że została otwarta w instytucie i że oglądaliśmy przedmioty, kiedy się tam zjawiłem z Warkotem.

– Czyli zrzuciliście cały wagon cegieł na profesora?

– Z tego, co wiem, profesor i jego rodzina są bezpieczni. – To była prawda, Gromił dowiedział się od Słupeckiego przed godziną.

– Co zatem planujesz?

– Odbić zabytkowe przedmioty, skarby kultury narodowej, z rąk adenauerowskiej mafii, która pod płaszczykiem oficjalnych poszukiwań postanowiła przeszmużlować zabytki do Bonn, by tam sprzedać je z zyskiem na jakiejś aukcji. W wyniku poszukiwań oraz sprawnie przeprowadzonej akcji zginął śmiercią gwałtowną konsul ZSRR oraz jeszcze kilka osób zastrzelonych przez kapitalistycznych sabotażystów, którzy poruszali się po mieście skradzionym pojazdem marki pobieda i od dwóch miesięcy mordowali świadków swego procederu. Zbrodniarze dodatkowo odsączali krew ofiar, by wysłać ją do Korei dla rannych żołdaków MacArthura. Depesze kondolencyjne zostaną wysłane do Moskwy, może też polecieć głowa tego, kto aktualnie jest w posiadaniu skrzyni. Oficjalnie. – Gromił uśmiechnął się zgryźliwie.

– Wiesz, że to strasznie grubymi nićmi szyte?

– Wiem, ale tak o tym napiszą w prasie. W nowym duchu żurnalistyki...

– Widzę, że zapoczątkujesz nowy gatunek literacki, artykuł na zamówienie społeczne.

– To już istniało od dawna, ja tylko udoskonalam formę.

– Może ci się udać. Nam wszystkim zresztą, bo ja bym też poleciał, gdybyś zaczął pisać w raporcie o jakichś potworach...

– Potwory są realne, obywatelu majorze, potwory w ludzkiej skórze, które nie mają kłów i pazurów...

– Stefan, tylko bez polityki, proszę.
– Uderz w stół, a nożyce się odezwą.
– Znów wpadasz w ten swój sentencjonalny nastrój.
– Nastrój odpowiedni do okoliczności. Co miałem napisać? Że konsul bratniego kraju jest mordercą? Że wypija krew ofiar w rytualnych obrzędach? Teraz, w połowie XX wieku? Że trzęsie całą wrocławską bezpieką? Że chcą zdobyć przewagę w naszym mieście i przejąć realną władzę? To się ociera o zamach stanu. Przecież stanąłbym przed plutonem egzekucyjnym ze cztery razy, a potem spaliliby moje zwłoki na placu Solnym. Tak na wszelki wypadek. A na koniec z milicji by mnie wyrzucili. A tego bym nie chciał, bo lubię swoją pracę.

– Masz oczywiście rację. Przemyślę to sobie, na razie wstrzymujemy tę akcję. Na jedną dobę. Później może rzeczywiście trzeba będzie uderzyć. Żebyśmy tylko mieli dowody, że tam się jakieś łajdactwo kroi. Budynek nie jest oficjalnie konsulatem, bo ma tabliczkę MON-u. Nie ma mowy o skandalu dyplomatycznym, bo oficjalnie możemy udać głupiego, że nic nie wiemy o bytności w tym miejscu konsula ZSRR.

– Wstrzymujemy? Ale inwigilować można? Mam tu na myśli tunel...

– Tylko ich nie spłoszcie.

– Nie tacy oni znów płochliwi. Wydaje im się, że wszystko im wolno. I to jest ich największa słabość. Na szczęście nie są tak nieśmiertelni, jak im się wydaje. Janek pokazał, co potrafi.

– No, żeby z tego jakiejś jatki nie było...

– Przecież mówiłem, padają jak muchy, jak im mocniej przyłożyć, i po sprawie. Już widzę te nagłówki: „Konsul uciekł do RFN!”.

– Co ty gadasz, Stefek ? Taka informacja nie mogłaby się ukazać, jeśli podamy, że zginął tragicznie z rąk agentów Trumana to tak, ale nic innego.

– No dobrze, a co Ruskim powiemy?

– Trzeba będzie improwizować. W kwasie rozpuścić czy coś takiego...

– Milicjant! Nie wierzę w to, co słyszę!

– A co, mamy im zwłoki odesłać?

– Ech, ciężkie jest życie konsula, ale jeszcze cięższe funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej.

Gromił wrócił do siebie i wykręcił numer do drukarni, bo już wiedział, co zaproponuje Janowi Warkotowi.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ARYMAN, NASU, ANDAR, BELZEBUB...

Warkot dobrze przygotował się do nocnej wyprawy. Miał odpowiednią odzież i był niemal niewidoczny w ciemnościach. Do tego podebrał trochę sadzy Genowefie i wyglądał teraz jak rasowy kominiarz po wyrobieniu trzystu procent normy. Mimo że Kapusta odmówił udziału w tej maskaradzie i powiedział, że on małpy z siebie nie da zrobić, to i tak wyglądał niezgorzej. Stefan Gromił też założył ciemny dres i kolarzówki.

Cała trójka odczekała, aż wybije dwudziesta druga, i spacerkiem przez park doszła na wysokość posepnej willi na Sudeckiej. Tam, w cieniu drzew, zaczęli się. Dom wydawał się opustoszały, choć widać było lekką poświatę w ogrodzie, co świadczyło o tym, że ktoś jest w gabinecie z tyłu budynku. Obserwowali przez dłuższą chwilę posesję, nasłuchując, ale żaden spóźniony przechodzień nie zabłąkał się o tej porze do parku. Ład i porządek swoją drogą, a przezorność i ostrożność swoją. Może i milicja czuwała, ale z pewnością nie w mrocznych, parkowych alejkach.

Nikt nie chciał zarobić gazurką przez głowę. Była to wersja optymistyczna, bo po mieście już na potęgę krążyły plotki o zbrojeńcach porywających ludzi, którzy swój ohydny proceder wykonują, aby wzbogacić się na sprzedaży krwi do przetaczania. Legenda zaczęła żyć własnym życiem bez najmniejszego udziału Gromiła, który w końcu był jej pomysłodawcą. Może to sprawka Słupeckiego, który nakazał swojej „gwardii przybocznej” ze Śródmieścia rozpowszechniać te pogłoski. Korzyści z tego były różnorakie – ludzie nie włóczyli się po mieście po próżnicy, dzieci zrobiły się jakieś takie grzeczniejsze, kobiety nie szlajały się bez potrzeby po koleżankach i siedziały w domu, a milicjanci byli czujniejsi, dzięki czemu łapali częściej pospolitych rzezimieszków. Słupecki jakby rozpułnął się w powietrzu, ale cała trójka była pewna, że stoi na straży i pojawi się w dogodnym momencie.

Podkradli się cichcem i przeszli przez ulicę. Przywarli do muru przetykanego parkanem, który okalał ogród. Pierwszy ruszył Warkot, wspiął się na mur, ostrożnie rozejrzał i przeskoczył zgrabnie na drugą stronę. Za nim poszedł Kapusta i on też po chwili znalazł się na posesji. Gromił poprawił nowiutką kaburę obstalowaną przez rymarza, w której siedział pewnie zdobyczny pistolet walther P38 wraz z dwoma zapasowymi magazynkami. Przestrzelił tę broń na milicyjnej strzelnicy i przekonał się, że jest celna i skuteczna. Może tylko niezbyt regulaminowa, ale w końcu strażnikom władzy ludowej wolno więcej. Wyśluzoną tetetkę zostawił na wszelki wypadek w domu.

W kieszeni spodni miał coś jeszcze. Poszedł za radą Słupeckiego i schował dwie

główki czosnku, obrane z łupin i podzielone na części. Tak na wszelki wypadek. Ostrzał z tej amunicji mógł być skuteczniejszy niż z jego nowej broni. Spiskowcy zabrali też latarkę, nożyce do cięcia metalu, zapalki, a Kapusta wziął na wszelki wypadek kawałek dobrego styliska od siekiery. Miał też ze sobą puszkę z karbidem mającym posłużyć do odwrócenia uwagi. Warkot był uzbrojony w sygnet, który lśnił teraz złowroźnie w świetle sierpowatego księżyca na niebie.

Kiedy znaleźli się w ogrodzie, Warkot najpierw sprawdził drzwi od garażu. Były otwarte. Wewnątrz stała pobieda, która wzbudzała tyle emocji w mieście. Odnalazł bez trudu właściwą płytę w posadzce i lekko ją podważył, na wypadek gdyby musieli się szybko ewakuować. Wrócił do reszty i razem podkradli się, schylając się przy murku werandy. Rzeczywiście w gabinecie musiała się palić lampka na biurku. Widać też było światła, chyba świec, w okienkach piwnicznych. Doszły do nich też głosy.

Warkot, jako najlepiej zamaskowany, w kilku susach wśliznął się przez tylne wejście. Po chwili wychylił głowę przez drzwi.

– Psst! Droga wolna.

Skrzynia stała niepilnowana przez nikogo w gabinecie, jakby na nich czekała. Nie namyślając się wiele, Gromił z Kapustą chwycili za rączki i wynieśli ją do garażu. Postawili tuż przy podważonej płycie. Wrócili jednak, bo coś ich zaniepokoiło. Warkot już stał na schodkach wiodących do piwnicy i zaczął gwałtownie machać rękami, jakby chciał ich ostrzec.

Stanęli, nasłuchując. Usłyszeli czyjś szloch i błagania. Zza ciężkich drzwi dobiegło ich jakieś dziwne zawodzenie – ni to pieśń, ni to chóralne skandowanie. Monotonne, miarowe, wywołujące coś w rodzaju transu, tak że uczestnicy nocnej eskapady otrząsnęli się z tego po kilku chwilach.

– . Aryman, Nasu, Andar, Belzebub...

– Tfu, psiawiara! – Kapusta splunął pogardliwie.

– Ciii! – syknął Janek.

– Ktoś tam płacze – odezwał się Gromił.

– Nie wydaje ci się? – zapytał Warkot.

– Nie, posłuchaj uważnie.

Janek usłyszał wyraźne szlochanie przebijające się gdzieś spod tej mantry. Przez uchylone drzwi zobaczyli tylko plecy trzech osób. Czwarta chyba klęczała przy ścianie – tak im się przynajmniej wydawało. Warkot uchylił drzwi jeszcze o parę centymetrów.

– Dziewczyna – oznajmił szeptem. – Ja ją znam. Kryśka czy Zośka...

– Daj popatrzeć. – Przepchnął się koło niego Gromił. – Marlena. Kuchta, studentka. Chyba ją porwali. Cała jest umazana i ma chyba dłonie związane czy jak.

– Potrzeba ci lepszego dowodu? – zapytał Warkot.

– Nie, ale ja tu jestem *incognito*.

– A możemy ją *incognito* uwolnić?

– Ale jak?

Poszeptali w trójkę i skinęli głowami. Kapusta wyszedł na zewnątrz, by przez ogrodzenie wystawić podpaloną puszkę z karbidem. Wrócił.

– Jakież dwie minuty.

– Na lont?

– Z aluminium i nadmanganianem. Zawodowo.

Czekali. Środkowa postać podeszła do ściany, na której wisiała jakby jakaś rzeźba. Nie widzieli dokładnie, bo paliło się tylko kilka świec. Schowali się za drzwiami.

Nagle huknęło. Ktoś wypadł na zewnątrz i popędził przez hol do głównego wyjścia. Wtedy wpadli do środka, wyjąc jak potępieńcy. Ich oczom ukazała się niezwykła scena. Otóż przed dużym, ohydny posągim klęczał nagi jak święty turecki pułkownik Stanisław Podatny z rękami związanymi za plecami. Dwójka Przedwiecznych – Sabiej i członek Rady Narodowej, w czerwonych szatach haftowanych złotem – stała, gapiąc się na nich. Sabiej trzymał ostry, zakrzywiony kindżał. Najwyraźniej miał zamiar potraktować nim skuloną ze strachu Marlenę Kuchtę.

– Ratuunku! – krzyknęła dziewczyna.

Kapusta puścił się pędem z nożycami do metalu, by przeciąć jej kajdanki. Jednocześnie Gromił wyciągnął broń, a Warkot stanął w wojowniczej pozycji, unosząc zaciśniętą pięść z sygnetem.

– No to już przechodzi wszelkie granice! – wykrzyknął Sabiej. – Czy będziesz tak uprzejmy i wybijesz mi to robactwo? – zwrócił się do Kantza, który już ruszył do natarcia, korzystając z półcieni mrocznej piwnicy.

Jego oczy błysnęły złowrogo. Gromił przełknął ślinę i po sekundzie namysłu schował pistolet do kabury. Sięgnął po dużo skuteczniejszą broń. Rozdusił między palcami ząbek czosnku. Ostry zapach rozprzestrzenił się po całej piwnicy.

– Uważaj! – krzyknął Sabiej, ale już było za późno.

Gromił wtłoczył czosnkową truciznę na otwartej dłoni wprost do pyska Przedwiecznego, na co ten zakrzuszył się, zatoczył i padł w drgawkach na ziemię. Wił się i wierzgał, ale nie był w stanie uporać się z sugestią wbijaną latami w umysł, że jest to najsilniejsza ze znanych ludzkości trucizn. W tym czasie Kapusta zdołał już uwolnić Marlenę z więzów i wziął ją na ręce. Dziewczyna objęła go za szyję, wciąż płacząc.

Nagle poczuli, że ktoś zaszedł ich od tyłu. Był to trzeci Przedwieczny, który niepostrzeżenie przemknął za ich plecami. Rzucił się Warkotowi na kark. Janek zakręcił się w miejscu i uderzył Przedwiecznego na oślep upierścienioną dłonią. Chybił.

Kapusta na dany przez Gromiła znak wybiegł z dziewczyną z piwnicy, a on sam już zbliżał się do napastnika z nową porcją śmiertelnej trucizny. Wtedy Sabiej ruszył do ataku. Jego ruchy były o wiele gwałtowniejsze i tym samym potworniejsze, jakby drapieżnik ruszał do ataku. Wydawało się, że zmienił się w wijące się, ślizgające cielska jadowitych zwierząt, tworząc zwarty kłęb, który zaczął się zbliżać do milicjanta. Z pewnością wcześniej rozpylono w powietrzu narkotyk wywołujący te ohydne halucynacje.

Ktoś krzyknął. Drugi krwiopijca puścił Warkota i teraz razem ze swym przywódcą

zaczęli nacierać na intruzów, sprawiając, że cała piwnica utonęła w mroku, tak że było widać tylko ich przekrwione ślepia.

Znów rozległ się krzyk. To był Podatny. Warkot spojrział w jego stronę i zamarł. Kamienne bóstwo zeszło z piedestału i – nie bacząc na klęczącego przed nim – zaczęło sunąć do przodu, łapczywie wyciągając pazury. Szczęka kłapała mu niczym u krokodyla, a żółtawe zębiska ociekały gęstym śluzem. Odtrącił Podatnego jak szmacianą lalkę. Pułkownik walnął z całej siły o ścianę. Padł na posadzkę bez tchu. To już nie były zwykłe halucynacje.

Później, wspominając to wydarzenie, Gromił doszedł do wniosku, że ktoś musiał siedzieć ukryty w przebraniu jukatańskiego bóstwa i po prostu ruszył kompanom na pomoc.

Spiskowcy wycofywali się czym prędzej, najpierw tyłem, a potem biegiem do garażu, gdzie już czekał na nich Kapusta z dziewczyną. Sabiej i uwolniony z kamiennej zbroi Przedwieczny płynęli w powietrzu po schodach w górę, choć i tak wydawało się, że za ich plecami słychać głuchoe odgłosy kroków potężnego kamiennego monstrum. Krzycząc jak opętani, spiskowcy wpadli do tunelu, niemal zeskoczyli w dół, porywając ze sobą skrzynię, i zatrzasnęli włącz za sobą. W podziemiach puścili się niemal pędem. Dziewczyna już na własnych nogach, bo strach dodał jej siły. Gromił z pistoletem w jednej ręce i latarką w drugiej na przedzie, Warkot i Kapusta ze skrzynią za nimi.

Nie wiedzieli, że w ogrodzie ktoś dobrze im znany przeskakuje przez ogrodzenie i głośno tupiąc, znika w parku po drugiej stronie ulicy. Prześladowcy sunęli za nim, ale wkrótce zgubili ślad pokutującej duszy.

Park zdawał się parskać i prychać z zadowolenia, emanując czerwonawą poświatą. Czarne sylwetki odcinały się na tle srebrzystej toni stawu. Kiedy dotarli w końcu do pętli tramwajowej, Przedwieczni zatrzymali się i po chwili, chcąc nie chcąc, musieli wrócić do kryjówek.

W piwnicy wszystko wyglądało tak jak wcześniej. Posąg stał na postumencie, paliły się świece, jedynie pośrodku narysowanego kredą okręgu leżało coś czarnego w kałuży brunatnej posoki. Pod ścianą pułkownik Podatny zaczął się poruszać, bełkocząc coś i jęcząc z bólu. Gdy go podnieśli i rozwiązali, zobaczyli, że w oczach ma czyste szaleństwo i przerażenie. Bezwzględny funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa nie był w stanie stawić czoła grozie, bo oto na własnej skórze przekonał się, że może istnieć zło w czystej postaci, całkowicie pozbawione ideologicznych konotacji. Wiedział już, że jego własne okrucieństwo to w istocie naiwna amatorszczyzna przypominająca wrywanie nóżek muchom.

– Daj mi koniaku albo skręć kark, bo nie mogę na to patrzeć – zwrócił się Sabiej do bladego sługi, który brał udział w rytuale jako złowrogi Nasu.

Zaprowadzili pułkownika na górę i napoili trunkiem, tak że ledwo siedział na krześle.

– Ale nie rozumiem, skąd oni się tu wzięli? I jak się im udało uciec?

– No właśnie. Park nocą, dwa wampiry, uciekający ludzie: klasyczna sytuacja!

– Tylko mi tu bez takich! – warknął Sabiej. – Skrzynia musi się znaleźć, i to otwarta.

Teraz ty jesteś za to odpowiedzialny, bo nie wiem, czy na tego tutaj w ogóle można jeszcze liczyć. – Spojrzał z odrazą na pułkownika, który beknął i wytrzeszczył na nich oczy, jakby widział ich pierwszy raz. – Pomijając wszystko inne, nawet wypić go nie można w tym stanie. Ja za wrażliwy się robię chyba. Na razie jest nam potrzebny, więc trzeba go będzie jakoś reanimować.



Pędzili niemal na oślep ciemnym korytarzem, a snop światła latarki robił się coraz słabszy. Żaden z nich nie pamiętał, jak długo trzeba biec, wiadomo było tylko, że do dworca tunel nie ma żadnych odnóg, więc nie mogli się zgubić. Kiedy wyłonili się w końcu po drugiej stronie, umorusani i zdyszani, przy stalowych drzwiach zastali Leona Słupeckiego, który najspokojniej czyścił sobie paznokcie.

– Ty draniu! Zostawiłeś nas tam na pastwę tych potworów! – krzyknął Warkot.

– Wcale nie. Myliłem pogoń. Wysłałem ich do parku, żeby nie odkryli tunelu. No i czekam tu na was, ale nie sam. Prawda, panie Stefanie?

Gromił pokiwał głową. Porucznik był przygotowany. Przed wyjściem z tunelu czekał na nich sierżant Kuźniak w nowiutkim gaziku z napisem „MO” na boku. Na ich widok wyskoczył zza kółka, otworzył drzwi i pomógł wsiąść Marlenie Kuchcie do środka. Ta zatrzymała się w pół drogi i spojrzała tęsknym wzrokiem na Zdzisława Kapustę, który aż pokraśniał z zadowolenia.

– Nie, no ja nie wytrzymam. Jeszcze chwilę temu płakała i darła się, a teraz oczy wywraca do naszego majstra! – krzyknął Warkot.

– Szerszeń *la femme*! – rzucił sentencjonalnie Słupecki. – Czyli w wolnym tłumaczeniu, gdzie diabeł nie może, tam babę pośle.

– Sierzancie, odwiezicie obywatelkę Kuchtę do akademika, a nas na Szewską. Chyba powinniście u mnie przenocować. Warto się z tym wszystkim przespać.

– A ten potwór w piwnicy. Co to, do cholery, było? – zapytał Warkot.

– To nie żadne monstrum – uspokajał Słupecki – tylko podobizna Nasu, irańskiego demona zgnilizny i śmierci występującego pod postacią ścierwojada, muchy trupiej. Ożywał się na widok krwi. W rzeczywistości jest to kostium rytualny z kamienia, który zakłada się jak zbroję. Nie wiem, jakie zasady mechaniki nim kierują, ale to jakaś jukatańska technologia. Człowiek może siedzieć w środku i sterować nim jak podnośnikiem hydraulicznym. Ma też przy tym olbrzymią siłę.

– Dajmy spokój już na dziś! A może ma pan porucznik kropelkę czegoś na wzmocnienie. ? – zapytał Kapusta.

– Znajdzie się, panie Zdzisławie. To co, jedziemy?

Zapakowali się wszyscy do wozu. Marlena Kuchta była wyraźnie zadowolona, że majster usiadł obok niej. Skrzynię załadowano do bagażnika, gdzie też miała pozostać

na parkingu milicyjnego dziedzińca. Słupecki rozplynał się w powietrzu i udał się tam, gdzie zwykle nocują średniowieczni pokutnicy.

Wszyscy wiedzieli, że czas się kurczy.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY A NIE MÓWIŁEM?...

Czerwiec minął bez większych wydarzeń, jeśli nie liczyć kilku tajemniczych zniknięć w mieście oraz faktu, że Jan Warkot stał się pełnoprawnym magistrem inżynierem i otrzymał dyplom z oceną celującą. Przyniosło mu to dużą ulgę, bo nagle zyskał cenny czas, który mógł poświęcić na inną zgoła działalność.

W pracy dostał trzy tygodnie urlopu i miał teraz większość lipca dla siebie. Nie planował jednak żadnych wyjazdów, bo nie było na to czasu. Wraz z Gromiłem długie godziny spędzał na nocnych rozmowach. Czasem przyłączał się do nich Kapusta, ale tylko czasem. Majster miał teraz nowe obowiązki, bo zaczął się umawiać na randki ze studentką Marleną Kuchtą, która zdawała się całkowicie oczarowana o wiele od niej starszym mistrzem drukarstwa. W rozmowach nie wracali do owej feralnej nocy, tylko czasem, gdy Zdzisiek wychodził na noc, by konferować ze spiskowcami, w oczach Marleny pojawiało się nieme pytanie.

Profesor Ochocki wrócił do siebie wraz z rodziną, bo oficjalnie nie był ani podejrzany, ani nikt go o nic nie oskarżał. Do tego był wybitnym fachowcem w swej dziedzinie i z nowym, nawiązanym niedawno sojuszem z księdzem Urbanem miał co robić. Często zachodził do muzeum, mijając Bramę Kluskową i kościółek Świętego Idziego. Uwielbiał ten urokliwy zakątek Wrocławia, bo pomimo wielu zniszczeń wydawało się, że czas tu stanął i ani myślał ruszyć naprzód.

„I tak powinno pozostać” – myślał często.

Do tego muzeum posiadało bogatą bibliotekę zawierającą ponad pół tysiąca rękopisów i starodruków. Była to prawdziwa gratka dla takiego bibliofila, a z domu miał tu dosłownie parę kroków. Profesor umiłał więc sobie czas, gawędząc z księdzem przy herbatce z malinami na temat minionego czasu i jego śladów we współczesności. Wierni tłumnie odwiedzali wyremontowaną katedrę, czekając na ceremonię poświęcenia, która miała się odbyć pod koniec lipca z udziałem prymasa Polski.

Pewnego lipcowego dnia dwóch murarzy umieściło kamiennego lwa przy wejściu do gotyckiej katedry – na jego dawnym miejscu. Prezentował się jednocześnie skromnie i bardzo okazale. Jakby nigdy nie opuszczał posterunku. Rybichwost wciąż spoczywał w żelaznej skrzyni, która stanęła teraz obok tej, w której przechowywano kiedyś Księgę henrykowską. Zastanawiano się, co z nim zrobić, bowiem z jednej strony stanowił niezwykle łakomy kąsek dla wszystkich muzealników, gdyż taki przedmiot byłby chlubą każdej kolekcji. Z drugiej strony wciąż był poszukiwany przez władzę i Przedwiecznych. Sabiej odbywał długie rozmowy z Pierwszym, który nie był zadowolony z postępów prac Trzeciego i jechał po nim jak po burej suce. Po każdej z takich rozmów Trzeci był wściekły i wyładowywał złość na innych.

Jan Warkot, Stefan Gromił oraz Zdzisław Kapusta wraz z Marleną Kuchtą,

korzystając z pięknej pogody, wybrali się pewnej niedzieli na Morskie Oko. Na kąpielisku było sporo ludzi, ale im to zupełnie nie przeszkadzało. W anonimowym tłumie mieszkańców Wrocławia cieszyli się słońcem i wodą.

– Masz jakieś wiadomości, o tym, no – zapytał Warkot, spojrzawszy przelotnie na Marlenę – co ty wiesz, a ja rozumiem?

Kuchta nie słuchała tej rozmowy zajęta malowaniem paznokci u nóg na wściekły czerwony kolor albo też udawała, że nie słyszy.

– Nic, cisza – odparł Gromiś. – Tylko że znów mamy sporo zaginionych.

– Nie trupów, tylko zaginionych. To rzeczywiście krzepiące.

– Może Sabiej się przyczaił? Może szykuje coś dużego?

– A jasne, że się przyczaił. Wie, że możemy go odwiedzić w domu i zniknąć bez śladu. Stara się nie zwracać na siebie uwagi.

– A ten pułkownik UB?

– Widziałem go przedwczoraj. Jakiś taki wyciszony się zrobił. Skinął mi tylko głową na korytarzu, jakby mnie pierwszy raz na oczy widział.

– Ktoś chętny na oranżadę? – zapytał Kapusta, najwyraźniej żeby zmienić temat.

Wyciągnął butelkę z porcelanowym korkiem i otworzył ją zręcznym ruchem.

– Daj, Zdzisiu. Pić mi się zachciało. – Marlena przerwała malowanie i wzięła brązową butelkę.

– Może później pójdziemy popływać?

– Może...

Niezdecydowanie było jedną z wybijających się cech studentki, już ostatniego roku, Marleny Kuchty. Idea założenia Stowarzyszenia imienia Jakuba Szeli upadła, choć doprowadziła do tego, że zmieniono nazwę jednego z placów na Krzykach i nadano mu imię zbuntowanego chłopca.

Gdzieś w oddali zaryczał głośnik umocowany na latarni. *Poszła Karolinka, Hej, przeleciał ptaszek* i wszechobecna Koterbska. Fogg był zbyt sentymentalny na kąpielisko, a pieśni młodzieżowo-rewolucyjne zdecydowanie za ciężkie. Kąpiącym postanowiono oszczędzić propagandy, bo jeszcze mógł się kto utopić.

– A poszła! Karolinka jedna! – rzucił złośliwie Kapusta.

– Zdzisiu, nie odcinaj się od folkloru. To ważny element naszej kultury narodowej – rzuciła z naganą w głosie Marlena.

– Ja to bym wolał *Ułanów* albo *Umówiłem się z nią na dziewiątą...*

– Bo widzisz, w tobie wciąż tkwi sentyment do sanacyjnej przeszłości. To zresztą zupełnie zrozumiałe, bo młodzieńcze lata spędziłeś w tym zbrodniczym systemie. Już nikt nie śpiewa o ułanach, bo wiadomo, jak się skończyła kampania wrześniowa. Z szabłami na tygrysy, to już trzeba mieć nie po kolei w głowie – wysunęła zdecydowanie propagandowy i sfałszowany argument.

– Nie na tygrysy, tylko na grenadierów pancernych – zachnął się Warkot w swej nowo zdobywanej świadomości. – Spieprzali aż miło.

– Ty, Janku, powinieneś być bardziej uświadomiony politycznie, a widzę, że

śpiewasz na tę samą nutę...

– „Hej, przeleciał ptaaaaaaszek”. – zawtórował jakiś domorosły Kiepura z koca obok.

– Jak to, młodzieńcze lata? – zorientował się poniewczasie Kapusta. Był wyraźnie dotknięty.

Na koc weszła bez zaproszenia duża czerwona mrówka i ruszyła prosto w stronę koszyka z wiktuałami. Gromił obserwował zwierzę i zastanawiał się, czy rzeczywiście wybrali dobre miejsce na odpoczynek. Z oddali słychać było głośne pluski i śmiechy, bo oto zjawiała się na kąpielisku brygada „Służby Polsce” ze swoimi sympatiami. Dziewczyny chichotały, a junacy dokazywali na całego. W przypiływie fantazji, nie bacząc na protesty, po kolei wrzucali dziewczyny do wody.

Stefan Gromił wiedział, że w końcu musi dojść do prawdziwej konfrontacji. Sabiej nie był osobą, która tak łatwo rezygnuje. Pozostawało pytanie, czy mają czekać beczynn timer, czy też powinni przejąć inicjatywę.

– No to idę popływać – burknął Kapusta.

– Poczekaj, ja z tobą. – Marlena zerwała się z koca.

Poszli. Warkot i Gromił mogli porozmawiać bez ogródek.

– Stefan, co twój szef na to wszystko?

– Jacek? Wie o odzyskaniu skrzyni. Nie mogłem mu nie powiedzieć po tym wszystkim. Nie pyta nawet, gdzie jest. A Kuźniak milczy jak grób, bo jest lojalny przede wszystkim wobec mnie.

– To miłe, że ktoś w tym wariatkowie jest jeszcze lojalny wobec drugiego człowieka.

– Chcesz wziąć ten etat w drukarni?

– A co miałbym innego robić? Mam wykształcenie, praca na wyciągnięcie ręki. Pewnie, że wezmę...

– Mógłbyś pójść do nas...

– Do milicji? O nie, to już wolę kamienie tłuć.

– Dziękuję ci bardzo.

– Słuchaj, Stefan, nie mam nic do ciebie. Praca jak każda, ale masz dowódcę, on ma nad sobą dowódcę, tamten ma naczelnika, a naczelnik...

– Dobra, zrozumiałem, ale jeśli wydaje ci się, że będziesz tam pracował jako wolny strzelec, to powiem ci, że się grubo mylisz. Będziesz miał nad sobą tego lizusa Zagnębiaka, nad Zagnębiakiem jest dyrektor, nad dyrektorem...

– Tak, ale jak coś spieprzę, to będzie wyłącznie moja wina i poniosę tego konsekwencje. A ty, jak nie złapiesz mordercy, możesz zostać wylany z roboty bez względu na to, jak bardzo lubi cię twój szef.

– Racja, ale jaka to robota...

– Raz ci się trafił morderca i już sobie na nim zęby łamiesz, a na co dzień będziesz prowadził śledztwo w sprawie zaginionej kury albo łapał sabotażystę, który ukradł belę płótna z zakładu pracy.

– Wydawało mi się, że kto jak kto, ale ty zrozumiesz. – Gromił był wyraźnie urażony.

– Tak, wiem, chcesz naprawiać świat. I nawet nieźle ci wychodzi, ale tkwisz

w specyficznej instytucji. Co będzie, jak ci każą uczciwych ludzi ścigać?

– Od tego jest UB.

– To się może jeszcze zmienić.

– Wtedy odejdę.

– Guzik tam, nie odejdiesz. Myślisz, że oni pozwolą ci tak sobie odejść? Jak ich przyciśnię, to zmobilizują wszystkie służby mundurowe, ze strażakami włącznie.

– Co miałyby niby tak ich przycisnąć?

– Bo ja wiem? Historia lubi się powtarzać.

– Zaczynasz gadać jak Słupecki.

Nagle od strony jeziora dobiegły ich odgłosy jakiegoś zamieszania. Gromił zobaczył Kapustę, który zasłaniał własną piersią Marlenę, stojąc po pas w wodzie. Przed nim tkwiło pięciu młodzików z grupy junaków i najwyraźniej chcieli się bić.

– Chodź, Janek, naszych biją!

Zerwali się z koca i podbiegli do brzegu.

– Uważaj, dziadek, bo się przegrzejesz! – rzucił ostrzegawczo ospowaty, patrząc złym wzrokiem na majstra.

– Uważaj, synek, bo ci glut z nosa wyleci! – krzyknął Kapusta.

Marlena z wyraźną ulgą powitała nadbiegających Warkota i Gromiła.

– Co tu się dzieje? – zawołał Warkot.

– Nie twój interes, wujek. Spadaj w podskokach!

– Zaczęli mnie obmacywać! – krzyknęła z oburzeniem Marlena.

– A co? Nie wolno? Teraz jest władza ludu, skończyły się pensjonarki i herbatki u cioci. Teraz rządymy my! – wykrzyknął drugi młodzian, który wyglądem przypominał zmarłego Koguta.

– Ta facetka coś bredzi – zawtórował mu trzeci, niższy, mocno zbudowany.

– Spokojnie, chłopcze. Milicja – powiedział Gromił, wydobywając gdzieś z szortów blachę.

– A co się obywatel milicjant wtrąca do nieswoich spraw? My tu nic złego nie robimy – rzucił zaczepnie ospowaty.

– Stul pysk, młody, bo połkniesz zęby – odezwał się Gromił z takim spokojem, że aż ciarki po plecach przeszły.

– Słyszycie, chłopaki? Milicjant mi grozi. Mnie! Przodownikowi pracy!

– Ty nie jesteś żaden przodownik, tylko zafajdany szczył miętym dytkiem robiony – odciął się Kapusta.

Ospowaty się zamachnął. Majster uchylił się zręcznie i z całej siły wałnął młodego w wątrobę. Był to organ najwyraźniej mocno przez niego nadużywany. Klapnął w wodę i długo łapał oddech.

– Chłopaki. naszych biją. – zaczął ten niższy, chcąc dodać reszcie odwagi, ale nie skończył, ponieważ Gromił doskoczył do niego i wprawnym lewym hakiem w podbródek posłał go w przybrzeżny muł.

– Wyciągnijcie go, bo się utopi. I zmiatać mi stąd w podskokach, bo guma będzie

w robocie. Koleżanki też niech wracają, skąd przyszły. Pewnie z Dworcowej? Spokój ma tu być!

Młodzieńcy pospiesznie się zawinęli, zabierając ze sobą dziewczyny. Chłopak uderzony przez Gromiła rzeczywiście wypluł dwa zęby.

– Ale pan, panie Stefanie, ma rączkę, no, no! Nigdy bym się nie spodziewał – rzucił z uznaniem Kapusta.

– Chuliganerka. Mają za dużo czasu i pieniędzy.

– Tak, a teraz wyżyją się na kimś słabszym – skwitował Warkot.

– Dlatego właśnie mój zawód jest potrzebny.

– A nie mówiłem? Będziesz teraz chuliganów łapał.

– No nie, Janku, pan Stefan to morowy chłop. Niech pan na niego nie naskakuje. – Kapusta klepnął Gromiła po plecach. – Musimy opić to zwycięstwo zimnym piwkiem. „Chodź na piwko naprzeciwko”. – zaintonował stary szlagier.

– Alkohol szkodzi zdrowiu i jest przyczyną spadku wydajności w pracy – wyrecytowała Kuchta, spoglądając z naganą na Kapustę.

– Marlenka, nie miel ozorkiem po próznicy, tylko leć po ręcznik. Ja ci zaraz dopiero pokażę, co może być przyczyną spadku wydajności w pracy.

Kapusta klepnął ją bezceremonialnie w pośladek. Najwyraźniej tego rodzaju metody wychowawcze miały silniejsze oddziaływanie niż skutki starcia z hordą maniakałnych morderców, bo Marlena odwróciła się do niego, uśmiechnęła się zalotnie i pobiegła kłusem do koca. Sam diabeł nie zrozumie tych kobiet.



Pułkownik Stanisław Podatny miał prawdziwy dylemat. W ciągu ostatnich kilku tygodni dowiedział się więcej o świecie niż podczas całego życia. O wiele za dużo. Po tygodniu od dramatycznych wydarzeń w piwnicy krzyckiej willi doszedł w końcu do siebie, choć dłonie mu drżały za każdym razem, kiedy rozlegał się natarczywy dzwonek telefonu lub energiczne pukanie do drzwi. Przeżywał teraz to, czego bywał przyczyną i sprawcą. Doświadczał losu pogrążonych w rozpacz przesłuchiwanym bez nadziei na ratunek. Tylko że jego doznania nie dały się tak po prostu zamknąć i zdefiniować słowami „zły człowiek”.

Zamykał oczy i widział kły i pazury. Kiedy zasypiał, było jeszcze gorzej. Zrywał się w środku nocy zlany zimnym potem, krzyczał przez sen, a rano wstawał jeszcze bardziej zmęczony, niż się kładł wieczorem. Nieodłączni towarzysze, niepewność i strach, wykańczali go w dzień i w nocy, a on nie potrafił nad nimi zapanować. Nie był pewien, czy to, co widział tam w piwnicy, zdarzyło się naprawdę, czy to tylko doszła do głosu jego chorobliwa wyobraźnia podlana mocnym alkoholem. Być może halucynogeny wciąż krążyły mu w żyłach.

Sabiej kontaktował się z nim na bieżąco, by poznać najnowsze wyniki poszukiwań, choć wciąż nie było rezultatów. Obserwacja podejrzanych niczego nie przyniosła, bo po prostu każdy z nich, jak mógł, unikał teraz kontaktów z Ochockim i z całą pewnością nie mieli u siebie Rybichwosta, co Podatny sprawdził operacyjnie. Co gorsza, w portalu wejściowym katedry pojawił się wmurowany tam cichcem lew, ale nie było możliwości odzyskania go z uwagi na duży ruch turystyczny i licznych wiernych przybywających do świątyni. Mógł oczywiście rozkazać wymontować rzeźbę, tłumacząc się konserwacją obiektu czy też jakąś inną wymówką, ale te prace zostały przekazane wrocławskiej kurii i to też sprawa nieodwracalna. Zrzucano im to na głowę, więc rządzący się u siebie sami. Gdyby to zrobił, mógł się spodziewać reperkusji, ba, nawet interwencji ze stolicy.

Najważniejszy jednak był Rybichwost. Podatny miał pewność, że znajduje się albo gdzieś w pobliżu, albo został przemyślnie schowany w najmniej podejrzanym miejscu. Na przykład wśród kolekcji broni. Albo w jakimś muzeum. Nie mógł jednak ponownie wysłać swoich chłopców, bo ten gderliwy kustosz rzeczywiście gotów napisać do towarzysza Bieruta.

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem. Do gabinetu wpadł jeden z jego funkcjonariuszy. Podatny już miał go obsobaczyć jak należy, ale powstrzymała go rozradowana mina podwładnego.

- No mów! – rzucił oschle.
- Szefie, wiem, gdzie go trzymają! – rzucił triumfalnie ubek.
- No to gadaj, człowieku, i przestań mi tu dyszeć!
- Ten profesorek, cośmy go, no pamięta szef. Zgubili. On chodzi do takiego jednego klechy z Tumskiego. Do muzeum chodzi!
- No i co z tego?
- No to tak sobie z chłopakami pomyśleliśmy: a po co? Modlą się razem?
- Głupiś, to muzealnik. On tam w magazynie szpera.
- No właśnie. To podobno duży magazyn i można tam niejedno ukryć.
- Mów dalej.
- A jeśli on tam przychodzi oglądać to żelastwo? Jeśli ten klecha je dla niego ukrył?
- Ty. ty wiesz, że ty możesz mieć rację?
- Mowa! Jasne, że mam.
- Sprawdzić mi to, tylko dyskretnie, zrozumiano?
- Tak jest. Mamy tam kilku naszych. Pa-trio-tów – dokończył z naciskiem.
- Wiem, wiem. Major Kwas prowadził tę sprawę. Z innego departamentu, od czarnych.
- No to może by uderzyć przez majora Kwasa?
- Można, zadzwonię do niego i podpytam. – Po chwili wahania dodał: – Dobrze się spisałeś!
- Taa jest, obywatelu pułkownika.

Po wyjściu podwładnego Podatny wolno sięgnął po słuchawkę telefonu i wykręcił znany na pamięć numer. Odliczał. Odebrano po pięciu sygnałach.



Na dębowych drzwiach w budynku przy ulicy Kanonii 12 za Bramą Kluskową przypięto pinezką kartkę. Jakiś „Życzliwy” pisał, żeby uważać, bo tajniacy mają oko na księdza Urbana i jego zbiory. Prowokacja? Nie wiadomo.

Na wszelki wypadek biegły w procedurach i zasadach konspiracji ksiądz Urban zachowywał się, jakby nic nie zaszło. Wykonał tylko kilka niezbędnych posunięć. Przede wszystkim zadzwonił do profesora Ochockiego z telefonu na fakultecie teologicznym, by przez jakiś czas wstrzymał się z wizytami na Ostrowie Tumskim. Następnie przygotował ubekom pewną niespodziankę, na wypadek gdyby zjawili się u niego z nakazem przeszukania.

Zauważył też, że na Ostrowie Tumskim zaczęły się pojawiać dziwne osoby, czy raczej dziwni osobnicy. Nie byli to ani wierni spieszący na mszę, ani też przyjezdni z zakładów pracy chcący zaczerpnąć nieco starej aury monumentalnych budowli. Nie byli to również randkowicze umawiający się tu ze swymi sympatiami. Młodzi, samotni mężczyźni kręcili się po uliczkach Ostrowa, najwyraźniej węsząc i szpiegując. Ksiądz Urban doskonale znał te ukradkowe spojrzenia, to odwracanie twarzy, przyspieszanie kroku ze swoich lat podczas okupacji spędzonych we Lwowie. Tam lwowska ulica tajniaka rozpoznawała na kilometr, choćby nie wiadomo, jak bardzo się starał ukryć swoją tożsamość.

Ogród Botaniczny Uniwersytetu Wrocławskiego otworzył podwoje dla zwiedzających w niedziele. Odwiedzało go mnóstwo spacerowiczów chcących choć na chwilę wyrwać się z labiryntu kanionów cegieł, by odpocząć w cieniu ponad stuletnich platanów oraz niespotykanej, orientalnej roślinności. Saperzy przerzucili mostek przez staw przy wyciąganiu zardzewiałego arsenału z dna zbiornika.

Pojawiły się tu też pierwsze kaczkę, które głośno wyrażały aprobatę dla zmian, zachęcając karmiące je dzieci do zwiększonej aktywności. Podpały się sporo i – wychodząc na brzeg – kiwały się na boki. Były równie śmiałe jak wrocławskie gołębie na Rynku, które spacerowały sobie między ludźmi, dziobiąc coś z ziemi. Tak jak w parku Szczytnickim, rosły tu prawdziwe zabytki botaniki.

W parkach i na skwerach Wrocławia wychowały się całe pokolenia obywateli tego miasta, to w nich stawiali pierwsze kroki, wychodząc z wózeków, pierwszy raz próbowali złapać pszczołę, co nie zawsze dobrze się kończyło. Tutaj ojcowie po raz pierwszy puszczały drążek roweru, patrząc z dumą, jak ich dziecko łapie równowagę i samodzielnie prowadzi swój pierwszy pojazd. W parkach wrocławskich całe zastępy młodych zakochanych po raz pierwszy całowały się i zrywały zaręczyny, a amatorzy piwka i winka pod chmurką raczyli się ulubionymi trunkami na łonie natury pomimo wszelkich zakazów. Starszycy siadali na ławce, podpierając się laską i przyglądając z sympatią poczynaniom wnuczków stawiających babki w piasku.

Było to naturalne otoczenie, w którym śpiewały ptaki i szumiał wezbrany nurt Odry, a kamyki zgrzytały pod podszewkami spacerowiczów. W parkach dochodziło również do aktów niegodnych, brutalnych, często kończących się śmiercią. Ale o tym wrocławianie woleli nie wiedzieć, widząc jedynie dobrą twarz natury, skąpaną w słońcu, pełną zwiewnych nici babiego lata i bzyczących owadów, które latały w poszukiwaniu smakowitego nektaru z kwiatów.

Sabiej siedział na ławce w ogrodzie botanicznym i czytał gazetę, nie zwracając na siebie uwagi. To tutaj odbierał meldunki od zwiadowców i funkcjonariuszy Podatnego, który zresztą sam miał się tu zjawić. Sabiej w świetle słońca miał bardzo niezdrowy wygląd. Był blady, wręcz przeźroczysty, nie mógł się opalić, choć miał w sumie ciemną karnację. Ziemista cera przywodziła na myśl recydywistę, który większość swego życia spędził za kratami. Niebieskie żyłki wyraźnie odcinały mu się pod skórą. Czasem, kiedy był mocno wzburzony i poirytowany, stawały się jeszcze wyraźniejsze i ciemniejsze. Wtedy konsul sprawiał prawdziwie upiorne wrażenie. Do tego miał bladoniebieskie oczy o źrenicach wielkości szpilki. Często musiał korzystać z rozmaitych balsamów i kremów.

Pod tą szerokością geograficzną Sabiej nie przejmował się tym zbyt. Niegdyś blada cera była jedną z oznak wysokiego urodzenia, gdyż arystokracja unikała kontaktu ze słońcem. W złym tonie było posiadanie zdrowej, chłopskiej opalenizny, bo świadczyła o pauperyzacji rodu, o konieczności wspólnej pracy z własnymi włościanami. Teraz nikt się tym nie przejmował, ale też nie miał czasu na leżenie plackiem na słońcu. Do tego w jego fizjonomii wybijały się owe przekrwione, niesamowite oczy. Skrywał je pod fotochromatycznymi okularami, których szkła dostosowywały się do natężenia światła. Zmysły Przedwiecznego były wyostrzone do granic możliwości. Miał doskonały wzrok i podzielność uwagi.

Zwiadowcy pojawiali się, przysiadali, prosili dla niepoznaki o ogień i wyrzuciwszy z siebie szeptem kilka pospiesznych zdań, odchodzili. Niczego nie byli w stanie odkryć. Ksiądz Urban wykonywał te same, zwykłe czynności jak gdyby nigdy nic. Chodził tymi samymi drogami i nawet pił tę samą herbatę z jeżynami.

Instytucja Judasza na służbie była dziedziną o dużym potencjale rozwojowym. Wielu widziało w niej swoją życiową szansę i perspektywy na przyszłość. Ci inteligentniejsi i mniej zmanierowani odganiaли od siebie myśl, że z donosicielstwem jest jak z dziewictwem – kiedy ktoś raz przekroczy barierę, nie ma odwrotu, a potencjalny akt ekspiacji kosztuje bardzo wiele. Bowiem nikt rozsądny nie wierzył, że Maria Magdalena może tak od razu i bez wysiłku zmienić się w Joannę z Orleanu. Wiadomo było natomiast, że człowiek bez najmniejszych problemów przeistaczał się w jej seneszala Gillesa de Raisa, pozwalając, takim istotom jak Sabiej, wyszczerbić i skruszyć to, co najdelikatniejsze w człowieku – ludzką naturę.

Obecnie sztandarową postacią, niemal pierwowzorem osoby o złamanej osobowości, był Pawlik Morozow, znany z tego, że doniósł, gdzie trzeba, na swoich rodziców. Oto prawdziwe komsomolskie wychowanie i wzór do naśladowania! U podstaw przemiany

każdego dziecka, kochanego przez rodziców i hołubionego za młodu, w zawistnego, pełnego goryczy potwora, który nie cofnie się przed żadnym łajdactwem, by osiągnąć swój cel, tkwiła tajemnica grzechu pierworodnego. Piętno Kaina nie pojawiała się, wbrew temu, co twierdzili protestanci, w chwili narodzin. Nie było tam w górze czarnej księgi, do której zapisywano imię człowieka, by skazać go jeszcze w łonie matki na wieczne potępienie. Owo piętno wypalały istoty takie jak Sabiej, opanowawszy po mistrzowsku tajniki łamania ludzkich dusz. Co więcej, sprawiało im to niewysłowioną rozkosz.

Kiedy kolejny młodzieniec w jasnych spodniach i koszuli zerwał się z ławki i odszedł szybkim krokiem, uwagę Sabieja przyciągnęła młoda kobieta pchająca wózek. Miała na sobie letni płaszcz, a na głowie kwiecistą chustkę. Musiała niedawno przyjechać do miasta, bo była w niej energia i żywotność osoby, która dorastała na świeżym powietrzu. Sabiej obserwował ją spod wpół przymkniętych powiek. Żył na jego szyi pociemniały niebezpiecznie.

Żądza mordy, pradawne, niedające się opanować pragnienie, wolno, ale skutecznie zaczęło wypierać pozory opanowania. Nerwowym gestem zmiął rozłożoną gazetę. To było jego przekleństwo, silniejsze od niego samego, jego woli, instynktu samozachowawczego i pozorów ogłady. Tak jak nie da się oswoić rekina, tak Trzeci reagował instynktownie na widok osoby będącej w stanie dostarczyć mu nowych emocji. Do tego jeszcze dziecko...

Sabiejowi przypomniał się Gilles de Rais. Gdybyż te barany wiedziały, kogo mają! On również, będąc jednym z Przedwiecznych, powodowany niepohamowaną żądzą, zwabiał niewinne, nieletnie ofiary do swej siedziby, gdzie żył w zbytku, przepychu i zdecydowanie ponad stan. Gdyby nie znikające w kufrach lichwiarzy dobra, pewnie dożyłby sędziwego wieku nieprześladowany przez nikogo. Ale zapomniał o podstawowej zasadzie Przedwiecznych – bądź szybki jak wichur, ulotny jak poranna mgła i niewidoczny jak tchnienie czasu.

No i ścięli go. Proces stał się głośny, więc postanowiono zostawić go samemu sobie, żeby odwrócić uwagę od istoty całego zagadnienia oraz jego natury. Ucięcie głowy było mimo wszystko ostateczne i Gilles dokonał żywota na wieki wieków. Teraz Sabiej poczuł pragnienie, jakby siedział nie w ocienionym ogrodzie, ale na pełnym słońcu syryjskiej pustyni. A wystarczyło wyciągnąć dłoń. Wystarczyło zaspokoić przemożną żądzę mordy niedającą wytchnienia, wykorzystując cały arsenał środków, w jakie przewrotna natura wyposaża takich jak on.

Zerwał się z ławki i podbiegł do kobiety.

– Proszę pani, proszę pani! – zawołał.

– Pan do mnie mówi?

– Tak, do pani.

– Ale ja...

– Nie widziała tu pani mojego synka? Mały chłopczyk, Józio, ma pięć lat. Bawił się

jeszcze przed chwilą i gdzieś poszedł.

Stara sztuczka na zaginione dziecko. Któż młoda matka nie zmiękłaby i nie zaczęła rozmawiać nawet z całkiem nieznanym?

– Nie, nie widziałam. A może powinien pan zawiadomić pracowników ogrodu? Oni znają tu wszystkie zakamarki. Szukał pan w tych krzewach? Pewnie malec bawi się w najlepsze i zapomniał o całym świecie.

Kobieta przyjrzała się Sabiejowi i instynktownie pomyślała, że dziwny jegomość w okularach nie jest typem ojca, który chodzi z dzieckiem do ogrodu. Oczywiście miała rację, ale było już za późno. Sabiej chwycił jej nadgarstek w palce o uścisku imadła. Jęknęła. Jego nagle odkryte oczy wbiły w nią mesmeryczny wzrok, przykuwając w miejscu i uniemożliwiając reakcję.

Patrzyła na niego z przerażeniem. Sabiej nachylił się do niej, tak jakby chciał szepnąć jej ciche słówko albo pocałować w policzek. Wyciągnął z kieszeni obły przedmiot zakończony dwiema ostrymi igłami z tłoczkiem.

Nagle jakiś materiał spadł mu na głowę. Czyjaś mocna pięść walnęła go na odlew, tak że zobaczył wszystkie gwiazdy.

– Nu, niech pani ucieka. Ja już tu tego hamana przyfiluji! – rozległ się czyjś głos.

Zazgrzytały pospieszne kroki na ścieżce i zaszurały opony dziecięcego wózka. Sabiej z wściekłością zerwał szmatę z głowy. Był to jakiś worek. Przed nim stał niewysoki jegomość w kaszkiecie przekrzywionym na bakier i patrzył na niego spode łba.

– Nu co, zapachniała kotu spyrka? Za cudze baby się bierzesz, sztemp kobiecie robisz? Ja ci tu zaraz facki dam takie, że ty ruski miesiąc popamiętasz! – rzucił groźnie kresowiak.

– Czego ty ode mnie chcesz, oberwańcze?

– Jaaak, coooo? Jak ja ci tu zaraz pacnę w ten zakazany mazak. Ot, znalazł się Anglik z Kołomyi! Ty mi tu ni zalewaj, gadaj prędko, pókim dobry, czego od kobity chciał, a? Przyklajstruji się taki do paniuńci i jeszcze mi się tu handryczyć będzie. No i co tak japę rozdziawił, co? Jak ja ci szmorgnę w ten szapoklak, jak ci żburnę bez ten prochownik. murgo jeden, to ci makutra odleci! Jak ci zaraz zamaluji w puzdro. !

Sabiej zrejterował. Kresowiak krzyczał coraz głośniej. Zaczerwienił się na twarzy i widać było, że zaraz dojdzie do bitki. Oczywiście wynik tego starcia był z góry wiadomy, ale Sabiej nie chciał ściągać na siebie uwagi innych. Przedwieczny, który przez tyle lat wzbudzał grozę i przerażenie w swych ofiarach, umknął jak niepyszny przed rozzłoszczonym batiarem.

– Doskonale, panie Ignacy – rzucił Słupecki do batiara, na co ten zawadiacko nasunął kaszkiet jeszcze głębiej na oczy. – Dziękuję.

– O wa, panie Leonie, ja mogim tak furt gadać. Przypałęta się taki brusowaty, durny haman i si bundziurzy! I mlaska toto jak paciuk! I paszczękę rozwiera!

Słupecki parsknął śmiechem, bo doskonale rozumiał kresową mowę, a Ignacy miał niewyczerpany repertuar celnych powiedzonek.

– Jak paciuk?

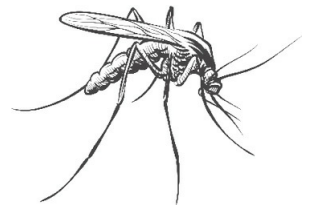
- Nu, a jak? Mały kaban znaczy. Ale ja lepszy kinder, nu ni?
- Tak, panie Ignacy, z pana to jest kozak pierwszej wody. Dziękuję za pomoc.
- Nu, ja by nie pomógł taki morowej paniadze jak pan Leon?
- Do zobaczenia zatem.

– Moji uszanowani dla pana Leona. No to katulam si bańdzioch napełnić, bo burczy mi jak cała wojskowa banda na defiladzie. A jakby co, to jak w dym, sztymuji?

– Sztymuji – odparł Leon Słupecki.

„A to miglanc – ocenił Słupecki odchodzącego batiara. – No i dobry uczynek spełniony – pomyślał Słupecki, odprowadzając wzrokiem kobietę z wózkiem. – Sabiej czmychnął w drugą stronę i pewnie wyjdzie od ulicy Stalina”.

Leon Słupecki rozplynał się w powietrzu, postanawiając nie spuszczać Sabieja z oczu, bo gotów był jeszcze wyrządzić komuś wielką krzywdę w tym stanie. Liście drzew w ogrodzie zaszumiały aprobująco.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

JAK TO W RODZINIE...

Pierwsze dni lipca upływały Warkotowi na słodkim nieróbstwie. Przekonał się, jak długo można odpoczywać po wytężonych kilku latach, kiedy łączył pracę z nauką oraz ostatnio – z walką ze złem.

Kapusta rozglądał się za mieszkaniem, bo najwyraźniej miał jakieś poważniejsze plany względem studentki Marleny. Warkot nie winił go za to. Majster należał do pokolenia, na które spadły same ciosy z rąk losu i historii. Teraz należało mu się odrobinę normalnego życia. Mógł oczywiście ściągnąć Marlenę do siebie, ale była na ostatnim roku studiów i miała huk pracy przed sobą. Miłość to wymagające przedsięwzięcie i należało się z tym pogodzić, choć Kapusta najwyraźniej nie miał zamiaru czekać na jej dyplom.

– Coś marnie pan wygląda, panie majster.

Kapusta mrugnął do Janka porozumiewawczo.

– Nie, nie będę panu prawił morałów – mówił dalej Warkot – tylko stwierdzam fakt.

– Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą – odparł sentencjonalnie majster. – A ty, Janku, co?

– Odpoczywam i mógłbym tak leniuchować jeszcze ze cztery miesiące.

– Nie wierzę. Jak dojdiesz do siebie, to sam sobie zajęcia będziesz szukał.

– Pewnie tak. Na razie jednak śpię do dziewiątej, jem dobre śniadanie, spaceruję po parku i dużo czytam.

– Są jakieś nowe wieści od pana Stefana?

– Dzwoni codziennie, ale jak na razie cisza. Przyczaili się czy co?

– A pan Leon odzywał się ostatnio?

– Raz czy dwa. Widziałem się też z profesorem Ochockim.

– No i co u niego?

– Pracuje ciężko nad kolejnym artykułem. Do tego gdzieś w Środzie Śląskiej znaleźli jakieś stare rzeźby, pojechał więc nadzorować prace. Pewnie się niedługo odezwie.

– Morowy gość z tego profesora. Nie wywyższa się.

– Myślę, że to cecha ludzi prawdziwie mądrych. Poza tym to dobry człowiek. Z kośćcami.

– O Jezu, o Maryjo! – rozległ się krzyk pani Genowefy z dołu.

Obaj mężczyźni poderwali się momentalnie. Zbiegli na parter.

– Pani Genowefo, co się stało? – zapytał Warkot.

Gospodyni stała w holu z fartuchem powalonym mąką i załamywała rękę.

– Olaboga! Teraz to już tylko kamień do szyi...

– Ale co się stało? Proszę się uspokoić.

– Mojego Ludwiczka te łobuzy do Warszawy wiozą.

– Ale jak? Dlaczego?

– Bo złapali tam jakiegoś nieszczęśnika, który złamał się na przesłuchaniu i go wsypał.

– I skąd się pani dowiedziała?

– A był tu taki jeden z wiadomością.

– Pamięta pani, jak było poprzednim razem? Może to blaga. Może chcą tylko panią oszwabić?

Pani Genowefa uspokoiła się nieco. Spojrzała trzeźwym wzrokiem na Warkota.

– A może być, że tak jest, jak pan mówi. Wcześniej też próbowali.

– No właśnie. Na razie nie ma się czym przejmować.

– Ale czasy teraz niepewne. Ludzie co i rusz znikają i ślad po nich ginie.

– Przecież była pani dziś rano na Kleczkowskiej. Wszystko było w porządku.

– No tak, ale ten człowiek...

– Pani Genowefo, rozsądna z pani kobieta, a takie mandronki opowiada. Niby skąd on wie takie rzeczy? Przecież to tajemnica śledztwa, jakby co. I po co pani to mówił?

Pani Genowefa przestała płakać i biadolić.

– Oby miał pan rację, panie Janie, oby pan miał rację.

– No popatrz, Jasiu, krwiopijcy nie odpuszczają – powiedział Kapusta. – Zdaje się, że coś się kroi.

– Słupecki mówił o poświęceniu katedry. Że jak nie znajdą miecza do tego czasu, to *mortus!*

– A kiedy to?

– Jakoś z końcem lipca. Duża uroczystość ma być. Biskupi, wierni...

– Dzwon, Jasiu, do Stefana. Może on coś będzie wiedział.

Kiedy tylko to powiedział, rozległo się energiczne pukanie do drzwi. Ktoś walił w nie, jakby miał zamiar roztrzaskać je na drobne kawałki. Spojrzeli po sobie. Nic dobrego to nie wróżyło. Warkot otworzył drzwi, mijając znów przerażoną panią Genowefę.

– Obywatel Jan Warkot? – zapytał jeden ze stojących w drzwiach smutnych.

– Przecież pan wie, że tak. Widzieliśmy się już. W drukarni.

– No właśnie. Pan pójdzie z nami.

– Ale jak? Po co? – wtrącił się Kapusta, a pani Genowefa tylko zakryła połowę twarzy białym fartuchem.

– Nie dyskutować, obywatelu. Was też to może wkrótce spotkać.

– Panie Zdziśku, nie trzeba – powiedział Janek.

Warkot wyszedł ze smutnymi, wsiadł do warszawy na cywilnych numerach i odjechał w nieznanym kierunku. Przynajmniej w stronę Podwała. Kapusta stał w drzwiach, za jego plecami pani Genowefa znów zaczęła pochlipywać.

– To ja zadzwonię, dobrze? – rzucił Kapusta i ze złością zatrzęsął drzwiami.

Gabinet pułkownika Podatnego był jasny i przestronny. Warkota nie zaprowadzono na dół do cel, ale wprost do niego. Znaczy nie został formalnie aresztowany, a tylko

doprowadzony na przesłuchanie. Nie było to też przesłuchanie *sensu stricto*, a jedynie coś, co nosiło znamiona przyjacielskiej pogawędki w gronie przyjaciół. Podatny stał pod oknem, uśmiechał się niczym personalny po masówce.

– Proszę, niech obywatel siada.

Warkot, chcąc nie chcąc, usiadł na krześle. Zauważył, że biurowa lampa jest opuszczona. Był to dobry znak, choć jej położenie mogło się w każdej chwili zmienić.

– No i co, dyplom się zrobiło. Władza ludowa dała wykształcenie? – zapytał pułkownik wciąż z uśmiechem na twarzy.

– Owszem, zrobiłem dyplom i teraz będę odpracowywał to, co państwo we mnie włożyło.

– To jeszcze nie jest wcale takie pewne – rzucił złowróźnie Podatny.

– Co pan ma na myśli?

– Że udział w spisku przeciwko socjalistycznemu państwu zwykle kończy się wyrokiem skazującym.

– Jakim spisku?

– No właśnie. – Podatny otworzył szarą teczkę i zaczął śledzić zapisane tam zeznania. – A ja tu mam wszystko, czarno na białym. Że student Warkot Jan, urodzony imiona rodziców. zamieszkały. zatrudniony. nawoływał głośno do sabotowania planu sześćioletniego, że wychwalał amerykańską politykę w Korei, że z fascynacją mówił o kulturze amerykańskiej ze szczególnym uwzględnieniem zdegenerowanej muzyki, jedno, drugie, trzecie zeznanie. Czy ty głupka ze mnie robisz, co?! – wrzasnął na koniec Podatny.

– Bynajmniej.

– Że jak?

– Wcale nie.

– No to kto cię do tego wszystkiego namawia, co? Wywrotowiec sanacyjny Kapusta? Porucznik Milicji Obywatelskiej Gromił, z którym ostatnio mocno się zakolegowałeś? A może ten degenerat Ochocki?

– Mówi pan o moim koledze z pracy, przyjacielu i znajomym profesorze. Nikt mnie do niczego nie namawiał.

– A więc ty tak sam, co?

– Panie pułkowniku, jak pracuję w drukarni i do tego zdaję egzaminy, to gdzie ja bym miał czas na jakieś spiski?

– Ale widziano was w willi konsula Sabieja, jak próbowaliście porwać go i oddać amerykańskim siepaczom. Są świadkowie – dokończył groźnie.

„Ach, tu cię boli. Sabiej musi mieć na ciebie niezłego haka, że tańczysz, jak ci zagra” – pomyślał Warkot.

– To są pomówienia, ohydne kalumnie. Nie wiem nawet, gdzie mieszka konsul.

– Nie wiesz, tak? – Podatny spojrzał Warkotowi głęboko w oczy. – Czyli władza ludowa kłamie?

– Nie, nie kłamie, ale nie jest nieomylna.

– Sprawiedliwość ludowa nie jest nieomylna?
– Mówimy o władzy czy o sprawiedliwości?
– Stul pysk, szczeniaku! Gadaj, gdzie jest schowany miecz?
– Ja nie wiem, odkąd pan pułkownik raczył zabrać miecz od Ochockiego, nie wiem, co się z nim dalej działo. A co, zginął? Ojej, to szkoda. Taki piękny egzemplarz.
– Zamknij mordę.
– No to jak? Stul pysk? Zamknij mordę? Myślałem, że będziemy rozmawiać.
– Znaczy, stul pysk, to jest, gadaj, co wiesz, bydlaku! To my za takich szczawików wojnę wygraliśmy, a wy teraz tak się władzy ludowej odpłacacie?
– Ja też byłem na wojnie i dostałem w wojsku sierżanta. Pewnie ma to pan gdzieś tam w tej swojej teczce. Ale pana pułkownika to sobie jakoś nie przypominam...
– Ty bezczelny jesteś, wiesz o tym? Zamknę cię na trzy miesiące w zimnej celi ze szczurami, to inaczej zaśpiewasz.
– Na jakiej podstawie? Że ktoś coś tam na mnie nagadał? Bzdury.
– A ty myślisz sobie, że ja potrzebuję konkretów? Tam na dole już wielu takich siedzi, co nie przyznali się albo wkrótce się przyznają. Do wszystkiego!
– Oczywiście, że pan pułkownik nie potrzebuje konkretów. Zastanawia mnie tylko, co ma wspólnego miecz z podważaniem autorytetu władzy ludowej?
– Konsul Sabiej złożył zażalenie. Wszyscy jesteście na muszce!
– Konsul Sabiej się myli. Jest dyplomata, więc pewnie natłok obowiązków...
– Ty sobie konsulem bratniego narodu radzieckiego mordy nie wycieraj.
– Pan się go boi – rzucił cicho Warkot, przyglądając się uważnie Podatnemu.
Obydwaj doskonale wiedzieli, że Janek był światkiem zdegenerowanej ceremonii w krzyckiej willi, kiedy to pułkownik nagi jęczał ze strachu przed pogańskim bożkiem krwi.
– Milcz, szczeniaku!
Strach wyzierał z oczu Podatnego i nie był w stanie nad tym zapanować. Wszechwładny pułkownik Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, pan życia i śmierci wielu niewinnie zatrzymanych, udziałny władca nadodrzańskiej metropolii, drżał ze strachu przed tym człowiekiem i nic nie mógł z tym zrobić.
Podatny uspokoił się na tyle, że podszedł do biurka, wziął jakiś skrawek papieru i zaczął coś na nim pisać, mocno przyciskając stalówkę. Podał Warkotowi papier.
– Pokażesz to na bramie. Spieprzaj mi teraz stąd i dobrze się zastanów. Jeśli nie chcesz drukować ulotek kół gospodyń wiejskich w jakimś regionalnym ośrodku, masz mi znaleźć Rybichwosta. Daję ci na to tydzień. Jak nie, spotkamy się ponownie i dopiero wtedy poznasz karzącą rękę sprawiedliwości ludowej. Marsz mi stąd!
Warkot wziął przepustkę i wyszedł, zostawiając otwarte drzwi. Czyżby strach tak sparaliżował pułkownika, że nawet go nie zatrzymał na czterdzieści osiem godzin? Nie, po prostu Jan Warkot był mu potrzebny. Podatny walczył o życie i jak każdy szczur przyparty do muru mógł boleśnie kąsać. Trzeba było o tym pamiętać.



Warkot przyszedł do Stefana Gromiła do komendy i siedział teraz u niego w pokoju. Zrelacjonował mu wizytę u Podatnego. Sytuacja była niewesoła.

– Nie będziesz miał kłopotów przeze mnie? – zapytał Janek.

– Jak to przez ciebie, obaj w tym siedzimy po uszy – powiedział Stefan. – Na razie cisza, major powiedziałby mi, gdyby coś się działo. Na szczęście w mojej sprawie przycichło trochę, jakby Sabiej odpuścił sobie morderczy proceder.

– Może tak, a może nie. Wspominałeś, że giną ludzie.

– Zawsze ginęli bez śladu. To jest duże miasto. Różne rzeczy się zdarzają.

– Stefan, a mówił ci Słupecki, co ostatnio nawywijał?

– Mówił, ponoć Sabiej uciekł jak niepyszny, chciał skrzywdzić jakąś kobietę. Pogonił go lwowski batiar.

– Może powinniście zatrudnić kilku lwowskich chojraków?

– Może i powinniśmy, ale oni raczej z milicją nie chcą mieć wiele wspólnego.

– No tak. Naciskali też znów na panią Genowefę. Niby dostała jakiś cynk z więzienia, ale to wszystko grubymi nićmi szyte.

– Chłopaki Podatnego dwoją się i troją, ale on sam ma pietra jak jasna cholera.

– Widziałem to dziś wyraźnie. Myślę, że dlatego też mnie od siebie wypuścił.

– Będziesz miał murowany ogon, Jasiu.

– Wiem, ale co? Oficjalnie ja nic nie wiem i jestem bardzo niewinny...

– Tak, tego się trzymaj, ty nic nie wiesz.

– Ale mogę się z tobą kontaktować?

– Oczywiście, oficjalnie jesteśmy przyjaciółmi, którzy chodzą razem na wódkę. Podobnie z Kapustą.

– Boję się, że zaczną naciskać na tę jego bogdanę.

– Na Marlenę? Dziewczyna już sporo widziała w życiu, choć udaje, że nic nie wie. Mogą jej robić problemy, to jasne. Ale nie dość, że jest w ZMP, to jeszcze wybrała sobie jak najbardziej poprawny temat pracy magisterskiej. *Rola chłopca w literaturze polskiego romantyzmu*. Ona tylko udaje pierwszą naiwną. Myślę, że rozumie więcej, niż przypuszczasz, no i jest bardzo za Zdziśkiem.

– Przybył jej na ratunek...

– Kiedy mieli jej krwi utoczyć. Z tego pewnie też sobie zdaje sprawę.

– Nawet jeśli boi się tej prawdy.

– Obawiam się, że jak mleko się rozleje, to nikt nas nie będzie rozumiał, Jasiu. O co tym ludziom w ogóle chodzi, jacy krwio pijcy? Z jakich zabobonnych kazamatów się wyrwali, żeby tak szkalować bratniego konsula?

– Ulica zrozumie. I podchwyci. Ich nie da się tak łatwo nabrać. Już całe miasto huczy od plotek o czarnej pobiedzie, co ludziom krew zabiera.

- Najwięcej krwi to kto inny im wysysa.
- I to mówi funkcjonariusz milicji ludowej?
- Wiem, co mówię. Mam to na co dzień.
- Stefan, ty też się mocno zmieniłeś od początku tej sprawy.
- Żebyś wiedział. Przejrzałem na oczy. Tylko nie powtarzaj tego nikomu.
- Wszyscy się zmieniliśmy. Tylko Kapusta jest taki, jaki był.
- To prawda.
- No to idę wypoczywać. Pani Genowefa już pewnie od zmysłów odchodzi.
- Słuchaj, na wszelki wypadek sprawdzę, co jest z jej mężem, Ludwik Dziurman, tak?
- Sprawdź, bo strasznie rozpacziała.
- Dobra, to widzimy się później. Może jakieś małe spotkanie?
- U mnie czy u ciebie?
- Może jeszcze raz u mnie. Mam nową nalewkę z domu...

Tymczasem potępieniec dwoił się i troił, by przygotować wszystko zgodnie z planem, jaki opracował wraz z księdzem Urbanem. Zawiadomiono również prymasa, bo on musiał wydać na wszystko zgodę. Przy odrobinie szczęścia będą w stanie przechytrzyć i UB, i „księży patriotów”, a nade wszystko krwiopicjów. Ponieważ wszystko szło jak po maśle, należało zachować szczególną ostrożność.



Poszukiwacze skarbów wciąż penetrowali stare domy we Wrocławiu w nadziei na szybkie wzbogacenie się, choć kary za tego typu występki były bardzo surowe. W ruinach nadal wały się niemieckie hełmy, pojemniki z maskami przeciwgazowymi, części umundurowania, a czasem nawet i uzbrojenia. W starej części Wrocławia nie stał ani jeden dom, w którym przezorni mieszkańcy Breslau nie schowaliby rodzinnych sreber i biżuterii. Było to tak nagminne, że wyznaczano specjalnych funkcjonariuszy do rozbieranych budynków. Ludzie ci wchodzili na piętra, opukiwali ściany, stukali w piece kaflowe i szukali obluźwanych desek w podłodze. Najwyraźniej starzy lokatorzy mieli nadzieję, że wrócą do swoich domów i odzyskają drogocenne precjoza. Nie zabierali ich ze sobą, bo czasy wojenne były niepewne, a nawet ich rodacy w twarzowych mundurach nie wahali się ograbić współobywateli, gdy tylko nadarzała się okazja.

Dlatego też handel na Nowym Targu i na placu Grunwaldzkim kwitnął w najlepsze, a władza przymykała oko na rozłożone na kocach srebrne sztuce i zegarki z dewizkami. Z czegoś trzeba żyć, a nikomu nie były potrzebne niepokoje społeczne. Takie prawidła okresu przejściowego, choć już zaczęto otwierać pierwsze sklepy jubilerskie, gdzie przodownicy pracy mogli kupować biżuterię za ciężką pracę.

W niedzielę 15 lipca Zdzisław Kapusta i Marlena Kuchta wybrali się na targ przy placu Grunwaldzkim, by znaleźć coś ciekawego na rozstawionych straganach. Nie była to żadna konkretna potrzeba, bo nie mieli jeszcze wspólnego domu, ale gwar, ruch na tętniącym życiem placu przyciągały niczym magnes wielu mieszkańców Wrocławia.

Obok rozłożonych na kocach futer karakułowych pyszniły się srebrne sztucce, samowary, obecnie do niczego nikomu niepotrzebne bibeloty, stare kryształowe karafki, pojawiły się papierośnice z wizerunkiem wrocławskiego ratusza i rozwijała się profesja grawerska, bo nowo wzbogaceni chcieli nadać tym przedmiotom indywidualne cechy. Dlatego oprócz napisów w stylu „Zosi – Staszek” na puderniczce czy też „Na wieczną pamiątkę, Adam” dało się znaleźć – „Brygada Hufca Pracy SP nr 12” oraz „Piaستowski Ziemie Odzyskane na zawsze w Polsce” na zapalniczce. Niejednokrotnie widać było emblematy organizacji i miejskie herby. Pojawiły się też pamiątkowe puchary i medale w podziękę za dwieście procent normy oraz czasem za „Walkę z bandytyzmem i reakcją”.

Oczywiście handlowano też przedmiotami codziennego użytku. Kapusta upatrzył sobie nowiutki rower, choć cena zwała go z nóg.

– No popatrz, Marlenka. Stary landszaft za grosze, a nowy rower za dwie moje pensje.

– A po co ci nowy rower? Twój jest przecież całkiem dobry.

– To nie o to chodzi. ale widzisz, nowy ma sakwojaż na bagażniku i miejsce na koszyk przy kierownicy. Moglibyśmy wyskoczyć na Glinianki. – zamruczał zmysłowo.

– Zdzisiu, przestań, ludzie. – Marlena zarumieniła się jak pensjonarka.

– A co mi tam ludzie! – wykrzyknął i bezceremonialnie skradł jej całusa.

– Z tobą tak zawsze.

– Pyyyyzy, świeże pyyyyzy! – zawołała kobiecina w kraciastej chuście na głowie.

– Pani da te pyzy, dwa razy – powiedział Kapusta.

– Coś na przepłukanie?

– Piwo i oranżadę pani da.

– Piwo ciepłe.

– A jakie ma być? Żar z nieba się leje taki, że nawet lodowiec by się rozpuścił.

Po chwili jedli pyzy z dwóch weków, popijając z butelek z ceramicznymi korkami. Amatorów pyz było bardzo wielu. Podaż i popyt wbrew planowi sześćioletniemu. Na pohybel knowaniom MacArthura. Na przekór przodownikom pracy. Wbrew współzawodnictwu pracy. Zupełnie błahy, domowy wyrób, a ile radości. Nawet ze skwarkami.

– Widzisz, Marlenka, bo tu się nie rozumiemy – zaczął Kapusta. – Jak ktoś coś hoduje albo sadzi, to dogląda wszystkiego, pilnuje, nawozi, karmi. Pańskie oko konia tuczy, jak to kiedyś mówili. A jak to spółdzielnia, gdzie zabierają od razu wszystkie produkty, to rolnik się burzy, bo nawet nie wie, na czyj stół jego świnka trafi. Choć przeważnie wiadomo.

– Ty, Zdzisiu, musisz zmienić swój skostniały tok myślenia. Myślisz kategoriami

jednego czy dwóch rolników, którzy nie chcą oddać potrzebującym płodów rolnych. A tu trzeba myśleć globalnie. Kraj jest jeszcze w ruinie, choć podnosi się po wojennych zniszczeniach. Robotnik musi zjeść coś konkretnego, żeby mógł efektywnie pracować dla dobra ojczyzny...

– No właśnie o tym mówię. Robotnika stać na grule, ale już nie codziennie na schab czy kiełbasę. Co najwyżej na pasztetową. i salceson. – Oblizął się odruchowo. – To dokąd to idzie, pytam się ciebie, moja ty, uświadomiona politycznie dziewczyno? Ja wiem, szerokimi torami do Medyki...

– Nawet tak nie mów. Wiesz, jaką ofiarę ponieśli towarzysze radzieccy podczas wojny. Walczyli z faszystą. Ginęli. U nich też się nie przelewa, ale technologię mają najlepszą.

– Marlenka, znam ja tę ich technologię. Jakby u nas tokarz machnął się o kilka milimetrów, ba, kilka mikronów, to by mu majster taki Stalingrad zrobił, że zapomniałby, jak się nazywa. A takie lewe części co chwila nam z Rosji ślą i mówią, że „samonajlepsze”. Buble, Marlenka, same buble.

– A tak, ten pan ma najświętszą rację – odezwał się jeden ze sprzedających z całą płachtą maszynek spirytusowych, do mięsa i noży. – Ruskie to tandetne. Każde dziecko to wie.

– No widzisz, Marlenka, ten pan potwierdza.

– Ale czemu w ogóle wtrąca się pan do naszej rozmowy? – rzuciła Kuchta.

– Ja tylko potwierdzam, co pan szanowny powiedział. O, widzi pani tę maszynkę. – Wskazał na jeden ze swoich towarów. – Hamerykańska, sto lat wytrzyma. Na korbce to się powiesić można, a noże? Ho, ho, ostre, że strach. I ta musi kosztować. A tutaj model ekonomiczny dla każdej pani domu, ale bądź pani pewna, że po pół roku klient wróci i nową będzie kupował, bo mu się rączka urwie albo noże połamią. O tak, nas, biednych ludzi, nie stać na kupowanie tandety.

– No na biednego to mi pan nie wygląda. Spekulant! – rzuciła z pogardą w głosie.

– Że co? Że ja spekulant? Człowiek ciężko haruje od świtu do nocy, a tutaj jeszcze takie podziękowanie go spotyka. No ładnieś pan córeczkę wychował!

– Panie, panie, coś pan! – zaperzył się Kapusta. – Jaka córeczka?

– A to pardonsik, parekselans. No to pogratulować szanownemu panu. Proszę ją tylko uświadomić w innych kwestiach niż te, co pan wiesz, a ja rozumiem. Bo jak na młodą dzierlatkę, to stanowczo za bardzo przypomina mi naszego politruka z wojska. Wygadana bestyjka, ale bredzi jak Piekarski na mękach. Życia nie zna. A wyjdź pan ze swoją panną z tej sypialni i pokaż jej świat. Ten prawdziwy.

Marlena odciągnęła siłą Kapustę, który już chciał się kłócić ze sprzedawcą. Tylko im było teraz potrzeba, żeby milicja go zamknęła za awanturnictwo.

Wzburzony Kapusta uspokoił się dopiero przy dużych słojach ze złotymi rybkami, których nie obchodziły ani międzynarodowe aspekty planu sześćoletniego, ani współzawodnictwo pracy, ani też knowania adenauerowsko-trumanowskiej klikki. Interesowały je tylko suszone dafnie i być może żyło im się z tym lepiej. Wytrzeszczały

mądrze ślepka, zupełnie jak aktyw ZMP, i podpływały do szklanej powierzchni z ufnością, otwierając i zamykając pyszczki niczym egzekutywa. Stoisko wzbudziło niezwykle zainteresowanie pewnego burego kocura, który z dachu jednego ze stoisk bacznie obserwował tę kocią restaurację, do której jednakowoż nie miał wstępu. Być może z uwagi na brak marynarki i krawata.

– Widzisz, Zdzisiu, tacy są ludzie. – Westchnęła Marlena, wzięła Kapustę pod ramię i pociągnęła w stronę amerykańskich ciuchów.

Stał tam rój klientek gorączkowo przebierających w towarze ku wyraźnemu zadowoleniu sprzedawczyni, która spod w półprzymkniętych powiek szacowała potencjalnych nabywców. Harmider i rwetes panował tu jak pod Grunwaldem. Napastniczki wrywały sobie porporzec wielkiego mistrza i widać było, że za chwilę rozstrzygną się losy batalii.

– Zobacz, Zdzisiu, jaka piękna sukienka! – wykrzyknęła Marlena i nim Kapusta zdążył zareagować, rzuciła się między przebierające w odzieży sroki.

Wyciągnęła coś, w czym przed wojną porządna panna nie odważyłaby się wyjść z domu. A i po domu nie każdemu by się w tym pokazała. Kuse to było i wydekoltowane. Kolorowe jak balony w wesołym miasteczku. Marlena przystawiła sukienkę do siebie i uśmiechnęła się do Zdzisława.

– Ładnie mi?

– Ładnemu we wszystkim ładnie – rzucił Kapusta.

– O, widzę, że narzeczona szanownego pana ma gust. – Sprzedawczyni ruszyła do boju.

Na dźwięk magicznego słowa Marlena zaczerwieniła się, a Kapusta spochmurniał, nie wiedzieć czemu.

– To prawdziwa okazja, prosto z USA! – Sprzedawczyni zachwalała towar tonem sanacyjnej modystki.

– To, że z USA, to widać, ale cena też pewnie z USA. – Kapusta bronił się niemrawo.

– Ależ, Zdzisiu. ? – Marlena miała teraz oczy chorego dziecka, któremu okrutny dziedzic zabrał ostatniego cukierka i kopnął pieska.

– A co powiedzą twoi koledzy z ZMP na takie ekstrawagancje?

– Nie muszą wiedzieć.

– Oni wiedzą wszystko. Mają swoje sposoby. – Kapusta bronił się coraz mocniej, widząc, że zostaje zaatakowany z flanki.

– Nie marudź, mój kapuśniaczk. – Marlena złamała żelazną zasadę nieujawniania alkowianych przydomków na forum ogółu.

– No widzi pan, jak pana narzeczona wdzięcznie prosi. – Sprzedawczyni była tak wytrawnym graczem, jak horda Mongołów pod murami Legnicy.

– I znów będzie miesiąc o zupkach mlecznych – westchnął zrezygnowany Kapusta, sięgając po portfel. – Ile toto kosztuje?

Sprzedawczyni wymieniła cenę z mocą średniowiecznego tarana forsującego bramy miasta.

– Ile? No niech pani nie przesadza. – Kapusta posłał salwę z kuszy z murów obronnych w stronę nacierających wrogów.

– Ależ ja prawie dopłacam do tego. – Kolejne uderzenie tarana, zdolne przebić nie tylko bramę, ale i gruby mur, wstrząsnęło posadami oblężonego zamku.

– W domu handlowym jest kiepski wybór i wszystko jakieś takie szarobure – zaprotestowała Marlena. Cios piki z boku sprawił, że Kapusta skrzywił się, bo sojusznik najwyraźniej kumał się z nacierającym wrogiem. Na hasło „szarobure” kot na dachu straganu prychnął pogardliwie, po czym powrócił do hipnotyzowania pomarańczowych rybek.

– Szarobury, masz ten swój rozwijający się przemysł odzieżowy. Kalasz dobre imię prządek z Łodzi. – Wieża wartownicza zaczęła się chwiać w posadach, więc Kapusta próbował zmienić temat.

– Ale nikt nie będzie miał takiej! Koleżanki już i tak wyglądają jak bliźniaczki. – Sojusznik postanowił zerwać wszelkie pakta i konwenta. Był bezkompromisowy.

– No to jak, opuści pani? – Podniesiono kratę i ufnie opuszczano most zwodzony na i tak zasypaną przez wroga fosę.

– Dodam panięcie chustkę. – Wróg imał się wszelkiej podłości.

– No dobrze, już dobrze. Kupię ci tę kieckę. – Horda napastników wdarła się do zamku, paląc i zabijając wszystko na swej drodze. – Ale apaszka gratis! – Obrońcy próbowali jeszcze targów, choć byli na z góry przegranej pozycji.

– No przecież powiedziałam – burknął urażony najeźdźca.

Marlena rzuciła się Kapuście na szyję i wycalowała go, gubiąc wcześniejsze skrupuły. Nastąpiło zawieszenie broni i można było przekuwać miecze na lemiesz. Kot przeciągnął się leniwie i podreptał w stronę stoiska z rąbanką w nadziei, że w tej mordowni nie będzie szwajcara przy drzwiach.



Kiedy we wtorek 17 lipca 1951 roku do Muzeum Archidiecezji weszło kilkunastu funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa o szóstej rano, byli niezwykle zdziwieni, że wszyscy już dawno są na nogach i bez ceregieli otwierają przed nimi kolejne pomieszczenia. Rozkaz był konkretny – odnaleźć dużą żelazną skrzynię, skłonić księdza do otwarcia jej i zarekwirować zawartość, którą miał być jakiś tam miecz. Podatny nie nadzorował tej akcji, bo ostatnio poranny sen był u niego cenniejszy niż złoto, powierzył więc zadanie podwładnym.

– Panowie tak wcześnie wstają – powitała ich siostra przełożona. – Zaparzyłyśmy świeżej kawy, zbożowej ma się rozumieć, i upiekłyśmy bułeczki. Panowie pewnie bez śniadania...

Ubecy zdębieli, czując jakiś podstęp. Czekali na znak porucznika, który po namyśle

skinał głową i wtedy dopiero sięgnęli po parujące kubki i ciepłe jeszcze pieczywo z konfiturami. Cały czas się rozglądali i spoglądali na kolegów w obawie, że to wybieg i zaraz coś się wydarzy. Wtedy doszło do nich jeszcze coś – jeden po drugim po kolei przestawali jeść i pić, szukając u kolegów objawów ostrego zatrucia pokarmowego. Odetchnęli z ulgą, gdy się przekonali, że bułeczki nie były nafaszerowane strychniną.

Burcząc coś w podziękowaniu, odstawiali naczynia i ruszali dwójkami po misternych neogotyckich schodach, by zacząć poszukiwania od góry budynku. Ksiądz Wincenty Urban uśmiechał się do nich dobrotnie.

Przetrząsano wszystko, szafy, schowki, wnęki, ubecy zajrzeli też na strych i do piwnicy. W końcu zrezygnowani wrócili do głównego holu, by usiąść i zapalić. Dochodziło południe.

Wtedy porucznik podskoczył jak dźgnięty ostrogą, bo usiadł na żelaznej skrzyni, której opis zgadzał się co do joty. Co więcej, druga taka skrzynia – niemal identyczna, stała przy przeciwległej ścianie.

– Co to ma być? Żarty jakies? – rzucił porucznik, wskazując na ciężki żelazny przedmiot.

– Jakie żarty, panie oficerze? – zapytał ksiądz Urban.

– Skąd ta skrzynia się tu wzięła?!

– Cały czas tu stoją, obydwie. Za ciężkie, żeby je gdzieś targać.

– Otwierać!

Ksiądz podszedł do jednej z nich. Wyciągnął klucz z kieszeni, w drugiej ręce trzymał długi drut, który najwyraźniej służył siostrzyczkom do dziergania zimowych skarpet i szalików. Wsadził klucz do zamka, przekręcił i jednocześnie dźgnął ledwo widzianą szczelinę drutem. Zamek zazgrzytał, ale łatwo ustąpił.

Ubek niemal odepchnął kapłana, żeby zobaczyć, co jest w środku. Zdębiał. Skrzynia była pusta.

– No właśnie w tej znaleźliśmy Księgę henrykowską zawiniętą w pergamin. Sojusznicy nie potrafili otworzyć, to może i lepiej. – dodał jakby do siebie.

– A druga? Otwierać natychmiast!

Ksiądz podreptał do drugiej skrzyni. Po chwili wieko odskoczyło z cichym trzaskiem. Porucznik już był przy nim.

– Aha! – wykrzyknął triumfująco i sięgnął do wnętrza.

Przedmiot miał podłużny kształt i został zawinięty w kawał materiału w kamuflaż, spadek po Festung Breslau. Porucznik uniósł przedmiot zamasyście. Twarze smutnych pokraśniały z zadowolenia.

Kiedy odwinął płótno, ich oczom ukazała się mosiężna rękojeść z dziurą, przez którą ktoś przeplótł rzemień. Spod warstw materiału wysunął się wygięty kształt. Błysnął metal. Smutni uśmiechnęli się jeszcze szerzej.

– Idziemy! – wykrzyknął rozradowany porucznik i cała grupa opuściła teren muzeum.

W urzędzie pułkownik Podatny drżącymi dłońmi wziął od porucznika znaleźisko.

Rozwinął niecierpliwymi ruchami materiał i zawartość objawiła się w całej okazałości.

Była to szabla radzieckiego kamandira, popularna szaszka, która z oryginałem, dziełem carskich płatnerzy, nie miała niczego wspólnego poza kształtem. Ta została odciśnięta od sztancy, na brzegach widać było niedoróbki i krzywe wlewy, na dodatek ostrze było niemiłosiernie poszczerbione. Oczywiście funkcjonariusze nie mieli pojęcia, że za pomocą tej szaszki łasy łupów moskał próbował wcześniej otworzyć skrzynię. Nie wiedział, że w środku znajduje się tylko Księga henrykowska. Gdy wyszczerbił szablę na kunsztownym średniowiecznym wyrobie, zrezygnował, cisnął nią o ziemię i zaczął pakować srebrne lichtarze do miszoczek.

– Co to ma znaczyć?! – krzyknął Podatny. – To co, już szabli od miecza nie rozróżniacie?

– Ciemno tam było i. A poza tym skąd mam wiedzieć, czym dziedzic wiejską biedotę siekł? Miecz czy szabla to dla mnie bez różnicy – powiedział porucznik.

– Wszystko przeszukaliście? – zapytał Podatny po chwili już łagodniejszym tonem.

– Od dachu aż po piwnice, towarzyszu pułkowniku. – Porucznik, gdyby miał ogon, to zaczęłby merdać.

– Dobrze już, dobrze. Najwyraźniej klecha nie ma tego u siebie. A jego prywatny pokój przeszukany?

– A jakże? Samój siennik prułem.

– Znaczy, gdzie indziej bydlaki schowali. Trzeba będzie nowy nakaz przeszukania zrychtować, bo się nam nasz pan profesorek gotów obrazić na władzę ludową. Bierz ludzi i czekaj pod jego domem. Później pojedziecie do Warkota i Kapusty. Tam też kipsisz zrobić, żeby musieli sprzątać przez tydzień. Gromiła zostawić w spokoju, bo w sumie nie wiadomo, wróg to czy sojusznik, a może nam się jeszcze przydać.



Na Sudeckiej pani Genowefa już miała z garnkiem wrzątku na smutnych się zamachnąć, ale ją Kapusta w porę złapał, bo inaczej jak nic wzięliby ją i zamknęli. Smutni przekopali cały dom, a jeden nawet sprawdzał, czy ziemia w ogrodzie niezruszona, i już się za łopatę łapał. Wyciągnęli kwiaty z donic, choć konia z rzędem temu, kto by umiał schować miecz w doniczce. Zrobili to tak zwyczajnie, po ludzku, po złości.

Warkot przyjął to ze stoickim spokojem, bo dwie marynarki na krzyż, ze trzy pary spodni, kilka koszul, parę książek i deska kreślarska z przyrządami stanowiły cały jego dobytek. Mogli sobie szukać do rana.

Kapusta miał jeszcze mniej rzeczy. Warkot w duchu parskął co i rusz śmiechem, widząc pozornie groźnych, lecz *summa summarum* głupich i prostackich smutnych, którzy umieli tylko przewracać wszystko na nice. Mógłby trzymać Rybichwosta w rękach albo położyć go na stole i nic by nie zauważyli. Wyszli po kilku godzinach jak

zbite psy, czując zbliżającą się reprimendę od szefa. Gdyby nie powaga sytuacji, wszystko to byłoby niesamowicie zabawne, żeby nie powiedzieć – śmieszne.

W mieszkaniu profesora Ochockiego nieopodal ulicy Stalina smutni mieli większe pole do popisu, bo w trzech pokojach zobaczyli największą liczbę książek i różnych dziwnych przedmiotów, jakie widzieli w życiu. Nawet w jadalni profesor trzymał opasłe woluminy ułożone w dwóch rzędach na solidnych, poniemieckich regałach. Żartowali między sobą, żeby dodać sobie otuchy w onieśmielającej świątyni kultury i sztuki. Jeden założył na twarz afrykańską maskę i pohukując, straszyl kolegę.

– Te, Franek, zobacz. Uhuhuhu!

– Eee, ja tu mam coś lepszego. Sanacyjny hełm! – rzucił drugi do kolegi, po czym założył sobie zabytkową, mosiężną spluwaczkę na głowę. Była niestety pusta.

U profesora straty okazały się jednak większe, niż się zapowiadało, bo smutni stłukli karafkę i dwie porcelanowe figurki. Miśnieńskie. Ochocki mało apopleksji nie dostał, a jego małżonka, która już wróciła od rodziny, stała tylko oparta o framugę, paląc mocnego mazura, jakby szacowała roboczogodziny potrzebne do uprzątnięcia tej sodomy i gomory. Córki wyjechały już do kuzynostwa nad morze, więc oszczędzono im tego misterium złości i pogardy.

Kiedy w końcu wyszli, profesor opadł ciężko na krzesło i schował twarz w dłoniach. Czuł się splugawiony do cna, bo nie tylko wtargnięto do jego królestwa, ale też banda Hunów dokonała poważnych zniszczeń. Jedynym pocieszeniem było to, że Rybichwosta do tej pory nie znaleźli. Sabiej musiał się obejść smakiem.

Sądny wtorek skończył się szybko, a prześladowcy nie zyskali niczego. Rybichwost znajdował się na wyciągnięcie dłoni w holu Muzeum Archidiecezji ukryty pod przemyślnie odsuwaną klepką w rzeźbionej boazerii. Najwyraźniej to nie pierwszy raz, gdy była potrzebna.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

NASU

Spiskowcy, czeladnicy Bractwa Wołoskiego, spotkali się u Gromiła, żeby jeszcze raz wszystko omówić. Było to spotkanie jak najbardziej jawne, bo po czarnym wtorku, kiedy smutni przeszukali mieszkania i muzeum, nie było się co kryć. Dla niepoznaki Gromił rozdał im karty i zasiedli do wspólnej gry przy okrągłym stole, racząc się wyśmienitą lemoniadą z lodem. Cytryny były przydziałowe i nadawały się wyłącznie na sok, a lód Gromił zrobił w nowej lodówce, która pracowała tak głośno, jak młockarnia, ale dawała komfort i przyjemność swoim chłodnym wnętrzem.

– W ogóle to nie rozumiem, po co on to zrobił? – Warkot wciąż nie mógł dojść do siebie. – Melduję sześćdziesiąt!

– Jak to po co? Sabiej mu kazał. Pan każe, sługa musi – odparł Gromił. – Niepokrytą dychę mi zabrał, sprytnie!

– Pani Genowefa to teraz na nas całkiem wilkiem patrzy – odezwał się Kapusta. – Po sześćdziesięciu.

– Dwie miśnieńskie figurki mi stłukli, hołota! – Profesor wciąż był oburzony, do tego robił za dziadka w tym rozdaniu i taktownie milczał na temat musiku.

– Dobra ta lemoniada. Cytrynki z milicyjnych konsumów? – zapytał zgryźliwie Warkot. – I jeszcze raz po treflu.

– A żebyś wiedział – odparł zaczepnie Gromił. – Jak ci nie smakuje, to wody w kranie mam pod dostatkiem. Nie mam do koloru.

– Dobra! – Mlasnął z zadowoleniem Kapusta. – No to teraz asem i melduję czterdzieści, i wszystko moje!

– Proszę mi zapisać stówkę za dwa asy! – dopominał się Ochocki.

– Jakie dwa asy? Jakie dwa asy? – zaperzył się Kapusta. – Jeden był i dziewiątka! Jakbym miał dwa asy, to bym wykładankę miał od ręki!

– No...

– No co?

– No może i tak było.

– Profesor, a kantuje!

– Oj, zamyśliłem się! Nie wolno? W końcu to ja poniosłem największe straty. Dwie figurki...

– Ja profesorowi odkupię te figurki na placu za dwa rybaki!

– Coście, dobry człowieku, na głowę upadli? Na jakim placu?

– A bo pan profesor to powinien do ludzi trochę wyjść. Te wszystkie znaleźiska, co profesor ich szuka, to na placu można za psie pieniądze kupić. I to jakie! A najdrożej to sprzęt domowy chodzi. I damskie kiecki. – Westchnął zrezygnowany Kapusta na wspomnienie swej klęski sprzed paru dni.

– Może rzeczywiście bym się kiedyś wybrał? W końcu mam blisko.

– Tylko niech profesor weźmie flotę, to jest pieniądze, bo profesor zapomni z domu i potem będzie leciał na złamanie karku.

Wtedy rozległo się ciche i kulturalne pukanie. Za drzwiami stał jak gdyby nigdy nic Leon Słupecki i patrzył na Gromiła oczami zdziwionego dziecka.

– No teraz to mnie pan zaskoczył, panie Leonie. Żadnego przenikania przez ściany, gwałtownego pojawiania się znienacka w słupie dymu?

– Nie chcę nikogo straszyć. na razie.

– Proszę, niech pan wejdzie. Lemoniadki?

Słupecki grzecznie się z wszystkimi przywitał i streścił rozmowę księdza Urbana z prymasem.

– Wszystko jest uzgodnione. Miecz spocznie w katedrze pod głównym ołtarzem. Ale nie może być wystawiony na widok publiczny, bo sami wiecie. Już się rozpoczęły stosowne prace w podziemiach. Prymas wyraził na wszystko zgodę, mało tego, podziękował za tak sprawnie przeprowadzoną akcję. – Spojrzał po twarzach zgromadzonych. – Macie jego pełne błogosławieństwo.

– Teraz tylko trzeba będzie przenieść miecz z muzeum do katedry. Niby to dwa kroki, ale po drodze wiele może się wydarzyć. Licho nie śpi. W środku już nas nie dopadną. Tam nie wejdą, bo po rewizji w katedrze byłby niezły pasztet. No chyba że użyją tych swoich familusów.

– Familusami się nie martwię – rzucił w zamyśleniu Gromiła. – Ale Sabiej...

– Zrobi wszystko, żeby do tego nie dopuścić. Teren wokół katedry otwarty, nie za bardzo jest się gdzie schować. Nie będę przecież tam stać całymi dniami do uroczystości – potwierdził Warkot.

– A może by tak na wydrę? No znaczy się, żeby ktoś w biały dzień miecz przeniósł. Tak po prostu – zaproponował Kapusta.

– Zbyt wiele mamy do stracenia. Jeśli Przedwieczni dostaną Rybichwosta, Wrocław zmieni się w jedną, wielką spiżarnię, bo ściągną tu jak, za przeproszeniem, muchy do. No wiecie panowie do czego. Ściągnęli Nasu, demoniczną zbroję.

Nie pytajcie mnie, skąd pochodzi ten kostium, bo ja nie wiem wszystkiego, ale w tamtych czasach zamiana w kamień czy słup soli to właściwie były dziecinne igraszki. Podobnie różne mechaniczne zabawki. Włosy dęba stawały od bezceństw, jakie wtedy wyczyniano. Ruja, porubstwo i kolektywizacja, jak mawia jeden z kolegów pokutników. Sodoma, Gomora i ucisk chłopa.

– Panie Leonie, coś się pan tak rozmarzył? Starych czasów się panu zachciało? – zakpił Warkot.

– Aaa, bo gdyby to było w moich czasach, to byśmy z panem Sabiejem inaczej gadali. Skrzyknęłoby się ciżbę, przygotowało osikowy kołek i dół na rozstajach można było wykopać, a jak trzeba, to i suchego chrustu nazbierać, żeby się gadzina za szybko nie pożegnała. A teraz, cy-wi-li-za-cja. To macie tę swoją cywilizację. Bez bumagi nie można nawet relikwii w kościele umieścić, a co dopiero zbira na tamten świat

wyprawić. Kiedyś było inaczej. znaczy drzewiej bywało – poprawił się, by nie wypaść z roli średniowiecznego pokutnika.

– Dopadniemy dziada, niech się pan nie boi – zapewnił go Gromił, który w tym towarzystwie coraz częściej wychodził na głos rozsądku.

Profesor milczał, bo zastanawiał się, skąd by tu wziąć odpowiedni klej do porcelany, ale ożywił się na dźwięk słowa „cywilizacja”.

– Wierzenia w siły nadprzyrodzone, wbrew pozorom, istniały w każdej cywilizacji. Tylko ta obecna ich nie ma, ergo to nie jest cywilizacja.

– Jak to ergo? – zdziwił się Kapusta.

– A tak to – odparł profesor. – I nie należy tu mylić cywilizacji z tak zwanym postępem technologicznym, bo to dwie różne sprawy. Cywilizacja to stopniowy progres myśli ludzkiej, nigdy regres, a tu mamy wyraźne cofnięcie się do jakichś świeckich oświeceniowych mrzonek. Gdyby Newton siedział pod palmą kokosową i kokos spadłby mu na głowę i go zabił oczywiście, to czy w jakimś stopniu wpłynęłoby to na bieg cywilizacji? Nie. Jabłka i kokosy dalej spadałyby z drzew jak w czasach biblijnych. Jeśli więc nawet współczesność odkrywa nowe prawa, szykuje się do lotów na Księżyc czy jeszcze gdzie tam nas nie posiali, to w niczym nie zmienia to ogólnego obrazu świata wraz z jego prawami natury i prawami boskimi. Po prostu nie zostały jeszcze wszystkie odkryte. Prawa boskie natomiast opierają się, siłą rzeczy, na wierze i jako takie nie mogą być odkryte, bo stanowią największą z tajemnic życia niedostępnych zwykłym ludziom.

– O matko! Niech mnie drzwi ścisną, jak pięknie gada! – zawołał Kapusta.

– No to się nam pan profesor zagalopował – sapnął Warkot.

– Spodziewałem się tego – rzucił Gromił.

– To ja teraz powiem, jak pan profesor kiedyś, w tym mieszkaniu do studentów. Żeby tylko pana dziekan nie usłyszał, bo będzie pan do końca życia polichromie w wiejskich kościółkach czyścił, a nie studentów uczył – rzucił Słupecki. – Na reedukację z dialektyzmu skierują pana profesora. Widzę, że nasz ksiądz ma zły wpływ na szanownego pana.

– A tak. Nie przeczę, że oczy zaczęły mi się otwierać. Ale od zawsze wiedziałem, że w każdym dziele sztuki jest pierwiastek iskry bożej, bo inaczej artysta jest tylko zręcznym rzemieślnikiem, choćby się o artyzm ocierał.

– Iskra boża – rzucił Warkot – to jest to, czego nam w tej chwili potrzeba.

Wszyscy pokiwali głowami zatopieni w myślach.



Słońce lśniło na niebie niczym metalowy spichlerz. Tradycyjne opisy przyrody posługujące się wstecznymi metaforami były z natury swej pretensjonalne

i przestarzałe. W nowej literaturze ograniczano je do niezbędnego minimum. Teraz cała uwaga skupiała się na człowieku, ba, na Nowym Człowieku. Lecz nie jako jednostce. Musiał być albo człowiekiem symbolicznym, zawierającym w sobie wszystkie pozytywne cechy osoby wyrosłej ze środowiska robotniczego bądź chłopskiego, lub też częścią kolektywu, zgranej robociarskiej rodziny, której główną troską było przekroczenie planu pomimo nawarstwiających się przejściowych trudności oraz knowań wrogiej klikki, wiadomo na którym pasku. Do grona negatywnych postaci zaliczano również osoby stojące z boku, niezaangażowanych, którzy dbali wyłącznie o własny pełny brzuch, za nic mając wykonanie planu sześcioletniego, wszelkie zobowiązania współzawodnictwa pracy, i po fajrancie szli do tych swoich zapyziałych, mieszczańskich mieszkańek, by w otoczeniu zatechłych pamiątek sanacji kisić się we własnym sosie moralnej degrengolady i zbutwienia. No i zażywać częstych kąpiele.

Ponieważ okres stagnacji w nadodrzańskim Wrocławiu trwał w najlepsze i miasto czekało na nowe czasy, wiele prac związanych z uprzątnięciem pozostałości po wojnie wstrzymano. Nawet na starówce. Studentom idącym na wykłady i ćwiczenia zupełnie nie przeszkadzały ruiny domów piętrzące się po obu stronach głównych uliczek Starego Miasta. Na skrzyżowaniu ulic Kuźniczej i Nożowniczej stało pół ściany wysokiego domostwa, które niegdyś przylegało do innych.

W narożnej zdewastowanej kamienicy widać było stały element dekoracyjny. Była to przedwojenna, stara i ciężka żeliwna wanna z fantazyjnymi nóżkami, która wisiała na poły w powietrzu, trzymając się jeszcze jakimś cudem na wysokości kilku pięter za sprawą kunsztu hydraulika, który montował armaturę w tej łazience. Nie ruszyły jej bomby, nie zadziałało też zwykłe prawo przyciągania ziemskiego. Wanna trwała tak od kapitulacji Breslau niczym niemy pomnik przebrzmiałych już czasów mieszczańskiej wygody i zbytku.

Teraz wisiała przekrzywiona, zasypana gruzem i pyłem. Padał na nią deszcz i siadały ptaki. Tkwiła tam jak wyrzut sumienia i naprawdę znikła dopiero kilka lat później, kiedy uporano się w końcu z kanionami gruzu. Gruz we Wrocławiu wytyczał granice miasta, granice ludzkiego życia. Tam, gdzie zalegał, trwała w najlepsze gangrena substancji miejskiej, tam, skąd go usuwano, nieśmiało kiełkowało nowe życie. Choć w samym centrum stanowiło to widok powszedni, granice żywego miasta kończyły się zaraz za placem 1 Maja, za wiaduktem kolejowym podtrzymującym szyny biegnące wprost do Dworca Głównego, zaś na południu, co było widać, pozostały enklawy życia niczym samotne, zielone wyspy w oceanie pomarańczowo-białych kości.

Okolice Dworca Świebodzkiego były jedną, wielką ceglana pustynią czekającą na lepsze czasy. Wszędzie wiły się wąskie tory, po których junacy z SP usuwali w wagonikach pozostałości wojenne. Była to kropla w morzu potrzeb i Wrocław czekał na ciężki sprzęt. Bez względu bowiem na liczebność brygad skierowanych do odgruzowywania miasta, pozostawało to robotą Syzyfową.

Kiedy Jan Warkot wracał do pokoiku na poddaszu krzyckiej willi wraz ze Zdzisławem Kapustą, któremu to narzeczona dała dziś wolne, rozmyślał o tym

wszystkim.

– Janku. – zaczął Kapusta niepewnie, gdy tak szli.

– Tak, panie majster?

– Bo ja nie wiem, jak zacząć. Co myślisz o Marlenie?

– No co? Dziewczyzna jak marzenie. Zbudowana niczym posąg, choć nie za wysoka. Na mój gust trochę za jasne ma te włosy, ale może czymś płucze? Pytał pan?

Kapusta zaczerwienił się jak pensjonarka.

– Gdzie tam...

– Dobra jest, może trochę zbyt ideowa, ale to jej przejdzie.

– Tylko na tych zebraniach aktywu i masówkach to oni ich strasznych świństw uczą. A jak jej to na dłużej zostanie?

– Panie Zdzisławie, nie po to wynaleziono penicylinę, żeby ludzie cierpieli na przewlekłe choroby. Minie jej, ja to panu mówię.

– A miałeś ty, Jasiu, dziewczynę?

– No była taka jedna u nas we wsi. – Warkot zaczerwienił się po uszy. – A potem w wojsku to...

– Nie musisz kończyć. Znaczyś zielony jak strączek grochu. U mnie to bywało. Ale, Jasiu. nie za młoda ona dla mnie, co? Do tego kształcona...

– Panie Zdzisiu, mężczyzna powinien być bardziej doświadczony, dojrzały. A wykształcenie? Nie znam drugiego takiego mechanika jak pan, a sporo ich poznałem i w wojsku, i na uczelni. Więc wiem, co mówię.

– Dziękuję ci, Jasiu, prawdziwy z ciebie przyjaciel.

Dochodziła już północ i ciemno się zrobiło choć oko wykol. Wiatr lekko szumiał w konarach drzew, dając ochłodę od lipcowego upału. Szli miarowym krokiem, zbliżając się do wieży ciśnień na Wiśniowej, za którą jeszcze tylko skok i zaczynał się park, przy którym stał ich dom.

Warkot szarpnął się w pewnym momencie w tył, bo nagle, tuż koło jego ucha ktoś wyszeptał jedno tylko słowo, przeciągając głoski.

– Naaaaa. Suuuu.

Coś mu to mówiło, ale skąd, jak, gdzie? Rozejrzał się w poszukiwaniu Słupeckiego, ale to najwyraźniej nie on szeptał mu do ucha. Przez chwilę pomyślał, że to szelest liści i szum wiatru robią mu psikusy w godzinę duchów, ale jednak nie. Wszystko stało się czarno-białe, kontrastowe i bez odcieni szarości.

– Naaaaa. Suuuuu.

Miał na końcu języka, wiedział przecież, gdzie słyszał to słowo!

– Naaaaa. Suuuuu.

– Wiem! – wykrzyknął na głos, strasząc zamyślonego Kapustę.

Przestraszony majster miał instynkt dzikiego zwierzęcia, które budzi się i w jednej sekundzie staje na równe łapy. Pchnął Janka z całej siły, tak że chłopak poleciał na wałący się murek. Przewrócił się i upadł.

W tej samej sekundzie potężna, szponiasta łapa świsnęła w powietrzu tam, gdzie

jeszcze mgnienie oka temu znajdowała się głowa Warkota. Trzymetrowe monstrum, które widzieli w piwnicy, natarło na nich zupełnie bezszelestnie, jakby ktoś wytłumił odgłosy kroków jego kamiennych stóp. Drugie łapsko walnęło Kapustę na odlew. Przeleciał trzy metry i padł bez ducha na ziemię.

Warkot podniósł się tak szybko, jak mógł. Zastygła w kamieniu maska zdawała się kruszeć pod wpływem gotujących się pod nią emocji. Sypał się z niej kurz niczym ze starej ściany pod naporem kilofa. Usta wykrzywiły się w okrutnym grymasie, ukazując długie pożółkłe zęby. Postać miała tylko biodrową przepaskę i coś na kształt diademu nad czołem. Ślepia koloru żółtego niczym gad, po środku tkwiły źrenice wielkości główki od szpilki.

Kolejne płaty podobne do zaschniętego tynku osypały się z potwora, kiedy ruszył w stronę Warkota. Zamachnął się. Świsnęły pazury. Wokół nie było żywego ducha i Janek zrozumiał, że będzie musiał sam stawić czoła nacierającej maszkarze.

Spod płatów przypominających wyschnięty gips wyłoniło się chorobliwie blade cielsko poprzetykane czarnymi żyłkami. Postać miała żelazne mięśnie napięte niczym postronki. Warkot podejrzewał, że była w stanie bez najmniejszego problemu rozerwać na strzepy kamienną płytę. Starożytna zbroja musiała skrywać w sobie tajemnice jukatańskiej mechaniki, a ukryty w środku człowiek poruszał niewidocznymi sterami. Nieopodal Kapusta próbował podnieść się z ziemi po ciosie, który z pewnością połamał mu parę kości.

Potwór natarł, ale na szczęście szybkość nie szła u niego w parze z siłą. Warkot oparł się o mur i jego dłoń natrafiła na otwór. Było to wejście wiodące do secesyjnej wieży ciśnień. Ktoś zaopiekował się samymi drzwiami i została tylko framuga. Warkot myślał gorączkowo, widząc, jak monstrum łapie równowagę po kolejnym nieudanym ataku i rusza w jego stronę. Instynktownie zagłębił się w ciemność budynku z nadzieją, że może maskara nie widzi po ciemku.

Jakże się przeliczył! Gdyby wiedział, uciekałby na otwartą przestrzeń, a nie do zamkniętego pomieszczenia. Po omacku natrafił na schody i zaczął, niemal na czworakach, wspinać się. Trysnęły iskry, bo oto Nasu, pan zgnilizny i zniszczenia, zahaczył swymi pazurami o ścianę z klinkierówki.

Szedł bez zawahania, a w mroku wyraźnie było widać jego gadzie, żółte ślepia. Biła z nich nienawiść do rodzaju ludzkiego i łapczywość dzikiej bestii na tropie ofiary.

Warkot w pewnym momencie spanikował. Potknął się i przewróciłby jak nic, gdyby nie czyjaś zbawcza dłoń, chwyciła go za nadgarstek i położyła mu rękę na solidnej, żelaznej poręczy, która – gnąc się niczym anakonda – wędrowała gdzieś ku górze. Warkot złapał za poręcz i z jej pomocą zaczął przeskakiwać po dwa stopnie, nie mając bladego pojęcia, co ma zrobić dalej.

Potwór był o dziesięć metrów za nim. Wydawał z siebie ciche odgłosy podobne do tych, jakie robią nogi zagłębiane i wyciągane z bagniska. Warkot z przerażeniem pojął, że są to odgłosy ssania! Nasu przymierzał się już do ofiary. Janek poczuł, jak włosy mu się jeżą na całym ciele. Jeszcze krok. Jeszcze dwa, a nie będzie miał dokąd uciekać.

Na załomie krętych schodów dostrzegł jakąś jaśniejszą plamę – tak, to wyjście na coś, co dawniej było galerią widokową. Teraz zostały po niej ledwo dwie szerokie szyny podtrzymujące konstrukcję między dwiema wieżyczkami. Nie miał wyjścia. Nasu był tuż za nim.

Warkot, nie patrząc w dół, opadł na czworaka i zaczął sunąć po chropowatej, zardzewiałej szynie, nie widząc nawet przeciwległego końca. Wkrótce do niego dotarł. Tam jednak natrafił na grube drewniane drzwi, które ani myślały ustąpić. Odwrócił się w stronę napastnika, który kroczył w jego stronę, pewnie i miarowo, jakby nie obowiązywało go prawo ciężenia.

Szyna zaczęła się wyginać. Warkot wystawił lewą rękę w obronnym geście i wtedy sobie przypomniał. Pierścień! Zżył się z nim tak bardzo, że zapomniał o jego istnieniu. Odwrócił kamień ze srebrnym gwoździem na zewnątrz i zacisnął dłoń w pięść.

Nagle zza bladej maskary wystrzeliła jakaś ciemna postać. Całym impetem swego zmaltretowanego ciała Zdzisław Kapusta naparł na plecy Nasu. Potwór zachwiał się i dosłownie nadział na pięść Warkota wraz z sygnetem Bractwa Wołoskiego. Potwór wydał z siebie najstraszliwszy jęk, jaki Janek kiedykolwiek słyszał. W tym czasie Kapusta odbił się od pleców monstrum i zawisł na szynie.

Nasu odchylił łeb i wył niczym zarzynane zwierzę. Warkot poszedł za ciosem i z całej siły walnął maskarę w brzuch, wystawiając pierścień z krwawnikiem. Wtedy skowyt urwał się w jednej sekundzie. Monstrum zaczęło się rozpadać. Kamiennie płyty leciały w dół i roztrzaskiwały się o ziemię. Spod zbroi wyłoniło się blade ciało Przedwiecznego, który – otwierając szeroko oczy ze zdziwienia – runął w dół.

Pobliskim parkiem wstrząsnął silny podmuch, a na niebie pojawiła się pomarańczowo-karmazynowa luna. Znak, że natura wzięła, co swoje, i teraz łapczywie wypija siły witalne z pozbawionego życia, rozplatanego czerepu.

Warkot podpełzł, jak tylko mógł najszybciej, do Kapusty, który wisiał w powietrzu, dyndając nogami. Wciągnął majstra i razem przesunęli się do wejścia do wnętrza wieży. Zeszli jakoś, podpierając się wzajem na schodach. Kapusta musiał się położyć na ziemi. Krwawił z kilku ran i było widać, że bardzo cierpi.

– No panie majster, teraz to mi pan na pewno życie uratował.

– Ja. Jasiu. źle ze mną.

– Już lecę po pomoc!

– Nie trzeba, dzwoniłem, zaraz przyjadą! – odezwał się Słupecki, materializując się obok.

– Na psa urok! – westchnął Kapusta.

– Ja też się cieszę, że pana widzę, panie Zdziśku.

– To pan! Tam w wieży! – krzyknął Warkot.

– Myślałem, że już się przyzwyczyłeś.

– Potworne to straszdyło.

– Nasu, irański demon zgnilizny i śmierci. Czczono go też na Jukatanie. Żaden z Bractwa do tej pory nie mógł mu dać rady. No i zostawił pamiątkę.

Słupecki podszedł do fragmentów gruzu, które jeszcze niedawno układały się w przerażającą całość. Podniósł coś, co zalśniło złotym połyskiem. Był to diadem z kamieniami niezwykle misternej roboty. Wyglądał na bardzo stary. Pojedyncze ogniwa układały się niczym węzowe ciało. Wieńczył go olbrzymi rubin.

Rozległ się dźwięk syreny ambulansu, więc Słupecki taktownie rozplątał się w powietrzu, zostawiając klejnot w ręku Warkota. Ten szybko go schował do kieszeni. Nieopodal białł niemal nagi trup Przedwiecznego, który w żaden sposób nie chciał zniknąć.

Pielęgniarki bardzo ostrożnie przenieśli Kapustę na nosze, a młoda lekarka z pogotowia pochyliła się nad pacjentem. Po chwili oględzin wstała i rzuciła energicznie.

– Od razu do szpitala! Pan widział zajście? – zapytała Warkota. Dostrzegła, że on też ma rozcięty łuk brwiowy i pokrwawione dłonie. – Niech pan wsiada. Panem też się zajmujemy. No co za bandyctwo w tym mieście! Nie można ulicą przejść. W całym mieście już któreś zgłoszenie o pobiciu, a karetka nie przybywa.

Pojawił się też milicyjny gazik i furgon zieleni miejskiej, by zabrać ciało.

– Spadł z wysoka, od razu widać. Ale po co się tam za obywatelem wspinał? – Milicjant podejrzliwie łypnął na Warkota. – Zawzięty jakiś, no i goły jak święty turecki. Dziwne. Muszę to zgłosić. Pojedziemy złożyć zeznanie.

Warkot nie protestował. W szpitalu w ambulatorium opatrzone jego, mimo wszystko, powierzchowne obrażenia. Czekał jak na szpilkach w izbie przyjęć, by dowiedzieć się czegoś o Kapuście. Po godzinie wyszła do niego lekarka z ostrego dyżuru i uśmiechnęła się na jego widok.

– Czekasz na przyjaciela? To jeszcze trochę potrwa, bo musimy go zatrzymać na obserwację. Ale ktoś go nieźle poharatał. Złamana ręka, pęknięta kość piszczelowa, prawdopodobnie dwa żebra do naprawy, no i podejrzenie wstrząśnienia mózgu. Samochód go przejechał czy jak?

– Nawet nie ma pani doktor pojęcia. – zaczął Warkot, ale przerwał, bo zauważył, że lekarka przygląda mu się badawczo.

Co więcej, uśmiechała się wciąż do niego. Warkot na śmierć zapomniał, że istnieje coś takiego jak ludzka sympatia, zupełnie bezinteresowna.

– A tak poza tym. nazywam się Jan, Jan Warkot.

– Barbara Słupecka – odparła lekarka.

– Że jak?

– A co, źle?

– Nie. tylko znam kogoś o tym samym nazwisku, ale wygląda. inaczej.

Lekarka wybuchnęła dźwięcznym, miłym dla ucha śmiechem i Jan Warkot po raz pierwszy od nie wiadomo kiedy uśmiechnął się do kogoś promiennym uśmiechem. Świat nagle stał się lepszym, ładniejszym miejscem nie tylko dlatego, że zniknął z niego ktoś taki jak Nasu. Jan Warkot ścisnął mocno diadem w kieszeni. Jednak jest jakaś nadzieja.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

PODATNY

Nazajutrz rano ostry dźwięk telefonu wyrwał Stefana Gromiła z głębokiego snu. Dzwonił Janek.

- Stefan, Kapusta w szpitalu!
- Co się stało? – Obudził się błyskawicznie.

Warkot streścił mu wczorajsze spotkanie, jak majster uratował mu życie, bo teraz to on leżałby u Gromiła na katafalku.

- I co, mamy nowego trupa? Znaczą dowodów jako takich brak?
- Mam też tę starożytną błyskotkę.
- Schowaj ją gdzieś lepiej głęboko.
- Niby gdzie? Do jednej z doniczek pani Genowefy?
- A czemu nie? Tam już szukali.
- Masz rację. Wstajesz do roboty?
- Tak, mamy dzisiaj odprawę. Naczelnik zażądał konkretów w sprawie seryjnego mordercy.

– I co powiesz?

– To, co wiem. Bez drugiego dna. Ujawnię wyniki śledztwa, nie wymieniając bezpośrednio konsula, bo to się dla nas wszystkich źle skończy. Zdaje się, że motyw siepaczy wojennych z Bonn może poskutkować, ale wtedy włączy się kontrwywiad czy w ogóle UB. Muszę być ostrożny.

- Ale będą cisnąć...
- Będą, ale major stoi za mną murem. Będzie prosił o tydzień zwłoki.
- I dostaniecie ten tydzień?
- Powinno się udać. Do tego czasu miecz zapewne znajdzie się w bezpiecznym miejscu.
- Jeszcze jedno. Byłem przesłuchiwany w związku z wczorajszą sprawą.
- To jasne, musieli zgłosić. Co powiedziałaś?
- Że nas kilku oprychów napadło i się broniliśmy. Że jeden gonił mnie aż na górę. Spadł i się zabił.

- Dobrze. Powiedzą, że pewnie pijany, bo goły i lata po mieście.
- Że Kapusta nie dał sobie w kaszę dmuchać i razem udało się nam ich odpędzić.
- No dobrze, a pogotowie kto zawiadomił?
- Anonimowy świadek ani chybi.
- Znam ja już tego anonimowego świadka...
- Bardzo mi pomógł. Jakby nie on, Nasu dopadłby mnie na schodach. Nie miałem dokąd uciec.
- Wiem, nasz służbowy upiór jest bardzo pracowity. A co teraz robi?

- Nie mam pojęcia, może śledzi Podatnego.
 - Nie wywołuj wilka z lasu. Pamiętasz, że dał ci ultimatum.
 - Teraz mam wymówkę, zostałem ranny.
 - Mocno cię poharatał?
 - Do wesela się zagoi, ale majster jest połamany na amen.
 - Wiesz, ten twój sygnet. Pilnuj go.
 - Nie zdejmuję go teraz nawet do snu.
 - I bardzo dobrze. Najwyraźniej to jedyny bat na tych łobuzów.
 - Sam nie wiem. Jak walnąłem w tę kamienną zbroję, to tak jakby się rozpadła pod uderzeniem krwawnika.
 - Może zmurszała była?
 - Może.
- Zapadła chwila kłopotliwego milczenia, w której Janek i Stefan zatopili się we własnych myślach.
- Widzimy się po pracy, Jasiu?
 - A co będziesz robił przez cały dzień?
 - Mam tam parę spraw do załatwienia...
 - Coś taki tajemniczy?
 - Później ci powiem.
 - Jak sobie chcesz.
 - W takim razie o ósmej u mnie?
 - Niech będzie o dziewiątej...
 - Nie poznaję kolegi. Może pójdziemy w odwiedzinę do Kapusty?
 - Ja pójdę sam, bo odwiedzinę do siedemnastej.
 - Marlena wie?
 - Wie, już ją zawiadomiłem. Mogę zadźgać napastnika, ale na kobiecie płacz rozkładał bezradnie ręce.
 - Przejdzie jej, byleby nie narobiła Zdzisłowi wstydu w szpitalu.
 - Myślę, że jakoś się powstrzyma.



Warkot chciał być jak najszybciej w szpitalu, żeby ustalić zeznania z majstrem, którego na pewno odwiedzi milicja. Zastał go w sali pooperacyjnej, bo trzeba było mu nastawić kości pod pełnym znieczuleniem. Zdzisław Kapusta leżał cały w bandażach. Miał opuchniętą, posiniaczoną twarz z czepcem Hipokratesa na głowie.

Obok stał stojak z ciurkającą kroplówką, a na stoliku trzymał wartę obowiązkowy kompot i bukiet kwiatków w słoiku. Przy łożu bóleści majstra siedziała Marlena z zaczerwienioną twarzą i trzymała go za zdrową dłoń. Majster spoglądał na nią

z czułością, bo najwyraźniej wziął sobie do serca to, co usłyszał od Janka poprzedniego dnia przed napaścią. Protestowała głośno, kiedy poprosił ją, by zostawiła go z Jankiem sam na sam na pięć minut, ale w końcu dała za wygraną.

Pielęgniarka wparowała do sali, spojrzała wymownie najpierw na Marlenę, potem na Janka, a następnie zmarszczyła brwi, widząc zastawiony stolik przy łóżku.

– To nie sanatorium – rzuciła dobitnie. – Pacjent jest świeżo po zabiegu, a wy co? Naprzykrzacie się?

– Ależ. – zaprotestowała Marlena.

– Siostrzyczko – wycedził Kapusta pomiędzy opuchniętych ust. – Niech siostrzyczka będzie tak miła i da nam jeszcze z dziesięć minut.

Pielęgniarka spojrzała na niego i jej twarz rozpogodziła się odrobinę.

– Dobrze, ale tylko dziesięć. Zaraz będzie obchód.

Marlena wyszła z sali, ociągając się, a Warkot nachylił się do Kapusty, tak żeby nie słyszało go pięciu innych pacjentów, i szeptał mu przez chwilę do ucha. Majster pokiwał głową i Warkot zawołał Marlenę z powrotem do sali.

– Co wy się tu namawiacie? – zapytała.

– Dziubeczku, umawiamy się z Jasiem na gorzałkę i panny przy ostrym pokerku – wyseplenił Kapusta, wzbudzając powszechną wesołość na sali.

– Ja w ogóle nie rozumiem, co panów tak bawi! – wykrzyknęła oburzona w stronę pozostałych pacjentów.

Leżało tu kilku mężczyzn po wypadkach. Na przykład jeden był po spotkaniu z grupą delikwentów mających odmienne zdanie w kwestii prowadzenia się jego mamy, a także w kilku sprawach ogólnych. Choćby do kogo powinien należeć portfel poszkodowanego.

– Cholerna hołota! – wykrzyknął w stronę wyimaginowanych prześladowców. – Co za czasy! Dawniej ktoś do kogoś coś miał, to szedł z nim na stronę, a teraz?! Opadną człowieka jak szczury i broń się tu. Gdzie honor, gdzie szacunek dla przeciwnika? Bandyterka. Wszystko przez tę reformę rolną, taka jej mać. Nazjeżdżało się tu tego z różnych Kostomłotów i myślą, że są u Mietka na weselu, gdzie za każdym razem trzeba sztachety w płocie wymieniać obok remizy. Człowiek pracy nawet po mieście nie może przejść z godnością.

– Panie, trochę ciszej, błagam! – odezwał się jegomość spod okna ze złamaną nogą. – A nie macie państwo żadnego znajomego mechanika? – rzucił w stronę gości Kapusty pacjent, który pod lekką muchą próbował wyścigów z taksówką i przegrał.

– A co, śrubka się obywatelowi oblużowała? – zapytał zaczepnie trzeci poszkodowany, wozak kopnięty przez perszerona ciągnącego wóz z węglem.

Zwierzę miało najwyraźniej dość poganiania i strzelania batem i choć z natury cierpliwe i spokojne, nie wytrzymało, dając upust frustracji. Wynik – złamane żebra i wielkie limo pod okiem. Pacjent stanowił kwintesencję powiedzenia, że nie należy się kopać z koniem. Nawet z batem w rękę.

– Te, może i śrubka, śrubka, ale nie podkova. Do zwierzęcia trzeba z sercem, a nie

jak ostatnia świnia – odciął się pacjent. – No to masz pan za swoje!

Milczący dotąd murarz nie wytrzymał. Miał pęknięty kręgosłup i wstrząśnienie mózgu. Ten z kolei był ofiarą planu sześćioletniego oraz – z całą pewnością – zachodnich sabotażystów.

– A ja? Za co ja cierpię? Staliśmy w trójce murarskiej i murowali co sił. I co, przyszedł jakiś nygus i ciach, linę podpiłował. No i zwały się na mnie te worki. Leżałem jeszcze, a majster już był przy mnie i zamiast zdjąć ze mnie to kurewstwo, zaczął mnie obsobaczać, że zmarnotrawiłem szansę na rekord całej brygadzie. Że premii nie będzie, że towarzysze zawiedzeni. A ja cierpię. On gada i gada, i to coraz głośniej. Łeb mnie rozbolał od tego gadania. Wtedy ktoś się opamiętał i mi pomógł. A kto miasto odbuduje, no ja się pytam kto?

– Widzę, że dopisuje nam humorek – rzuciła powracająca pielęgniarzka, groźnie spoglądając na chichoczących Kapustę i Warkota; nawet Marlena się uśmiechnęła. – No już, koniec wizyty. Proszę przyjść jutro. A panom zaraz dam coś na uspokojenie, bo najwyraźniej za dobrze wam tu u nas.

– Siostrzyczko, a siostra nie zna żadnego mechanika samochodowego? – zapytał ten spod okna.

– Nie, no nie wytrzymam – zadeklarował węglarz.

– Lepiej już pójdziemy, panie Zdziśku, bo ci się najwyraźniej rozkręcają – powiedział Janek.

– Jasne, a po obchodzie zaraz nam ten cholerny megafon włączą i będą ciągiem śpiewać o pokoju, przyjaźni i czynie robotniczym, a mnie tak boli głowa.

Wskazał drżącą ręką na wielką tubę zawieszoną wysoko w kącie.

– Bo uświadomiony politycznie pacjent zdrowieje szybciej – rzucił mężczyzna, którego napadła chuliganerka. – Pieśni przyspieszają proces leczenia i pacjent jest gotów wstać i ruszać do pracy dla dobra ojczyzny.

– Wiesz pan co, zdaje się, że ci, co panu tak mordę obili, to mieli swoje powody. – zaczął wozak.

– Panie, coś pan?

Marlena Kuchta i Jan Warkot nie słyszeli dalszego ciągu tej rozmowy, bo wyszli z sali, machając Kapuście na pożegnanie. Korytarzem płynął, nie szedł, ale właśnie płynął, wysoki, malowniczy ordynator w otoczeniu świty lekarzy w białych kitlach gotowych spijać słowa z jego ust. Był jak towarzysz Stalin, co – jak powszechnie wiadomo – usta słodsze miał od malin.



Warkot wrócił pod budynek szpitala. Sam nie wiedział dlaczego. Krążył po chodniku jak lew w klatce, aż w końcu zobaczył kończącą zmianę doktor Barbarę. Młoda kobieta

cofnęła się nieco zalekniona, widząc wysoką postać w uliczce, przy której znajdowało się wyjście ze szpitala.

– Pan, tutaj? Przecież już nie ma odwiedzin.

– Przechodziłem i pomyślałem...

Barbara Słupecka zarumieniała się lekko.

– Tak? Co pan pomyślał?

– Że może dowiem się czegoś więcej o stanie zdrowia Zdziśka – zakończył z desperacją w głosie, choć obydwoje wiedzieli, że to była tylko po części prawda.

– No to chodźmy. Podprowadzi mnie pan do tramwaju?

– Pewnie.

Milczeli przez chwilę, idąc w stronę przystanku. Cisza zrobiła się wręcz nieprzyzwoita i Barbara próbowała jakoś zatuszować to niezręczne wrażenie.

– Panowie pracują razem?

– Tak, w drukarni – odparł nieco zbyt szybko Jan.

– To musi być ciekawa praca.

– Tak, zawsze miałem smykałkę do maszyn.

Barbara stłumiła śmiech, bo rozbawiła ją nieporadność tego flirtu.

– Jeszcze chwilę, a zacznie mi pan opisywać zasady działania tych maszyn.

– Nie. To znaczy mogę, jeśli panią to interesuje.

– Pan studiuje? – Barbara przyszła mu w sukurs, zmieniając temat.

– Tak, a właściwie już skończyłem studia.

– Ja chciałabym robić specjalizację.

– Tak? To ciekawe. A z czego?

– Interesuje mnie serce.

Jan zaniemówił, bo słowa te padły tak naturalnie, jakby mówiła o kawie z ciastkiem.

– Proszę się tak nie dziwić. U nas po studiach dopiero się zaczyna nauka. A ja pozostaję pod opieką profesora. Prawdziwej sławy.

Teraz z rozbawieniem zauważyła coś na kształt irytacji na twarzy Janka.

– Każdy pracuje na swoim odcinku – powiedział Warkot i ugryzł się w język.

Już tak nie mówił, ani tak nie myślał. Wiedział, że palnął głupstwo. Ale jak się z tego wycofać?

– A co panowie tam drukujecie? – Znów koło ratunkowe od Basi.

– Różnie. Gazety, mapy, książki. Co przyślą.

– I co pan ostatnio ciekawego czytał?

Warkot uświadomił sobie, że nie czytał ostatnio niczego oprócz podręczników. Boże, co ma powiedzieć, żeby nie palnąć kolejnej gafy?

– Ostatnio to niewiele, bo miałem mnóstwo egzaminów, ale lubię powieści.

– Obyczajowe? Romanse?

Warkot zaciął się, bo była to jawna prowokacja.

– A może coś o kolektywizacji? Ciężkiej doli chłopów? Orka na ugorze?

– Nie, to nie. Lubię powieści Stefana Grabińskiego – wypalił w końcu.

– Cykl kolejarski? To bardzo oryginalna lektura.

Warkotowi do tej pory nie przyszło do głowy, że jest oryginalny. Najwyraźniej wiedziała o nim więcej niż on. Dotąd myślał, że lektura rodzimego mistrza grozy to takie jego nieszkodliwe wariactwo. Kupił gdzieś na placu zbiór opowiadań już po tym, jak poznał Leona. Wcześniej uznaliby tę literaturę za dekadencją. Teraz jednak...

„Płomienisty wyrak” – przeklął w duchu pokutnika.

– A pani co czyta? – rzucił się na głęboką wodę.

– Lubię literaturę, która mnie uspokaja, pozwala zapomnieć o tym, co widzę w pracy. Rodziewiczównę, może trochę klasyki, Dumasa czy Prusa. Przyznam się jednak, że czytuję też książki przygodowe, Curwooda, Londona.

– Walka z naturą?

– Dlaczego wszyscy teraz walczą? Nawet czytając książki?

– Takie czasy.

– Może i tak, ale to minie...

– Pani Basiu, czy mogę panią zaprosić w niedzielę do kina? – wypalił Warkot z grubego kalibru.

Dziewczyna zatrzepotała rzęsami, bo zdziwił ją taki nagły szturm.

– Dlaczego nie?

Zazgrzytał tramwaj, wyrywając ich z zamyślenia.

– O której pani kończy?

– Tak jak dzisiaj. W sobotę mam wolne...

– To może w sobotę, bo ja też mam wolne. Przyjadę po panią.

– Mieszkam na Krzykach nieopodal parku.

– To bardzo blisko, bo ja też.

Tramwaj zatrzymał się ze zgrzytem kół. Ostatecznie, nieodwracalnie. Żeby choć jeszcze chwila...

Dziewczyna podała mu adres i wsiadła do tramwaju. Był wyjątkowo pusty. Konduktor zasunął drzwi wagonu, a ona patrzyła na stojącą na przystanku postać. Warkot wydał się jej taki zagubiony, tak uroczo zasmucony, że mimowolnie uśmiechnęła się do brudnej szyby. Pomachała mu ręką. Odmachnął. Tramwaj ruszył.

Dopiero po chwili Warkot palnął się z całej siły w głowę. Przecież też mógł nim jechać! I jeszcze przez wiele przystanków rozmawiać z tą niezwykłą dziewczyną. Zrezygnowany siadł na ławeczce i spuścił wzrok.



Dotychczasowe starania Podatnego, aby odzyskać zaginiony miecz, spełzły na niczym. Wykorzystał właściwie wszystkie środki operacyjne, posunął się do złamania prawa, zastraszania, szantażu i – co najgorsze – wykorzystywania stanowiska dla prywatnych

celów. Wszystko na próżno.

Czuł rosnące zniecierpliwienie i irytację na swojego mentora. Sabiej reagował nerwowo na jego widok i Podatny, jak każda wyniesiona na piedestał miernota, zaczął się obawiać o utratę tego wszystkiego, na co tak pilnie pracował. Oczywiście mowy nie było o powrocie na ojcowiznę, bo, po pierwsze, wzdragał się na samą myśl, po drugie, sąsiedzi z pewnością pogoniliby go kłonicami, gdyby tylko tam się zjawił, a po trzecie, upadek osoby na jego stanowisku mógł mieć tylko jeden przebieg – śledztwo, proces o zdradę stanu i pluton egzekucyjny.

Nie brał pod uwagę wariantu, który zgoła nieprawdopodobny jeszcze kilka miesięcy temu, teraz stawał się całkiem realny i namacalny. Zaginięcie bez wieści. Ponieważ sam był mistrzem w tym procederze, nawet nie przypuszczał, że jemu samemu może się coś takiego przytrafić. W iluż to miejscach w okolicznych lasach znajdowały się bezimiennie, anonimowe groby tych, do których zniknięcia bez śladu sam przyłożył rękę.

Działał w trudnym okresie – tłumaczył sobie – reakcja nie zasypiała gruszek w popiele i trzeba było sięgnąć po najradykalniejsze środki. Proste, sprawdzone i pewne. Ponieważ miał naturę kanalii pierwszej wody, wykorzystywał je z podziwu godnym zapamiętaniem i nadgorliwością. Teraz obawiał się, że stanie się kolejną ofiarą tajemniczego wrocławskiego mordercy, choć doskonale wiedział, kto krył się za przyciemnianymi szybami czarnego samochodu.

W swojej bezbrzeżnej pysze i samozadowoleniu nie dopuszczał nawet myśli, że to jego ktoś może wywieźć na jakieś pustkowie i przeciąć nić nic niewartego życia. Ale bardziej obawiał się tego ze strony zdrajców socjalistycznej ojczyzny niż ze strony sojusznika, dzięki któremu mógł wspiąć się na dotychczas niebotyczne wyżyny bezpieczniackiej biurokracji.

Dlatego też z ufnością prostaczka poszedł na spotkanie do willi na Krzykach, nie mając sobie nic do zarzucenia i zapominając, że istnieje zło o wiele groźniejsze niż tylko to napędzane czyimiś małymi ambycjami. Kiedy zjawił się na miejscu, wszyscy już byli obecni. Sabiej i jego dwaj ostatni Przedwieczni towarzysze, pułkownik Krystian Pałuba oraz funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa z Warszawy, kapitan Ireneusz Kłys. Siedzieli w gabinecie Sabieja, patrząc z wyczekiwaniem na przywódcę.

– Słyszał pan, co się stało? – zapytał Sabiej, mrużąc oczy.

– Wiem, że Kapustę pobili jacyś bandyci.

– Guzik pan wie. Nasłaliśmy na nich Nasu. Starożytny bóg zawiódł. Leży teraz w kawałkach przy wieży widokowej na Wiśniowej. Trupa zabrali. Zginął też jego diadem. Bardzo ważna dla nas relikwia. Najwyraźniej to sprawka tego cholernego młokosa.

– Nie. nie wiedziałem. – Podatny zadrzał na dźwięk imienia starożytnego demona.

– W sumie nic im się nie stało! Jak to możliwe? Nasu miał na koncie niezliczoną ilość członków Bractwa. Nigdy nie zawiódł. A teraz dwóch oberwańców zabiło kolejnego z nas! Zbroja w kawałkach. Ja się pytam, jak to możliwe?! Kto im pomaga?

I dlaczego nikt ich nie obserwował? Natura od wczoraj wyleguje się niczym opity naszą krwią komar. Mruczy z zadowolenia! Słyszysz, kmiecie jeden, mruczy jak parszywy kot po zupie rybnej! – Sabiej mówił coraz głośniej.

– Ale przecież uzgodniliśmy, że zdejmemy obserwację, żeby ich uspokoić, żeby się odkryli...

– Nie ma już czasu na subtelności! Nie ma czasu, rozumiesz? Ty widzisz tylko ten kawałeczek, wycinek większej całości, ja widzę cały wiek niepowodzeń i klęsk moich ludzi! Pojąłeś, człowieczku!?

– To co ja mam teraz robić? – zapytał zupełnie zdezorientowany Podatny.

– Teraz nic. Z Warszawy przyjechał kapitan Kłys i on ma pełnomocnictwa, żeby przejąć twoje obowiązki.

– Jak to przejąć? – zaperzył się Podatny.

– Panu już dziękujemy – odezwał się pułkownik Pałuba, najwyraźniej czekając na coś.

– Cóż. – zaczął Sabiej, niknąc w cieniach pokoju.

W gabinecie nagle zrobiło się ciemno choć oko wykol, bo zdawało się, że wszyscy Przedwieczni zasłaniają światło padające z żyrandola. Zatrzasnęły się drzwi wejściowe do gabinetu. Podatny zbladł, bo oto stało się coś, czego się obawiał, lecz nie dopuszczał do siebie tej myśli, tłumacząc sobie: „Przecież jestem im potrzebny”.

Podatny krzyknął, ale coś zdławiło ten krzyk w krtani. Zaczął się dusić. Coś wbiło mu się w szyję i mocno zaciągnęło. Miał wrażenie, jakby tuż obok roztrzaskiwały się po kolei wielkie kryształowe szyby – trach, trach, trach – jedna po drugiej. Towarzyszył temu odgłos spadających na ziemię odłamków i głuchy stukot pękających tafli.

Nagle tysiąc gwiazd rozbłysło mu pod czaszką i w całym ciele poczuł straszliwy ból niedający się porównać z niczym innym. Wstrząsnął nim spazmatyczny skurcz. Wyraźnie czuł, jak odpływa z niego życiodajna krew, jak żyły kurczą się i flaczeją, jak ostatnia kropla witalnego fluidu opuszcza naczynia włosowate, pozostawiając po sobie pustkę i zniszczenie. Żył jeszcze chwilę jakimś cudem, a może to tylko przyzwyczajona do częstego korzystania z mechanizmu przetrwania wyobraźnia łudziła go takim omamem.

Osunął się ciężko na ziemię niczym worek mokrego piachu ze wzrokiem utkwionym w secesyjny żyrandol z twarzą Meduzy.

I tak zakończył żywot pułkownik Podatny, kat, morderca i kanalia.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

SABIEJ

W sobotę 21 lipca, tydzień przed poświęceniem wrocławskiej katedry, wypisano Zdzisława Kapustę ze szpitala, choć i tak z nogą w gipsie, zabandażowany jak mumia egipska musiał się jeszcze wyleżeć w domu. Marlena Kuchta doglądała go, troskliwie gotując obiadki i kompoty. Majster żartował, że po tej kuracji będzie potrzebował nowych ubrań. Stefan Gromił odwiedził go przy łożu boleści, nie zważając na pofukiwania pani Genowefy, która złym okiem patrzyła na milicjanta. Wydawało się, że Gromił nie przejmował się tym zbytnio, choć Warkot znał go na tyle, by zauważyć, że mimo wszystko go to obeszło.

– No i jak tam, panie Zdzisławie? Lepiej? – zapytał Stefan.

– Lepiej nie mówić...

– Profesor Ochocki chciał pana odwiedzić, ale wyperswadowałem mu to. Na razie niech siedzi na uczelni, bo wciąż mają na niego oko. Niechętnie, ale posłuchał.

– Proszę pozdrowić profesora ode mnie – powiedział Kapusta, któremu już zesza opuchlizna, choć na twarzy wciąż widać było sińce. Przybrały teraz barwę sinozieloną.

– Panie Zdzisiu, zgotowałam panu rosółku. – Do pokoju weszła gospodyni z dymiącym talerzem, w którym pływał makaron domowej roboty.

– Wy mnie wszyscy chcecie utuczyć na potęgę. Ileż ja mogę jeść? – spytał Kapusta, choć widać było, że jest zadowolony z uwagi, jaką na sobie skupiał.

– A to co takiego? – zakrzyknęła Marlena, widząc atramentowy wpis na gipsie.

– „Zdziśkowi – Gienek” – Gromił odcyfrował koślawe litery.

– Kolega z pracy się wpisał. Żebym zdrowiał.

– Nie dość, że leżysz tu jak oberwaniec, to jeszcze będą ci bazgrać po gipsie! – rzuciła Marlena. – Co pani doktor powie, jak pójdiesz na zdjęcie gipsu?

Na wzmiankę o lekarce milczący dotąd Warkot uciekł wzrokiem przed Gromilem. Nie trzeba było być śledczym, żeby wywnioskować, że coś dobrego wydarzyło się w życiu świeżo upieczonemu inżynierowi. Gromił uśmiechnął się do własnych myśli.

„Powiesz mi, jak będziesz gotów” – pomyślał o przyjacielu.

– Dobrze, mój ty strózu porządku, na zdjęcie gipsu założę krawat.

Nawet pani Genowefa parsknęła śmiechem.

– A w pracy co mówią, Jasiu? – zapytał Kapusta.

– A co mają mówić? Technolog nochalem kręcił, jak przyniosłem zwolnienie pana majstra, ale trochę odpuścił, kiedy mu powiedziałem, jak mocno jest pan poharatany. Chłopaki podjęli zobowiązanie, że uruchomią nową maszynę, tak czy siak, dla pana majstra.

– No i tego się właśnie boję. – Spochmurniał Kapusta. – Ja im tam nie wróg, ale gotowi jeszcze z offsetu saturator zrobić. Musisz ich, Janku, pilnować, żeby czego nie

sknocił. – Wyraźnie rozmarzył się na wspomnienie nowej maszyny.

– Bardzo dobrze, że podjęli zobowiązanie, to w duchu pracy socjalistycznej – zaczęła Kuchta.

– Marlenko, ty mnie już nie agituj, ja jestem zaagitowany na amen. Jeszcze gotowa prawo jazdy na traktor zrobić.

– A żebyś wiedział...

– To po toś ty tyle studiowała, tyle wkuwała po nocach, żeby teraz na traktorze się telepać? Bój się Boga, Marlenko, szczęście ty moje.

– Ja tylko tak, żebyś sobie nie myślał...

– Jak panienka jakiej cięższej roboty spragniona, to ogródek jest do przekopania, a ja już nie mogę. krzyże. Ludwiczek w tiumie. a właśnie! – Genowefa spojrzała bystrym wzrokiem na Warkota. – Może młodzieniec by się trochę poruszał? Wolne ma.

– Czemu nie? Mogę skopać.

– Dobrze, bo teraz wszyscy chcą na gotowe, a jak agrest obrodzi, wiśnie, jabłka i gruszki zaczną wyłazić, to każdy by skosztował. Ale już na talerzu. – Nie wiedzieć czemu spojrzała mściwie na Gromiła.

– Pani da spokój, pani Gieniu, Stefek to morowy chłop – powiedział Kapusta. – A że milicjant? Gorsze rzeczy się człowiekowi w życiu przytrafiają. Ale on tylko łobuzów łapie. Taki w każdy czas potrzebny.

– Dobrze, już dobrze – burknęła gospodyni i poszła do siebie.

Siedzieli tak jeszcze, przegadując się i żartując, choć Marlena Kuchta, będąc młodą dziewczyną, większość tych żartów brała na poważnie. Zleciało im do wieczora. Kiedy sierżant Kuźniak przyjechał po Gromiła, ten przy milicyjnym gaziku zastał Leona Słupeckiego.

– Panie Stefanie, zwracam się do pana jako najbardziej odpowiedzialnego członka naszej grupy.

– Co się stało, panie Leonie. Pali się?

– Podatny nie żyje!

– Co takiego? Skąd pan wie?

– Wiem, bo byłem przy tym. Do dzisiaj mam dreszcze. Nielekką miał śmierć ten łajdak, oj nielekką. Teraz na sądzie stanął, ale sprawa długa, skomplikowana, procedury zawile, no i brak świadków, którzy potwierdziliby choć jeden jego dobry uczynek, więc będzie kiepsko. Przedwieczni odsączyli mu krew, tam w willi. Na razie trzymają ciało w piwnicy, nie wiadomo po co.

A na miejsce Podatnego przysłali takiego kapitana ze stolicy, niejakiego Kuzia czy Kłyzia, nie pamiętam. Ale to też Przedwieczny, tylko młodszy stażem. Więc teraz będzie chciał się wykazać. Przeszkodzić nam za wszelką cenę. On też brał udział w zabójstwie Podatnego. Zażarte bydlę, że strach. Mówię, żeby pan wiedział. Będzie naciskał na waszego naczelnika, naczelnik na majora, a major. sam pan wie. Został nam tydzień na zamknięcie całej sprawy. Jak mu się nie uda, to pójdzie jak niepyszny, bo oni już tu nie będą mieli czego szukać.

– To, że trzymają ciało, działa na naszą korzyść, bo wpisuje się do legendy, jaką nakarmimy prasę i oficjalne czynniki – powiedział Gromił. – Jest ciało zabitego przez seryjnego mordercę pułkownika UB? Jest. Działała szajka w mieście? Działała.

– Obawiam się, Stefanie, że ona wciąż działa – wtrącił się Warkot.

– Właśnie. Zostało trzech. Jednego znamy, drugiego też, a ten trzeci?

– Pułkownik Pałuba, LWP – oznajmił Słupecki. – Od Lenino do Berlina, a wcześniej szkolenie w Moskwie.

– To ja go znam! – wykrzyknął Warkot. – Nie był moim bezpośrednim dowódcą, ale chłopaki mówili, że straszna piła i służbista. Politruk.

– Z deszczu pod rynnę – jęknął Gromił. – Ja już jestem tak uświadomiony politycznie – tu zerknął ukradkiem na Kuchtę – że mógłbym własne gazetki ścienne wydawać.

– Z gazetkami, panie Stefanie, to proponuję ostrożnie – przerwał mu Słupecki. – Teraz cenzura strasznie szaleje po tym, co nawywijałem...

– No i kto jest za to odpowiedzialny? – zapytał Warkot.

– Ja tylko chciałem zwrócić uwagę.

– I zwrócił pan, ale też tych, co nie trzeba – skwitował Gromił.

– Ale przyzna pan, że pomysł zwycięstwa Krzyżaków pod Pskowem był przedni.

– Przyznaję, choć na własne oczy nie widziałem. Dobrze, że pan przy Kronice nie majstrował, bo wszyscy z Małcurzyńskim i Łapickim poszliby siedzieć.

– Ja miałbym zmieniać taki wspaniały materiał o Korei albo o planie sześćioletnim? Toż to arcydzieła! Panie Stefanie, ja mam duszę artysty. Nie będę kolegom artystom w paradę wlaził.

– Artystyczna dusza, co lubiła nieprzyjaciół w dyby zakuwać i palić rozżarzoną żelazem. – dodał Warkot.

– Przecież grzecznie pokutuję, tak? – zaperzył się upiór.



Kiedy wezwano Gromiła do majora Horeszki, w jego gabinecie siedział rozparty w fotelu młody człowiek lat około trzydziestu. Miał arogancką minę, co świadczyło o tym, że nie przyszedł tu z kurtuazyjną wizytą.

– Stefan, to jest pan kapitan Ireneusz Kłys z centrali Urzędu Bezpieczeństwa w Warszawie. Zastępuje pułkownika Podatnego i właśnie przedstawił mi wszystkie dokumenty celem przejęcia sprawy wrocławskiego wampira, bo, jak mówi, sprawa jest paląca, a ty nie masz zadowalających rezultatów. – Major miał strapioną minę.

– Doszły nas słuchy. – zaczął Kłys – . że spoufalacie się zbyt zbytnio ze świadkami wydarzeń.

– Moja znajomość z Janem Warkotem nie ma tu nic do rzeczy.

– Ależ jak najbardziej ma, towarzyszu poruczniku. Zdradzanie tajemnic śledztwa, przekroczenie uprawnień, fałszowanie dowodów przeciwko konsulowi bratniego państwa radzieckiego. Mam wymieniać dalej? Jest tego cała teczka.

– Jakie przekroczenie uprawnień? Jakie fałszowanie dowodów? Te dowody, które mam, są oparte na solidnych, naukowych podstawach. odlew opony na przykład. Zeznania świadków. Wszyscy mówią o czarnej pobiedzie widzianej w miejscach zbrodni. Zaprzeczycie temu?

– Zbieg okoliczności – rzucił pogardliwie kapitan. – Świadkowie podstawieni, klepią wyuczoną lekcję. Dlatego właśnie odbieram wam sprawę, a wy sami będziecie pod lupą kontroli wewnętrznej. Na razie macie wolne, towarzyszu poruczniku. Odpoczywajcie sobie i radzę dobrze przemyśleć wszystko, i zastanowić się nad swoją przyszłością. Pracy jest dużo, nie musicie wcale służyć w milicji. O, proszę – pacnął dłonią w leżącą na biurku gazetę – piszą, że otwierają zakład przemysłowy. Tam aż proszą się o ręce do pracy. Może nie przy biurku, ale przecież praca fizyczna uszlachetnia, czy nie tak, towarzyszu poruczniku?

W jego słowach czaiła się jawna kpina. Doskonale wiedział, co Gromił naprawdę odkiął, i bawił się nim niczym kot z myszą, jakby chciał odplacić mu za doznane niepowodzenia Przedwiecznych.

– No właśnie, pan kapitan dostał rozkaz, żeby wszystko uporządkować.

Major spojrzał porozumiewawczo na Gromiła. Dobrze wiedzieć, że porucznik wciąż mógł na niego liczyć. Że bezpośredni przełożony nie ugiął się i wciąż będzie się trzymał uzgodnionej w tym gabinecie wersji. Na razie nie mógł jednak nic zrobić, przeskoczyć hierarchii służbowej, bo papiery Kłys miał od samego ministra.

– Dobrze, przyjąłem do wiadomości to, co mi powiedzieliście – rzekł Gromił. – Zastanowię się nad wszystkim i przemyślę swoje postępowanie. Mogę się odmeldować?

– Nie tak prędko, towarzyszu poruczniku – odezwał się kapitan Kłys. – Doszły mnie słuchy, że znacie miejsce przechowywania pewnego przedmiotu. Minister Radkiewicz, jak i wasz komendant Wolański są bardzo zainteresowani tą sprawą. Ja odpowiadam bezpośrednio przed ministrem Radkiewiczem. Widzicie więc, że sprawa jest poważna.

– Ale ja nie wiem, gdzie jest Rybichwost – oznajmił Gromił i była to prawda.

– A więc znacie sprawę?

– Oczywiście, że znam. Wraz z profesorem Ochockim i Janem Warkotem odnaleźliśmy bezcenny przedmiot, skarb kultury narodowej, który był właśnie poddawany oględzinom przez profesora Ochockiego, kiedy pułkownik Podatny zjawił się w instytucie i zarekwirował skrzynię z mieczem.

– No tak. – Kapitan się skrzywił. – Ale potem skrzynia gdzieś wyparowała. – Spojrzał Gromiłowi prosto w oczy.

Obydwaj wiedzieli, jak to się odbyło, ale żaden nie mógł otwarcie oskarżyć drugiego – Gromił w ten sposób ujawniłby, że coś wie na ten temat, a Kłys, że to Podatny uprawiał prywatę i wywiózł skrzynię bynajmniej nie do magazynu na Podwalu.

Gromił odruchowo włożył dłoń do kieszeni spodni i natrafił na coś, co pozwoliło mu

spojrzeć bez trwogi w przyszłość.

– Wy jednak musicie coś wiedzieć, bo zachowujecie się ostatnio bardzo podejrzanie. – Kapitan nie dawał za wygraną. Doskonale wiedział, że nacisk psychologiczny potrafił być skuteczniejszy niż jakakolwiek forma przemocy fizycznej.

– Jeśli będę coś wiedział, na pewno zamelduję. Cenię sobie swoją pracę i jestem pewien, że mogę tu więcej dokonać niż w jakiejś fabryce, pchając taczki.

– O, to na pewno. Tylko czy możemy na was liczyć, towarzyszu poruczniku? Ostatnio nie byliście jakoś skłonni do współpracy z naszą firmą.

– Obywatel kapitan może być tego całkowicie pewien – dodał Gromił, siląc się na beztroski ton.

Major spojrział na niego zdziwiony. Nie podejrzewał Gromiła o takie ciągoty, ale kto wie, człowiek w obliczu zagrożenia całego swego życia może się zmienić. Pokręcił tylko głową. Nie wiadomo, ze zdziwieniem czy z dezaprobatą.

– W takim razie do zobaczenia, towarzyszu poruczniku. – Kapitan podniósł się z krzesła.

– Do rychłego zobaczenia – rzucił Gromił, wyciągając do niego rękę.

Gdy zwarli dłonie, nagle kapitan UB zrozumiał, że popełnił błąd. Nie przewidział, że ta milicyjna menda będzie się stawiać. Uścisk był niesamowicie silny, bo Gromił w domu ćwiczył dłoń, ściskając kauczukową piłeczkę.

Nie to było jednak najgorsze. Kapitan poczuł niezwykle silne pieczenie. Próbował się wyrwać, ale Gromił trzymał go mocno. Syknął z bólu, szarpnął się i zaparł. Major obserwował to z rosnącym niepokojem.

Kapitan zaczął się wic jak piskorz, próbując wyszarpnąć swoją dłoń, co tylko pogarszało jego sytuację. Siła sugestii wspomagana przez zabobonny strach przed czosnkiem sprawiła, że ubek szarpał się niezdolnie, przez co ząbek zakleszczony między dłońmi mężczyzn wyciskał coraz więcej trujących soków, powodując nieopisany wręcz ból, który biegł kapitanowi przed dłoń, nadgarstek, przedramię i bark, prosto w stronę czarnego serca, które już zaczynało odczuwać skutki.

– Stefan, co ty wyrabiasz? Daj spokój, puść pana kapitana.

– Ja się tylko chciałem pożegnać jak należy – rzucił beztrosko Gromił, wzmacniając uścisk.

Kłys już jęczał i wił się jak rak rzucony do ukropu. Dłoń kapitana zbieleła. Krzyk w gmachu z czerwonej cegły na Podwalu nie był niczym nadzwyczajnym, choć podwładni majora nigdy nie słyszeli czegoś takiego dobiegającego z jego gabinetu. Kapitan Kłys wrzasnął głośno i wyszarpnął dłoń z uścisku porucznika.

– Co to ma być? – jęknął major. – Co ty wyrabiasz? Możesz mi to wyjaśnić?

Kapitan przyciskał dłoń do piersi. Zerkał na Gromiła lękliwie. Strach, tak, to było nowe doświadczenie w jego niegodziwym życiu. Zachwianie przekonania o wszechmocy. Kapitan pospiesznie zagarnął akta z biurka i nie żegnając się, czmychnął z gabinetu majora.

– Oczywiście, że mogę. To była medycyna tradycyjna. – Gromił opowiedział

wszystko majorowi, taktownie omijając bardziej kontrowersyjne fragmenty.

– No co za bezczelny skurwysyn – zaklął major – żeby przyłazić tu do mnie, rozstawiać moich ludzi po kątach! Aha! Dokumenty! – Major zgarnął pełnomocnictwa kapitana i wrzucił je do kasy ogniotrwałej. – A teraz idź do siebie i nie ruszaj się stamtąd, dopóki ci nie powiem.

– Więc nie było rozmowy?

– Wręcz przeciwnie, rozmowa była, odbyła się, kapitan jest zachwycony twoją chęcią współpracy i na tym poprzestańmy. Sporządzą notatkę z tego spotkania.

– No, a on. ? – Gromił celowo nie wymieniał nazwisk.

– Bo ja wiem? W tym budynku ludzie znikają, Stefan, wszyscy to wiedzą.

– W takim razie odmeldowuję się.

– Znikaj już!

Gromił po przyjściu do swego pokoju starannie umył ręce i wyrzucił rozgnieciony ząbek czosnku, chwając się w myślach za przeczność i zdolność antycypowania trudnych sytuacji. Miał jeszcze parę sztuk tej amunicji w kieszeni – tak na wszelki wypadek.



– Gromy i pioruny! – wrzasnął Sabiej, bo właśnie otrzymał meldunek od podwładnego. Był tak wściekły, że krzyczał i zacinał się na własnych słowach, bo furia zatykała mu krtań. – Już nie ma bata na tych sukinsynów? Z kim ja pracuję? Za starych, dobrych czasów nikt się nie opierał, sami usłużnie się podkładali. Było jakieś poszanowanie, pokora, uległość, a teraz?! Wszystkim się wydaje, że mogą nami pomiatać, że każdy łyk wioskowy może zabić Przedwiecznego i nie spotka go za to kara!

– Może Kłys był po prostu nieostrożny? – rzucił Pałuba. – Odkrył się za bardzo?

– Oczywiście, że tak było, ale przypomnę ci, że straciliśmy w tym cholernym mieście już dwoje Przedwiecznych, że o Nasu nie wspomnę, i dokonało tego dwóch młokosów z mlekiem pod nosem. Dwóch nieopierzonych smarków! Rozumiesz coś z tego? A do tego jeszcze ten kretynek ucieka z podkulonym ogonem, nawet nie racząc mnie o tym zawiadomić.

– A ostrzegali, że to dziwne miasto...

– Ja wiem, kto za tym stoi! Ten stary dziad, który wtrąca się we wszystko i mąci. To on przebudził Warkota, uświadomił go, to on im stale pomaga. A ja nic nie mogę na to poradzić!

– No tak, w końcu on już nie żyje. Do tego przemieszczą się niezauważony.

– To jest nieczysta gra! Tak nie wolno! Jak zaczynaliśmy tę wszawą rewolucję, wszystko było jak należy. Słuchali nas, wypełniali polecenia. Choć Grisza się trochę zagalopował w Carskim Siole. Ja może też tutaj, ale taką już mamy naturę! Tak nas

uksztalowano, więc dlaczego, pytam się, dlaczego, do ciężkiej cholery, rzucają nam kłody pod nogi? Przecież zło jest nierozłącznym odbiciem dobra, nie można mieć tylko dobra, bo jak kuszony miałby je rozpoznać bez istnienia zła? Mdło się robi od tego wszystkiego. Mam ochotę wyjechać w miasto i pokazać im, na czym polegają krwawe żniwa.

– Ale wtedy byśmy się odkryli i całe lata zabiegów na nic – zauważył Pałuba.

– Tobie dobrze mówić, a ja za to odpowiadam przed Radą. Skażą mnie i zrobią dyrektorem jakiejś placówki w Mongolii! Wiesz, jak tam jest? Wyobrazasz to sobie w ogóle?

– Słyszałem, że wielbłądy i piasek...

Sabiej rzucił mu wściekle spojrzenie.

– Mieliśmy się schować w tłumie – powiedział Pałuba – tych, co stoją najniżej w hierarchii społecznej, bo tych jest najwięcej. Podburzaliśmy, zaognialiśmy, intrygowaliśmy. no to mamy. Sam diabeł by sobie z tą hołotą nie poradził. Próbował zresztą kilkakrotnie. Wyniki jakieś były, ale nie takie, jak się spodziewaliśmy. To strasznie krnąbrna nacja, ci Polacy.

– Ty mi tu nie filozofuj, tylko gadaj, czy masz wszystko gotowe?

– Mam, ale ja bym to całe tałatajstwo, tych w czarnych sukienkach, pozamykał na cztery spusty!

– Ty wiesz, co by się działo? Ruchawki w całym kraju. Naród tu zabobonny i ciemny. Nawet przodownicy pracy cichcem chrzczą swoje bachory! Nawet te partyjne cioty! A wiesz, co mówią? Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek! Masz swoją uświadomioną klasę robotniczą!

Dobrze, że jest kilku postępowych. Ciemni jak tabaka w rogu, ale myślą, że budują nowy ład. Świeckie szkoły, świeckie urzędy, do jasnej cholery, nawet żłobki! Im wystarczy pełna micha i nowe M wielkości połowy tego pokoju. Zrobią wszystko, żeby to utrzymać, żeby nikt ich od złości nie oderwał. I co najważniejsze, przekażą to swoim dzieciom jak zarazę. Będą protestować przeciwko wojnie w Korei, psioczyć na amerykańską policję, że robori pałami rozpędza, że we Francji związki zawodowe tłamszą, że Adenauer chce zbroić Niemców. Staną się bojownikami o pokój! Słyszysz, jak to brzmi? Zadeklarują się jako całkowici ateści, byleby im tylko ziarno sypać jak gołębiom na wrocławskim Rynku, choć pokolenie wcześniej klepali różaniec i nie było do nich dostępu. Ale takich nam potrzeba, tacy pójda za nami w ogień. W przenośni i dosłownie. Brak znajomości boskich praw nie może być bynajmniej wymówką. Nie można się tym tłumaczyć tam, na górze.

Sabiej splunął z obrzydzeniem.

– Tyle że wtedy już jest za późno. Płacz i zgrzytanie zębów. że tak powiem. I wcale mnie nie cieszy, że na dół trafiają wyjątkowe łajdaki i szubrawcy. Wolałbym, żeby to były nieskazitelnie czyste osoby, które popełniły w życiu jeden fatalny błąd. Takich nam trzeba. Dlatego właśnie wścieka mnie to, że jeden, jak i drugi byli na prostej drodze do piekła, ale za sprawą tego średniowiecznego łotra zeszli z niej, najwyraźniej

na zawsze. Bo przecież nie można wierzyć w nas, nie wierząc w konkurencję! W tym cały problem.

Zamilkł i usiadł ciężko za biurkiem, bo choć lichy nie śpi, to nie zawsze jest żywotny i pełny wigoru.



W czwartek 26 lipca prasa doniosła o wykryciu spisku mającego na celu podważenie sojuszy, działalności MacArthurowskiej grupy, która za cel obrała niewinnych robotników, mieszkańców Wrocławia. Autor przestrzegał czytelników przed złoczyńcami i pisał, że organa władzy i sprawiedliwości ludowej są już na tropie zbrodniarzy. Było to dość niezwykle, bo przeważnie takie artykuły pisano z perspektywy sali rozpraw. Z podżegaczami oraz zdrajcami radzono sobie doskonale przy pomocy propagandy, pokazując ich zarośnięte, ohydne mordy, gdy sprawiedliwość ludowa już ich odpowiednio urobiła.

Tego właśnie dnia studentka profesora Ochockiego i koleżanka Marleny Kuchty, Ludwika „Wika” Sztall, spotkała się ze swoim oficerem prowadzącym, porucznikiem Koromyślo. Porucznik, a jakże, kawę i ciastko postawił, pochwalił za obywatelską postawę i w oczka popatrzył, co aż nadto wystarczyło „Wice” jako wynagrodzenie za donos.

Marlena była nieostrożna, a „Wika” wzięła ją na koleżeńskie ploteczki. Szczebiotła cały czas o swoim Zdzisiu, jaki to on dobry, jaki dowcipny, zaradny, tylko że wmieszał się w jakąś politykę, zupełnie wbrew sobie. Marlena nie była głupia, tylko niesłuchanie naiwna, nie tylko w kwestii kolektywizacji i planu sześcioletniego, ale zwyczajnie, po dziewczynisku chciała się zwierzyć koleżance ze swego szczęścia, nie podejrzewając nawet, że kręci powróż na szyję ukochanego Zdzisia.

„Wika” potakiwała z uśmiechem, dodając co jakiś czas coś od siebie na temat własnego życia uczuciowego. W przeciwieństwie do Marleny musiała się nieźle napocić, aby zyskać sympatię mężczyzn. Jej liczne flirty z artystami były bardzo na rękę agentowi Koromyśle, więc stawiał jej te kawy, kupował ciastka, czasem przynosił kwiaty i patrzył głęboko w oczy, wzbudzając w niej tęsknotę za prawdziwą miłością. Szkoda, że nie wiedziała, co naprawdę myślał na jej temat towarzysz porucznik, bo doznałaby kolejnego zawodu, tym razem z elementami otrzeźwienia sumienia.

Koromyślo od razu poszedł do swego przełożonego, którym był, z racji niewytłumaczalnej nieobecności pułkownika Podatnego i kapitana Kłysa, ich zastępca, major Wrzaszczak. *Nomen omen*. Lubił się wydzierać na podwładnych, podobnie jak Podatny był uległy wobec przełożonych, bezwzględny dla podwładnych, a okrutny dla wrogów ludu. Typowa kanalia.

Wrzaszczak rozstawił czujki na placu Katedralnym. Tak na wszelki wypadek.

Kapusta nie był w stanie podnieść się z łóżka, ale jego kompani. no! Major już widział oczami swej ograniczonej wyobraźni kolejną gwiazdkę na mundurze, może nawet awans na miejsce Podatnego. Przecież ten Kłys nie będzie tu wiecznie siedział. W Warszawie to wróg dopiero musi knuć. Z pewnością ma wiele zajęć. Do tego on też się gdzieś rozplątał...

Plac Katedralny był obstawiony tak, że mysz nie miała prawa się prześlizgnąć, a co dopiero dwóch amatorów z mieczem pod pachą. Przy seminarium duchownym rozstawiono namiot z napisem „ROBOTY DROGOWE” i zainstalowano tam stanowisko obserwacyjne. Za gruzowiskiem z drugiej strony, przy odrzańskim nabrzeżu ustawiono żołnierzy UB z bronią w gotowości. Oficjalnie, aby pilnowali ładu i porządku podczas uroczystości konsekracyjnych.

Zapowiadało się dużo ludzi – zarówno duchownych, jak i wiernych, zwykłych mieszkańców Wrocławia. Ksiądz Wincenty Urban miał sporo pracy, ale nie zapomniał o spiskowcach i opracował niezwykle przebiegły plan. Może niezbyt ortodoksyjny, ale z pewnością skuteczny. Wymagał on jedynie samozaparcia i zdecydowania od osób biorących w nim udział. Ksiądz Wincenty nie potrafił pohamować wesołości, przypominając sobie jego szczegóły. Do siedziby arcybiskupstwa zajechał prymas i ksiądz Urban mógł go już bez przeszkód i bez obecności cywilnych „opiekunów” wtajemniczyć w cały plan.

Bardzo przypadł prymasowi do gustu.



Jan Warkot odprowadził Basię pod drzwi domu, w którym mieszkała. Pocałunek był długi i Warkot miał wrażenie, że mógłby tak stać z nią całą wieczność. Po raz pierwszy w życiu czuł coś takiego. Rok ten najwyraźniej był przełomowy w jego życiu, bo oto zmienił się cały jego świat, nie naruszając pozornie niczego, a tylko nadając mu nowy sens. Spojrzał na Basię z czułością.

– Przyjdiesz jutro? – zapytała.

– Bardzo bym chciał, ale nie mogę. Muszę coś załatwić.

– Spotykasz się z tym Stefanem?

– Tak, uwierz mi. To poważna sprawa i wkrótce będę ci mógł wszystko powiedzieć.

Ale jeszcze nie teraz.

Basia pogłaskała go po twarzy i spojrzała głęboko w oczy.

„Zawsze taki zamknięty – pomyślała – wszystko z niego trzeba wyciągać”.

Nie była to jednak prawda. Warkot doskonale wiedział, że mogli go obserwować, a przeciwnik bez skrupułów wykorzystałby młodzieńczą miłość. Nie mówił tego Basi, bo nie chciał, żeby się bała, i tak miał wyrzuty sumienia, że ją narażał. Ona wyczuwała jego niepokój, choć postanowiła nie drążyć tematu. Sam jej wszystko

powie, kiedy przyjdzie pora.

Musnęła ustami policzek Janka.

– Dobranoc.

– Dobranoc, Basiu. Zadzwońię do szpitala.

– Tylko żebym mogła odebrać...

– Będę dzwonił do skutku.

– Wariat.

– Jeszcze jak. – Uśmiechnął się zawadiacko.

Nie puszczał jej dłoni. Stali tak przez dłuższą chwilę, nie mogąc się pożegnać. W końcu to Basia wyswobodziła się z jego uścisku.

– Idź już. Ja też muszę się wyspać. Mam jutro ciężki dzień.

– Dobranoc, moja piękna – powiedział Warkot, choć nigdy wcześniej takie słowa nie przysłyby mu do głowy.

Odwrócił się i ruszył w swoją stronę. Basia weszła do domu. Gdzieś w pobliskich zaroślach, jak na zawołanie, słowik zaczął swoje trele.

„Jak na jakimś landszafcie, jelenia tylko brakuje” – pomyślał zgryźliwie Warkot, nie wiedząc, czy to dobrze, czy źle.



W piątek 27 lipca zaczął się iście nieziemski upał, jakby gdzieś tam w górze dokonano inauguracyjnego spustu surówki z pieca martenowskiego. Trwały przygotowania do uroczystości w katedrze. Spiskowcy spotkali się przy stawie w parku Południowym, gdzie w pijalni piwa pod chmurką delectowali się wyjątkowo zimnym trunkiem.

Zosia, bufetowa w białym fartuchu i czepku, patrzyła na swoje stadko stałych bywalców z zadowoleniem, zauważając nowych, spragnionych ochłody klientów. Miała absolutny posłuch i szacunek, ponieważ dysponowała nie lada bronią – tabliczkami z napisem „OSÓB NIETRZEŻWYCH NIE OBSŁUGUJE SIĘ” oraz „ALKOHOL SZKODZI ZDROWIU”. Szczególnie ten ostatni slogan był faktem nie do podważenia, a jeśli ktoś wyraził swoje niezadowolenie z jakości obsługi, mógł obejść się smakiem, bo łapał się na pierwszy.

Nie wychylał się nikt. Któż rozsądny pozbawiałby się z własnej woli źródelka czystej, lodowatej wody na Saharze? Do kolejnego było, co prawda, niedaleko, bo pijalnia pod chmurką w cieniu kasztanowców znajdowała się za pętlą siódemki, po drugiej stronie drogi, ale komu by się chciało iść taki kawał? Do tego trzeba było wyjść ze zbawiennego cienia parku.

– Jak ci się upiekł ten numer z ubekiem? – zapytał Warkot, rzucając kawałek chleba miejscowym kaczkom.

– Normalnie. Ubek dał nogę, nie ma sprawy. Tylko od tamtej pory major jakoś

dziwnie na mnie patrzy. Tyle że jego też chcieli utracić – odparł Gromił, zdejmując ze spodni jakiegoś wyjątkowo natarczywego robaka.

– Ale przecież przyjechał do was oficjalnie, miał pełnomocnictwa. ?

– Na całe szczęście zdezaktualizowały się...

– Taaa, nawet mi go trochę żal. – odezwał się znajomy głos.

Podnieśli głowy i zobaczyli stojącego nad nimi upiora, który najspokojniej w świecie sączył miodowy nektar z wielkiego, ciężkiego kufła.

– Pańskie emanacje są o tyle niespodziewane, co nadzwyczaj sympatyczne, panie Leonie – rzekł Gromił. – Ma pan u mnie następne piwo.

– Pan też się nieźle spisał jak na czeladnika. To ci dopiero, żeby czosnek w spodniach nosić!

– Zawsze mogę powiedzieć, że to dla zdrowotności.

– Ja w innej sprawie. – Spoważniał. – Trzeba odciąć Marlenę i Kapustę od informacji. Przynajmniej na razie.

– Co się stało? – zapytał Warkot.

– Ta gąska prawie wszystko wypaplała swojej koleżaneczce, tej włążliwej „Wice”. A „Wika”, no jak myślicie?

– Doniosła?

– A jak! Ma klasyczny przerost mniemania o sobie nad urodą, stąd ten klops. Problem stary jak świat.

– Niech zgadnę, młody, przystojny funkcjonariusz bezpieczeństwa, spaceruje przy księżycu, słowik drze się w zaroślach. – zakpił Gromił.

– Nie, do zarośli jeszcze nie doszło, ale jak tak dalej pójdzie, będzie chłop musiał. Ciężką w sumie mają tę służbę. Stawia przed nimi nowe, trudne zadania.

– No i co w związku z tym?

– Nic. Wszystko idzie zgodnie z planem. Tylko że plac i okolice katedry są obstawione jak trybuna na Pierwszego Maja. Ale Wincenty ma plan. – Słupecki uśmiechnął się z przekąsem. – Choć może wam się niezbyt spodobać.

– Ja już się boję. – odezwał się Warkot.

– Nie ma strachu. To w sumie nic takiego. Będą się musieli panowie tylko na chwilę przebrać. I musi to się odbyć jutro wieczorem.

– Mogę się przebrać, czemu nie? A za kogo? – rzucił Gromił.

– Jak się panu wydaje, panie Stefanie, kto jest poza wszelkimi podejrzeniami na tym terenie?

– Za księdza?

– Ciepło...

– Nie, o nie! To jest to, o czym myślę?

– Obawiam się, że tak.

– O czym wy mówicie? – zapytał Janek.

– Chce, żebyśmy się przebrali za zakonnice.

– Że co?!

– Niestety! – powiedział Gromił. – Trzeba będzie się porządnie ogolić i nie pozacinać, bo jakby wyglądała siostrzyczka ze śladami ałunu na twarzy?

– Ja się wypisuję! – krzyknął Warkot.

– To nic takiego – rzekł Słupecki. – Możecie panowie mieć swoje ciuchy pod spodem, jak tylko dotrzecie bezpiecznie do wnętrza, zrzucicie habity.

– Jak to brzmi? – Uśmiechnął się Gromił. – „Zrzucicie habity”, jakbyśmy chcieli pogrzeżyć.

– Poza tym pod habitem Rybichwost schowa się idealnie. Nie trzeba będzie się ostrzeliwać. Przejdziecie rządkiem wraz z innymi siostrami, których będzie tam bez liku. Księży mogą rewidować, a tak do głowy im nie przyjdzie...

– Ale jak to: przebrać? – zapytał płacząco Warkot.

– Panie Janku, niech się pan nie mazgai. Niech pan będzie mężczyzną. Trzeba mieć odrobinę charakteru...

– Panu łatwo mówić, a jak mnie kto znajomy zobaczy?

– Miejmy nadzieję, że jednak nie.

– Dobrze, że Kapusta tego nie słyszy. Ten miałby dopiero używanie. – Zaśmiał się Gromił.

– I nie może usłyszeć. Będziecie panowie sobie snuć kombatanckie gawędy przy piwku, jak już będzie po wszystkim.

– No dobrze, ale co się stanie z mieczem? – dopytywał się Stefan. – Przecież tamci mogą bez pardonu wejść do świątyni i zabrać go.

– I tu będzie obowiązywała panów najściślejsza tajemnica. Miecz pozostanie w katedrze jako wotum. Pod ołtarzem głównym. Nikt go nie może oglądać, nikt z obecnych. Poza tym wystarczy, że spocznie w katedrze. Tam będzie bezpieczny. Bandycka szajka Przedwiecznych nie dostanie go. Z tym przedmiotem jest tak, jakby przytknąć żelazną sztabę do magnesu. Powstaje pole i tworzy się nierozzerwalna więź. Taka tarcza ochronna. Aura. Nie możemy przecież pozwolić, żeby łapska morderców mających na sumieniu wiele istnień ludzkich spoczęły na tym artefakcie. Użyliby go w niecznych celach. Dlatego trzeba go schować. Ale jak znam księdza Wincentego, to pozwoli wam od czasu do czasu zejść do podziemi i popatrzeć na to cudo. Ochockiemu też.

– No właśnie, a co z profesorem? – Gromił wziął solidny łyk zatrważająco szybko ocieplającego się piwa.

– Nic. Nie może w tym uczestniczyć, bo ma za wiele do stracenia...

– A niby my to nie? – rzucił Warkot.

– Panowie też, ale mniej. On ma rodzinę, odpowiedzialną pracę, wykłady. Co miałby niby robić? Rowy kopać? Przecież mu tego nie darują.

– Nam też niespecjalnie.

– Nieprawda. Jak Sabiej zniknie z miasta, wszystko ucichnie. Pan Stefan dostanie awans za usunięcie seryjnego mordercy, a ty, Janku, zaczniesz pracę w drukarni jakby nigdy nic. Byle was tylko nie nakryli na przenoszeniu Rybichwosta. Bo to podpada pod

ileś tam paragrafów. No i Sabiej nie może tego przeżyć, bo on wam na pewno nie daruje.

Zmarkotnieli na myśl o tym wszystkim. Było to poważne zadanie, być może za poważne jak na ich młody wiek. Wymagające przemyślności i ostrożności.

– A pójdziesz stąd, ty łachu jeden! – wykrzyknęła Zosia do jednego ze stałych bywalców.

– Kufel stłukł – wyjaśnił Słupecki. – Na głowie kolegi – dodał po chwili.

– No to ja pójde zamówić – zadeklarował się Gromił, zabierając puste kufle.

– Zawsze ten sam, pcha się, gdzie go nie posieją. – Parsknął śmiechem Warkot.

Kiedy wrócił, zdążyła już przyjechać karetka i napatoczył się patrol. Milicjanci zaczęli wypytywać świadków zdarzenia, którzy najwyraźniej nabrali wody w usta, bo funkcjonariusze indagowali teraz bufetową.

– No to ja mówię mu, panie władzo, żeby się tak nie pchał, a on swoje – trajkotała pani Zosia, aż milicjant nie nadażał z notowaniem. – A potem odwrócił się i trach tego za nim pustym kuflem. Tamten się zatoczył i padł cały we krwi. A ten łachudra do mnie! Do mnie, wie pan władza? No to jak mu machłam przez pysk, to się kopytami nakrył!

Milicjant z respektem przyjrzał się dobrze sylwetce krewkiej bufetowej. Ofiarę zabrała karetka, a sprawcę trzeba było jeszcze długo cucić.

– No, pani Zosiu, ale krzepę to pani ma!

– Się wie – rzuciła zalotnie bufetowa, poprawiając kokieteryjnie czepeczek.

– Wszyscy od tego upału durnieją – stwierdził Słupecki.

Po chwili wrócił Gromił, niosąc trzy pełne kufle ociekające białą pianą.

– Od firmy – rzucił. – Interweniowałem, bo by się tam pozabijali.

– Tak stawiać piwo to każdy potrafi. – Naburmuszył się Słupecki.

– No to następne postawię – odparł wesoło Gromił.

Na latarni zachrypiał gigantofon. Atak był brutalny i niespodziewany. Aż podskoczyli. Popłynęła dziarska, młodzieńcza pieśń. ptaki poderwały się z gałęzi.

Ani góry wysokie, ani morza głębokie nie wstrzymają pochodu przyjaźni!

– I tego się właśnie obawiam. – zaniepokoił się Słupecki.

– Powinien się pan już przyzwyczaić, panie Leonie. – Gromił zachował stoicki spokój.

– Trochę za głośno, jeszcze w parku. – Warkot zwrócił uwagę na jakość przekazu.

Wygramy walkę o trwałą pokój. Wrogom wolności wzniesiona pięść!

– Proszę się nie niepokoić. Już dawno wynaleziono szczepionkę na tę chorobę. – Słupecki starał się opanować sytuację.

– Jaką chorobę? – Warkot wolniej myślał w taki upał.

Dalej, młodzi Słowianie, dalej, Grecy, Hiszpanie, młody Chińczyk do marszu powstaje.

– Jak to jaką? Na hiszpankę! – Gromił parsknął śmiechem. – Od tego już się nie umiera.

– Miałem na myśli raczej francę – przekornie rzucił Słupecki.
Warkot i Gromił zachichotali jak uczniaki.

Wnet dołączą tu inni, czarni bracia z Wirginii, bohaterscy pospieszą Malaje.

– O Koreańczykach autor zapomniał. – zauważył trzeźwo Warkot.

– Może dopiszą nowe zwrotki – odezwał się zrezygnowany Gromił, topiąc troski w kuflu piwa.

– Żeby nam tu tylko bratnia młodzież nie przywlekła jakiejś ospy do Wrocławia.

– W „Trybunie” pisali, że jak choroba jest od bratnich, międzynarodowych towarzyszy, to nie szkodzi na zdrowie...

– Teraz to już zalewasz!

– Taaa, szczególnie tryper...

– Dość już tych medycznych skojarzeń! – Pierwszy pękł Gromił.

– *À propos.* właśnie sobie przypomniałem. Jakie pan ma, kawalerze, zamiary wobec mojej krewnej? Młodej lekarki z pogotowia? – odezwał się niespodziewanie Słupecki do Warkota.

– Ja. eee. tego. nie wiedziałem, że to pana krewna, panie Leonie.

– Proszę, proszę, cicha woda brzegi rwie. – powiedział Gromił.

– To samo nazwisko powinno dać do myślenia, ale wy z nauk ścisłych. – Słupecki najwyraźniej dobrze się bawił.

– Basia jest pańską krewną? – Warkot nie mógł uwierzyć.

– A tak, ale z uwagi na dużą różnicę pokoleń, dość odległą.

– Basia, proszę, proszę. – Gromił zaczął się powtarzać. – Ostry dyżur, ranny młodzieniec, piękna młoda lekarka, klasyczna sytuacja...

– Chciałem ci powiedzieć, ale pan Leon...

– Co pan Leon, no co pan Leon? Wszystko zawsze na mnie!

Żartowali i przegadywali się jeszcze kilka godzin, aż rozeszli się do domów, bo czekało ich poważne zadanie. Ptaki znów usiadły na parkowych gałęziach, najwyraźniej przyzwyczajając się do schrypniętego ryku. Ziarno padło na podatny grunt. Propagandowy cel został osiągnięty.



W sobotę 28 lipca wszystko było gotowe do uroczystości. Zawieszono wstęgi,

udekorowano katedrę i już zaczął się większy ruch na Ostrowie Tumskim. Wrocławianie przychodzili zobaczyć, jak postępują przygotowania. Wśród spacerowiczów można było bez trudu wyłowić pracowników Urzędu Bezpieczeństwa, którzy – udając zainteresowanie gotykiem – bacznie obserwowali tłumy mieszkańców miasta przetaczające się przez urokliwą wyspę.

Konsul ZSRR Sabiej przejeżdżał dwukrotnie obok katedry schowany w zaciszu czarnej limuzyny. Zniknięcie Kłysa, a następnie alarmujące telefony od Pierwszego wyraźnie popsęły mu i tak nie najlepszy humor. Był tak blisko, a jednocześnie tak daleko. Wszystko zależało teraz od familusów, a to, jak powszechnie wiadomo, niezwykle zawodna materia. Użył wszystkich swoich wpływów, żeby zapanować nad sytuacją, ale i tak nie był pewny rezultatów.

Sabiej niemal fizycznie odczuwał obecność Rybichwosta w pobliżu, jednak przebieg ostatnich wydarzeń mocno nadszarpnął jego butą i zadufaniem. Dodatkowym czynnikiem, palącym niby siarczasty policzek, który wpływał na jego podły nastrój, był fakt, że kilka osób ocknęło się z czerwonego letargu, komunistycznej hipnozy, robotniczo-chłopskiego mesmeryzmu, jakim on i jemu podobni mamili obywatele krajów pod moskiewskim wpływem. Zarzucali niewidzialną, utkaną z nici cienkich jak tchnienie sieć, w którą wpadali nierozważni, nierozsądni, skorzy do podłości i łąsi zaszczytów. Podatni na wpływ. Była to bardzo misterna gra wywiadowcza, teraz po wojnie, choć zaangażowani w nią agenci brutalnie i bez skrupułów wykorzystywali ludzką radość z zakończenia rzezi, która kilka lat temu ogarnęła cały świat.

Oczywiście Sabiej mógł miłosiernie zakończyć życie spiskowców. Podkradać się do nich po kolei zniecka. Zabijać w ten czy inny wymyślny sposób, ale tu na straży stał ten średniowieczny łajdak, ten łotr spod ciemnej gwiazdy, który teraz stroił się w piórka zbawcy ludzkości. Jak to kilkaset lat w czyścicu zmienia człowieka!

„Zobaczył tę cholerną jasność! – Sabiej zaklął w myślach. – Chyba tylko po to, by nam życie uprzykrzać. Chwyty poniżej pasa, oto na co było stać konkurencję. Same oszustwa, szalbierstwa i podłe sztuczki!”

Nagle coś rozbłysło we wnętrzu samochodu. Płomień na skórzanej tapicerce zmienił się z żółtego w bladoniebieski.

W samochodzie zmaterializował się średniowieczny pokutnik. Bezcelnie siedział obok zupełnie niezrażony faktem, że Sabiej najeżył się i z tą groźną miną przypominał teraz monstrum z podań ludowych i nocnych koszmarów.

- Czego tu chcesz? – warknął Sabiej.
- Popatrzeć sobie na trupa. Już dawno takiego wyżartego nie widziałem.
- Znikaj stąd. Łamiesz wszystkie zasady.
- Ani myślę.
- No to czego, pytam się grzecznie?
- Przyszedłem cię ostrzec, krwiopijco.
- Ty?! Ostrzec mnie? Niby dlaczego?
- Może to być twój ostatni dzionek na tym padole łez, zdajesz sobie z tego sprawę,

łajdaku przebrzydły? Nie dość już się nasyciłeś? Wciąż ci mało?

– Widzę, że zanosi się na wykład umoralniający.

– Bynajmniej. Trzeba być niespełna rozumu, żeby umoralniać taką kreaturę jak ty.

– No to gadaj, czego chcesz?

– Wyjedź, opuść to miasto. Dobrze ci radzę.

Sabiej zaniósł się śmiechem. Był prawdziwie rozbawiony.

– Mam do dyspozycji cały aparat tutejszej władzy, ludzi, sprzęt, dekrety, paragrafy, a ty, co ty masz, nieszczęśniku?

– Bractwo Wrocławskie.

– Wołoskie chyba. To historia. Dawno już nie istnieją.

– I tu się mylisz, gnijący, linia została zachowana. Oni są już inni. To Bractwo Wrocławskie, z poszanowaniem tradycji. To ty jesteś przeżytkiem.

– I kto to mówi?

– Nie będziemy się tu licytować. Wiem, co mówię. Opuść to miasto, zostaw jego mieszkańców w spokoju, bo jak nie, to mocno tego pożałujesz.

– A jak przyjdzie mi ochota rozpętać tu piekło na ziemi? Jak każę zamknąć wszystkich klechów bez wyjątku, to co, myślisz, że nie posłuchają?

– Myślę, że nie, bo wyhodowane przez was lodowate, o pardonsik, ludowe państwo chce uchodzić za bardzo tolerancyjne i światowe. Gdybyś to zrobił, gdybyś kazał ubekom dokonać masowych aresztowań, to mielibyście tu taki pasztet, że huk by się rozniósł na cały świat. I co, walka o pokój polegająca na aresztowaniu kapłanów i wiernych? Sam w to nie wierzysz, prężysz tylko muskuły, mój ty strupieszają, bo jedynie tyle możesz zrobić. My natomiast. możemy dużo więcej.

– Mów dalej.

– Ja wiem, w jaki sposób można się posłużyć Rybichwostem i dlaczego tak bardzo chcecie go dostać w swoje łapy. Proponuję więc chwilowy rozejm. Ja nie powiem czeladnikom z Bractwa, co należy zrobić z mieczem, a wy odpuście. Poza tym pamiętaj, że lew jest na swoim miejscu i biada każdemu zatwardzialemu grzesznikowi, który by chciał przejść obok niego.

Konsul Sabiej zasepił się jeszcze bardziej. Z jednej strony miał wyraźne polecenie Rady i Pierwszego, żeby odzyskać artefakt, z drugiej strony...

– Wynoś się, muszę się zastanowić nad tym.

– Tylko pamiętaj, czas nagli. – I z tymi słowami Słupecki rozplynał się w powietrzu.

Walenty Iwanowicz Sabiej zacisnął pięści w bezsilnej złości, zostawiając na dłoniach głębokie wybroczyzny od paznokci.

Sekta Przedwiecznych była tak samo ułomna jak reszta społeczeństwa. Nieliczne jednostki z ich kręgu rzeczywiście były osobami o mentalnym defekcie, które musiały zabijać innych, by normalnie funkcjonować. Napadać na Bogu ducha winnych ludzi dla zaspokojenia własnych skłonności, radować się cierpieniem innych, zacierać za sobą ślady i mylić pogonie.

A pozostali? No cóż, może miewali jakieś zbrodnicze zapędy potęgowane rytuałami

sekty i piciem krwi ofiar, może to rzeczywiście mordercy, ale nie była to cecha zmuszająca ich do nieustannego zaspokajania niedających się opanować potrzeb. Część z nich miała początki choroby psychicznej, to prawda. Podsycani halucynogenami oraz nieziemskimi rytuałami, pierwotnie mającymi za zadanie odsianie spośród nich jednostek słabych i ułomnych, zaczęli głęboko wierzyć w swoje nadprzyrodzone moce i umiejętności, stąd też często źle kończyli swój żywot.

Wierzyli, że tak jak postacie z prastarych mitów są wrażliwi na czosnek, srebro, ba, nawet na światło słoneczne. Zetknięcie z tymi substancjami i okolicznościami było często powodem zawałów serca, napadów szału, których organizm, w końcu całkowicie ludzki, zwyczajnie nie wytrzymał. Duża część jednak była wyłącznie rozsmakowana we władzy i zrobiłaby wszystko, byleby tylko ją utrzymać. Ci, w gruncie rzeczy, okazywali się najgorsi i najokrutniejsi.

Któż oparłby się temu narkotykowi? Substancji mocniejszej niż wszystkie wywary z bielunia czy wilczomleczka? Władza upajała, wywoływała euforię i uniesienie u zupełnie normalnych ludzi, którzy wyglądali normalnie, zachowywali się w miarę normalnie i mieli swoje ludzkie nawyki. Byli jednak dla niej w stanie posunąć się do najgorszych podłości i prawdziwych wyrzeczeń wobec nakazów własnego sumienia. Zabijali, pohamowując zwykłe ludzkie obrzydzenie do tego aktu przemocy, by zachować dar panowania nad innymi, wywierania na nich presji, nakłaniania ich do swej woli, by za wszelką cenę należeć do elity społeczeństwa. To właśnie, a nie kły, pazury i zapach siarki, było emanacją pierwotnego zła, piętnem kainowym.

Normalni, zdawałoby się, ludzie, żadne tam potwory, byli w swej zachłanności na ten narkotyk bardziej zażarci niż dzikie bestie. Dlatego też wykonywali bez szemrania polecenia Rady Przedwiecznych, pierwszej dziesiątki. Trzymali się sekty, postępując zgodnie z własnymi ambicjami. Przynależność do tajnego stowarzyszenia jednak dodawała im splendoru, mirażu własnych snów o potędze, wszechwładności i nieomyślności.

Sabiej doskonale zdawał sobie sprawę, że tak właśnie jest, ale nawet Rada nie reagowała w tej kwestii, bo byli im potrzebni posłuszni malutcy, wykonujący ich polecenia w złudzeniu, że oni też kiedyś w niej zasiądą. Nic takiego nie miało miejsca od samego początku. Zwykli członkowie sekty na zawsze pozostawali, nie zdając sobie z tego sprawy, jedynie tępymi narzędziami w rękach zręcznych manipulatorów, jakimi byli prawdziwi kompulsywni mordercy w sekcje.

Dziwna ta symbioza trwała od stuleci i nikomu nie zależało na naruszeniu *status quo*. Pojawienie się tak mocnego artefaktu jak miecz noszący cechy relikwii było z jednej strony błogosławieństwem dla członków sekty, ale z drugiej strony mogło się stać jej klątwą, początkiem końca. Mogło doprowadzić do jej rozpadu i unicestwienia. I o tym właśnie mówił Słupecki Sabiejowi, z czego ten, będąc bardzo doświadczonego łotrem, zdawał sobie doskonale sprawę.

Sabiejowi sprzyjał jednak polityczny klimat w kraju i wiedział, że Słupecki, odwołując się do najbardziej zakamuflowanych cech średniowiecznej relikwii, musiałby

postawić wszystko na jedną kartę, ryzykując zdrowie i życie swoich przyjaciół. Musiał wszystko przemyśleć. W końcu dzięki temu doszedł tak wysoko, unikając prześladowań wymiaru sprawiedliwości i zawiązując liczne sojusze dające mu nieprawdopodobną władzę.

Klął w myślach, ile wlezie, przypominając sobie początkowe świetlane perspektywy przyjazdu do tego priwislanskiego kraju. Nowa władza, nowi ludzie, możliwość rozwinięcia skrzydeł i bezkarnego folgowania ciągotom. Przypomniawszy sobie tego szabrownika w krzyckiej willi i aż przymknął oczy na wspomnienie tych rozkosznych chwil.

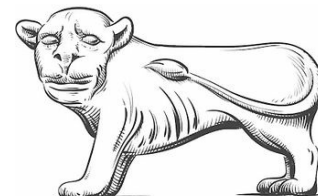
W swoich planach nie wziął jednak pod uwagę jednej rzeczy. Nie był to naród niewolników, wręcz przeciwnie. Szlacheckie, sarmackie tradycje były wciąż w nim żywe. Te same, które wzbudzały pogardę i zdziwienie u władców absolutnych Europy. Rokosze, zerwane sejmiki, *liberum veto* tak chętnie cytowane przez internacjonalistycznych edukatorów, by wykazać mizериę tego systemu władzy, która według nich doprowadziła nie tylko do rozbiorów, ale również do klęski wrześnieowej.

Było jednak wręcz przeciwnie. Ten naród szlachciurów i sobiepanków, tych uwolnionych z pańszczyzny chłopów był prawdziwie wolnym i w potrzebie potrafił wykrzesać z siebie niezwykle pokłady bezinteresownej szlachetności i odwagi. „Bóg, Honor, Ojczyzna” – to mieli na sztandarach, choć teraz może nie było tego specjalnie widać. Ale krążyło to gdzieś w polskim krwiobiegu i nawet najgorszy łotr i kanalia miał czasem chwilę refleksji, doznawał oświecenia i próbował się otrząsnąć ze swej podłości. Tego Sabiej nie przewidział i teraz to pokutowało. W duchu przyznał się do porażki.

Do tego jeszcze to miasto. Pomyślał, że może trzeba było zostawić Polakom to ich zacofane Podole, Lwów, Wilno i inne tereny, na których żyliby sobie spokojnie, zbierali płody rolne i siedzieli cicho. We Wrocławiu zdawało się, że ludność nabrała jakiejś takiej dziwnej hardości w połączeniu z niemal czułościowością. Brali, co im dawano, i nie zamierzali z tego rezygnować, obdarzając nową, małą ojczyznę miłością i przywiązaniem.

Wielka Trójka zdecydowała jednak inaczej. Na przekór zdrowemu rozsądkowi, wspierając się całkowitym brakiem historycznej wiedzy i własną arogancją wysiedliła kilka milionów Polaków na Zachód, w skrytości ducha myśląc, że sadzonki nie mają większych szans się przyjąć. Stało się jednak odwrotnie i nic już nie można było z tym zrobić. Wielu wschodniaków wciąż wracało do siebie, bo serce i sentyment nie pozwalały im postępować inaczej. Będą wracać całe swoje życie niepokodzeni z nowymi porządkami i narzuconą im siłą obcą wolą. Ale nowe pokolenie, już urodzone tutaj, miało dwie małe ojczyzny. Na zawsze.

Sabiej nie zamierzał jednak dawać za wygraną. Kości zostały rzucone.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

RYBICHWOST

Jan Warkot i porucznik Stefan Gromił przybyli na wyznaczone spotkanie w pomieszczeniach należących do sióstr Notre Dame, w miejscu, w którym kiedyś stał zamek książęcy. Był to idealny punkt na rozpoczęcie akcji, również pod względem symbolicznym, bowiem to stąd sprawował urząd sam Piotr Włostowic. Po zamku pozostał kościółek Świętego Marcina, w którym w niemieckim Breslau 17 września 1939 roku wierni narodowości polskiej śpiewali *Boże coś Polskę* podczas odprawianej mszy. Warkot i Gromił dowiedzieli się o tym w czasie przygotowań od rumianej przeoryszy.

Ubrali się w szare, letnie habity, bo w ciemnościach widać je było wyraźnie, a spiskowcy nie chcieli, żeby pilnujący katedry tajniacy mieli jakiegokolwiek wątpliwości i przyglądali się za bardzo przechodzącym siostrzyczkom. Śmiechu było co niemiara, bo o ile niższy Gromił jako tako wpasował się w zakonny strój, to Warkot wyglądał niczym strach na wróble i trzeba było pożyczyć habit od najwyższej zakonnicy w klasztorze. I tak wystawały mu długie, owłosione ramiona, chował je więc, jak mógł, w rękawy.

Rybichwosta miał nieść Gromił jako siostrzyczka niewyróżniająca się za bardzo z grupy innych. Siostry, chichocząc na potęgę, pomogły obu spiskowcom ubrać się do akcji. Warkot spojrzał na porucznika.

– No ty przynajmniej jakoś wyglądasz, a ja? Równie dobrze mogą mi dać transparent z napisem: „TO MNIE SZUKACIE!”.

– Nie narzekaj. Znoś z pokorą swój los.

– O, ja widzę, że kolega milicjant z powołaniem się minął. Poproś księdza Wincentego, to może cię jakoś wkręci bez egzaminu do seminarium.

– Nie mam bierzmowania.

– Dyspensę się da – rzucił wchodzący do pomieszczenia ksiądz Arkadiusz, jak zwykle energiczny i żwawy, ciągnąc za sobą tren zabójczej wody kolońskiej. – Panowie się już golili? – zapytał rzeczowo.

– Goliliśmy się – przyznał zrezygnowany Warkot.

Trzeba mu było jakiegoś kremu nałożyć na twarz, bo już mu się pojawił początek ciemnej szczeciny. Wyglądał nieco sztucznie, ale mieli nadzieję, że po ciemku nikt nie będzie mu się przyglądać.

Po kilkunastu minutach zakończono przygotowania. Spiskowcy mieli olbrzymią treść, kiedy gęsiego wyszli z budynku w środku grupy dziesięciu zakonnic. Ruszyli w stronę kolegiaty Świętego Krzyża, stamtąd w lewo, obok olbrzymiej dziury w ziemi z jednej strony i ogrodu botanicznego z drugiej, w kierunku muzeum. Już na rogu dostrzegli dwóch tajniaków, którzy udawali, że czytają gazetę przy świetle jednej

latarni. Mężczyźni podnieśli wzrok, ale zobaczyli tylko drepczące siostrzyczki zajęte przygotowaniami do jutrzejszej uroczystości.

Zapachniało torfową ziemią z ogrodu. W normalnych okolicznościach był to kojący zapach przywołujący na myśl zieleń lasu i letnią kanikulę, teraz jednak spiskowcom kojarzył się z rozkopanym grobem.

Mijając zwały gruzu po jakiejś średniowiecznej budowli, która miała ewidentnego pecha, Gromił dostrzegł kilku wywiadowców schowanych w ruinach. Nic się nie stało. Nikt nie wyskoczył z za węgła, nikt nie wymierzył do niego z broni. On sam poczuł krzepiący ciężar pod pachą – jego naoliwiony walther spoczywał pewnie w kaburze.

Kiedy dotarli do gmachu muzeum, musieli tam wejść całą grupą, bo byłoby to podejrzane, gdyby siostrzyczki czekały na zewnątrz. W holu podekscytowany ksiądz Wincenty powitał ich, składając dłonie jak do modlitwy.

– Doskonale panowie wyglądacie – rzucił do siostry Eulalii, która parsknęła śmiechem.

– Tu jesteśmy – odezwał się zrezygnowany Warkot, podnosząc dłoń.

– A to pięknie, pięknie – odparł niczym niewzruszony ksiądz. – A teraz chodźmy.

Podeszli do jednego z drewnianych filarów boazerii i biskup wprawnym ruchem dłoni przesunął wypukły detal na jego powierzchni. Był to jakiś stylizowany owoc, który, podobnie jak pozostałe, został przez mistrza stolarskiego przymocowany do drewnianej powierzchni bez użycia żelaznych gwoździ. Ten jednak miał w sobie sprężynę, która gładko wpadła w odpowiednią zapadkę, otwierając mechanizm ukryty w ścianie. Warkot pomyślał, że to z pewnością jeden z owoców z drzewa wiadomości dobrego i złego.

Jeden z paneli boazerii odskoczył, ukazując wnętrze skrytki. W pozycji pionowej znajdował się tam przedmiot pożądania wszystkich. Pyszny, średniowieczny miecz – dzieło mistrzów kowalskich z Hibernii, z kraju Franków i Orientu. Po wyjęciu z pochwy błysnęła damasceńska klinga, ukazując w skąym świetle niewielki napis.

cauda piscum

Rybuchwost

Obydwaj spiskowcy wpatrywali się jak urzeczeni, bo teraz miecz wydał im się jeszcze piękniejszym, emanującym jeszcze większym dostojeństwem. Spoglądali na żywą historię Europy.

Podobne wrażenia towarzyszyły często muzealnikom zakochanym we wszelkich starożytnościach, którzy z namaszczeniem brali w dłonie, dotykali i gładzili z czułością dzieła starych mistrzów. Ten zabytek roztaczał wokół siebie jeszcze inną aurę. Zapowiedź wyniszczającej pożogi, gdyby ktoś targnął się na świętość, gdyby ktoś poważył się jawnie zlekceważyć boskie prawa. Ten, kto dzierżył ten miecz, musiał w średniowieczu wzbudzać szacunek pobratymców i strach u wrogów. Nic dziwnego, że Niemcy posługiwali się nim w celach propagandowych.

W eleganckiej, zwężającej się ku dołowi klindze, w łbach gryfów, w krzepkiej

rękojeści i tych kilku oszczędnych zdobieniach kryło się niezwykle piękno. Bez przesady, bez natłoku ornamentyki – wszystko było w nim perfekcyjnie wyważone.

– Cudo – wyszeptał Warkot.

– O tak! – odparł ksiądz i zamknął skrytkę.

Warkot trzymał jeszcze przez chwilę klingę, wpatrując się w nią z zachwytem.

– Powinniśmy się pospieszyć – powiedział Gromił, odbierając mu miecz.

Stefan pod habitem zaplótł specjalny rzemień, przewlekając go przez paski kabury. Po włożeniu frankońskiej głowicy w pętlę rzemienia i zaciśnięciu go, miecz mógł spokojnie spoczywać przy boku Gromiła, nie przeszkadzając w chodzeniu. Dyndający mógł być bardzo niebezpieczny, to pewne.

Kiedy już byli gotowi, siostrzyczki sformowały kordon w holu muzeum i gęsiego wyszły z budynku, dla niepoznaki zabierając puste kosze na wiktuały. Teraz miał nastąpić newralgiczny moment całej operacji. Pochód skierował się ku Bramie Kluskowej przy na poły zrujnowanym kościółku Świętego Idziego, najstarszej budowli sakralnej miasta. Tuż za nim, niemal na wyciągnięcie ręki wznosił się potężny gmach katedry z barokowymi kaplicami. Po przejściu kolejnych stu metrów pochód miał wejść do świątyni bocznym wejściem. Stamtąd do podziemi, a dalej to już mieli ich pokierować.

Przy Bramie Kluskowej stało czterech. Po lewej stronie ustawiono regularny szwadron uzbrojony w peemy, jakby ktoś chciał zapobiec kradzieży obrazu mistrza Leonarda. Smutni obrzucili zakonnicę ironicznym spojrzeniem. Nie mieściło im się to w głowie, że w połowie XX wieku tkwiły w średniowiecznych gusłach i zabobonach.

Sznur zakonnic minął ich bez przeszkód. Po przejściu jeszcze kilkunastu metrów wydawało się, że wszystko uda się znakomicie.

Na wprost nich, o dziesięć metrów od zbawczego wejścia do katedry, stanęła jakaś postać. Nie było jej dobrze widać w skąpym świetle lampy. Widzieli tylko zarys sylwetki na tle poświaty. Rzuciła długi cień, przypominający olbrzyma.

– No i co? Podstęp się nie udał, siostrzyczki! – zawołał nieznajomy z oddalenia, biorąc się pod boki.

Zza jego pleców wyłonił się kapitan Kłys. Odnalazł się, zebrał na odwagę i pojawił na miejscu akcji. Trzymał w dłoniach pepeszę.

Warkot z przerażeniem zauważył drobną, dobrze znaną postać. Jeden ze zbirów przytrzymał Basię.

Zakonnicę zbiły się w grupę. Gromił zamarł i odruchowo sięgnął do kabury.

– Psiakość! – zaklął.

Na śmierć zapomniał o mieczu. W końcu udało mu się wyplątać spod habitu dłoń z waltherem. Trzymał ją jednak przy boku, do czasu, aż postać się całkowicie ujawni. Smutni przy Bramie Kluskowej ruszyli ze swego miejsca, zachodząc ich od tyłu. Czas zdawał się zwalniać i stawać w miejscu do momentu całkowitego bezruchu. Oczywiście trwało to wszystko ledwo kilkanaście sekund, ale dla nich rozciągnęły się one w całą wieczność. Ważyły się losy wszystkich.

Warkot myślał gorączkowo. Było tak, jak podejrzewał. Obserwowali go. Basia nie krzyczała i nie wrywała się prześladowcy.

– No jak tam, studencik? Mina zrzęda, co? Nawet ładna ta pani doktor. No dobra, bez ceregieli, dawać mi ten miecz, ale już, bo ręka mi ścierpła.

Gromił spojrział z przestachem na Warkota, który najwyraźniej miał ochotę dokonać wymiany.

I nagle zapanowało jakieś poruszenie. Gdzieś z tyłu, za postaciami stojącymi w świetle latarni jakiś olbrzymi cień wylądował miękko na kocich łbach. Postać, w jaką układał się ten majak, miała dobre cztery metry wysokości. Z boku mogło się wydawać, że jest to zwykła mgła, i choć o tej porze roku było to zjawisko dość niezwykle, to przecież bynajmniej nie nadprzyrodzone.

Smutni za plecami grupki zakonnic stanęli jak wryci. Nie dostali rozkazu i nie za bardzo wiedzieli, co mają robić. Zdawali się najwyraźniej nie dostrzegać tego, co pojawiło się o kilkadziesiąt metrów dalej. Jakby przestrzeń nieopodal wejścia do katedry skryła lipcowa noc.

Tuman niby gęstniał, nabierał wyraźnych kształtów. Warkotowi wydawało się, że widzi wielką, jasną grzywę, potężne łapy zakończone pazurami i ogon majtający ze złością na prawo i lewo. Opar przybrał nawet lekko płową barwę.

Postać w świetle latarni krzyknęła, odwracając się gwałtownie. Kłys też drgnął i – nie puszczając Basi – odwrócił się na pięcie z bronią gotową do strzału. Wszelkie odgłosy dobiegały jednak jakby z oddali, gdzieś z miejsca znajdującego się o kilka kilometrów stąd. Może dlatego też smutni nie reagowali, bo z miejsca, w którym stali, pewnie w ogóle ich nie usłyszeli.

Potężna postać w dwóch kocich susach zbliżyła się do zagrażających im drogę postaci. Wszystko na oczach zdumionych spiskowców zdawało się poruszać w zwolnionym tempie, jakby mgła przybrała konsystencję ciągnącej się melasy. Do czasu.

Kiedy majak stanął na wprost pierwszego przerażonego prześladowcy, wszystko potoczyło się błyskawicznie. Świsnęły potężne pazury. Olbrzymie łwie szpony rozorały postać w kapeluszu na pół, dosłownie rozcinając ją na wysokości piersi. Krew bluznęła ohydną, czarną strugą. Pojawił się ciemny tuman, który snuł się teraz tuż nad brukowaną nawierzchnią, powoli rozpluwając się w powietrzu.

Kłys puścił Basię, a ta zatoczyła się i upadła. Przeładował i wycelował broń w monstrum. Padła seria. Pepeszę podbiło w górę, a Kłys wpatrywał się bezradnie, jak płowy kot jednym susem spada na bruk tuż koło niego. Błysnęły szpony i głowa kapitana potoczyła się z okropnym stukotem po kocich łbach. Niemy krzyk zamarł mu na otwartych ustach.

Zatupotały podkute buty żołnierzy UBP, ktoś zaczął strzelać na oślep, rozległy się krzyki. Jedna z zakonnic przeżegnała się pospiesznie. Wszystkie zaczęły się modlić. Warkot stał dalej jak zahipnotyzowany, bo nie wiedział, co ma robić: biec do Basi czy osłaniać Gromiła, czy też bronić grupki przed biegnącymi w ich kierunku smutnymi.

Poczuł gorący powiew, który niczym pustynny samum przetoczył się przez nich. Płowy cień runął na nadciągających, roztrzając ich na boki. Ci, co mieli szczęście, padli z połamanymi kończynami, pechowcy broczyli krwią, jęcząc w agonii. Tak musiała z pewnością wyglądać szarża pod murami Akki. Wśród przerażonych zbrojnych szalało wielkie kocisko, nic sobie nie robiąc z bijących w niego kul. Lew prychał tylko pogardliwie i kolejnych trzech funkcjonariuszy padało na bruk. Nie wiadomo, ile to trwało, bo wszyscy stracili poczucie czasu. Najprawdopodobniej kilka sekund. Po chwili, nie znalazłszy nowego przeciwnika, lew w mgnieniu oka znalazł się przy wejściu do katedry. Stał przez chwilę, bijąc ogonem na prawo i lewo w poszukiwaniu wroga. Nie było chętnych.

Wielkie kocisko mlasnęło z zadowoleniem i dostojnym krokiem wróciło na swoje miejsce, znikając za gotyckim filarem głównego portalu świątyni. Po osobniku w kapeluszu pozostał bezkształtny ochłap. Bezgłowe ciało Kłysa leżało niczym zepsuty manekin. Basia próbowała się podnieść z ziemi, ale znów opadła bezwładnie na bruk.

Nad miastem rozbłysła dziwna pomarańczowoczerwona łuna, gdy natura z zadowoleniem przyjęła kolejną dawkę życiodajnych sił. W ten oto sposób zakończył żywot Przedwieczny, znany jako pułkownik Krystian Pałuba, krwio pijca od specjalnych poruczeń Pierwszego. Zginął też kapitan Kłys, do końca pewny siebie młokos.

Warkot, zupełnie nie zwracając uwagi na to, że nosi żeński habit, przypadł do dziewczyny i pomógł jej wstać. Spojrzała na niego i – zupełnie niewspółmiernie do okoliczności – parsknęła śmiechem. Podniosła się z ziemi i dała pociągnąć za nim. Żaden ze spiskowców nie pamiętał później, jak siostrzyczki ustawiły się w rzędek, zamykając między sobą dziewczynę, i ruszyły do miejsca przeznaczenia. Korowód pospiesznie ominął leżące ciała, a Gromił taktownie schował pistolet do kabury. Po chwili wraz z Warkotem i Basią weszli miarowym rytmem do wnętrza świątyni, przyspieszając dopiero za filarami.

W krypcie pod głównym ołtarzem czekał już na nich ksiądz Arkadiusz, uśmiechając się promiennie. W jego uśmiechu widać było nie tylko serdeczność, ale też nieustępliwość i odwagę krzyżowca.

– Udało nam się kociątko, co? – Mrugnął do Gromiła.

– Ale co to było? – zapytał Janek drżącym głosem, odzyskując równowagę.

– Nasz strażnik z Ziemi Świętej – beztróska odparł ksiądz Arkadiusz. – Słyszałem tylko opowieści, też pierwszy raz widziałem go na żywo.

– Uff! – sapnął ciężko Gromił. – Było blisko.

– Ale co wy tu wszyscy robicie? Co to za spisek? – zapytała Basia.

– Później, hmm, kotku – uciszył ją Warkot.

Gromił wyciągnął Rybichwosta spod habitu i z wyraźną ulgą oddał go w ręce duchownego. Podobnie jak Warkot pospiesznie zrzucił habit. Okazało się, że znajdowali się dopiero na pierwszym poziomie podziemi. Warkot nie pamiętał, ile stopni pokonali, schodząc już we trójkę. Znaleźli się w pomieszczeniach pozostałych po pierwszej, wybudowanej jeszcze z polnych kamieni, katedrze. Komory były mikroskopijne.

Na środku znajdowała się kamienna płyta, w której ktoś w dawnych czasach wyłobił bruzdę. Rybichwost pasował do niej idealnie. Rozwiązała się przy okazji zagadka zniknięcia miecza po tym, jak komes Włost popadł w niełaskę. Włostowicz schował relikwię, żeby nie wpadła w ręce jego wrogów.

Ksiądz Arkadiusz zapalił dwie świece osadzone w solidnych, wysokich lichtarzach.

– Teraz już wszystko w ręku Boga – powiedział szeptem i zaczął się modlić w zaciszu starożytnego wnętrza.

Warkot i Gromił spoglądali w skupieniu na odbłaski płomieni na powierzchni śmiercionośnej klingi. Tak musiało to wyglądać, gdy komes wypadł z łask i trzeba było ukryć miecz, by nie dostał się w niepowołane ręce. Taki przedmiot był niezwykle wyrazistym symbolem władzy.

Kiedy wyszli na zewnątrz, zobaczyli wielkie zamieszanie. Stały tu dwa gaziki milicji i samochód tajniaków. Karetka zabierała właśnie zwłoki niefortunnych członków sekty. Nikt ich na razie nie chciał przesłuchiwać, choć na zewnątrz leżały trupy i ranni. Wszystko odbyło się w całkowitym milczeniu, jakby nawet ubecy nie chcieli dociekać, co mogło tak pokiereszować zwłoki. Jakby chcieli o tym od razu zapomnieć.

Gromił wiedział, że czeka go seria żmudnych raportów i przesłuchań. Oficjalna wersja mówiła o szpiegach z krajów nierówności społecznej, z którymi to przyszło się zmierzyć dzielnym funkcjonariuszom Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Przy pomocy jakich diabelskich sztuczek zostali zaciukani, nie było wiadomo. Być może użyto ostrych narzędzi z wielką siłą. W ciągu kilku kolejnych tygodni uwiarygadniano tę wersję, bo w końcu agenci obcych wywiadów musieli mieć jakąś drogę ucieczki. Można było też zwalić na nich wszystkie zbrodnie, jakie miały miejsce w ciągu tych kilku letnich miesięcy. Mieli siać panikę wśród ludności, bo takie dostali zadanie od swych mocodawców. Trwały też intensywne poszukiwania, zorganizowano blokadę dróg i granic. Bezskutecznie. Po imperialistycznej szajce ślad zginął. Pozostawała jedynie nadzieja, że spiskowcy zostali skutecznie odstraszeni i już nie wrócą.

Kiedy minęli sanitariusza, który – hamując torsje – zabierał odciętą głowę kapitana, przyjrzeni się dokładnie tej jatce, wiedzieli, że teraz muszą się trzymać oficjalnie przyjętej wersji, choćby nie wiem co. Basia była tylko niewinną ofiarą niezwykłych okoliczności.

Nieopodal czekał już na nich ksiądz Urban wraz z kręcącym głową Ochockim. Profesor został ściągnięty w ostatniej chwili i legitymowano go ze trzy razy w drodze do świątyni.

– Szkoda, że ich pan nie widział. – Uśmiechnął się życzliwie duchowny. – Naprawdę było im do twarzy w tych habitach.

– Wyobrażam sobie.

– Pewnie księdza też będą przesłuchiwać. Proszę się trzymać.

– To dla mnie nie pierwszyna. A co do tych nieszczęśników, cóż. Wieczne odpoczywanie. – Przeżegnał się. – Wybrali taką drogę, a kto od miecza wojuje, od miecza ginie.

Warkot się wzdrygnął. Banalna sentencja nabrała nowego, złowróźbnego znaczenia. Choć otworzyły mu się oczy, kto wie, jakie jeszcze tajemnice skrywał świat.

– I ciebie też tu, dziecko, zaciągnęły te łajdaki? Nic ci nie jest? – ksiądz zwrócił się do Basi.

– Nie, proszę księdza, teraz już jestem bezpieczna – powiedziała i przyłgnęła do Janka.

Ten, nie wiedząc, jak ma zareagować, głaskał ją nieporadnie po włosach, nie zwracając uwagi na porozumiewawcze uśmiechy pozostałych spiskowców.

Warkot ledwo kilka miesięcy temu zaczął dostrzegać to wszystko, broniąc się jeszcze ostatkiem sił. Starał się ogarnąć rozumem to, co było zupełnie irracjonalne i z pozoru zamieszkiwało dziedzinę chaosu.

Najpierw Słupecki, który, łamiąc zasady nadprzyrodzonej konspiracji, ujawnił swoją tożsamość Jankowi, starając się przekonać go, że świat nie jest jednowymiarowy. Później inne niewytłumaczalne wydarzenia, które następowały jedno po drugim. Do tego jeszcze spotkał na swojej drodze zupełnie niespodziewaną miłość. A na koniec tajemniczy lew krzyżowców, bez pomocy którego byłoby z nimi krucho. Za sprawą tych wydarzeń całkowicie pozbył się lęku. Wszystko to, wbrew pozorom, napawało go nieznanym do tej pory optymizmem i pozwalało z nadzieją patrzeć w przyszłość. Wiedział bowiem, że postępując zgodnie z głosem sumienia, jest osobą nietykalną dla wszystkich mar i potworów.

Bardzo chciał opowiedzieć o tym wszystkim swojej Basi, ale wiedział, że sama opowieść mogła nie wystarczyć. To trzeba było przeżyć na własnej skórze i choć Basia została brutalnie wyrwana ze swego spokojnego i poukładanego życia, nie życzył jej bynajmniej, by miała przebyć taką samą drogę jak on od samego początku. Niech zostanie tak, jak jest.

– No to teraz zapraszam panią i panów do siebie na herbatkę z jeżynami, a może też i kieliszeczek czegoś mocniejszego. W naszych piwniczkach czas biegnie zupełnie innym tempem.



– Nie myśl sobie tylko, że dałem całkiem za wygraną – warknął Sabiej do cienia w gabinecie krzyckiej willi.

– Wcale tak nie myślę, co więcej, wiem, że tu wrócisz – powiedział Słupecki.

– Może szybciej, niż się spodziewasz.

– Liczę na to. Będziemy czekać.

Sabiej pakował dokumenty do skórzanej teczki. Rzeczy osobiste miał już w bagażniku. Dłonie trzęsły mu się jak w febrze i wiadomo było, że ktoś słono zapłaci za jego irytację. Słupecki nie miał na to wpływu.

– W każdym razie w prasie pojawi się notatka o udaremnieniu knoń i tym podobne, i tak dalej.

– I co wymyśliliście? Obcych agentów?

– Dowiesz się jutro z gazet.

– Nie zdążę. Jutro będę daleko stąd.

– Na to też liczę. – Słupecki uśmiechnął się triumfująco.

Sabiej minął go bez słowa, zabierając ze sobą teczkę. Wsiadł do nowiutkiej czarnej pobjedy i trzasnął drzwiami, dając upust wściekłości. Kiedy znikła za rogiem, zdawało się, że park Południowy odprowadza ją tęsknym wzrokiem. Cóż, może jeszcze nadarzy się okazja...



Konsekracja wrocławskiej świątyni przebiegła bez większych zakłóceń, poza tymi spowodowanymi wielką ilością zgromadzonych wiernych.

W prasie pojawił się nie artykuł, ale większa notatka na drugiej stronie informująca o tym, że mordercą okazał się amerykański agent, który wraz ze swoją szajką miał za zadanie podburzanie, podkopywanie i sabotowanie. Ujawniono też, że pozbawili życia pułkownika Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, Stanisława Podatnego. Tekst był gotowy już od tygodnia. Częściowo uspokoiło to mieszkańców Wrocławia, odetchnęli z ulgą, choć atawistyczny lęk przed mrocznymi zaułkami pozostał, długo jeszcze rozpalając wyobraźnię gospodyń domowych i młodzieży.

Leon Słupecki kontaktował się jeszcze kilka razy ze spiskowcami, uczestnicząc też w ich prywatnym święcie, o którym nikt postronny nie mógł wiedzieć. Zaproszono również majora, który oddychał z wyraźną ulgą, patrząc na swego podopiecznego z prawdziwą dumą. Profesor Ochocki próbował dokonać towarzyskiego zaboru przyjacielskiej libacji, wspominając coś o nowych zabytkach odkrytych w Lubiążu, ale zakrzyczano go, wznosząc kolejne toasty za pomyślność.

Kiedy nieco się wszystko uspokoiło, Jan Warkot zakończył urlop w drukarni i wziął się do pracy. Jego znajomość z Basią weszła na zupełnie inny poziom, bo w końcu łączyły ich teraz również dramatyczne wydarzenia pozwalające poznać się lepiej. Zdzisław Kapusta wyzdrowiał na tyle, że mógł mu już towarzyszyć, służąc radą i pomocą. Porucznik Stefan Gromił dostał awans i uścisk ręki naczelnika. Marlina Kuchta, dowiedziawszy się o dwulicowej naturze koleżanki, ostrożniej podchodziła do swoich znajomości. W tym roku kończyła studia. Profesor Ochocki z zadowoleniem zaszył się w swoich starożytnościach bogatszy o nowe doświadczenia.

Życie bez przeszkód toczyło się dalej. Wrocław był bezpieczny.



Niebieski autobus przystanął na wprost katedry. Z wnętrza wysypał się roześmiany tłumek dzieci pod opieką pań nauczycielek. Ciało pedagogiczne próbowało zapanować nad żywiołem, ale równie dobrze mogłoby łapać wiatr. W końcu nauczycielkom udało się jako tako okiełznać klasę. Dzieci ruszyły w parach w stronę gotyckiej budowli. Kierowca wyszedł z pojazdu, oparł się o maskę i zapalił mazura.

Jan Warkot, Stefan Gromił i Zdzisław Kapusta usiedli na ławce na skwerku obok świątyni. Warkot nosił jeszcze nieznaczące ślady po starciu z Nasu. Kapusta wciąż trzymał rękę na temblaku i lekko utykał po zdjęciu gipsu.

– No i co teraz będzie, Jasiu? – zagadnął majster.

– Nic nie będzie. Na razie czekamy.

– Co mówił pan Leon? – zapytał Gromił. – Widziałeś się z nim ostatnio, prawda?

– Widziałem. Powiedział, że dał Sabiejowi propozycję nie do odrzucenia. Ten z niej skorzystał, ale jego podwładny odbierał rozkazy z samej góry, dlatego sam ruszył na akcję. Ze wsparciem Kłysa.

– Nawet Przedwieczni mają kontrwywiad?

– Źle się to dla Kłysa skończyło – odparł Gromił. – Strasznie to wyglądało. Makabra. Zbir nie zbir, ale śmierć miał ciężką.

Kapusta chciał znać wszystkie szczegóły, choć opowiadali mu to po raz piąty.

– A jak Sabiej wróci?

– To będziemy gotowi.

Pomilczeli trochę wspólnie, przyglądając się gotyckiej budowli.

– Jak to się losy toczą. – odezwał się w końcu Gromił. – Jeszcze kilka miesięcy temu świat był taki poukładany. Nie mówię, że doskonały, to jasne, ale że tak powiem, przewidywalny.

Warkot uśmiechnął się lekko.

– Był, ale się zmył, jak to mawia pan majster.

– Nasz morowy pan majster powrócił. – Gromił uściśnął Kapustę serdecznie, aż ten jęknął z bólu.

– Jak myślisz, co zrobią z tym mieczem? – zapytał Janek.

– Pewnie będzie spoczywał w tej krypcie – powiedział Stefan. – Tak na wszelki wypadek.

– A Ochocki chciał go zabrać do muzeum. Przedwieczni mieliby używanie.

– Jako eksponat zrobiłby karierę.

– Ale krótką.

Wybuchnęli śmiechem.

– A ja wciąż nie mogę zapomnieć o komesie – odezwał się Gromił. – Z jakim złem przyszło mu się mierzyć swego czasu. I jakież potężny musiał być to wielmoża!

– I ma teraz swojego lwa w katedrze, choć niewielu będzie o tym wiedzieć. No bo

właściwie po co lew w katedrze?

– Jak to mówią, dany lew jest do ryczenia – powiedział Gromił.

– Oj przestań. – Kapusta nie mógł się śmiać, bo wszystko go bolało.

Przed katedrą zebrała się grupka turystów z zakładów pracy. Przewodniczka coś tam głośno do nich mówiła, ale grupa była jeszcze mniej zdyscyplinowana niż wycieczka szkolna.

Warkot złożył palce w kadr wzorem wytrawnego filmowca.

– Wiecie, chyba zajmę się fotografią.

– A to bardzo miły konik. Sam lubię sobie popstrykać – powiedział Gromił.

– Ciekawe, jak Przedwieczni wychodzą na kliszy? – zainteresował się Warkot.

– Chcesz wiedzieć, czy są fotogeniczni?

– Coś w ten deseń. Pod wpływem tych halucynogenów nie mogłem nawet im się dokładnie przyjrzeć. Sporysz czy inne świństwo wykrzywiało ich oblicza tak, że nawet teraz nie pamiętam, jak Sabiej wyglądał. Znaczą pamiętam, ale w ogólnych zarysach.

– Żebyś tylko nie miał okazji tego sprawdzić na nowo.

Świeciło piękne słońce. Nieopodal pojawił się samochód z lodami i działwa szturmem ruszyła w jego stronę. Nauczycielka próbowała coś powiedzieć, ale dała za wygraną. Z wnętrza świątyni wyszły gęsiego cztery zakonnice. Przez chwilę wyglądało, jakby czas stanął w tym miejscu i można się było spodziewać, że wyjadą skądś zbrojni na koniach stukających kopytami o kocie łby.

Wrażenie po chwili minęło, bo oto zatrzymał się kolejny autokar z jakąś wycieczką. Ludzie leniwie płynęli w stronę budowli. Niewielu zwracało uwagę na dość niepozornego lwa po lewej stronie potężnych drzwi. Z drugim lwem po przeciwnej stronie tworzyli dobraną parę.

Warkot przesunął kadr w lewo, zamykając w nim mężczyznę, którego tam nie było.

KONIEC



PODZIĘKOWANIA ZAMIAST POSŁOWIA, BO PRZECIEŻ WSZYSTKO INNE JEST W KSIĄŻCE

Wszystkie wymienione osoby mają swój pośredni bądź bezpośredni udział.

Dziękuję rodzinie Zapłotnych – Basi, Jackowi, Patrykowi i Szymonowi, za przyjaźń i bezproblemowe udostępnianie „półkotów”.

Wieloletnim przyjaciołom Damianowi Leszczyńskiemu i Adamowi Fydzie z rodzinami – może dadzą mi teraz zagrać na bodhranie na nowej płycie Delikatesów. Wasza przyjaźń i obecność są bezcenne.

Piotrowi „Pietce” Maciejewskiemu z rodziną (Mam dwa groźne duchy, gdzie rzucić?) za wsparcie i dyskusje o blaskach i cieniach wolnych zawodów.

Tomkowi Głowińskiemu i Markowi Burakowi za recenzje i uwagi merytoryczne związane z Festung Breslau. I tak dalej uważam, że ten pojazd pancerny na kołach i gaśnicach to Hanomag, a nie pzfkszskf...

Szczególne podziękowania kieruję do Jurka, Eli i Marcina z rodziną. Bez Was byłoby gorzej na świecie.

W Wydawnictwie SQN chciałem podziękować serdecznie wszystkim zaangażowanym w Bractwo – Przemkowi Romańskiemu i Kamilowi Miśkowi. Szczególne podziękowania dla Pawła Wielopolskiego za cenne uwagi i wspólną pracę nad książką.

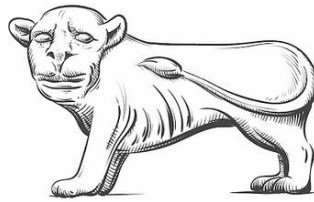
Markowi Krajewskiemu „koledze ze szkolnej ławy” dziękuję za recenzję – *Co prawda nie lubię fantastyki, ale...* No co, oprócz akweduktów, dróg, wina itp. co dali nam Rzymianie?

Teraz będą zagramaniczne podziękowania – kieruję je przede wszystkim do wieloletniego przyjaciela z Glenrothes, Jima Hastiego, Szkota pełną gębą o pięknej duszy. (*I have a bad knee, have to sit down. Żubrówka?*) Chciałem też podziękować Adrianowi i całej rodzinie Czajkowskich (Lapwing-Kinden).

Najlepsze na deser. Mojej Mamie, Alicji Zofii Łucji, za wyrozumiałość i wiarę w syna. Mojej żonie, Dorotce, za wszystko, czego nie mogę tu wyrazić, bo książka miałaby dodatkowe 1000 stron, oraz za żmudną lekturę moich tekstów, za co jestem jej nieskończenie wdzięczny. Filipowi Kosińskiemu, który jest najstarszym stażem recenzentem moich tłumaczeń i często gości we Wrocławiu – może go przyjmujemy do Bractwa.

Na koniec chciałem podzielić się osobistą refleksją – Lemmy wiecznie żywy!

Jarosław Rybski



O AUTORZE

Wrocławianin z krwi i kości, który ma co prawda kilka ulubionych miejsc na świecie, ale nie wyobraża sobie życia poza Starym Miastem.

Studiował anglistykę, pracował w różnych stacjach radiowych, zjeździł całe Wyspy Brytyjskie. Pasjonat fotografii, fan muzyki hardrockowej, heavymetalowej i tradycyjnej muzyki celtyckiej.

Przetłumaczył prawie sto książek oraz tyle samo komiksów jako Orkanaugorze. Przełożył między innymi dzieła T.S. Eliota, Maria Puzo, Irvine'a Welsha, Philipa K. Dicka, Adriana Tchaikovsky'ego i Scotta Westerfelda. Jest członkiem Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury.

Bractwo Wrocławskie. Warkot to jego debiut literacki.



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:



WydawnictwoSQN



SQNPublishing



wydawnictwosqn



wydawnictwosqn



WydawnictwoSQN

www.wsqn.pl



JAKUB MAŁECKI
AUTOR GŁOSNIEGO „BYCOTO”



Ś · L · A · D · Y

SON

JAKUB
MAŁECKI

SON

tomasz
MARCHEWKA

Historie
oryginalne
i fascynujące
z życia
Gdańskian

MARCHEWKA

— MIASTO SZULERÓW —

WSZYSCY PAKUZYLI
NIKE NIE WIDZIAŁ

SON
magnum

59

Kilku chłopców nieprzytomnie zakochanych w piłce.
Dwadzieścia lat przyjaźni w zmieniającej się Polsce.

FUTBOL I CAŁA RESZTA

Przemysław Rudzki

FUTBOL I CAŁA RESZTA

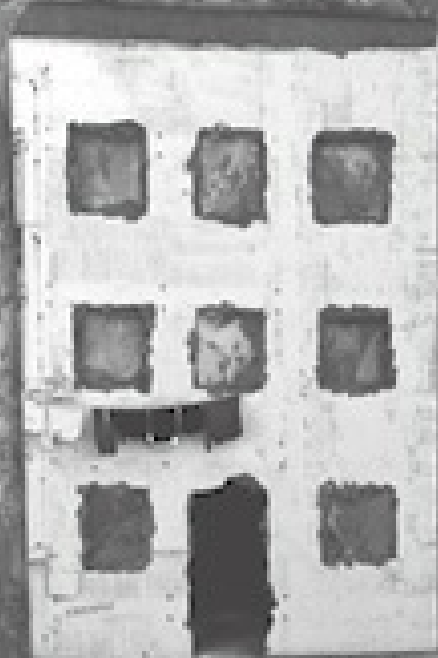
Przemysław Rudzki

59

SON

WIGILIJNE PSY

I INNE OPowieści



KSIĄŻKA LAUREATA PASZPORTU POLITYKI 2015

ŁUKASZ ORBITOWSKI

SON

WIGILIJNE PSY I INNE OPowieści
ŁUKASZ ORBITOWSKI
SON

DYCOT

JAKUB MAŁECKI

DYCOT

*Naznaczona wstrząsającą tajemnicą ballada
o pięknie i okrucieństwie polskiej prowincji.*

JAKUB MAŁECKI

SON

SON